

53

PROWINCJA

KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY DOLNEGO POWIŚLA I ŻUŁAW • NR 1 (59) • 2025



Darczyńcy Kwartalnika Prowincja



WOJEWÓDZTWO POMORSKIE

Publikacja została dofinansowana z budżetu
Samorządu Województwa Pomorskiego w ramach programu
„Rozwój kultury w województwie pomorskim w 2025 roku”



Wydawnictwo kwartalnika wspiera
Jacek Szarycki Prezes Zarządu Fobos One



PROWINCJA

**KWARTALNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
DOLNEGO POWIŚLA I ŻUŁAW**

Nr 1 (59)

2025

Redakcja

Leszek Sarnowski – redaktor naczelny
Wacław Bielecki – sekretarz redakcji
Piotr Napiwodzki
Janusz Ryszkowski
Andrzej Kasperek

Stali współpracownicy

Krzysztof Czyżewski, Andrzej C. Leszczyński, Andrzej Lubiński, Jan Chłosta,
Wiesław Olszewski, Adam Langowski

Projekt okładki

Mariusz Stawarski

Str. III i IV
Prace Rity Staszulonok

Skład komputerowy i przygotowanie do druku

Ewa Krefft-Bładoszewska

Druk

Wydawnictwo Region Jarosław Ellwart, ul. Goska 8, 81–574 Gdynia

Wydawca

Stowarzyszenie Inicjatyw Obywatelskich „TAKA GMINA” w Sztumie
82–400 Sztum, ul. Królowej Jadwigi 10, tel. 693 527 614
prowincja@onet.pl, www.prowincja.com.pl

Dziękujemy za współpracę przy promocji kwartalnika:

Sztumskiemu Centrum Kultury, Żuławskiemu Ośrodkowi Kultury oraz Żuławskiemu Parkowi
Historycznemu w Nowym Dworze Gdańskim

Miejsca, w których można kupić kwartalnik „Prowincja”:

Zakład fotograficzny Foto Mono II w Sztumie, Plac Wolności 19
Sklep papirniczo-biurowy „Kopiał” w Malborku ul. Żeromskiego 5

Wszystkim, którzy zechcą wesprzeć finansowo nasz kwartalnik podajemy numer konta wydawcy:

Stowarzyszenia Inicjatyw Obywatelskich „Taka Gmina” w Sztumie:
Bank Spółdzielczy w Sztumie: 42 8309 0000 0002 6741 2000 0010

ISSN 2082–0291

www.prowincja.com.pl

Nakład 400 egzemplarzy

PIĘĆDZIESIĄTA DZIEWIĘTA „PROWINCJA”

SPIS TREŚCI

Pięćdziesiąta dziewięta „Prowincja”	5
---	---

Poezja

Ewelina Dysko	6
Beata Kołodziejczyk	10
Beata Langowska	12
Hugon Lasecki	15
Bywam bardzo optymistyczny, z Hugonem Laseckim rozmawia Andrzej C. Leszczyński	17

Proza

Arkadiusz Wełniak – Piłka	18
Łukasz Walendziak – Kawiarnia artystyczna	24
Marek Stokowski – Mały	31
Sylwia Kubik – Osadnicy na Żuławach, cz. 1	34
Natalia Piaskowska – Chwytać motyle	41
Malborska saga z historią w tle, z Natalią Piaskowską, autorką dwóch książek o Malborku, rozmawia Alicja Łukawska	47

Esej

Andrzej C. Leszczyński – Okruchy	50
Piotr Napiwodzki – O filozofii języka z Pomorzem w tle	55

Wędrowki po prowincji

Alicja Łukawska – Żuławskie opowieści	59
Wioletta Toruńczak – Żuławy Gdańskie – kulturalnie!	69
Karol Dziemiańczyk – Jeziora powiatu sztumskiego – zarys problemu	80
Janusz Ryszkowski – Od Matki Płaczącej po Beczkę Śmiechu. Sztumskie pomniki (1927–1968)	90
Agnieszka Świercz-Karaś – Dlaczego warto robić sobie prezenty	102

Na tropach historii

Arkadiusz Dzikowski – Historyczna podróż z flagą Austrii w tle.....	110
Michał Piotrowski – Majątek, który zniknął w lesie	117
Ryszard Rząd – O dwóch kamieniach w Tczewie	120
Wiesław Niedziałkowski – Max Toeppen na Powiślu (1869–1882)	130

Prowincje bliskie i dalekie

Krzysztof Czyżewski – Notatki słów i obrazów (25)	138
Marek Suchar – Ogród Oliwny.....	144
Piotr Zawada – Austerlitz – Bitwa Trzech Cesarzy.....	153
Andrzej Kasperk – Poczta z Azorów	161

Muzyka

Wacław Bielecki – Zapiski melomana	173
Arkadiusz Wełniak – Na moje ucho (2)	184
Leszek Sarnowski – Magia jazzu, czyli co mają wspólnego Moździerz i Garberek z moją żoną.....	189

Galeria Prowincji

Andrzej Kasperk – Żuławskie tajemnice według Rity Staszulonok	197
---	-----

Recenzje

Dominika Lewicka-Klucznik – Nie czepiajmy się przecinków	201
Piotr Napiwodzki – Parę osobistych słów o <i>Słowach szemranych</i> Beaty Langowskiej...207	207
Andrzej Lubiński – Donimirski wielowymiarowy.....	209
Andrzej Lubiński – Był też Wujaszkiem Frankiem.....	212
Arkadiusz Wełniak – Fala	214

Noty o autorach	216
------------------------------	-----

PIĘĆDZIESIĄTA DZIEWIĄTA „PROWINCJA”

Kiedy najnowszy, pierwszy w tym roku, numer naszego kwartalnika trafi w Państwa ręce, wiosna już w całej swej krasie nam się objawi. Rozkwitną nasze parki, ogrody i balkony, a dłuższe dni spowodują, że bez obaw o przymrozki będzie można zasiąść na świeżym powietrzu z „Prowincją” w rękach. I obiecujemy, że będzie warto.

Koniecznie zacząć trzeba od poezji, bo jej tym razem sporo. Nowymi wierszami wracają do nas nasze ulubione poetki – Ewelina Dysko i Beata Langowska, no i mamy debiutantów na naszych łamach – Beata Kołodziejczyk i wybitny artysta gdański Hugon Lasecki. W prozie też wyjątkowy tłok. Marek Stokowski i Sylwia Kubik z nowymi książkami, a ponadto Arkadiusz Wełniak, Łukasz Walendziak i debiutująca u nas Natalia Piaskowska, stomatolog z Malborka.

Andrzej C. Leszczyński tym razem filozoficznie o uśmiechu, a Piotr Napiwodzki, także filozoficznie, analizuje, w jaki sposób język determinuje postrzeganie rzeczywistości i co w tej kwestii miał do powiedzenia, pochodzący z żydowskiej rodziny z Łęborka, amerykański językoznawca i poeta Edward Sapir.

Na Żuławy Elbląskie zaprasza nas Alicja Łukawska, opowiadając o niemieckich sierocińcach, a Żuławy Gdańskie promuje u nas, także debiutująca, Wioletta Toruńczak. Były komendant policji w Sztumie Karol Dziemiańczyk przedstawia fragment swojej książki o sztumskich jeziorach i rzekach, na której napisanie otrzymał stypendium kulturalne starosty sztumskiego. Janusz Ryszkowski oprowadza nas po sztumskich pomnikach, a Agnieszka Świercz-Karaś zaprasza do wizyty w oryginalnej pracowni ceramicznej Angeliki i Artura Przechadzkich w Gąskach pod Prabutami.

Arkadiusz Dzikowski przybliży nam rodowód austriackiej flagi, która od czasów krzyżackich stała się również symbolem ziemi sztumskiej. Michał Piotrowski przywraca do życia wyludnioną wieś Paczkowo w powiecie kwidzyńskim, Ryszard Rząd o ciekawej historii dwóch kamieni pamiątkowych w Tczewie, a Wiesław Niedziałkowski przypomina postać dziewiętnastowiecznego historyka, dyrektora Gimnazjum w Kwidzynie, Maxa Toeppena. Krzysztof Czyżewski przesyła nam garść swoich notatek z sejneńskiego pogranicza, Marek Suchar z Jerozolimy, Andrzej Kasperek z Azorów, a Piotr Zawada spod Austerlitz.

O muzycznych fascynacjach piszą Waclaw Bielecki, Arkadiusz Wełniak i Leszek Sarnowski, a Andrzej Kasperek analizuje żuławskie inspiracje w malarstwie Rity Staszulonok, która pochodzi z Białorusi, a od wielu lat mieszka i tworzy na Żuławach Gdańskich.

Życzymy dużo wiosennego słońca, pogodowej stabilizacji, codziennych zachwyty, także przy lekturze naszego kwartalnika. To wyjątkowy dla nas rok, w którym obchodzimy piętnastolecie naszego istnienia, za co szczególnie Państwu, naszym Czytelnikom, należą się słowa podziękowania, za to, że jesteście z nami.

Leszek Sarnowski
Redaktor Naczelny Kwartalnika „Prowincja”

Ewelina Dysko¹



płyną przez ciebie chmury
 i pradawne pieśni
 słowa
 które znaczą dziś tyle
 ile wiary w nich zmieścisz

płyną przez ciebie rzeki
 mglistych wspomnień zakłęte kręgi
 wolno płyną marzenia
 myśli tęczowe wstęgi

płyną przez ciebie wiatry
 szumią fale i szepczą lasy
 płyną przez ciebie góry
 i łąki płyną i kwiaty

płyną przez ciebie noce
 snów chybotliwe statki
 i świt przez ciebie przepływa
 i ja przepłynę
 i ptaki

w tamtej krainie zawsze świeciło słońce
 dziewczęta nosiły sukienki
 zaplatały warkocze
 w tamtej krainie chłopcy jasnowłosi
 wręczali im polne kwiaty
 głęboko patrząc w oczy

¹ Wiersze z tomiku *W tamtej krainie. Zbiór wierszy 2009–2024*. Wydanie – 2025 r.

a jeśli ktoś zapragnął szczęścia
lub chleba małej kromki
wyciągał do nieba ramiona
o pomoc prosząc biedronki

w tamtej krainie
o której chętnie piszą poeci
beztroskim świecie niewinnych dzieci
w tamtej krainie
pachnących chabrów i maków na łące
chmury to były delfiny
i zawsze świeciło słońce

Czasem, gdy budzą się demony,
rodzi się we mnie nieodparta chęć
wytarzać się jak pies
w poezji złej, mrocznej, przesiąkniętej krwią
i zgniłym mięsem.
Poezji pełnej
tanich win, nabrzmiąłych żył,
do bólu szczerej.
Poezji,
która od rana pijana w sztok zalicza dno
i z głupawym uśmiechem na gębie
woła – patrz!
jakie to życie jest kurewsko piękne!

o zachodzie słońca nie odsłaniaj okien
to nie twoja dola
nie brataj się z mrokiem

za murami miasta księżyc
topi smutki w stawie
a ty
nie odsłaniaj okien
nie karm się jego żalem

za murami miasta
ciernie wrastają w skronie
i rany jątrzą się krwawe
a ty
nie odsłaniaj okien
pozwól nocy ugasić pożary

nie odsłaniaj okien kiedy słońce zajdzie
mury miasta zarosną ciszą
a ty
rozstaw warty i zapal latarnie

daj odpocząć spękanym myślom

już nie trzeba mrużyć oczu
coraz łatwiej patrzeć w stronę Światła
cień otarł się o zegar
zamarł

zapomnienie
błogosławione niech będzie zapomnienie

drogowskazy na mapie niepamięci
tędy donikąd
odtąd do nigdy
wszystko do nic

podobno anioł szedł po moich śladach
raz krzyczał raz milczał
śmiał się i płakał

ludzie myśleli że chyba oszalał

przyjaciółko moja
wierna rzeko
ty jedna wiesz jak to jest
być mną

na przemian dzika i łagodna
radosna i samotna
aż po kres
dobrze znasz moją twarz
wszystkie maski
każdą rolę którą gram

przeływasz mnie na wskroś
w moich żyłach ławicą sunie łęk
krzyk mew
rozbija się o brzeg jak echo

ty jedna wiesz jak to jest
przyjaciółko moja
wierna rzeko

Beata Kołodziejczyk



TRYBIKI

Gwałt ma narodowość. O naszym nie chcą pisać,
co najwyżej (o, ironio!) przeleci. Same się prosimy.
Obcy ma najlepszy czas antenowy, obok win Tuska,
ośmiorniczek, totalnej opozycji. Taki do gazu, kastracji,
własnymi rękami.

Chyba że taki zaciąży, wtedy też błogosławiony.
I nie wolno nie kochać.

SZKODA NASZEGO CZASU

Istnieją takie dni, kiedy bolą wszystkie słowa i milczenia.
Wtedy beznadziejne jesteś, życie. Nawet zabić nie umiesz
porządnie, tylko na raty się rozkładasz z niskim erereso.

Wtedy ważne są tylko przyciasne spodnie, grzywka, której nie mam,
a akurat bym chciała. Może być przerzedzona, może być ruda,
może być nawet od niedzieli niemyta.

Wtedy dostaję auto zastępcze, co ma radio, klimę i dwieście
dwadzieścia na zegarku. I już nie wracam po swoje.

OBIADU DZISIAJ NIE BĘDZIE

Wycinam cię. Nie liczysz się, tylko moje dobre samopoczucie.
Są pytania, odpowiedzi, lęki, potrzeby, inne. Z każdego wynika kolejne,
w każdym strach. Wymagałyby zatrzymania, refleksji, może rozmowy.
Na pewno wysiłku. Łatwiej mi przelknąć, biec dalej.

Chwilami mam ochotę kazać ci wejść głęboko, ale z głębokości
nie wynika więź. Kiedy skończymy, zostanie mielizna.
Trzeba było się obwąchać zamiast oddawać.

Odpycham i z głowy. Miłość jako broń, na szczęście nie wszyscy
mają do niej dostęp. Nie deletuję, zostajesz we mnie,
sfiniszowałam tylko wystawę. Tak mi wygodnie.

Beata Langowska**WIERSZE BURSZTYNOWE****KATEDRA ŚW. STEFANA**

katedra monumentalnie
 wznosi swoje ramiona
 obejmuje ludzi
 pozwala wierzyć w to co nieodgadnione
 tak jak bliskość nie zabiera wolności
 otwiera drzwi na oścież
 jest jak ten poranek mglisty i mokry
 kiedy zimą tęsknisz za latem
 i wiesz ze nadejdzie
 bliskość
 kiedy jesteś daleko
 to dopiero coś
 nie trzeba wierzyć
 żeby uwierzyć

PRZED LUSTREM DLA CIEBIE STOJĘ

kochany
 przed lustrem otwiera się inny świat
 jak obraz barokowy w zapomnianej
 mansardzie
 plisy na czerwonej sukience układają się
 równo
 jak wachlarz w dłoni madame
 jeszcze pięćdziesiąt twarzy wisi w szafie
 tiule i jedwab
 odłaniają ramiona
 z przepychem wystawnie

tuż obok
wojny
cywilizacyjny postęp
co chwilę rodzi się prorok

idę na niebotycznych obcasach
patrzysz bursztynowym wzrokiem
to jest najpiękniejszy moment zanim mnie dotkniesz

może zaraz skończy się świat

POCHWAŁA ZWYKŁOŚCI

kiedy wracam
lubię ciszę
miarowe cykanie zegara
otwieram okna szeroko
niech mroźne powietrze zagości
żeby później było ciepło

słońce ukazuje wyraźnie
kontury kurz barwy jeszcze zgaszone o tej porze roku
leje się strugą na twarz
przymykam powieki
nikogo nie ma
kurtyna zachwyty odsłania świat
wdzięczność za wszystko co mam i czego nie mam
czerwone szpilki na stopach i już jest luksus
kawę piję ze sobą
karminowe usta zostawiają ślad na filizance
i kocham wtedy siebie
żebyś ty mógł kochać mnie

KIEDY BRAKUJE SŁÓW

pęka szkło
gorąca woda wypełnia brzegi
gładki blat przyjmie wszystko
patrzę jak spływa powoli

spęczyła magnolia tęskni za wiosną
tak łatwo daje się oszukać zbłąkanym promieniom słońca
to co stało stulecia
upada
płoną katedry
woda zabiera życie
tętno bije nierówno
na Campo di Fiori znowu gra muzyka

bez słów
patrzę za horyzont
bursztynowym szlakiem

KIEDY SPOGLĄDAM PRZEZ RAMIĘ

lubię twój dotyk
jest jak jedwabna koszula
która strumieniem spływa na ciało
delikatne guziki
to szlak średniowiecznych wędrowców
kiedy nie wszystko było wiadome

bursztynowym wzrokiem
ozdabiasz moją szyję
dłonie- zupełnie inna opowieść
kolie tuż przy obojczyku

Hugon Lasecki



*

Trzeba zapisać sprawy niektóre
Łańcuch żelazny
Złoto w stosiku
I pamięć, że jest gdzieś dworzec kolejowy
Skąd wracać możesz
Dokąd chcesz

*

Doznałem czystości spokoju
Słyszałem głębokość mowy
Czy widzisz te ziarna piachu
Gdy koń patrzy ci w oczy?

*

Trzeba się pochylić nad dobrocią
Kamienia
Wszystko leci
Dobro jest

*

Około metra
Ma niebo w obrazie
Gdy we mnie korzenie drzewa
I choroba chorych
Barw

*

Wybacz mi Tato
Że byłem mały
Że w twoim zbożu
Wciąż się kulałem
Że malowałem dłonie

I chleb jako tako
I pudła byle jakie

*

Rano płatki
W południe płatki
Na noc płatki
A Wszechświat zmierza gdzie popadnie
W kucki i na bosaka

*

Szczęście jest krótkie
Kiedy się nie wie

*

Czerwień ma usta
Stoi za szafą ten uśmiech szalony
Stoi żywot wieczny

*

Jedni tak piszą
Jedni tak słyszą
Ten los
W rodowodzie świata

*

Narysowane
Żyje wiecznie
Znaki – popioły
Szarych zdań
Ma głos
Co często traci mowę

*

Boli to życie
Boli do świtu
Ten deszcz snów
Na tej górze peanów

*

I soli dziś mało
I życia

BYWAM BARDZO OPTYMISTYCZNY

Z HUGONEM LASECKIM ROZMAWIA ANDRZEJ C.
LESZCZYŃSKI

Andrzej C. Leszczyński: *Hugon, wydałeś pięć tomików poetyckich, może jeszcze kolejny się zdarzy. Godzisz pisanie z malowaniem, rysowaniem?*

Hugon Lasecki: Jakoś godzę. Trochę rysuję, rzadziej maluję. A gdy przyjdzie mi do głowy jakaś myśl, to ją zapisuję. Zawsze mam pod ręką coś do pisania. Na razie nie wiem, o co chodzi, ale zapisuję, bo to coś, to słowo, temat, ma dla mnie znaczenie.

ACL: *W wielu wierszach pojawiają się odniesienia do dzieciństwa. Ma to związek z wiekiem. Przekroczyłeś dziewięćdziesiątkę.*

HL: Zawsze, kiedy człowiek jest u kresu życia, to rośnie potrzeba, żeby zachować to, co było. Przypomina mi się czasami coś, co wtedy miało dla mnie znaczenie. Ale wiele się gubi... Urodziłem się w Grudziądzu, potem byliśmy już w Opaleniu. Ta wieś się spodobała mojemu ojcu. Gdy przyjechał tu do rodziców mojej mamy, zachwycił się. Las, wszystko inne niż w mieście.

ACL: *To Twoje imię, tam, w Opaleniu...*

HL: Nie Franciszek czy Wojciech. Byłem odbierany jako ktoś trochę inny...

ACL: *„Zbliżamy się do Początku – dlatego, że zbliżamy się do Kresu?” – pytał sam siebie Zbigniew Żakiewicz...*

HL: Czas jest bezwzględny, co pokazuje się wtedy, gdy człowiek jest na krawędzi istnienia. Gdy człowiek boi się odejść.

ACL: *Boisz się?*

HL: Boję się. Jak cholera boję się odejść. Mam chęć zobaczenia tego, co się wydarzy, co będzie. Widzieć na oczy to wszystko, co jest. Być w świecie. Coś w nim robić. Uzupełnić to, co się zrobiło, mając pewność, że to możliwe.

ACL: *Twoje lapidarne: „Czerwone te światła zielone”. Beznadzieja?*

HL: Różnie. Bywam bardzo optymistyczny. Ale widzę też to, co nie udaje mi się w tym życiu. Czasami bywam szczęśliwy. Gdy znajdę takie słowo, które powie, co trzeba. Tak jakby udało mi się zagrać na fortepianie, mimo że nie jestem muzykiem. Na fortepianie albo na jakimś pudełku, które wydaje dźwięki.

Arkadiusz Welniak



PIŁKA

Piłka była ciężka, z brązowej, naoliwionej skóry i z grubym szyciem po obu stronach. Uderzana głową po mocnym dośrodkowaniu zostawiała ślad na czole walecznego napastnika. Pewnego dnia młody Adolf Grenz przyniósł do ich mieszkania taką piłkę, mocno już sfatygowaną, uszkodzoną i zdeformowaną. Liczył, że własnym sumptem uda mu się ją jeszcze wskrzesić i przyda się chociażby na treningach. Grał od dwóch lat, zainspirowany przez starszego brata Brunona, który też miał za sobą przygodę z piłką. Stadion mieli właściwie pod domem, więc Adolf już jako dziesięciolatek oglądał zza płotu albo z konarów pobliskiego drzewa mecze B-klassy województwa pomorskiego. Był wysoki, szczupły a jednocześnie zwinny, więc najpierw jeszcze w juniorach postawili go na bramce. To nie było jednak dla niego, nosiło go i pragnął przede wszystkim bramki strzelać. W październiku 1935, kiedy rodzina Grenz przeprowadziła się wreszcie do większego mieszkania, wszedł po raz pierwszy na boisko w meczu przeciwko Czarnym z Nakłą. Choć nie strzelił wtedy bramki i nie miał nawet ku temu okazji, następnego dnia jego ojciec Walenty z dumą opowiadał kolegom z warsztatu o nowym piłkarskim objawieniu w Tczewie. Następne spotkanie



Alfons Czarnecki (kłęczący pierwszy od prawej). Jednostka Wojsk Kawalerii w Bydgoszczy 17 sierpnia 1939 roku

przeciwko Chojnicom oglądał więc z drewnianej trybuny już nie tylko stary Grenz, ale także wpatrzony w brata piętnastoletni Helmut i siostra Hilda.

W drużynie grało wtedy kilku chłopaków z parowozowni, warsztatów i ze straży kolejowej, z którymi Adolf znał się już wcześniej. Jednym z nich był Alfons Czarnecki, palacz parowozowy, który jak na stopera przystało grał ostro, ale w obawie przed wykluczeniem w miarę uważnie i przepisowo. Taki był też w życiu: zdyscyplinowany, twardy, ale jednocześnie nieśmiały i nieco wycofany, szczególnie w towarzystwie kobiet. Kiedy Adolf po jakimś niedanym meczu przyprowadził go mocno poobijanego do domu rodzinnego Grenzów, mógł po raz pierwszy dłużej porozmawiać z Hildą. Ponad rok trwało zanim Alfons zaproponował jej wspólne wyjście na spacer wiosennymi alejkami miejskiego parku prowadzącymi do uliczki tuż przy wiślanej skarpie, gdzie stał jego dom. Nie miał śmiałości zaprosić jej do siebie w obawie przed reakcją swojej matki

i wścibskim spojrzeniem młodszych sióstr. Zresztą, jeżeli nawet by zaproponował i nalegał, Hilda by i tak odmówiła. A potem nastąpiło dłuższe zawieszenie w tej relacji, podczas których Alfons poganiany przez wąsatego maszynistę wrzucał kolejne tony węgla do rozbuchanego gardła lokomotywy zmierzającej do Chojnic, Smętowa albo Szymankowa. Dopiero w dzień jej dwudziestych drugich urodzin, deszczowego popołudnia, ze skromnym bukietem kwiatów czekał na Hildę pod zakładem krawieckim na wylocie ulicy Wąskiej. Kwiaty, choć ładne i, jak to jesienią, droższe, nie zacięsnęły bynajmniej relacji, więc nadal spotykali się jedynie w szerszym gronie, najczęściej po niedzielnych pojedynkach ligowych. Zdarzało się, że kolejarze z tczewskiej Unii rozgrywali towarzyskie mecze międzypaństwowe z polską Gedanią, klubami niemieckimi z Gdańska, Malborka i Elbląga. Po wygranych rewanżowym meczu z elbląską Hansą skuteczność defensora Czarneckiego wzmiankowano nawet na łamach miejscowej gazety. Największe emocje od zawsze budziły jednak lokalne derby z konkurencyjną Wisłą, podczas których Hilda i jej przyjaciółki żywiołowo reagowały na każdy faul na jej bracie i jego kolegach. Kiedyś nawet porządkowy zagroził, że wyprowadzi je za boiskową bramę za ciągle obrażanie sędziego i zakłócanie meczu.

Podczas majówki 1938 roku, po ponad dwóch latach tej niemrawej znajomości, Hilda poszła z nim na zabawę taneczną. Choć on zatańczył w ciągu całego wieczoru tylko dwa razy, zamówił dla niej jej ulubioną piosenkę „Odrobinę szczęścia w miłości” ze specjalną dedykacją. Potem wzięła wolne i pojechała z nim do Bydgoszczy, gdzie Alfons zdawał egzaminy, pierwsze ważniejsze w swojej karierze rozciągniętej między palaczem a maszynistą, z przerwą na wojnę. Po południu poszli do bydgoskiego kina Cristal obejrzeć Adolfa



*Alfons Czarnecki (po lewej) po przysiędze wojskowej.
Grudziądz, 1935 rok*



Alfons i Hilda w okresie narzeczeństwa. Wiosna 1939 roku

Dymszę w „Niedorajdzie”, a po seansie na kremowe ciastka i do sklepu tekstylnego z tkaninami. Z kupionego tam satynowego materiału Hilda uszyła sobie suknię, w której bawiła się potem na weselu swojej siostry. A potem powiedziała matce, że kolega Adolfa, ten od piłki nożnej, szkoli się na maszynistę, że jest dobry, pracowity i uczynny. Fakt, że jej się wreszcie zaczął podobać, została dla siebie, choć matka i tak mogła się tego domyślać. Pewnej

czwartej niedzieli 1938 roku odświętnie ubrany Alfons Czarnecki przyszedł do domu Grenzów, bynajmniej jednak nie po to, żeby się oświadczyć ich córce. Przyszedł posłuchać radia, które ledwo kilka dni wcześniej nabył za równowartość dwóch kolejarskich pensji jego przyjaciela z boiska Adolf. Odbiornik ustawiony tuż przy oknie zgromadził kilku kolegów z klubu, sąsiadów i grupkę chłopców. Krzyczeli i wiwatowali, kiedy pierwszą bramkę dla Polski z karnego zdobył Fryderyk Scherfke. Oczami wyobraźni widzieli przez chwilę, że polscy piłkarze i ich trener Kałuża odbierają puchar Rimeta, a cały paryski stadion wibruje na ich cześć. Przedwcześnie, bo kwadrans później jęk zawodu zgrany z wieszającym się odgłosem radiowej transmisji prosto z dalekiego Strasburga niósł się wzdłuż całej ulicy, kiedy gole dla Brazylii strzelali Leonidas i Peracio. A potem, po przerwie, podczas której stary Walenty Grenz uraczył nieprzypadkowych kibiców nalewką, piwem i lemoniadą, w ciągu kilku minut zapanowała euforia i donośny krzyk z wywoływanymi naprzemiennie „Wilimowski-Polska-Wilimowski-Polska”. Wtedy we Francji polscy piłkarze przegrali po dogrywce, ale i tak czuli się tak bardzo dumni, bardzo mocni i zbratani jak nigdy. Gdyby właśnie tamtego dnia wybuchła wojna, poszliby na ochotnika walczyć za taką Polskę i to choćby nawet z kijami. Kolejne wznoszone toasty pod bramką ośmieliły Czarneckiego, a mecz przeciw Brazylii i piłkarski geniusz Ernsta Wilimowskiego stały się punktem napędowym znajomości z Hildą. Miesiąc później kupił pierścionek zaręczynowy, który zamierzał jej uroczysto wręczyć podczas jakiejś bardziej uroczystej wizyty u Grenzów. Wizyty co prawda były, ale niekoniecznie uroczyste, bo to ktoś zachorował, a to znowu wyczuwał, że Franciszka patrzy na niego jakoś podejrzliwie. Zanim dał ten pierścionek na jakimś późnojesiennym spacerze, przytączył pod jej dom misternie zapakowaną maszynę Singera. Odkupił ją niesprawną, więc okazjnie, a potem kilkanaście długich wieczorów poświęcił na naprawę podajnika, wymianę stopki i naoliwienie całego mechanizmu. Na tej maszynie Hilda miała uszyć, sfastrygować, przerobić i naprawić kilkadziesiąt par spodni, bluzek, koszul, wataowanych kurtek, okiennych zasłon i poszewek. Stukot Singera budził przez długie lata jej dorastające dzieci, a potem i najstarsze wnuki.

Zaręczyli się w drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia 1938 roku, a on niczym swój został uwieczniony na rodzinnym zdjęciu. Wyprostowany i z poważną miną, mając po prawej

Hildę, a po lewej jej siostrę Gertrudę, stał tuż za siedzącymi na krześle rodzicami Hildy i ich najstarszym synem Brunonem. Dalej oparty o piec siedemnastoletni Helmut Grenz, wysoki, postawny blondyn, który idealnie pasowałby do roli statysty w propagandowych, nazistowskich filmach o kulcie ciężżyny fizycznej. Fotografem musiał być wtedy Adolf, bo zabrakło go w tamtym kadrze. Zabrakło także Heleny, najstarszej córki Grenzów, która latem tamtego roku opuściła na zawsze rodzinny Tczew. Jej mąż, Bernard Liedtke, człowiek wykształcony i dobrze sytuowany, który zdążył w Gdańsku zrobić licencję architekta, czuł się coraz bardziej wyobcowany w małomiasteczkowej rzeczywistości pełnej narastającej i prowokowanej niechęci na tle narodowościowym. Jego stosunek do Polski zmienił się w ostatnich latach z obojętnego na niechętny, więc przeczując, że czasy idą ciężkie, sprzedał duże mieszkanie, spieniężył to, czego się dorobił, i z całą rodziną wyemigrował do Bad Wildung w Hesji.



Alfons i Hildegarda Czarneccy po ślubie ok. 1947 roku

Tamtego świątecznego wieczoru, przy nakrytym stole, zastawionym półmiskami z sałatką warzywną, pieczoną gęsią, pałkami kurczaków i śledziami zanurzonymi w occie, rozmowy o piłce ginęły wśród dyskusji o polityce. W pokoju pachnącym tłuszczem i świerkiem przywołani zostali Mościcki, Kościłkowski ze Składkowskim, Haller, Rydz-Śmigły, Beck, wojewoda Raczkiewicz, Piłsudski, Witos, biskup Okoniewski, a nawet luterański prymas Bursche. Z „gości” zagranicznych zdecydowanie najczęściej wymieniany był Hitler, potem Mussolini, dalej Lebrun konkurujący na liczbę wspominek ze Stalinem. Gdzieś między drugą kawą a ciastem wspomniano Emila Hachę, admirała Horthy’ego, Ribbentropa, lorda Halifaxa, a nawet uroczego Chaplina i schorowanego Piusa XI. W dyskusjach przewodził najstarszy z rodzeństwa Bruno Grenz, który jakby dla większego efektu swoich wypowiedzi gestykulował albo stukał łyżeczką w szklany talerzyk. Był więcej niż przekonany, że Polska ma już naprawdę dobrze uzbrojone wojsko i jest już teraz zbyt silna, żeby Hitler zaryzykował agresję. Powoływał się co rusz na jakiegoś wyższego oficera z Warszawy, dalekiego kuzyna swojej żony, który mu to niedawno osobiście potwierdził. Małżonka każdorazowo przytakiwała, powtarzając wiele razy tego wieczoru swoje „tak, tak, to prawda, Brunio ma absolutną rację”. Hilda miała wrażenie, że jej szwagierka Agnes, której szczerze nie cierpiała, świadomie podsycy i nakręca te polityczne wywody swojego męża. Najgorszą robotę robili wedle Brunona ci politycy, którzy wspierają mniejszości narodowe, a w szczególności Żydów, i to właśnie ich w pierwszej kolejności powsadzałby zapobiegawczo do obozu odosobnienia. Kiedy po kolejnym kieliszku wiśniowej nalewki na spirytusie zaczął rozwijać teorie o antypolskich zdrajcach, włączając do nich nawet swojego szwagra i siostrę Helenę, przerwał mu dosadnie stary Walenty Grenz. Nieco inaczej widział to wszystko Adolf, który bynajmniej nie lekcewał zapędów i buńczucznych zapowiedzi swojego imiennika.

Słuchał radia, także tego nadawanego z Gdańska i Królewca. Kilka razy rozmawiał także z dawnym szkolnym kolegą Horstem, który przyjeżdżał z Żuław do swojej wiekowej ciotki, widział także wrogie miny celników i żołnierzy na posterunku granicznym wiślanego mostu. Nie wierzył też jakoś specjalnie w wielką siłę, dyscyplinę i możliwości polskiej armii, szczególnie po tym, jak miesiąc wcześniej na kilkudniowym szkoleniu karmili go w koszarach byle czym, kazali biegać w sparciałej masce pgaz i dali mu przeciekające buty. Gertruda wspierała zdanie Adolfa, bo przecież sama była latem w Gdańsku i wcześniej jeszcze z Heleną i Bernardem w Elblągu i Kwidzynie. Było tam wedle niej jakoś czyściej, porządniej i chyba dostatniej. Podobnie myślał Helmut, choć jako młodziak raz skarcony przez ojca głosu nie zabierał. Alfons odezwał się wtedy ledwo kilka razy, jakby nie chciał narazić się żadnej ze stron. Nie wspomniał nawet, że sam niedawno zagłosował na listę sanacyjną, ani tego, że ostatnio w jego pociągu grupa miejscowych wyrostków ciężko pobiła jakiegoś niemieckiego studenta. Polityczne rozmowy denerwowały z czasem gospodarza, męczyły seniorkę Franciszkę Grenz i irytowały Hildę, dla której to przecież miał być szczególnie wieczór. Ostatecznie nie ustalili nawet terminu ślubu, odkładając go na jesień 1939 roku, jak tylko Alfons zrobi patent maszynisty i wystara się o jakieś samodzielne, choćby i służbowe, lokum. Na tym ostatnim zależało jej szczególnie, bo przecież ani u niej, gdzie na kupie nadal było nadal pięć osób, ani tym bardziej u niego, przy jego rodzicach, budowania wspólnej przyszłości na razie nie widziała.

W czerwcu 1939 roku Alfons zagrał mecz w A-klasie przeciw drużynie z Fordonu, nie zdając sobie jeszcze sprawy, że to jego ostatni, pożegnalny mecz w klubie i w życiu. Kopał co prawda wieczorami piłkę z kolegami z jednostki kawalerii w Bydgoszczy, kiedy został zmobilizowany w sierpniu i potem już jako przymusowy żołnierz Wehrmachtu, ale to nie było to samo. Po wojnie jeżdżąc na lokomotywie miał za pomocnika palacza młodych chłopaków, którzy grali teraz w barwach kolejowego klubu. Adolf Grenz nie doczekał wesela Alfonsa i Hildy, bo poległ na froncie wschodnim pod Rżewem. Młodszy Helmut Grenz nie wrócił do nowej Polski, Jana Justę zmieniła wojna, jeden z braci Schoenberg, który tak często był wyrzucany z boiska za faule, trafił podobno gdzieś za Ural, a Janek Buła zginął już w pierwszych dniach września. Piłka nożna została przy Alfonsie do końca życia, chodził z synem a potem z wnukami na mecze tczewskiej Wisły i Unii, słuchał transmisji ligowych na małym czarnym radyku na baterie. Na jego pogrzebie w 1987 roku był nawet prezes kolejowego klubu, mimo że z tradycji i dawnej chwały została już wtedy tylko nazwa. Na zasłużonej emeryturze Czarnecki stopniowo przygasał, bo praca była dla niego jak powietrze, no i w dodatku choroba nie chciała odpuścić. Na przydomowym podwórku zasiał kiedyś trawę, wydzielił miejsce, gdzie jego żona Hilda urządziła mały kwiatowy ogródek. Zrobił też drewnianą ławkę, która każdej wiosny była malowana na zielono lub niebiesko i dodatkowo bejcowana. Kiedy na tej ławce nie siedziała Hilda z sąsiadką Erną, Weronką Tasiemską albo starą Trederką, służyła ona za piłkarską bramkę. Trafiali do niej lub zaliczali efektywne poprzeczki podwórkowy Lato, Szarmach, a sporadycznie też Zico, Tigana i Rummenige. Kiedy wnuki pytały Alfonsa „kto jest najlepszym piłkarzem świata Boniek czy Platini?”, ten odpowiadał ze spokojem i uśmiechem: „Ezi” Wilimowski.

Podwórko zaraz po śmierci Alfonsa zdawało się odzwierciedlać stan miasta i państwa, pełnego chaosu, szarzyzny i beznadziei. To wtedy w poszukiwaniu nadziei i lepszego bytu

zaczęli na Zachód wyjeżdżać licznie mieszkańcy ich Tczewa. Wyjeżdżało drugie i trzecie powojenne pokolenie, potomkowie zrehabilitowanych folksdojczów, a nawet ci, którzy związków z Rajchem nie mieli żadnych. Wyjechały dzieci sąsiadów i starych znajomych Hildy oraz koleżanki jej córki. Była wśród nich rodzina Trochowskich z Czyżykowskiej z kilkuletnim Piotrusiem. Dwie dekady później Piotruś, już jako Peter Trochowski, zagrał na mistrzostwach świata w piłkarskiej reprezentacji zjednoczonych Niemiec. A Alfons Czarnecki? Przetrwiał nie tylko we wspomnieniach rodzinnych. Kiedy jego kolejne wnuki kopali piłkę pod domem, ku utrapieniu starszych schorowanych sąsiadów, zawsze słyszeli od starego Maliszewskiego „macie furca z tą piłką, tak jak wasz dziadek maszynista”.



Hilda Grenz, 1935 rok

Łukasz Walendziak



KAWIARNIA ARTYSTYCZNA

KURDUPEL

Minęło kilka miesięcy odkąd uciekłem z Katmandu. Zaszyłem się na południu kraju, w okolicach parku narodowego Chitwan. Żyłem wtedy z dnia na dzień, ale znalazłem sobie miejsce i zajęcie, potrafiłem też uczciwie zapracować na podstawowe życiowe potrzeby. Można powiedzieć, że był to krok naprzód. Łącznie przebywałem w Nepalu już ponad rok, moja wiza turystyczna straciła ważność, ale zupełnie się tym nie przejmowałem. Piękna pogoda, malownicza okolica, życzliwi ludzie dookoła. Wolność, coś, co utraciłem na długie lata ze względu na problemy z uzależnieniem od rozmaitych substancji, doprawdy mi zasmakowała. Nie miałem żadnych konkretnych planów ani wyznaczonych celów do zrealizowania. Beztroska. Czułem się jak małe dziecko, które dopiero co nauczyło się raczkować. Byłem pełen energii i radości.

W tej okolicy nie sposób było się dogadać po angielsku, a ja po nepalsku znałem raptem: poproszę, dziękuję, do widzenia. Rozpocząłem zatem przyspieszony kurs językowy. Najpierw pojedyncze wyrazy: „kuhura” – kurczak, „kera” – banan, „pariilar” – rodzina. Codziennie nadarzały się okazje, żeby się czegoś dowiedzieć, a za nauczycieli miałem okolicznych mieszkańców, od maluchów po starszyznę. Kilkaset nowopoznanych słów, wspieranym językiem migowym, wystarczyło, aby się w miarę swobodnie porozumiewać, przynajmniej w podstawowych sprawach związanych z jedzeniem, pogodą czy pracą. Robotę miałem fizyczną. Łopata, motyka, sierp, siekiera. Radziłem sobie co najmniej przyzwoicie...

Któregoś dnia nadarzyła się okazja, by wyskoczyć do stolicy. Jeden z rolników miałjechać na targ z dostawą pochrzynu. Zapytał mnie, czy nie chciałbym wybrać się w podróż jako pomocnik:

– „Pojedziemy jutro rano, rozładujemy towar i wrócimy wieczorem, dostaniesz normalną dniówkę, taką jak zwykle daje kierowcy, co Ty na to?”

– „Dlaczego by nie?” – odparłem bez namysłu. „W zasadzie, już jestem gotowy” – dodałem.

Wyruszyliśmy o świcie. Trasę z Chitwan do Katmandu, którą w kolejnych latach przebiegałem w tę i z powrotem dziesiątki razy, pokonałem w nieco ponad cztery godziny. Warunki drogowe i pogodowe nam sprzyjały. Na olbrzymim targowisku w dzielnicy Kalimati dotarliśmy na długo przed południem. Rozładunek poszedł bardzo sprawnie. Postanowiłem rozejrzeć się co nieco dookoła. Muszę przyznać, był to największy warzywniak, jaki miałem okazję odwiedzić w swoim życiu.

– „Borsuk!, Borsuk! To ty? Myślałem, że złapała Cię policja” – zawołał ktoś w tłumie.

Uśmiechnięta od ucha do ucha twarz, jakby znajoma, ale imienia nie byłem w stanie sobie przypomnieć.

– „To ja, Namradź, kumpel Omrita, nie poznajesz?”

– „Poznaję, jak się masz?” – zapytałem.

– „W porządku, pracuję tu i mieszkam od dwóch miesięcy” – odparł, wskazując palcem ku górze.

– „Chodź, pokażę Ci, jak się urządziłem” – dodał.

Targowisko było rozległe i częściowo zadaszone. W niektórych miejscach betonowe schody prowadziły na coś w rodzaju strychu. Tam koczowały rozmaite przybłędy, które w ciągu dnia wykonywały prace dorywcze za drobne wynagrodzenie. Kible publiczne mieli do dyspozycji, gorzej, jeżeli chodzi o jakikolwiek prysznic, ale w Katmandu funkcjonują jeszcze miejskie ujęcia wody, które biedota wykorzystuje, aby się umyć lub wyprać ubranie. Kilkanaście metrów kwadratowych, betonowa posadzka i blaszany dach. Jedno palenisko na kilka osób i zazwyczaj mało schludne legowiska uzupełniały krajobraz. Takie widoki nie robiły już na mnie specjalnego wrażenia. Wcześniej przez kilka miesięcy żyłem na ulicy, a i na wiosce warunki były raczej spartańskie. Bieda, bród i dyskomfort po prostu mi spowszedniały.

Zapytałem Namradźa, czy widział się z Omritem, naszym wspólnym kumplem, z którym dzieliłem swoje smutki i radości w pierwszych tygodniach mojej tułaczki. Dowiedziałem się tylko tyle, że ostatnio był mocno schorowany i nie wyglądał najlepiej, ale to było dwa miesiące temu, zanim Namradź znalazł nową pracę i przytułek. Pomyślałem, że zostanę w mieście dzień, dwa i postaram się odszukać starych znajomych. Wspomnianego Omrita, Japończyka Abe, który zaopatrywał mnie w towar, i Brytyjczyka Rona, który lubił postawić kielicha i zawsze miał w zanadrzu jakąś zabawną anegdotkę. Wróciłem zamienić słowo z kierowcą. Wyjaśniłem mu, że przyjadę na wioskę za kilka dni. Wydawał się nieco zawiedziony, że będzie wracał sam, ale ostatecznie podziękował mi za pomoc, wypłacił co się należało i ruszył w drogę powrotną.

Po południu wybrałem się z Namradźem na Thamel, dzielnicę turystyki i rozrywki, gdzie spędziłem pierwsze miesiące swojego pobytu w Nepalu. Z tamtego okresu zachowałem raczej mroczne wspomnienia, czułem się już jednak na siłach rozejrzeć po okolicy. Towarzyszył mi dreszczyk emocji, ale świadomość, że w każdej chwili mogę wrócić na wioskę, dawała mi poczucie bezpieczeństwa.

Omrit pojechał na wieś, do domu swojej siostry, nabrać sił i odpocząć. Towarzystwo potwierdziło to, o czym wspominał Namradź. Ostatnio nie wyglądał zbyt dobrze. Ledwo chodził, ledwo mówił, nie był w stanie nic zjeść...

„Jak ma wrócić do zdrowia, to tam, na wsi, pod opieką siostry.” – pomyślałem.

Tymczasem ani śladu po Abe, Ron też gdzieś przepadł. Im bliżej wieczora, tym więcej hałasu i syfu na ulicach. Tu jakaś bójka, tam wrzaski pijanego młodzieńca. Jeden wielki bajzel. Wróciliśmy na targowisko, gdzie miałem spędzić jedną noc. Kartonowa karimata, stary koc i plecak zamiast poduszki, ale przynajmniej cisza i spokój dookoła. Nazajutrz miałem się jeszcze pokręcić po mieście, a nocą wracać na południe.

Wstałem wczesnym rankiem i udałem się na Thamel, tym razem już samotnie. Pierwszą osobą, którą tam spotkałem, był Kurdupel. Niski, łysy, niezwykle gadatliwy jegomość. Miał swoje niewielkie biuro turystyczne. W pierwszych dniach mojego pobytu chciał mi wcisnąć

jakąś wycieczkę, ale nie byłem zainteresowany. Później jeszcze kilka razy trafiliśmy na siebie. Zналиśmy się, można powiedzieć, z widzenia. Przy herbacie opowiedziałem mu, w dużym skrócie, o swoich przygodach, o epizodzie na ulicy i życiu na wsi. Dodałem, że zamierzam zostać w Nepalu na dłużej. Pochwaliłem się też, podstawową wtedy, ale jednak, znajomością języka nepalskiego. Mój rozmówca wydawał się być niezwykle podekscytowany.

– „Niemożliwe, niemożliwe, z nieba mi spadłeś...” – rozpoczął. „Właśnie otwieram swoją kawiarnię. To miejsce będzie niesamowite, zaraz tam pójdziemy, to Ci wszystko покаżę i wyjaśnię” – dodał.

– „Prawdę mówiąc, miałem dziś wracać na wioskę” – odparłem.

– „Ależ nie! To wykluczone! Jesteś dla mnie brakującym elementem układanki!” – nie dawał za wygraną. „Będziesz sercem tego miejsca, kręgosłupem ekipy i duszą towarzysstwa” – jego entuzjazm delikatnie mi się udzielił, postanowiłem, że przynajmniej zobaczę, co to za miejsce.

Kawiarnia artystyczna mieściła się na obrzeżach dzielnicy Thamel. W tej okolicy ostatnimi czasy przybyło wiele nowych hosteli, oferujących łóżko i śniadanie w bardzo przyzwoitej cenie. Pojawiło się wielu młodych ludzi, szukających raczej wrażeń, aniżeli wygod. To dobrze wróżyło, jeżeli chodzi o interes. Sam lokal był jeszcze w trakcie remontu, ale prace były na ukończeniu. W oczy rzucały się przede wszystkim kolorowe malowidła na ścianach wykonane przez naprawdę zdolnych artystów. Dwie sale, kuchnia, bar. Na pierwszym piętrze służbowe pokoje i łazienka. Z tyłu natomiast pół-podwórko, pół-ogródek. To ostatnie miejsce było zaaranżowane w naprawdę ciekawy sposób. Większość mebli i dekoracji wykonana była ze złomu lub innych odpadów, ale z takim sprytem i pomysłem, że wszystko wyglądało zarówno intrygująco, jak i schludnie.

Właściciel zaproponował mi 10% od przychodów. Wstępne szacunki jednoznacznie wskazywały, że za miesiąc lub dwa będzie mnie stać, aby zapłacić karę za pobyt bez ważnej wizy. Wracając na wioskę nie zarobiłbym takich pieniędzy przez najbliższy rok. To dało mi do myślenia. Niby nie tak dawno temu uciekałem z Katmandu w popłochu i miałem tego miasta serdecznie dosyć, z drugiej strony teraz będę miał zajęcie i dach nad głową. Postanowiłem spróbować. Oczywiście miałem pewne wątpliwości. Czy wszystko pójdzie zgodnie z planem? Czy interes będzie się kręcił? Czy szef dotrzyma słowa? Ryzyk-fizyk, pomyślałem. Jak coś pójdzie nie tak, to wrócę z powrotem na prowincję. A gdyby tak wszystko poszło po myśli? Odzyskam możliwość swobodnego poruszania się po świecie. Będę mógł odwiedzić starych znajomych w Indiach, wybrać się na krótkie wakacje do Tajlandii, albo ruszyć na podbój Nowej Zelandii. Powiedziałem Kurdupłowi, że od jutra mogę zaczynać, ten wręcz nie posiadał się z radości.

ZEN

Przez następne dwa tygodnie szykowaliśmy się do wielkiego otwarcia. W tym czasie odwiedzało nas coraz więcej osób. Znajomi właściciela i jego wspólników, artyści i organizatorzy imprez, a także przypadkowi przechodnie, których uwagę przykuły kolorowe malowidła albo dźwięki gitary czy harmonijki dobiegające ze środka. Prace porządkowe szły pełną

parą, ostatnie elementy wyposażenia lądowały na miejscu. Załoga była skompletowana. Kucharz, barman, pół tuzina menedżerów, kilku dyrektorów artystycznych i ja w roli gospodarza. Zanim jeszcze oficjalnie wystartowaliśmy, zdążyłem sobie zaskarbić szacunek, zaufanie i sympatię całego otoczenia. Z jednej strony anegdota z ulicy czy dżungli, którymi racyłem swoich współpracowników, z drugiej rozmowy o filozofii lub literaturze odbywane z podróżnymi z całego świata. To właśnie wtedy nadany został mi pseudonim „Doktor Borsuk”, który ciągnie się za mną do dzisiaj.

Inauguracja i pierwsze kilka tygodni działalności to spektakularny sukces projektu. Dzień w dzień pełna chata. Wtorek reggae, czwartek metal, sobota psy-trance do białego rana. W Nepalu większość lokali ma obowiązek zakończyć swą działalność o północy a policja na Thamelu pilnuje tego dość skrupulatnie. Wyjątek stanowią kasyna i kilka ekskluzywnych klubów, które działają na zasadach licencji. W naszym przypadku wystarczyły znajomości Kurdupła plus drobna łapówka i raz w tygodniu funkcjonariusze omijali kawiarnię artystyczną szerokim łukiem. Nie trzeba chyba dodawać, jak wpływało to na nasze obroty. Roboty miałem od groma, ale była urozmaicona i dawała dużo satysfakcji. Zasadniczo miałem pełnić rolę kelnera i kierownika sali. Dbać o to, by goście dobrze się czuli i pilnować, by dostali swoje zamówienia na czas. Kucharza mieliśmy pierwsza klasa, wiele lat doświadczenia i dobra organizacja pracy, co w Nepalu jest raczej ewenementem. Nie dość, że świetnie gotował, to potrafił ogarnąć tuzin rzeczy na raz. Rozumieliśmy się bez słów i we dwóch potrafiliśmy obsłużyć naprawdę spore imprezy. Oczywiście, w piątek lub sobotę, gdy goście dosłownie nie mieścili się w lokalu, z pomocą przychodzili nasi menedżerowie i zaprzyjaźnieni artyści.

Wieść poszła w miasto a interes się kręcił. Atmosfera była świetna. W godzinach porannych mieliśmy stałe grono klientów, głównie zza granicy, którzy przychodzili na śniadanie. Po południu zbierali się u nas okoliczni didżeje oraz imprezowicze, aby zaplanować kolejną bibę albo powspominać ostatnią. Wieczorami oczywiście działo się najwięcej. Szef był absolutnie zachwycony: sam sobą i swoimi pomysłami, ale też moją pracą i pozytywną energią, którą zarażałem wszystkich dookoła. Nie szczędził mi pochwał, komplementów i coraz to nowych obietnic. Z perspektywy czasu mogę stwierdzić, że uspiło to moją czujność...

Minął miesiąc. Poznałem mnóstwo nowych ludzi, zawarłem wiele nowych przyjaźni, niektóre przetrwały po dziś dzień. Moim najlepszym kumplem został wtedy Zen, bez wątpienia jeden z najbardziej utalentowanych artystów tatuażu w Nepalu. Ma nie tylko nie-naganną technikę i ogromne umiejętności, ale też swój własny styl. To coś, co go wyróżnia na tle wielu innych dobrych tatuażystów, którzy jednak działają na zasadzie kopiuj-wklej. Zen wiele razy był Indiach, czasem na Goa czy w Himachal Pradesh jeździł na konwencje tatuażu, gdzie udało mu się nawet zgarnąć jakieś nagrody i wyróżnienia. Odwiedzał nas niemal codziennie. Partyjka szachów, joint, pogawędka. Ponieważ bardzo dobrze znał język angielski, z łatwością mógł mi wyjaśnić pewne niuanse gramatyczne i inne zagadki języka nepalskiego. Czas przyszedł i przeszedł, formy grzecznościowe i tak dalej. Co chwilę dostawałem od niego coś w prezencie. Używaną czapkę lub plecak, to znowu jakąś książkę. W ramach swego rodzaju rewanżu co jakiś czas podsyłałem mu klienta. Wszyscy bez wyjątku byli zadowoleni z jego pracy i jej efektów.

Bikas i Gokul to dwóch gości, których określałem mianem kierowników artystycznych. To oni odpowiadali za malowidła, wystrój i dekorację. Często miałem okazję im pomagać,

szczególnie, gdy stawialiśmy jakąś scenografię pod kątem konkretnej imprezy. Obaj byli niezwykle pogodni i wyluzowani. Nosili długie dready i luźne ciuchy. Starszy z nich, Bikasz, przez kilka lat mieszkał w Europie, konkretnie we Francji i Holandii. Zarabiał na życie wykonując tatuaże, był specjalistą od tak zwanej „bambusowej igły”. Po powrocie do Nepalu otworzył własne studio a Gokul był jednym z jego studentów. Obaj grali na rozmaitych fikuśnych instrumentach: harfa usna, tuby dęte czy ukalele. Na początku mieliśmy świetny kontakt, ale z czasem zaczęło między nami dochodzić do drobnych spięć. Zaburzyły się proporcje pomiędzy „pięknymi umysłami” a „ludźmi od czarnej roboty” w naszej ekipie. Towarzystwo przyzwyczało się, że zarówno ja, jak i kucharz, robimy na okrągło i nie narzekamy. Nikt nie spieszył się z pomocą, jak trzeba było ogarnąć chałtę, ale za to coraz więcej osób czuło się upoważnionych, aby wydawać nam polecenia. Sytuację dodatkowo komplikował fakt, że minęły już dwa miesiące odkąd rozpoczęliśmy działalność, a my z kucharzem nie otrzymaliśmy jeszcze wynagrodzenia, które obiecał nam Kurdupel. Pierwszy cierpliwość stracił szef kuchni. Zagroził odejściem i wywalczył w ten sposób zaliczkę, w przybliżeniu połowę należności za pierwszy miesiąc. Ćwierć sumy, którą pracodawca był mu winien. Był to swego rodzaju znak ostrzegawczy, ale ja postanowiłem uzbroić się w cierpliwość. Właściciel zapewniał, że za chwilę wszystko wyrównamy, tylko pierwsze zyski trzeba zainwestować. Wspomniał też coś o drobnych, aczkolwiek pilnych zobowiązaniach, jakie ma względem wspólników. Zapomniał natomiast dodać, że jest nalogowym kłamcą i hazardzistą.

BRAT DŻON

Brat Dżon był ode mnie starszy o dziesięć lat. Urodził się w Anglii, ale w wieku lat czterech wyemigrował wraz ze swoją Mamą do Stanów Zjednoczonych. Lata burzliwej młodości spędził w Kalifornii. Szczupła sylwetka, średni wzrost. Krótkie, z lekka siwe już włosy, szpiczasta bródka i wylupiaсте oczy. Facet wyglądał jak brat bliźniak Steve’a Buscemi. Gdyby natomiast ktoś chciał w Katmandu wystawiać „Mistrza i Małgorzatę”, to ten jegomość śmiało mógłby wcielić się w rolę Wolanda. Odwiedzał nas raz lub dwa w tygodniu, wypił herbatę, zdrzemnął się na tarasie i zazwyczaj, zanim zrobiło się naprawdę głośno i tłoczno, wracał na „ulicę świrów”, gdzie wynajmował mały pokój. Miał tu w mieście wielu znajomych, czuł się komfortowo. Zanim wyskoczył przez okno z szóstego piętra szpitala psychiatrycznego zdążyliśmy spędzić razem mnóstwo czasu. Włóczęg się po mieście bez celu, dyskutując o wszystkim i niczym...

– „Wiesz co Borsuk? Ja to już chyba tu zostanę na zawsze” – oznajmił mi któregoś popołudnia.

– „W zasadzie ja też się nigdzie nie wybieram w najbliższym czasie” – odparłem z uśmiechem.

– „Przez prochy i kobiety straciłem wszystko i wpakowałem się w kłopoty z prawem. Nie zrozum mnie źle Borsuk. Nie to, żebym żałował. Gdybym mógł cofnąć czas, z przyjemnością raz jeszcze popełnił bym te same błędy. Wycisnąłem z życia ile się dało. Ostatnio jednak miałem już dość. Zachód się stoczył Borsuk, tyle Ci powiem”

– „Wschód, Zachód, Północ, Południe, co za różnica Bracie? Gdybyś nie roztrwoniał wszystkiego po drodze, inaczej byś dzisiaj śpiewał” – podsumowałem jego wywód z uśmiechem na ustach.

Tymczasem sytuacja u nas w pracy stawała się coraz bardziej napięta. Kurdupel nie dotrzymał kolejnych terminów, a Kucharz uznał, że miarka się przebrała i odszedł. Jego miejsce zajął młody chłopak, który po prostu nie dawał sobie rady. Ca za tym idzie, miałem więcej roboty, a goście byli coraz mniej zadowoleni. Frustracja narastała, obowiązków przybywało, a obiecanych pieniędzy, całkiem konkretnej już sumy, jak nie było, tak nie ma.

Któregoś wieczora miała miejsce popijawa za zamkniętymi drzwiami. Kurdupel urzędował w towarzystwie swoich znamienitych gości, byli wśród nich: komendant policji, dyrektor rozgłośni radiowej i lokalny radny. Było już po północy, chłopak, który pracował na kuchni, uciekł do domu o 22. Ja robiłem za kelnera, barmana i kucharza. Złość we mnie narastała powoli, ale konsekwentnie, natomiast szef był w doprawdy szampańskim nastroju...

– „Borsuk jest mi niczym syn, chciałbym wznieść toast!”

– „Dziękuję szefie, nie ma potrzeby.”

– „Ależ jest! Rozmawiałem z moim przyjacielem z ministerstwa. Załatwimy Ci obywatelstwo!”

Stan wskazujący na spożycie oraz charakter Kurdupela kazały mi traktować te słowa z dystansem. Byłem natomiast coraz bardziej podirytowany przeciągającą się prywatką.

– „Borsuk, poprosimy jeszcze butelkę whiskey.”

– „Oczywiście.”

– „Borsuk jest niezastąpiony! On tu pracuje za trzech!”

– „Żebyś wiedział, że za trzech!!!” – wrzasnąłem z taką furią w głosie, że na całe towarzystwo momentalnie padł bładny strach. Zupełnie straciłem panowanie nad sobą i bez opamiętania ciskałem w Kurdupela mieszanką obelg i przekleństw w różnych językach. Po kilku chwilach wybiegłem na zewnątrz, zacerpnąłem świeżego powietrza.

Bikasz i Gokul wyszli ze mną porozmawiać. Powiedzieli, że szef dostał szału po tym, jak go upokorzyłem na oczach ważnych osobistości. Poprosili, abym się oddalił i wrócił następnego dnia.

– „Zobaczysz, przeprosisz go, a on zapomni o całym nieporozumieniu” – zagaił Gokul.

– „Po moim trupie! Trzy miesiące tylko puste obietnice. Na samym alkoholu zarabiamy 10 000 dolarów miesięcznie, obiecałem 10%, ta gnida wisi mi kupę kasy.”

Za moment wytoczył się z kawiarni Kurdupel ze swoją świtą. W rękę trzymał wielką chochlę do zupy.

– „Wynoś się stąd albo wezwę policję! Znalazłem Cię na ulicy, dałem dach nad głową i pracę! Ty niewdzięczny...!”

– „Oszukałeś mnie! Na ponad trzy tysiące dolarów! A teraz jeszcze straszysz mnie policją? Ty fałszywy...!”

Zrobiłem dwa kroki do przodu, kurdupel zamachnął się chochlą, niczym kijem golfowym. Zgrabny unik i żelastwo przypadkowo wylądowało na głowie Bikasza, który stał obok mnie. Śmiechy, groźby, wrzaski, przepychanki. Do zgromadzenia dołączyli zarówno ciekawscy z okolicy, jak i niektórzy moi znajomi, w tym Zen. Ostatecznie to on przekonał

mnie, że nie ma sensu się dłużej szarpać. Ruszyłem w miasto. Złość i rozczarowanie rozsa-
dzały mi czaszkę. Postanowiłem rozcieńczyć emocje w alkoholu.

Znowu straciłem grunt pod nogami. Oczywiście byłem wściekły na Kurdupła, ale rów-
nież na siebie. Mogłem załatwić to wszystko inaczej. Na chłodno. Wróciłbym na wioskę
mając jakieś oszczędności, nawet jeżeli miałyby to być ułamek tego, co obiecane. Przydałoby
się. Teraz znowu trzeba będzie zaczynać wszystko od zera.

Zen wspominał, że na dniach ma odbyć się doroczna konwencja tatuażu. Postanowiłem,
że się tam wybiorę. Byłem pewien, że spotkam wielu znajomych. Niektórzy z nich mieli
własne lokale lub inne interesy. Liczyłem na to, że może znajdę sobie jakąś nową pracę.
Na miejsce dotarłem jednak już mocno wstawiony. Spotkałem Bikasza. Ten zapytał, czy
w ramach zadośćuczynienia nie chciałbym, żeby wykonał mi za darmo jakiś drobny tatuaż.

– „Myślisz, że jak namalujesz mi teraz jakiegoś motylka, to wszystko będzie w porządku?
Chociaż z drugiej strony, może łezkę na policzku? Będzie dla twojego szefa, tego Kurdupła”

Bikasza nie chciał słyszeć o tatuażu na twarzy, ale to mnie tylko rozjuszyło.

– „Borsuk ochłóń, jesteś pijany”

– „Obiecałeś i teraz nie dotrzymasz słowa? Wszyscy jesteście tacy sami!”

W oczy rzucił mi się gość wytatuowany od stóp po czoło. Pochodził z Libanu i nazy-
wał się Omi. Zapytałem, czy on mógłby wyświadczyć mi przysługę i wygrawerować łzę.
Odparł, że co prawda nigdy jeszcze żadnego tatuażu nie wykonał, ale jeżeli takie jest moje
życzenie, będzie to dla niego zaszczyt. Zniknął gdzieś na parę chwil, po czym wrócił z chu-
steczką, na której narysował cztery krople wody.

– „Która Ci się podoba?”

– „Przecież one są takie same. Dawaj wszystkie cztery!”

Następnie wystaraliśmy się o igłę, odrobinę tuszu oraz LSD. Znaleźliśmy wolny ką-
t i mimo protestów ze strony moich znajomych rozpoczęliśmy ceremonię. Pierwsze efekty
nie napawały optymizmem. Niewyraźne kontury i koślawe linie. Substancje chemiczne
zrobiły swoje. Postanowiliśmy pójść za ciosem. Po drodze cztery łzy na moim policzku za-
mieniły się w serce, a igłę i tusz zastąpił szpikulec od szaszłyka i roztopiona w ogniu opona.
Impreza zakończyła się dla mnie poważnym zakażeniem i ogromną opuchlizną. Wygląda-
łem jakby mi ktoś skakał po głowie, a nie zrobił tatuaż.

Rano spojrzałem w lustro: „O jeden most za daleko” – pomyślałem i ruszyłem na „ulicę
świrów” spotkać się z Bratem Dżonem.

Marek Stokowski

Mały¹

*

W drugim roku samotności w dawnym domu mennonitów Leo przyjął dobrą radę. Od kogo? Od Berga. Berg gospodarował bliżej metropolii i był jednym z pierwszych w okolicy, którzy potrafili grzecznie się odezwać do nowego osiedleńca, czasem pomóc, czasem podwieźć coś cięższego. Ten facet chciał dobrze. On wiedział, że Leo nie zgromadził góry złota i miewa kłopoty z pokryciem rachunków za remont chałupy, więc pewnego zimowego dnia powiedział:

– Panie Leo, masz pan łąkę blisko mojej i ta łąka leży bezrobotna. Pan kupisz cielaka, podhodujesz go przez lato i jesienią pan zarobisz.

Najpierw Leo wcale nie chciał, trochę kręcił, ale w końcu, jakoś w kwietniu, pojechali z Bergiem do Straszewa i wrócili z młodym byczkiem. Ten Berg, dobry sąsiad, dał łańcuch i palik – żelazny i ciężki. Leo przywiózł swoje wiadro, stary młotek i – choć Berg się śmiał z takiego rozwiązania – skórzaną obrożę, którą sam wykonał dla bydłęcia. Mówię: przywiózł, bo pastwisko, zakupione razem z domem, sporym sadem i pasieką, nie leżało blisko terpu, tylko gdzieś z kilometr w stronę lasu.

Przyczepili byczka do łańcucha, napoili, pokleпали, pogadali z nim przez chwilę i pozostawili na pastwisku, nieopodal krów sąsiada. Berg Leonardowi wytłumaczył, co ma robić, proste sprawy.

I tak się zaczęło.

*

Codziennie wieczorem, a właściwie późnym popołudniem, Leonard przyjeżdżał na pastwisko nad kanałem. Poił bydłę i przepalowywał je na nowe miejsce, nie zdeptane jeszcze, z bujną trawą. Zostawał na chwilę, drapał zwierzę za rogami, po grzbiecie i mordzie, coś gadał do niego, a potem je żegnał. Byczek patrzył za odjeżdżającym. Właściwie nie patrzył, bo był niewidomy. Czuł i słyszał Leonarda oddalającego się po łące, a potem po szosie.

Leo nie od razu zauważył, że zwierzę nie widzi. Zorientował się dość późno, gdzieś dopiero po tygodniu. Byk miał martwe, mleczone oczy. Poza tym poruszał się dziwnie, no właśnie – jak ślepy. Cholera, tak bywa. A jak się wydarzy, to człowiek tym bardziej zaczyna

¹ Fragment powieści Marka Stokowskiego – „Święty Leonard z pół”. Książka ukazała się w lutym 2025 roku nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego.

się troszczyć o stworzenie z taką biedą. I zaczyna go zatykać, kiedy po przyjeździe na pastwisko jest witany krowim rykiem, ocieraniem łba o ręce, tą całą dziecięcą radością zwierzęcia.

Leo nie dał mu imienia. Nie potrafił znaleźć właściwego. Więc wołał do niego nie nazbyt wymyślnie, zwykle: „Byku!” albo „Mały!”. W lipcu przestał wołać „Mały”, bo byk bardzo podrośł.

*

Raz Leonard się przeraził. Przyjechał, jak co dzień, na pastwisko nad kanałem i nie zastał tam zwierzaka. Zaczął biegać, nawoływać. Coś go tknęło. Spojrzał w stronę krów sąsiada. Wspominałem, że te krowy wypasane były niedaleko. Szedł ku nim przez łąkę i wciąż krzyczał: „Byku! Byyyku!”. Wśród zwierząt za miedzą jedno głośno zaryczało, oderwało się od stada i pognało w stronę Leo. Biegło odrobinę nieporadnie, zapewne ze względu na swoją ślepotę, a również dlatego, że przeszkadzał mu w galopie długi łańcuch zakończony wielkim gwoździem wyciągniętym z mokrej ziemi. Dopadli do siebie – to bydlę i człowiek – i witali się jak przyjaciele, starzy kumple, którzy odnaleźli się latach.

Leo lubił poić byka. Z czasem zaczął robić to dwa razy dziennie, również rano. Stawiał przed zwierzęciem pełne wiadro i mówił z uśmiechem: „Masz tu, byku, swoją wodę”, i podziwiał, jak – wiedziony tylko węchem – byczek odnajduje obręcz wiadra, wsadza łeb do środka, zawsze trafia, potem pije bez pośpiechu, z taką krowią elegancją. Leo nie mógł się napatrzyć. Mógł się na to gapić godzinami, z tym że byczek nie potrafił pić tak długo jak panowie, którzy wiodą żywot filozofów przed sklepami w całej okolicy.

I tak właśnie sprawy się toczyły przez kwiecień i maj, potem czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień.

*

A pod koniec września Berg powiedział:

– Wiem, że pan byś nie chciał ze mną jechać na skup do Kwidzyna. Ja to, panie, dobrze widzę. Ale tutaj nie ma to czy tamto, trzeba sprzedać, właśnie tera. Ja panu coś powiem. Pan mi tego byczka przyprowadzisz, tylko przyprowadzisz na podwórko, a ja potem go powiozę ze swoimi i wieczorem czy tam rano pan wpadniesz tu do mnie i weźmiesz gotówkę za niego.

– Dziękuję – powiedział Leonard, wsiadł na rower i odjechał.

*

Byk wyczuł z daleka pojawienie się człowieka, który co dzień poił go i czochrał. Chwilę ryczał na dzień dobry, tańczył w miejscu, a później pił wodę i jak zwykle trącał pyskiem dobrze znaną ludzką rękę, domagając się przyjaźni.

Pewnie zdziwił się, gdy potem weszli na śmierzdzący, twardy asfalt. Szedł ufnie, posłusznie. Leo nie odwracał się do niego. Nie chciał spojrzeć w ślepe oczy. Przed bramą podwórka dotknął czołem jego karku.

A potem go wydał.

*

Berg próbował skłonić Leonarda do sąsiedzkiej pogawędki, ale tamten się odwrócił i wybiegł na drogę. Trochę dziwne, trochę śmieszne, bo to przecież nie był mięczak, lecz rutynowany, stary strażak, który widział różne rzeczy i z całą pewnością nie hodował sentymentów.

*

Leonard nie poszedł ani nie pojechał po zapłatę. Nazajutrz wieczorem Berg, człowiek poczciwy, fatygował się do niego i zostawił mu pieniądze.

Miesiąc później, w październiku, Leo sprzedał swoją łąkę – to pastwisko nad kanałem. I już więcej tam nie wracał.

*

Nikt nie wie dokładnie, czy istnieje niebo zwierząt. Nikt też nie wie, czy przypadkiem niebo przeznaczone dla człowieka nie jest miejscem albo stanem dla nas wszystkich – i tych małych, i tych dużych, tych z rękami i łapami, kopytami i skrzydłami. Nie wiadomo także, czy zwierzęta potrafią wybaczać, a przynajmniej zapominać. Wiadomo jedynie to, co Leo kiedyś gdzieś przeczytał: „Krowy na zabicie są”.

I tyle.

*

Przepraszał i błagał. Codziennie. Bez końca.



Sylvia Kubik



Osadnicy

NA ŻUŁAWACH, CZ. 1¹

Koniec wojny był początkiem wielkiej zmiany w życiu mieszkańców Wołynia. Musieli opuścić ziemię, które kochali, i ruszyć na zachód, by tam budować swoją przyszłość. Nie chcą się rozstawać ze swoimi domami i ze wszystkim, co od pokoleń wpisywało się w ich tożsamość, ale nie mają wyjścia – muszą ruszyć w długą podróż w nieznanne. Pociesza ich myśl, że u kresu drogi czeka na nich poniemiecki dobrobyt, o którym wcześniej nawet nie mogli śnić.

Okazuje się jednak, że obietnice, którymi ich karmiono, nijak się mają do prawdy. Trafiają w miejsce, które kojarzy im się z Dzikim Zachodem – zrujnowaną krainą bezprawia, gdzie grasują hordy szabrowników, bezkarna Armia Czerwona wywozi wszystko, co ma jakąkolwiek wartość, a do tego dochodzą spory z innymi osadnikami. Sam teren też wygląda zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażali. Jak okiem sięgnąć ciągną się bezkresne płaskie polacie, które przed uprawą trzeba najpierw osuszyć. Nie jest to wymarzona sceneria, by rozpocząć nowe życie. Co zrobią? Zostaną i będą walczyli z przeciwnościami losu czy pojedą dalej, szukać gdzieś indziej swojego miejsca na ziemi i upragnionego spokoju?

PROLOG

Krzyki, płacz, szuranie mebli.

Pospieszne kroki wystukujące rytm na drewnianych schodach.

Mróz rysujący wzory na szybach.

Wiatr zawodzący ponuro.

Turkot kół sunących po zamrzniętym bruku.

Rżenie koni i świst bata.

W spokojnym i cichym Marienau² zerwał się wicher zmian. Ludzie w popłochu opuszczali wieś, zapłakаныmi oczami zerkając na ukochane domy. Budynki będące świadkami ich smutków i radości.

Nagle rumor ucichł. Wyjechali, zostawiając ogień w piecach i zwierzyne w oborach. Zdjęcia na ścianach i ukochane bibeloty w szufladach. Wieś zamarła. Zdziwione domy spoglądały na siebie ukradkiem, żaden, nawet najstarszy, nie pamiętał takiej sytuacji. Może jedynie rosnące przy wjeździe potężne topole coś by wiedziały, ale i one zamilkły, przerażone tym, co się działo.

¹ Fragment książki Sylwii Kubik – *Osadnicy na Żuławach*, t. 1 *Dziki Zachód*.

² niem. Marynowy.

Ciszę przerywał ryk zwierząt wołających karmy i udoju. Pisk kur próbujących wydrapać kępki trawy spod zamazanej ziemi. Nie było nikogo, kto by im ziarna sypanął.

Dźwięki się nasilały, stając się coraz bardziej przeraźliwe.

Część zwierząt wybiegła z budynków, rozpierchając się po polach. Reszta zdychała powoli, w ogromnych cierpieniach.

Ogień dogasał w piecach. Wraz z nimi konała tradycja i historia tego miejsca...

Później nie było słychać nic poza szumem wiatru, a smród padliny wlatywał do domów, wciskając się przez każdą szczelinę.

Wtem do wsi wjechali mężczyźni w mundurach. Radośni, żądni jada i napitku. Wdarli się do domów i rozparli na wyściełanych pluszem kanapach. Pielęgnowane i czyszczone z pieczołowitością tkaniny zbrukali brudnymi buciorami, które kładli na poduszki i inne meble. Rozcinali je bagnetami, rąbali, łamali.

Kosztowności szukali wszędzie. Brali łupy, a resztę dewastowali, palili. I tę szafę gdańską, i krzesła rzeźbione, śmiejąc się rubasznie. Gdy dokonali dzieła zniszczenia, pojechali dalej. Domy odetchnęły z ulgą. Takich zbrodni jeszcze nigdy nie zaznały.

A potem cicho było... Do czasu, gdy do wsi znowu zawitali mężczyźni. Tym razem nie mieli mundurów. I rozmawiali w innym języku. Oni też grabili, co się dało. Wszystko, co znaleźli, ładowali na wozy lub na ciężarówki.

Ich wizyty, zdawać się mogło, nie miały końca. Wreszcie jednak i one się skończyły. Domy znowu odetchnęły z ulgą.

Zima minęła, nastała wiosna. Wypatrywały swoich właścicieli, ale nie było po nich śladu. Mijał czas, a we wsi cisza.

Nienaturalna taka.

Wypełniona wonią rozkładu, wilgoci i zakrzepłej posoki.

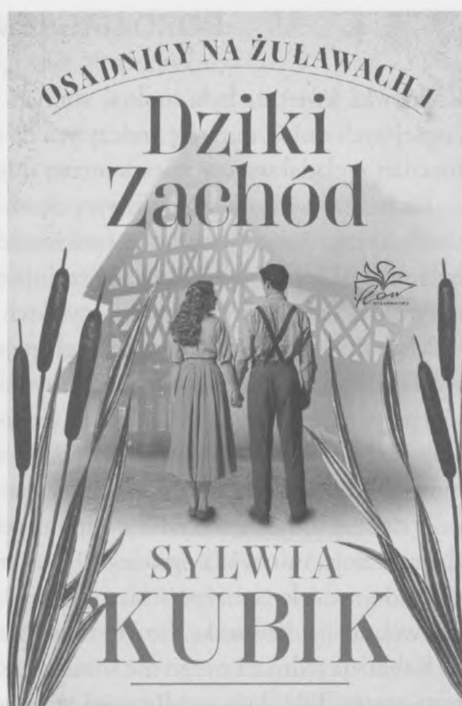
Domy wdychały, spoglądając tęsknie na drogę.

Wreszcie ktoś się pojawił. Bez wozu, bez broni. Z tobołkami pod pachą.

Domy spojrzały nieufnie na obcych przybyszów.

I westchnęły smutno, zastanawiając się, co je teraz czeka.

Co z nimi zrobią?



ROZDZIAŁ 1. WOŁYŃSKIE ECHA

Końcówka kwietnia była mokra, zimna i wietrzna. Wszyscy z utęsknieniem wypatrywali cieplejszych dni. Zapasy się kończyły, a do nowych zbiorów było bardzo daleko. Głód coraz mocniej zaglądał w oczy mieszkańcom domku stojącego na skraju wsi.

Nadciągał wieczór, więc wszyscy zeszli się do chałupy. A sporo ich było: Witold Kaczaniuk, jego żona Wanda, ich sześcioro dzieci i Galina Kabaszna, teściowa Witka, która była przy nich już od wielu lat. Wcześniej owdowiała. Miała tylko jedną córkę i choć wielu uderzało do niej w konkury, to wszystkich odsyłała.

Męża miała tak okrutnego, że drugiego już nie chciała. Zresztą we wsi mówiono, że to ona wyprawiła go na tamten świat. Znała się dobrze na ziołach. Okoliczni mieszkańcy ciągnęli do niej po pomoc i radę, a gdy jej Semen zachorował, to już po trzech dniach szykowali pogrzeb. Galina słyszała te plotki. Widziała też, że coraz mniej osób do niej przychodzi, ale nic nie mówiła. Milczała i dalej robiła swoje w małej chatynce stojącej pośrodku lasu.

Z czasem ludzie o wszystkim zapomnieli. Pory roku się zmieniały, Wanda rosła, Galina zbierała zioła, uprawiała ogródek i żyła sobie spokojnie, odrzucając wszelkie załoty. Gdy jej córka dojrzała do zamążpójścia, to długo jej na to nie pozwalała. Zaczęto szemrać, że chowa dziewczynę na dziwaczkę, bo kto to widział w takim wieku być panną.

Kabaszna jednak i z tego nic sobie nie robiła. Czekala, aż trafi się chłop dobry, spokojny i pracowity. Taki, który zadba o jej jedynaczkę. I gdy Wanda zaczęła już tracić nadzieję, że matka zaakceptuje jakiegoś kawalera, pojawił się Witold. Ona miała już prawie dwadzieścia lat, on ponad czterdzieści. Oprócz małego gospodarstwa miał też dwóch synów. Jego pierwsza żona zmarła młodo. Ledwo chłopcy odrosli od ziemi, a już zostali bez matki. Początkowo Witold próbował sam sobie radzić, ale po jakimś czasie zaczął się rozglądać za żoną. I właśnie jego Galina zeswatała ze swoją córką.

Wandzie nie bardzo się podobało, że matka za takiego starego chce ją wydać, lecz ta tłumaczyła jej, że lepszy taki, który się wyszumiał i już zna życie, niż chłystek uważający się za wielkiego gieroja. Dziewczynę nie bardzo to przekonywało, ale Witold, choć cichy i spolegliwy, to tak umiał spojrzeć swoimi czarnymi jak węgiel oczami, że policzki Wandy jeszcze długo po spotkaniu zdobił rumieniec.

Stało się więc tak, jak matka radziła. Wzięli ślub, a gdy zaczęły się pojawiać dzieci, poprosili Galinę, żeby z nimi zamieszkała. Jej chałupa w lesie była stara, więc choć miała do niej sentyment, to przeniosła się do córki, żeby pomóc przy maluchach i w polu. Starszych chłopców, którzy zostali po Klementynie, traktowała jak wnuków. Dobrze im się razem żyło, lecz gdy wybuchła wojna, obaj poszli w las, do partyzantki. Na początku jeszcze przychodzili nocami po jedzenie, ale wiosną tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku słuch po nich zaginął.

A później do Stanisławowa wpadły bojówki UPA³, które siekierami i kosami wyrżnęły większość mieszkańców wsi. Ci barbarzyńcy cięli bez litości, rąbiąc ludzi niczym brzoźowe pnie. Bez różnicy, czy pod ostrze wpadł mężczyzna, kobieta czy dziecko. Wszystkich traktowali z równym okrucieństwem. Makabryczne obrazy prześladowały ich do dzisiaj,

³ Ukraińska Powstańcza Armia.

sprawiając, że żyli w nieustannym lęku. Tym bardziej, że co jakiś czas docierały do nich wieści o kolejnej rzezi. Nikt na Wołyniu nie mógł czuć się bezpieczny.

Skrzypnięcie starych, wypaczonych drzwi wywołało dreszcz strachu. W całej okolicy rozstawione były grupy pilnujące bezpieczeństwa mieszkańców, lecz wszyscy doskonale wiedzieli, że przed ukraińskimi bandytami nie ma skutecznego schronienia. Jak zjawią się we wsi, to wszystkich wyrzną.

Patrzyli więc uważnie, spięci i gotowi do obrony, kto wchodzi do chałupy. Odetchnęli z ulgą, gdy rozpoznali gospodarza. Petro Pacamaj, brat Galiny, udzielił im schronienia, gdy musieli uciec ze Stanisławowa, porzucając cały swój dobytek. To jednak było nieważne. Dziękowali Bogu, że Władimir, przyjaciel Witolda, w porę ich ostrzegł i jako jedni z nielicznych uszli z życiem.

Petro spozjrzał na bezładną grupkę skupioną wokół pieca. Ciężko mu było na duszy, bo wieści, które dla nich miał, oznaczały dla niego smutek i samotność. Gdy usłyszał te informacje, długo błąkał się po lesie, próbując uporządkować sobie wszystko w głowie. Żal mu było, bo przywykł do nich, polubił ich i nawet dziecięcy gwar przestał mu przeszkadzać. Teraz miał wrócić do życia, które wiódł jeszcze niedawno – cichego, pustego, wypełnionego pracą i własnym tylko towarzystwem. Uznał jednak, że nie może być samolubny i w pierwszej kolejności powinien zatroszczyć się o ich bezpieczeństwo. On zaś... cóż, no właśnie, on będzie musiał zostać tu sam.

– Wieści przyniesłem – wyrzucił z siebie przytłumionym głosem, starając się nie patrzeć zgromadzonym w oczy, bo jego zbyt mocno się zaskłiły i obawiał się, że jakaś niepokorna łąza mogłaby mu uciec, gdy będzie spoglądał na te bliskie sobie oblicza.

– Chyba nic dobrego nie masz nam do gadania. – Galina wpatrywała się w poorly zmarszczkami twarz brata. – Cóż to nas znowu czeka za lichy?

– Wieta, że wojna wygrana.

– Wygrana?! – uniósł się Witold. – Niby wygrana, a dla nas całkiem przegrana. Wszędzie Ruskie i Ukraińce. Bandyctwo na każdym kroku się szerzy. Panoszą się, jakby u siebie były, ścierwa jedne!

– Nic na to poradzić nie możemy. Podług ichnich ustaleń to tu tera nie Polska jest, a Ukraina, więc jado tu całe tabuny i osiadajo we wsiach, gdzie wysiepali ludność. Jeszcze trupy w lasach widać, a raczej ich kości, bo z resztą zwierzyna się rozprawiła – odparł z goryczą Petro, z trudem siadając na niskim drewnianym stołku.

– Mam nadzieję – wycodziła przez zęby Galina – że woda, co to ją w tyłu studniach zatruła, wrzucając do niej ludzkie głowy i zwierzęce truchła, sprawi, że zdechną w boleściach, jobcoki jedne!

– Psia jucha! – Witold splunął na podłogę. – Rozpełzło się to robactwo wszędzie. W naszej chałupie to zaraz się osiedlili. Z naszych garnków i talerzy żarli nasze zapasy, jakby ich własne były. Oby im kiszki poskręcało!

– Odporne tałatajstwo, więc nic im nie będzie, ale my im tu solą w oku. Każo podpisywać, że my teraz Ukraińce czy też inne Ruskie.

– Nic podpisywać nie będę! Bandyci! Całą rodzinę mojego ojca i matki wymordowali! Jak wieprze jakie wyrznęli! – wykrzykiwał Witold. – Ino ja z dziatwy się uratowałem. Całą siódmkę rodzeństwa mi w pień wycięli. Ich, ich żony, mężów i dzieci. I ja podpisywać mam, żem jednym z nich? W życiu!

– Ja tam już stary jestem, a starych drzew się nie przesadza, więc ostanę tu, na ojcowiznie, póki tchu w piersi starczy, ale wy młode jesteście, więc wam trza jechać na zachód, inszego życia szukać, bo mnie to się widzi, że nawet jak kto podpisze, to długo nie podyszy – westchnął Petro.

– Jaki znowu zachód? – zainteresowała się Galina, zerkając uważnie na brata. – Gdzie to nas pognać w świat chcą? Do szwabów?

– Nie, tam tera Polska. Za te ziemie, co nam tu zabierają, to tam nowe dają. Sołtys mówi, że trza się jak najrychlej pakować i jechać. Domy tam podobno jak pałace, a ziemi tyle, że każdy panem może być.

– Po co nam pałace? My prości ludzie, a nie pany. Nawet byśmy nie wiedzieli, jak w takim pałacu żyć. Strach pewno się ruszyć i jeść normalnie, bo te ichnie porcelany to cienkie i delikatne, że tylko stukniesz i się rozlatuje – stwierdził Witold z niesmakiem. – Matuchna w kuchni u pana we dworze czasem pomagała, jak gości do nich najechało, to mówiła, że wszystko takie galante, że strach chodzić po tych ich izbach.

– Ano do takich to pantofelki trza mieć, a nie drewniaki – przytaknęła Galina. – I mnie się za pałacem nie kni, bo to wielkie i zimne pewnie. Ileż to by trza drewna mieć, żeby taki ogrzać?

– Mniejsze też pewnie majo. Zreszto jak tam ziemi tyle, że każdy może brać, ile chce, to i pałac se ogrzejecie.

– Mnie tu dobrze – orzekła Galina. – Nie u siebie, bo pod twoim dachem, ale młodzi niech jadą, słusznie gadasz.

Petro spojrzął na bliskich, których gościł od wielu miesięcy, i znowu żał ścisnął mu serce. Przez ten czas mocno się z nimi zżył. Polubił dzieci, a i miło mu było, gdy kobiety się zakrzętnęły i dom ogarnęły. Miał uprane, posprzątane i ugotowane. Liche te obiady były, szczególnie teraz, na przednówku, zaledwie cienkie zupki, ale tak doprawione, że nawet wodzianka smakowała niczym gęsty gulasz. Trudno było się rozstawać, lecz sołtys powiedział mu jeszcze o wielu innych sprawach. Nie chciał jednak ich za mocno straszyć, bo i tak dość już przeszli. Może jeszcze Witoldowi by się zwierzył, ale gdy tak wszyscy razem siedzieli w kuchni, to musiał ważyć słowa.

– Toż to tak moja, jak i twoja ojcowizna, Galino. U siebie jesteś i jak chcesz, to zostań. Witold jednak musi myśleć o przyszłości. Dziecisków sporo jest, a wieta, że ledwo co zi-piem. Ziemi mało i licha w dodatku. Jeden ogon w obórce, trochę tych kur i kaczek na długo nam nie starczy. A nawet jakby i chciał tu człek biedę klepać, to za miedzą coraz więcej tych psiajuchów. Ino patrzeć, jak wszystko będo chcieli dla siebie zagarnąć i nas pognają w pieruny. A co im jeszcze do głowy przyjdzie, to tylko jeden Pan Bóg raczy wiedzieć.

– Oni to by chcieli nas wszystkich wyrznąć – powiedział ze złością Witold.

– I pewnie tak zrobią, Witku – wtrąciła Wanda. – Trzeba więc nam jechać i szukać spokojnego życia gdzie indziej. Tu nie mamy co siedzieć. Nasza chałupa zajęta, pole zajęte, wszystko zabrane, a wuj, choć wszystkim się z nami dzieli, to sam niewiele ma. Poza tym

śluszenie i o tym mówi, że dzieciakom trzeba jakąś przyszłość zapewnić. Tutaj nas nic dobrego nie czeka.

Po słowach Wandy zapadła cisza. Nie na długo, bo dzieci, które do tej pory słuchały w milczeniu, widząc, że naprawdę czeka je wyjazd, zaczęły zarzucać rodziców pytaniami.

– Jak tam jest, na tym zachodzie?

Pierwszy wyrwał się Mieczysław, najstarszy z chłopców, dwunastoletni, ale jak na swój wiek wysoki i barczysty. Już sobie roił w głowie, że skoro tam jest tyle ziemi, to wreszcie będą mieli pola pod dostatkiem i przestaną wodzić oczami po pustych garnkach.

Jego myśl szybko podchwycił dwa lata młodszy Icek.

– Jak ziemi dużo, to oni pewnie nigdy głodni nie chodzą.

– A jak tam w ogóle jest? – zainteresowała się Feliksa, szesnastoletnia już panna. – Kto tam teraz mieszka?

Petro podrapał się po mocno przerzedzonych włosach i spojrzał w ciemne oczy dziewczyny. Była to najpiękniejsza krasawica w rodzinie. Urodziwa, o długich ciemnych włosach, tak gęstych, że gdy zaplotła warkocz, to ledwo mogła go objąć dłonią. Cerę miała jasną, mimo pracy w polu, jakby słońce ją omijało. Czasem tylko lekki rumieniec przemknął przez jej policzki, gdy się zawstydzila. I usta jak maliny, choć wąskie, nie takie ładne jak Wandy, która miała je wydatne. Ale do Feliksi akurat pasowały. Lubił ją, bo choć była śliczna jak z obrazka, to potrafiła zaważać o swoje, ale i była bardzo pracowita. Z wyglądu może i przypominała szlachciankę, ale z charakteru była wytrwałą chłopką.

– Och, dziewczuszko, grunt, że tam nie ma tych psiajuchów. A kto mieszka? Sołtys mówi, że nikt, bo szwabów wygnali i wszystko puste stoi. Całe te ichnie wielkie gospodarki, co to mają ludziom dać za te, które tu zostawią. Będzie można se wybierać i przebierać, a wiadoma rzecz, że kto pierwszy, ten co lepsze weźmie. Więc nie ma co się guzdrać. Za trzy dzionki towarowe składy mają tam puścić. Po jednym wagonie na dwie rodziny, więc żem się namówił z Dańczukiem, co to też u sołtysa był, że razem tam pojedzieta. Gerszona znata, jego kobitę i dzieciśka też, więc raźniej wam tam będzie, jak ze swoimi wyjedzieta.

– Widzę, że wuj to już wszystko za nas ugadał – sarknęła lekko zirytowany Witold.

– A wiesz to, jak szybko się u sołtysa na te wagony zapisywali? Całe chmary żem mijał, jak nazad do domu szłem. Jutro to już tam pewnie nie będzie nawet co pytać o miejsce, a kiedy następny transport, to nikt nie wie. Zapisalem więc, a co uradzita i zrobita, to już wasza rzecz.

– Alona też jedzie? – ucieszyła się Wanda, która znała się z nią od młodych lat i nawet ją lubiła.

– A juści, że całą ferajną jadą. Gerszon to zawsze wyrywny. Jak gdzie zwierzy interes, to pierwszy jest, więc się nie dziwta, że zapisany – wyjaśnił Petro. – Pewno już się szykuje, bo ino tonę ze sobą można wziąć, a oni to tam w obórce wincyj niż my mają, więc tera będzie chciał prehandlować to, co zostanie.

– I nam by się zdało pomyśleć, co wziąć – powiedział w zadumie Witold, jakby już podjął decyzję. – Ino nie ma co ani za co kupić.

– Zatem będzie jechać?

– Ano, skoro Wanda chce i nasi stąd jadą, to trzeba i nam spróbować tego zachodu.

– Chcę, ale... – Spojrzała na Galinę. – ...bez matuchny w obcy świat się nie ruszę. Nocy spokojnie nie prześpię, zastanawiając się, co tu się z tobą dzieje. Poza tym dzieciaki... no jak to tak bez babki, bez dziadka, bez nikogo? Sami na obcej ziemi?

Do młodszych dotarło, co matka mówi, więc Benedykt i Apolinary jak na komendę doskoczyli do Galiny i zaczęli ją prosić, żeby z nimi jechała.

– Babuszka, a kto mi na noc zaśpiewa? – pytał ze łzami w oczach najmłodszy, Apolinary, wdrapując się staruszce na kolana. – Ja bez babuszki nie chcę! Tu razem z tobą zostanę!

– Ja też! – poparł go Benedykt, ulubieniec Galiny. – Razem tu z babuszką i wujem zostaniemy!

Kobietę rozczuliły te słowa. Kochała wołyńską ziemię, ale jeszcze bardziej kochała córkę i wnuki. Początkowo przeszło jej przez myśl, żeby zostać, ale wtedy nie sądziła, że faktycznie zdecydują się na wyjazd. A jeśli już, będzie to kiedyś, w odległej przyszłości. Widmo rychłej rozłąki sprawiło, że zadrżała i chcąc to ukryć, przygarnęła do siebie obu chłopców.

– Skoro tak, to i mnie trza z wami jechać. Stara już jestem, ale na ziołach się znam, strawę uwarzę, a kto wie, może jak jakie małe znowu się pojawi, to do opieki się jeszcze nadam.

– Zatem postanowione – powiedział z ulgą Witold, który lubił i cenił teściową. – Pójdę, rozpytam dokładnie, kto jeszcze z naszych jedzie i czy coś więcej wiedzą.

– Tylko nie zamarudź, bo trza wam tu wszystko do drogi uszykować – odparł Petro. – Wile ni mam, ale co mam, to się podzielę. A może i uda mi się nieco na odrodek u sołtysa wziąć, bo on już tak stary, że drogi by nie przetrzymał, ale jego wszystkie syny jadą, to mu się pomoc na wiosnę w polu zda. Jak cosik utarguję, to wam też dam.

– Ależ wujo, nie trzeba, skoro tam i ziemia, i pałace, to damy se radę. Byle tylko podróz przetrwać.

– Droga to długa i daleka, a dzieciska jeść potrzebują. Ja stary, to wile mi nie trza, a wam się przyda, więc ni ma co gadać. No! – Klepnął dłonią w udo tak mocno, że aż drobinki zebrane na spodniach wzbily się w powietrze i zaczęły wirować w promieniach słońca wdzierających się przez matową szybkę. – Dość gadania, bierzta się za pakowanie!

Natalia Piaskowska



CHWYTAĆ MOTYLE¹

MALBORK, MAJ 1931

– Mamusiu, jak długo jeszcze będę musiała chodzić na te nauki szycia? – Zosia niestrudzenie zadawała to pytanie średnio co dwa tygodnie, łudząc się, że mama w końcu ulegnie jej prośbom i zwolni ją z tego nudnego obowiązku. – To mi się zupełnie do niczego nie przyda, gdy już będę lekarzem jak tatuś – argumentowała.

Szły właśnie na targ rybny, który odbywał się na Rynku Starego Miasta w każdą sobotę rano. Kuchnię i sprawunkami zajmowała się pani Wiesława, która zresztą towarzyszyła im także teraz. Mimo, że pracowała ona przede wszystkim jako gosposia u księdza Franza Pingla, to zaferowała pomoc przy prowadzeniu domu doktorowej, po tym jak ta rozplynęła się w pochwałach nad przywitalnym obiadem na plebanii, zaraz po przyjeździe Popławskich do Malborka. Teraz pani Maria nie wyobrażała sobie funkcjonowania bez jej pomocy, choć czasami lubiła sama dopilnować zakupów.

– Bardzo lubię panią Gertrudę, ale już jest tak pięknie na dworze, że naprawdę szkoda marnować czas na siedzenie w domu przy maszynie – tłumaczyła Zosia. Starła się przy tym patrzeć na mamę wzrokiem pełnym rozpacz.

Jedynym pocieszeniem dla Zosi było to, że lekcje miała razem z Bertą i Agnes, córkami krawcowej. Dziewczynki zaprzyjaźniły się i potrafiły przegadać całe półtorej godziny spędzone przy szyciu. Bez przerwy szeptały, a ich głośny śmiech rozlegał się w całym domu. Rozmawiały ze sobą po niemiecku, chociaż mieszał się im dialekt bawarski, skąd pochodzili Hinzowie, z odmianą gwary oberlandzkiej, którą najczęściej było słyszeć na ulicach Malborka. Zosia wtrącała dodatkowo słowa polskie i powstawała mieszanka, którą tylko dziewczynki rozumiały bez najmniejszego problemu. Gdyby Frau Renate, nauczycielka Zosi, słyszała te rozmowy, z pewnością dostałaby migreny i natychmiast zaprosiłaby rodziców na rozmowę.

– Obiecuję, że porozmawiam o tym z tatą – odrzeka Maria. – Ale nie zapominaj, że aby zostać lekarzem, trzeba dużo cierpliwości, a twoja nauczycielka, chociaż przyznaje, że jesteś zdolna, to jednak skarży się, że trudno jest ci się skupić i wysiedzieć spokojnie do końca lekcji.

– Mamusiu, bo ja się na nich strasznie nudzę. Przecież wiesz, że historia i filozofia to nie dla mnie.

Maria westchnęła ciężko i w końcu dodała:

¹ Fragment książki Natalii Piaskowskiej – *Chwytać motyle*, Wydawnictwo Zen, 2023.

– W czerwcu ma odwiedzić nasze miasto prezydent Paul von Hindenburg i w związku z tym pani Gertrude będzie miała mnóstwo pracy a wy z pewnością będziecie dla niej nienocnym wsparciem. Nieładnie byłoby ją zostawić w takim gorącym okresie. Myślę, że potem możemy rozważyć odłożenie lekcji, ale tylko na czas wakacji.

– Och, mamusiu, w końcu jakaś nadzieja! – wykrzyknęła Zosia z radością. Rzuciła się mamie na szyję i gorąco ucałowała.

Za Bramą Mariacką, przy straganach ustawionych wzdłuż kamienic, tłoczyli się kupujący. W koszach piętrzyły się świeże okonie, leszcze, wędzone sielawy, a nawet szczupaki i jesiotry złowione w nocy w kaszubskich i warmijskich jeziorach. Rybacy z miejscowości nadmorskich, choć było ich mniej, również przywozili swój towar. Dorsze i śledzie były tańsze i znajdowały nabywców wśród mniej zamożnych mieszkańców Malborka. Targ rybny odbywał się raz w tygodniu, ale mieszkańcy okolicznych wiosek przyjeżdżali codziennie, by sprzedawać swoje produkty. Warzywa, owoce, jajka, drób i najrozmaitsze sery, takie jak glumse czy handkåse, kusily świeżością i aromatem. Drewniane zabawki czy bogato rzeźbione kołatki, zwane po niemiecku Kratzenstock, a nawet całe żuławskie kołowrotki przykuwały wzrok dzieciaków dopraszających się jakiegoś prezentu. Było gwarno i wesoło. Targ był miejscem, gdzie można było spotkać znajomych, przystanąć na krótką pogawędkę i poplotkować.

Na Starym Mieście życie tętniło właściwie przez cały rok. Podcieniowe kamienice po obu stronach szerokiej, wybrukowanej ulicy tworzyły piękny szpaler. Na parterze mieściły się głównie sklepy, cukiernie, restauracje i winiarnie. Drzewa rosnące wzdłuż ulicy rzucały cień w upalne dni i dawały schronienie ptakom. Tu przychodzili mieszkańcy Malborka na niedzielny obiad, by zjeść zupę śliwkową – plumenkielke, przepyszne mięsno-szpinakowe pierożki – maultaschen czy plinsen ze śmietaną. Popularna była też gęszina w jabłkach i holiszkes – żydowskie gołąbki. W dni powszednie można tu było nie tylko zrobić zakupy, ale też wypić kawę ze śmietanką i zjeść apfelstrudel, kawałek sernika czy też pszenne bigla. Ta wielokulturowość kulinarna nikogo nie dziwiła – płynnie przenikały się tutaj wpływy niemieckie, polskie, żydowskie, niderlandzkiej czy kaszubskie.

Maria, podobnie jak jej mąż, pochodziła z Wielkopolski i starała się prowadzić kuchnię polską, ale lubiła też próbować innych potraw. Po kilku latach spędzonych w Malborku wiele z nich siłą rzeczy weszło do domowego jadłospisu Popławskich.

– Mamusiu, chodźmy, proszę, do domu handlowego – błagała mamę Zosia, ciągnąc ją jednocześnie za rękę. Miała nadzieję, że spotka tam Erykę i będą mogły się pobawić, a tym samym upiecze jej się czytanie lektury.

Frau Renate, nauczycielka literatury, historii i filozofii, miała prawie sześćdziesiąt lat i zaczesane gładko włosy, niezmiennie spięte w schludny koczek oraz druciane okulary. Chociaż bardzo zasadnicza i wydawałoby się surowa, to jednak była bardzo oddana swojej pracy. W głębi duszy szczerze pragnęła jak najlepiej wykształcić swoje podopieczne. Była przeświadczona, że kobiety powinny być dobrze wyedukowane, bo to zapewni im niezależność i możliwość rozwoju. Z takim nastawieniem idealnie pasowała do szkoły dla dziewcząt w Malborku. Sama była wychowana w zimnym domu, w którym ojciec, fanatyczny wielbiciel Fryderyka II, zwolennik dyscypliny, musztry i ciężkiej pracy nad sobą, zdominował zarówno żonę, jak i córkę. Na szczęście, za przykładem swojego idola, który sam siebie

nazywał „filozofem na tronie” i któremu bliska była myśl oświeceniowa, zapewnił swojej jedynaczce wykształcenie. To jednak nie zrekompensoowało braku rodzicielskiej miłości. To prawdopodobnie dlatego Frau Renate nigdy nie wyszła za mąż, ale za to poświęciła się pracy z wielkim poczuciem obowiązku, jaką jej wpojono. Nie zachodziła jednak pod pomnik Fryderyka II stojący na przedzamczu, jeśli nie było to absolutnie konieczne.

– Zobacz, mamusiu, tam, przy stoisku z pasanterią, jest Eryka ze swoją mamą! Czy mogę do niej pobiec?

Zosia dostrzegła przyjaciółkę, jak tylko weszły do domu handlowego Conitzer&Söhne, którego obecnie jedynymi właścicielami byli rodzice Eryki, państwo Flataurowie. Wiesława wróciła z zakupami do domu, a pani Maria uległa namowom córki i przy okazji postanowiła kupić mężowi nowe spinki do koszuli i jedwabny szalik z myślą o uroczystym obiedzie w pałacu w Waplewie, na który zostali zaproszeni. Sierakowscy, właściciele majątku, przyjechali właśnie na kilka dni, aby świętować jedenastą rocznicę ślubu.

Sklep Flataurow był idealnym miejscem na takie zakupy. Należał do najbardziej okazałych budynków przy Wysokich Podcieniach na Starym Mieście. Ogromne okna, elegancka fasada, elektryczne oświetlenie, centralne ogrzewanie, no i luksusowe wnętrze zaprojektowane przez włoskiego architekta według najnowszych trendów – to wszystko sprawiało, że sklep śmiało mógł stanąć w szranki z domem mody Bogusława Hersego przy Marszałkowskiej w Warszawie.

Dziewczynki poznały się, kiedy doktorostwo zostali zaproszeni przez rodziców Eryki, krótko po przeprowadzce, na uroczysty obiad do ich willi przy Langgasse 54. Arnold Flatau jako radny miejski, miał dalekosiężne plany i wizje. Marzyło mu się, by Malbork był miastem, w którym wszyscy, niezależnie od narodowości, będą mogli żyć i pracować w godnych warunkach. Starał się utrzymywać przyjacielskie kontakty z przedstawicielami wyższych sfer miasta, szukając w nich sojuszników w realizacji swoich ambitnych celów. Jego żona Irena, drobna i piękna kobieta, mówiąca kilkoma językami, zajmowała się działalnością charytatywną, starając się poprawić jakość życia mieszkańców Malborka.

Eryka i Zosia były rówieśnicami. Jako że Zosia miała niezwykłą umiejętność nawiązywania kontaktów, dziewczynki szybko się zaprzyjaźniły i uwielbiały spędzać ze sobą czas. Zosia miała też mnóstwo pomysłów i wciągała przyjaciółkę do pomocy w ich natychmiastowym realizowaniu, co pomogło Eryce nabrać pewności siebie.

– Zosiu, poczekaj! – Maria przytrzymała córkę za rękę. – Przecież widzisz, że pani Irena z kimś rozmawia. Poczekajmy, aż skończy, i wtedy podejdziemy.

Obok Ireny stała niezbyt wysoka kobieta w modnej garsonce z paskiem, pięknie podkreślającym talię. Trzymała za rękę chłopca w wieku zbliżonym do wieku dziewczynek.

W tym momencie Eryka zauważyła Zosię. Rozpromieniła się w jednej chwili i natychmiast przybiegła, by ją uściskać. Irena także dostrzegła Marię, powiedziała coś do swojej towarzyszk i razem ruszyły w ich stronę.

– Jak to dobrze, że panią widzę, pani Mario – powiedziała na powitanie i spojrzała na stojącą obok kobietę. – Pozwoli pani, że przedstawię panią Elizę Weidmann. Wraz z mężem niedawno zamieszkała w Malborku. Pan Arthur jest inżynierem i będzie pracował na lotnisku w Königsdorfie (Królewie Malborskim). Liczba połączeń z Berlinem i Gdańskiem

znacznie wzrosła i bardzo potrzebujemy takich ludzi, jak pan Weidmann. Mam nadzieję, że wspólnie pomożemy pani Elizie zaaklimatyzować się w naszym mieście.

– Ależ oczywiście! – odrzekła Maria ze szczerym entuzjazmem. Dobrze pamiętała, jak Irena i Lotte pomogły jej w pierwszych miesiącach po przeprowadzce. – Miło mi panią poznać. Mam nadzieję, że szybko poczuje się tu pani jak u siebie – dodała.

– Bardzo dziękuję. To naprawdę niezwykle miłe, ale nie chciałabym sprawić paniom kłopotu – odparła piękną, wręcz literacką niemczyzną. – Mam teraz sporo obowiązków. Muszę zorganizować nasze życie od podstaw, umeblować mieszkanie, no i znaleźć szkołę dla syna. Potem będę wolniejsza i z największą chęcią spotkam się z paniami.

Irena i Maria spojrzały na siebie porozumiewawczo.

– Ależ my właśnie chcemy pomóc pani to wszystko zorganizować i nie przyjmujemy absolutnie żadnej odmowy w tej kwestii. – Irena objęła serdecznie obie kobiety. – A teraz zapraszam na filiżankę kawy i ciasto do cukierni pana Schulza.

Przysłuchując się rozmowie, Zosia i Eryka zerkały raz po raz na chłopca, który ze stoickim spokojem przyglądał się dziewczynkom bez najmniejszego zmieszania czy zakłopotania. W końcu odezwał się pierwszy:

– Cześć, jestem Konrad.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Ja mam na imię Zosia, a to jest Eryka – jak zwykle pierwsza odpowiedziała Zosia, wyciągając do niego rękę.

– Chcesz pójść z nami na lody? – zapytała Zosia, licząc po cichu, że odmówi, bo jakoś dziwnie zaintrygował ją ten nieznajomy chłopiec, a ona chciała spędzić czas tylko z przyjaciółką.

– Z chęcią.

Podczas gdy panie siedziały przy stoliku w kawiarnianym ogródku, cukierni, popijając kawę i delektując się Berliner Luft – waniliowo-jajecznym kremem z malinami – dzieci przysiadły na brzegu fontanny ze strzelcem tuż koło ratusza, z ogromnymi porcjami lodów. Cała trójka umorusana i roześmiana już po chwili świetnie się bawiła w swoim towarzystwie.

– Tata mi obiecał, że pójdziemy jutro rano nad Nogat i pokaże mi, jak się łowi raki. Może będziecie mogły pójść z nami? – zapytał Konrad.

– Ja pójdę! – zawołał wesoło Leszek, który przysiadł się do nich zniemacka i teraz próbował polizać lodów od Eryki. – Znam najlepsze miejsce na raki! Jestem Leszek – dodał i wyciągnął do nieznanego dłoni.

– Konrad. – Uścisk był mocny, co zaskoczyło Leszka, bo w pierwszym momencie pomyślał, że ten nowy kolega to raczej mól książkowy niż typ sportowca.

– Świetnie! W takim razie jesteśmy umówieni. Mój tata ma profesjonalny sprzęt wędkarski. Jeśli chcesz, to ci wszystko pokaże – zaproponował Konrad.

– Naprawdę? Fajnie! Teraz muszę już lecieć pomóc mamie w nowej pracy. To do jutra!

Na odchodnym Leszkowi jeszcze raz udało się liźnąć słodkich lodów od Eryki, co wywołało jej udawaną złość, a w rzeczywistości ogromną radość. Po chwili biegł już w kierunku Bramy Mariackiej i stamtąd dalej do ogrodnictwa Marlene i Ernsta Rudlafów. Na prośbę pastora ksiądz Franz Pingel polecił im Barbarę. Starsze małżeństwo ucieszyło się, że mogą

pomóc komuś w potrzebie. Pamiętali jeszcze czasy, kiedy nie mieli jeszcze tak prężnie działającego przedsiębiorstwa i sami często potrzebowali wsparcia innych. Rudlafowie mieszkali w niedużym ceglany domku przy Steingasse 27, naprzeciwko swojego gospodarstwa. Byli właścicielami wielu szklarni i kilku sadów, a ich warzywa, kwiaty i owoce były znane w całej okolicy.

*

Zosia wierciła się przez całą mszę. Cierpliwe czekanie nie było jej mocną stroną, a tak bardzo chciała zobaczyć, jak się łowi raki. Suma w kościele św. Jana była odprawiana dopiero o dziesiątej i wiedziała, że nic nie przekona rodziców, by pójść najpierw nad rzekę, a dopiero potem do kościoła.

Spacer brzegiem Nogatu, po zakończonym nabożeństwie, był dla mieszkańców Malborka utartym zwyczajem. Zwłaszcza w takie ciepłe i słoneczne dni. Zapach bżów unosił się w powietrzu. Dzieci bawiły się w berka, ganiając wokół rodziców albo buszowały w przybrzeżnych zaroślach, szukając żab i strasząc ptaki.

– Tatusiu! Zobacz, tam są! – Podskakując z niecierpliwości, Zosia wskazywała miejsce obok mostu, gdzie trzech chłopców leżało płasko tuż przy brzegu rzeki i wpatrywało się w jej dno. Obok nich stał mężczyzna z wędką.

– To właśnie pani Eliza, o której ci wczoraj wspominałam – wyjaśniła mężowi Maria, dostrzegszy znajome twarze. – Widzę też Lotte i Feliksa Hederów, są nawet Flataurowie.

Towarzystwo siedziało na statku wycieczkowym zacumowanym do brzegu. Na pokładzie przywitał doktorostwo właściciel statku, Edward Heidt. Zosia błagalnym wzrokiem wpatrywała się w mamę, próbując wyrwać dłoń z uścisku jej ręki i pobiec do przyjaciół.

– Proszę pozwolić córce iść do dzieci, pani Mario. Jest z nimi mój mąż. Przy nim na pewno nic im się nie stanie, może pani być spokojna. – Eliza Weidmann wyglądała dzisiaj na zdecydowanie bardziej zrelaksowaną.

Gdy Zosia poczuła, że może się uwolnić, uśmiechnęła się w podziękowaniu i natychmiast czmychnęła do chłopców.

– Widzieliśmy raki, ale jest jeszcze za wcześnie, by je łowić – z wypiekami na twarzy Olaf tłumaczył Zosi. – Tak mówi tata Konrada, a on się na tym zna.

Konrad z Leszkiem byli tak zaabsorbowani nabijaniem dżdżownic na haczyki, że nawet jej nie zauważyli. Zosia, nieprzyzwyczajona do tego, że nie zwraca się na nią uwagi, nieco wyniosłym tonem i głośniejszym niż zazwyczaj poprosiła tatę Konrada, by jej też pokazał, co się robi z przynętą. Wzdrygnęła się na widok wijących się, oślizgłych robaków, ale chłopcy właśnie się odwrócili, więc nie mogła już się wycofać. Próbowała wziąć jednego, ale wiły się tak, że poczuła obrzydzenie.

– Zośka, daj spokój. My to zrobimy. – Leszek próbował wyciągnąć ją z opresji. Na szczęście w tej chwili przybiegła Eryka i widząc, co się dzieje, zaczęła udawać przerażenie. Besztając chłopców, wyrwała pudełko z rąk Zosi i oddała je panu Arthurowi. Ten, z trudem powstrzymując śmiech, powiedział:

– Możecie pójść kawałek dalej na most i spróbować połowić ryby. Ja wrócę na statek i będę tam z waszymi rodzicami w kawiarni, ale nie odchodźcie za daleko, żebym was cały czas widział.

Podeksytowani, że mogą sami łowić ryby, odeszli tylko parę metrów, usiedli rzędem jedno obok drugiego na brzegu mostu, i zarzucili wędki.

Pan Weidmann tymczasem dołączył do towarzystwa, przedstawił się rodzicom Zosi i zadowolony usiadł obok żony.

– Słyszeliśmy, że przyjechali państwo z Monachium – rzekł Popławski. – To piękne miasto, a Bawaria z całą pewnością potrafi ująć za serce. Spędziliśmy tam kiedyś z żoną parę tygodni urlopu.

– To prawda. Żal było wyjeżdżać, ale sytuacja gospodarcza i polityczna stała się dla nas nieznośna. Martwiłem się, jak moi najbliżsi zniosą przeprowadzkę – Arthur spojrzął czule na żonę – ale już jestem znacznie spokojniejszy.

– Mamy rodzinę w Berlinie i docierają do nas niepokojące wieści. Oni również zastanawiają się, co zrobić. – Arnold Flatauer poczęstował mężczyzn cygarem i zamówił po kieliszku czerwonego wina.

Panie sączyły orzeźwiajączą lemoniadę i zastanawiały się nad jakimś zajęciem dla Elizy.

– Po tej rujnującej wojnie i po krachu na Wall Street dwa lata temu gospodarka Niemiec załamała się i jest w katastrofalnym stanie – wyjaśniał Arthur. – Inflacja szaleje. Nie ma pracy. Ludzie głodują. Większość społeczeństwa jest rozgoryczona i zmęczona. W dodatku partia narodowo-socjalistyczna weszła do Reichstagu. NSDAP wraz z innymi pomniejszych partiami pravicowymi w zastraszającym tempie idzie po władzę.

– A czy może nam pan powiedzieć coś więcej o ich przywódcy? – zapytał Stefan. – Ostatnio rozmawiałem o nim z panem Kranzem. Wydaje się, że ten cały Hitler to dyletant i drobnomieszczański agitator.

– Niestety, teraz to liczący się gracz na scenie politycznej. Jego hasła nacjonalistyczne padają na podatny grunt. Daje fałszywą nadzieję bezrobotnym, udaje patriotyzm, nawołując do odwetu za krzywdy narodu. Wygłasza kliwne przemówienia, stale podkreślając tezę o obecności groźnego wroga.

– To niemożliwe, żeby ludzie mu uwierzyli – stwierdził Feliks.

– Rzeczywiście, poparcie ma głównie na wsiach i w małych miasteczkach. Mieszkańcy dużych aglomeracji nie głosowali na niego tak licznie. Ale niestety myślę, że jeszcze o nim usłyszymy.

Lotte wstała na chwilę, by zobaczyć, co robią dzieci. Wszystkie siedziały grzecznie na moście, a ich śmiech niósł się po wodzie tak, że było go słychać nawet na brzegu.

MALBORSKA SAGA Z HISTORIĄ W TLE

**Z NATALIĄ PIASKOWSKĄ, AUTORKĄ DWÓCH KSIĄŻEK
O MALBORKU, ROZMAWIA ALICJA ŁUKAWSKA**

– Jesteś z zawodu stomatologiem i autorką dwóch powieści „Chwytać motyle” i „Narodziny” wydanych w latach 2024–2025 w wydawnictwie ZEN w Malborku. Skąd Twoje zainteresowanie twórczością literacką? Czy wcześniej może już coś pisałaś, a może publikowałaś?

– „Chwytać motyle” jest moja debiutancką powieścią. We wrześniu 2023 roku odbyła się uroczysta premiera, a po roku pojawiła się druga część pt. „Narodziny”. Literatura zawsze była mi bliska, a książki towarzyszyły mi przez całe życie, ale tylko jako czytelnikowi. Nigdy wcześniej nie publikowałam, nawet mniejszych form. Trudno opisać jeden moment, w którym pomyślałam o napisaniu książki. To był proces i w dodatku dosyć długi.

– Skąd wziął się pomysł na powieść o Malborku? Czy jesteś może rodzinnie związana z tym miastem?

– Malbork jest moim miastem. Tu spędziłam dzieciństwo i młodość, tu mieszka nadal moja mama i tu jest pochowany mój tata. Mam tu nadal znajomych i koleżanki, a chociaż mieszkam w Gdańsku, który stał się moim domem, to z Malborkiem wciąż jestem emocjonalnie związana. Lubię tu wracać, mam mnóstwo wspomnień a teraz, z czego się bardzo cieszę, mogę uczestniczyć w życiu miasta i dać coś od siebie jego mieszkańcom. Wybór Malborka, jako głównego miejsca akcji w moich książkach był zupełnie naturalny i dla mnie oczywisty. To miasto i jego historia stanowi filar, wokół którego toczą się inne opowieści i tak od samego początku właśnie tak miało być.

– Jest taka opinia, że Malbork to miasto tak przesycone historią, że można o nim napisać szereg powieści historycznych dziejących się w różnych epokach. Dlaczego wybrałaś akurat XX wiek?

– Czas, w których żyją moi bohaterowie odgrywa niebagatelną rolę w moich książkach. Od lat 30., przez okres II wojny światowej, opisany w drugiej części „Narodziny”, do roku 1968 i do lat 80., a w trzeciej części będą to lata powojenne Malborka. Zagłębiając się w historię Malborka, zdałam sobie sprawę jak mało wiemy o naszym mieście, zwłaszcza z okresu pierwszej połowy XX wieku.. Ten czas był owiany tajemnicą i niechętnie się do niego wracało, a przecież to też ważna część naszej historii. Nie tylko Malborka, ale także północnych terenów Polski. Warto znać historię miejsca, w którym się żyje. To buduje więź i poczucie tożsamości. Jak pisał Cynceron: „Historia jest świadkiem czasów, światłem prawdy, życiem pamięci i nauczycielką życia”.

– Czy postaci występujące w Twoich powieściach są realne czy prawdziwe? Czy przedstawione w Twoich powieściach wydarzenia są zgodne z prawdą historyczną czy też wymyślone? Czy opisujesz realnie istniejące domy, ulice i miejsca w Malborku i okolicy czy też opisywane przez Ciebie miejsca są tylko kreacją artystyczną?

– Moje książki to powieści obyczajowo-historyczne. Główni bohaterowie są całkowicie fikcyjni i nie istnieją pierwowzory tych postaci, ale na kartach powieści przewija się mnóstwo postaci historycznych, które rzeczywiście żyły kiedyś w Malborku. Dla mnie jako autorki, to łączenie było fascynujące i ekscytujące. Pisząc, przechadzałam się po Malborku tamtych czasów. Poznawałam istniejące wówczas uliczki, budynki, cukiernie, restauracje, zakłady pracy i tak je właśnie opisałam. Przedstawione w książkach postacie historyczne uczestniczą w sytuacjach, które są wytworem mojej wyobraźni, a z kolei postacie fikcyjne biorą udział w autentycznych wydarzeniach, których jest naprawdę dużo w moich powieściach. To jest magia książek i mały przywilej autora: móc stworzyć świat, w którym takie połączenie jest możliwe.

– Jak przygotowywałaś się do pisania powieści historycznej o Malborku? Z jakich źródeł korzystałaś? Jak wyglądał „research”?

– Przygotowania były czasochłonne, staranne i mozolne, ale jednocześnie były dla mnie fascynującym czasem, który sprawił, że pokochałam historię. To była praca wymagająca i jednocześnie wciągająca. Kupowałam książki, głównie zawierające wspomnienia różnych ludzi, ale też historyczne. Niektóre, jak na przykład „Malbork – dzieje miasta” Wiesława Jedlińskiego, wyszukałam i ściągnęłam z antykwiariatu ze środkowej Polski. Gdy siadałam do komputera by pisać, okazywało się, że robiłam tylko „research”, ale właśnie podczas tej pracy znajdowałam kolejne inspiracje i rodziły się nowe pomysły. Ta część pisania powieści obyczajowo-historycznych jest niezwykle absorbująca, odkrywczą i zarazem zachwycająca.

– Co było najtrudniejsze w pisaniu tych książek, a co było łatwe albo co sprawiało Ci przyjemność?

– Trudno mi znaleźć rzeczy, które były dla mnie trudne. Pisanie jest moją pasją, która odkryłam w sobie, będąc już tak naprawdę dojrzałą osobą i czerpię z tego tylko radość. Nawet jeśli pojawiały się pewne przeszkody i wyzwania, to pokonywanie ich jest częścią świata, który mnie pochłoniął. Samo pisanie to naprawdę czysta przyjemność, do której tęsknię. Pogodzenie pasji z pracą zawodową, mierzenie się z oceną innych nie jest z pewnością łatwe, ale to mnie tylko rozwija i pozwala iść dalej. Zawsze lubiłam się uczyć, tylko kiedyś była to biologia, chemia i moja ukochana stomatologia, a teraz zupełnie coś innego, ale nadal to nauka. Dla mnie samej – i ale mam nadzieję – że również dla innych. Nie pisze się do szuflady. To czytelnik wpisuje sens w tekst, za którym ukryty jest autor. I to jest dla mnie wyzwanie, któremu staram się sprostać.

– Czy Twoje dwie książki to jest początek malborskiej sagi powieściowej? Czy ma ona jakiś zbiorczy tytuł? Ile tomów jest przewidzianych docelowo?

– Myślę, że rzeczywiście można moje książki nazwać sagą, choć nie miałam takiego zamysłu, kiedy zaczynałam pisać. Byłam przekonana, że będzie to tylko jedna książka, ale historie same się rozwijały, nowe postacie rozbudowywały i działało się to jakby samoistnie. To mnie samą zaskoczyło. Jest w moim planie zamknięcie historii pewnych postaci w taki a nie inny sposób i to wiedziałam od samego początku. Po prostu nie zmieściło się to w jednej



Natalia Piaskowska, fot. Alicja Rybak

książce. Byłam przekonana, że czas II wojny światowej zajmie mi dwa, góra trzy rozdziały, a wyszła cała druga część „Narodziny”. Zaplanowaną mam trzecią i ostatnią część. Myślę, że pozamykam w niej wszystko, co było dla mnie istotne i rozwiążę sprawy, które nurtują czytelników. Ale pisanie mnie samą zaskakuje, więc tak naprawdę nie wiem co się wydarzy. I to jest piękne.

– **Pierwsza część tego cyklu, czyli „Chwytać motyle” ma dość skomplikowaną narrację, (akcja rozgrywa się w trzech planach czasowych), druga część „Narodziny” zaczyna się w przededniu II wojny światowej i ciągnie się podczas jej trwania. Jestem ciekawa, co będzie dalej...**

– Kolejna część to również kilka planów czasowych, mnóstwo postaci i wiele miejsc ale Malbork pozostanie filarem i osią powieści. Historia powojenna miasta, jest również niezwykle ciekawa. Za dużo nie zdradzę, ale ja sama nie mogę się doczekać, kiedy zacznę pisać. Czekam na to z utęsknieniem.

– **Jakie są Twoje dalsze plany twórcze? Czy masz już pomysły na kolejne publikacje?**

– Mam już pomysł na coś nowego. Już nawet, tak samo jak to było w przypadku „Chwytać motyle”, napisałam pierwszą stronę, do której wracam od czasu do czasu. Ale to jednak przyszłość. Przede mną wyzwanie napisania trzeciej części. Myślę, że pomysłów mi nie zabraknie. Wiem już z doświadczenia, że czasem przyplływają same, tylko wystarczy być uważnym. Pisanie jest dla mnie przygodą, podczas której wszystko się może zdarzyć. Przygotowuję się do nagrania audiobooka, mam już przetłumaczoną pierwszą część na język niemiecki, tak więc dzieje się cały czas bardzo dużo. Życzę wszystkim, by odnaleźli swoją pasję, bo to są piękne chwile w naszym życiu. Już nawet poszukiwania będą fascynujące. Zapewniam Was. A tym czasem zapraszam gorąco w podróż w minione czasy wraz z moimi bohaterami.

Andrzej C. Leszczyński



OKRUCHY

UŚMIECH, ŚMIECH, RECHOT

Rechot. Ma w sobie coś wulgarnego, co ujawnia się już w samym brzmieniu. To stadna, wzmacniana wzajemnie reakcja na poniżenie kogoś bezbronnego, kto może uchodzić za przeciwnika. „U kobiety włos długi, a rozum krótki” – rechoczą zadowoleni przy kolejnym kuflu. Telewizyjny obraz kompanów Andrzeja Leppera (czy mieli białoczerwone krawaty, nie pamiętam), którzy zgodnie zarechotali, gdy ich przywódca niby to zastanawiał się, czy można zgwałcić prostytutkę. – No jak? prostytutkę? Zgwałcić? – Szkoda czasu na zajmowanie się takimi rekcjami.

Uśmiech jest reakcją indywidualną dorosłego człowieka na to, co się ujawnia, ukazując jako prawdziwa rzeczywistość. Greka mówi o prawdzie właśnie jako o odsłonięciu: *alétheia* (ἀλήθεια). Uśmiech jest reakcją poznawczą. Jest w nim mądrość, nie ma radości. Wielu autorów zwraca na to uwagę. „Gromadzenie wiedzy jest gromadzeniem goryczy” – to Marian Stala. Werter, bohater powieści epistolarnej Johanna Wolfganga Goethego, przejrzał grozę życia i ogarnięty melancholią utracił wolę życia. „Przed duszą moją rozsunęła się jakby zasłona i pole nieskończonego życia zmienia się teraz przede mną w przepaść wiecznie otwartego grobu” (popelnia samobójstwo). Gdy wejrzysz w otchłań, otchłań wejrzy w ciebie, pisał Fryderyk Nietzsche. Rosyjskie przysłowie ujmuje rzecz krótko: kto mnoży wiedzę, ten mnoży smutek. Uśmiech kryje się w obrazach impresjonistów, w tonacjach molowych (minorowych). Uśmiecha się człowiek doświadczony, rozumny, *homo sapiens*.

Inaczej śmiech – to reakcja na to, co nielogiczne, zaskakujące, paradoksalne. Zdaniem wielu antropologów, np. Johana Huizingi, stanowi, obok płaczu, podstawowy wyraz człowieczeństwa. Śmiech rozprawia się ze stereotypem. Immanuel Kant („Krytyka władzy sądzienia”): „We wszystkim, co ma wzbudzić głośny, burzliwy śmiech, zawierać się musi coś niedorzecznego (a więc coś, w czym intelekt sam w sobie nie może znaleźć upodobania). Śmiech jest afektem, którego źródłem jest nagła przemiana napiętego oczekiwania w nicłość”. I w innym miejscu: „Dostrzeżono, że w śmiechu musi być jakaś sprzeczność i nazwano ją niedorzecznością, która pojawia się niespodziewanie i powoduje śmiech. [...] Pojawia się kontrast, którego się nie spodziewano”. Coś podobnego zauważył już Cynceron, mówiąc, że śmiejemy się „kiedy czego innego oczekujemy, a co innego kto powie”.

W śmiechu jest radość, nie ma mądrości. Jego szczytową postacią jest tzw. głupawka, śmiech całkowicie bezinteresowny i cielesny – przyspieszone bicie serca, ktoś płacze ze śmiechu, poci się, bywa, że nie powstrzymuje moczu. Stanisław Tym doprowadził ciężarną Zofię Merle do takiego ataku śmiechu, że chciała wzywać pogotowie bojąc się, że urodzi przed czasem. Głupawka bierze się nie wiadomo skąd. Pamiętam, jak ogarnęła mnie

po przeczytaniu w „Odrze” zapisków pewnego profesora wspominającego studia, wizytę szkolonych wojskowo studentów w jednostce czołgów, moment, gdy jeden z nich zapytał oprowadzającego ich oficera, czy w czołgach są toalety. Bywa, że głupawka wraca, ogarnia po jakimś czasie. Na studenckim obozie wojskowym, po zajęciach taktycznych dotyczących sztuki czołgania, z Tomkiem Wołkiem postanowiliśmy, że utrwalimy je podczas popołudniowej nauki własnej. Tomek zachłystując się kurzem i śmiechem czołgał się po placu apelowym, a ja – korzystając z języka kaprała P. – wydierałem się na cały głos: Czołganiem pełzaniem, Wołek, niżej dupa, bo wam ją przestrzela, już Wołek nie macie kurwa dupy! Jeszcze kilka lat później dusiliśmy się ze śmiechu wspominając minę dowódcy jednostki, który podszedł do nas i dowiedział się, że to nauka własna i powtarzamy przedpołudniowe zajęcia.

O cielesności śmiechu pisał Kant, zwracając uwagę na jego znaczenie katartyczne: „[...] śmiech jest zawsze drganiem mięśni biorących udział w trawieniu, które wzmacnia je daleko bardziej, niż uczyniłaby to mądrość lekarzy”. Dominuje tu tonacja rześka, durowa, wyrażająca się na zewnątrz (ekspresja) i zarażająca otoczenie. Śmieje się homo ludens, dziecko nieograniczone wiekiem (choć wiek ma znaczenie: badania Hanny Samson pokazują, że dziecko śmieje się około 300 razy dziennie, dorosły ledwie siedemnaście razy). Anna Świrszczyńska dopiero z wiekiem zyskała zdolność cieszenia się. „Biegam po plaży,/ ludzie się dziwią./ – Siwa baba i biega”. Znosi się śmiechem „stojąc na cienkiej linie/ nad przepaścią”. Pochwałę radości zawarła w tomie zatytułowanym „Szczęśliwa jak psi ogon”.

Śmiech uwalnia od strachu. Bogdan Korzeniowski zapisał wrażenia z wizyty Bolesława Bieruta na premierze „Grzechu” Stefana Żeromskiego (1951). „Do teatru wkroczyło Biuro Polityczne partii. [...] Najbardziej uderzającą cechą tych ludzi była ponurość. Trudno było wyobrazić sobie, że mogą się śmiać ze szczerego serca, swobodnie i beztrudnie. W każdym ich słowie i ruchu czaił się strach zrodzony nie z okrutnych dziejów świata, ale z zależności od strasznych ludzi”. Humor to forma pojednawcza – taka, która z rzeczywistością zawiera pokój. Daje możliwość „zdystansowania się od tego, co opresyjne, szkodliwe, przerażające. Nie tylko w skali globalnej, lecz też w zwykłej codzienności” – mówi Wojciech Mann w rozmowie z Katarzyną Kubisiowską. O ozdrowieńczym wpływie śmiechu, o tym, że uwalnia od patosu i nienawiści, mówi scena z gdańskiego Grudnia 1970. Na ul. Świerczewskiego (dziś Nowe Ogrody) przy Komendzie Miejskiej – tłum milicjantów. Przy Wałach Jagiellońskich, obok Żaka (dziś siedziba Rady Miasta) – tłum stoczniovców. Pośrodku most nad torami kolejowymi, pole niczyje wypełnione gazami, kamieniami, przekleństwami, stężałą nienawiścią. Raptem na samym środku mostu pojawił się nie wiadomo skąd pijak z mocno sfatygowaną choinką na plecach. Nie miał pojęcia, że coś się dzieje na mieście, nie docierała do niego rzeczywistość, lekko zataczał się i mamrotał do siebie słowa przeznaczone chyba dla żony. Zrobiło się zupełnie cicho, po czym z obu stron wybuchł gwałtowny, oczyszczający śmiech, po którym nie chciało się już sięgać po kamienie.

KTO GRZESZY?

Chrześcijańska teologia pozostawia rzecz bez niedomowień: śmiech to stan krytyczny, upadek ducha, utrata panowania nad sobą. Ponieważ Ewangelie nie wspominają o Jezusie, który tryskałby humorem, uznano to za znamienne. (Na jakiej podstawie Ubaldo Terrinoni

w „Nauczaniu ewangelicznym w zarysie” pisze, że Jezus miał niezrównane poczucie humoru, nie wiadomo. U św. Łukasza znajdziemy jasno wyrażoną przestrożę skierowaną ku tym, którzy się śmieją: „Albowiem płakać będą”. Człowiek głupi, śmiejąc się, podnosi głos; „mędrzec ledwie się uśmiechnie w milczeniu”, poucza Syrach. „Sprawą mnicha nie jest nauczanie, lecz pogrążanie się w smutku” – to z kolei św. Hieronim. I chyba najdobitniej św. Jan Chryzostom: „Chrystus został ukrzyżowany, a ty się śmiejesz?”. Ciekawa paralela – Jan Józef Szczepański pisze o reakcji krytyków na czytane przez Stanisława Lema jego opowiadanie o Ionie Tichym (1954): „Śmieli się bardzo, ale w pewnej chwili zaczęli spoglądać po sobie i coraz bardziej sztywnieć i surowieć. W dyskusji zgodnie napadli na Lema, że taki bezprzedmiotowy humor to zjawisko społecznie groźne. Gdzie dydaktyka postępową? My się tu śmiejemy, ale co z tego? Jednak to nie jest frazes, że śmiech podejrzewany jest o kontrrewolucyjność”.

Słowo „komedia” bierze się z greki: komaso (κωμάζω) znaczy hulać, bawić się, radować. Wiąże się to z pochodzeniem: komaios (κωμαϊός) – wiejski. Komos (κῶμος) – gromada wiejskich hulaków. Niewidomy mnich Jorge z Burgos w „Imieniu róży” Umberta Eco przekonuje, że śmiech oznacza coś prymitywnego, głupiego, jest nieludzki, bo „wstrząsa ciałem, zniekształca rysy twarzy, czyni człowieka podobnym do małpy. [...] Śmiech to słabość, zepsucie, jałowość naszego ciała. Jest rozrywką dla wieśniaka, swawolą dla opilca, nawet Kościół w mądrości swojej wyznaczył moment święta, karnawału, jarmarku, tę całodzienną polucję [...]. Lecz śmiech pozostaje rzeczą nikczemną, obroną dla prostaczków, zdesakralizowana tajemnicą dla gminu. [...] Śmiech wyzwala chłopca od strachu przed diabłem [...]. Kiedy wieśniak śmieje się, a wino bulgocze mu w gardle, czuje się panem, albowiem odwrócił do góry nogami relacje panowania”. W listopadzie 1327 roku pali bibliotekę opactwa benedyktynów, by zniszczyć część „Poetyki” Arystotelesa poświęconą komedii i śmiechowi (wcześniej nasączył odpowiednie strony trucizną, przyczyniając się do śmierci kilku czytelników). W tekście Stagiryty, jaki przetrwał do naszych czasów, jest tylko mowa o poezji, o tragedii i o eposie; pozostało też przypisywane Arystotelesowi określenie człowieka jako zwierzęcia rozumnego (ζῷον λογικόν) zdolnego do śmiechu (γέλιο).

I oto skutki. Najważniejsze święto chrześcijan, Wielkanoc. Radosne słowa mówiące o zmartwychwstaniu (często są to przepiękne staropolskie złożenia – „Król niebieski k` nam zawitał”, „Chrystus zmartwychstan jest, nam na przykład dan jest”) śpiewane są w sposób zawodząco płacziwy, jękliwy, z towarzyszeniem organów, które z trudną do pojęcia lubością zamieniają rzeźkie (w staropolszczyźnie: rzeźwe, czyli orzeźwiający) układy durowe na molowe biadolenia. Mają być dzwony, które „biją długo i radośnie, że aż w piersiach serce rośnie”, a słychać dzwony pogrzebowe. „Wesoły nam dzień dziś nastał” – a wokół żałoba.

Zarastustra przedstawiony przez Fryderyka Nietzschego – oburzony ponurą posępnością Chrystusa, „śmiejący się” prorok zstępujący z niebiańskiej samotni do ludzi – za grzech pierworodny człowieka uważa niezdolność do śmiechu. Mówi: „Wszystkie dobre rzeczy śmieją się [...]. Uświęciłem śmiech; o ludzie wyżsi, nauczciez mi się – śmiać! [...] Jakież to największy grzech popełniono dotychczas na świecie? Czyż nie były nim słowa tego, który rzekł: »Biada tym, którzy tu się śmieją? On – nie dość kochał: inaczej ukochałby nas, śmiejących się! Aliści on nienawidził nas i urągał nam, skowity i zębów zgrzytania obiecując nam [...]. Nie gniewem, lecz śmiechem się zabija. Naprzód, zabijmyż ducha ciężkości!”.

O tym, że nie wszystko w chrześcijaństwie musi być ponure, świadczą przytaczane często przykłady takich postaci jak św. Franciszek z Asyżu, który śpiewał, bywało, że frywolne, francuskie ballady, czy św. Franciszek Salezy, słynący z wyrafinowanego poczucia humoru. „Niech mnie Bóg zachowa od ponurych świętych” mawiała św. Teresa z Avila. „Panie, daj mi zmysł humoru. Daj mi łaskę rozumienia żartu” – prosił Boga św. Tomasz Morus.

Jan XXIII nie bez powodu zyskał miano uśmiechniętego papieża. Uczestnicy spotkań z Janem Pawłem II wspominają, jak zaśmiewał się słysząc góralskie dowcipy opowiadane przez Józefa Tischnera.

ŚMIECH I ŁZY

Bohdan Dziemidok jest autorem klasycznej, opatrzonej rysunkami Szymona Kobylińskiego pracy zatytułowanej „O komizmie” (1967). O jego wrażliwości i humorystycznej wyobraźni najwięcej mówiły bezpośrednie kontakty. Wystarczyło wpatrzeć się w towarzyszący słowom tekst mimiczny, uśmiech, podniesienie brwi, by zobaczyć człowieka coraz bardziej świadomego kruchości, nietrwałości rzeczy, ludzi i siebie. Kogoś, kto przepełniony jest chyba nie chwilowym tylko poczuciem bezradności wobec tego, co przychodzi. Na przykład choroby swojej lub najbliższej osoby. Podczas wykładu („O światopoglądowym i aksjologicznym znaczeniu poczucia humoru”), wygłoszonego 8 listopada 2005 roku w Sali Mieszkańskiej Ratusza Starego Gdańska podczas konferencji na temat śmiechu, „doprowadził do tego, że zebrani i pękali ze śmiechu i mieli łzy w oczach. [...] Pokazał śmiech szyderczy i serdeczny. Chichotał, drwił i ironizował, posuwał się do absurdu, by się w końcu nieśmiało uśmiechnąć”. Piszący te słowa organizatorzy konferencji zapomnieli wspomnieć, że nie tylko audytorium miało łzy w oczach, że spływały także po policzkach prelegenta, który wcale nie pękał ze śmiechu.

W swej książce pisze Dziemidok, że filozofowie podejmujący tematykę komizmu „w oczach wielu zasłużyli sobie na opinię ludzi pozbawionych poczucia humoru”. Dodaje, że jemu też – gdy powraca do problematyki, od której zaczynał swe badania pół wieku temu – o wiele mniej jest do śmiechu niż wtedy, co może świadczyć o osiągnięciu stosownych kompetencji w tej mierze. Jedną z recenzji drugiego, poszerzonego wydania książki (2009) zatytułowana była „O humorze bez poczucia humoru”. Jeśli jej autorka nawiązywała do przytoczonego wyżej zdania, nie dostrzegła zawartej w nim przewrotności; jeśli zaś wyraziła swoje własne stanowisko, pokazała, że utożsamia humor z radością, ze śmiechem perlistym i dźwięcznym. A bywa przecież inny, bliższy uśmiechowi – melancholijny, podbarwiony goryczą, wyrażający się w półuśmiechu, autoironiczny, mądry. Ot, choćby taki, jaki właściwy jest Andrzejowi Poniedziałkiemu, skłaniający raczej do refleksji niż do zrywania boków. To humor wielkich komików kina niemego, Charlie Chaplina czy Bustera Keatona, którzy pokonywali śmiechem kłeskę, starość. Humor Jokera z Batmana (niezapomniany Jack Nicholson), który wypowiada pamiętną kwestię: „Śmieję się tylko na pozór. Moja radość jest powierzchowna. W głębi duszy płaczę”. Z czystej rozpaczy pisał swe humoreski Robert Walser. Zatem – wracam do tamtego tytułu – bez radości może tak, ale nie bez poczucia humoru!

Można było odnieść wrażenie, że Bohdan Dziemidok jest coraz głębiej zanurzony w sobie, w swoim życiu; i że nie ma w tym śladu narcyzmu. Rzeczywistość staje się dlań treścią przeżywaną, estetyczną w podstawowym sensie tego słowa (aisthētikos [αἰσθητικός] – odczuwający). Że czerpie z siebie, coraz bardziej świadomy tego, że to, co dzieje się hic et nunc, dzisiaj, w ułamku chwili, nie jest ani codzienne, ani powtarzalne. Że zatem konkretność doświadczenia jest czymś więcej niż częstką całości, że sama jest całością, która wciąż się wymyka, pozostaje nieuchwytna poznawczo i egzystencjalnie. W poezji doświadczała w ten sposób konkretność Wisława Szymborska („kluski ze skwarkami”), w filozofii – Jolanta Brach-Czajna („ścierka do podłogi”), w teatrze – Tadeusz Kantor („krzesło”). Bardzo podobne, przekonywałem się o tym wielokrotnie podczas rozmów na przeróżne tematy, było u Bohdana doświadczenie momentalności istnienia. Wspominał kiedyś – autor wielu znakomitych książek – o żalu, że w swej twórczości tak mało mówił od siebie, zajmując się poglądami i teoriami innych myślicieli. Dopiero od niedawna, od kilku, może kilkunastu lat, próbował to nadrobić, ujawniając, czasami w najmniej oczekiwanych momentach, detale biograficzne, przekonania, oceny. Podczas odbierania najwyższego gdańskiego wyróżnienia naukowego, dorocznej nagrody im. Jana Heweliusza (2004 r.), przywoływał takie właśnie konkrety, mówiąc o starości, chorobach, o żonie – i o dżudo, które w młodości trenował zdobywając liczące się stopnie („pasy”).

To właśnie różni go od przywołanej przed chwilą Wisławy Szymborskiej. Jej konkretność bytowa obejmuje wszystko, tylko nie ją samą. Jak ujął to Tadeusz Nyczek: nie pozwalała sobie i innym na „mazgajenie się”. Sprawy osobiste nie mogły być przedmiotem nawet przyjacielskiej rozmowy, ponieważ groziłoby to patosem, którego nie cierpiała. Podczas spotkań nie wolno było mówić o chorobach. Tymczasem Bohdan Dziemidok, owszem, mówi chętnie o sobie. Wzrusza się sobą. Boli siebie. Nie jest to jednak „mazgajenie się”, wyjście z formy. Przed „mazgajeniem się”, przed patosem, chroni go ironia – czasami przybierająca postać Sokratejską („udawanie”, εἰρωψεία), częściej będąca wyrażeniem mającym przynajmniej podwójny sens, gdy żaden z nich nie jest odczuwany jako podstawowy. Tak rozumiana oznacza – poprzez swoją niedosłowność – skromność, niepewność będącą przeciwieństwem szyderstwa.

Mówił: „Jeśli prawdą jest, że teoretyk komizmu jest ponurym osobnikiem pozbawionym poczucia humoru, to obecnie spełniam ten warunek”. Bardzo podobną figurę retoryczną zastosował pisząc o szczęściu. Przywołuje postać Władysława Tatarkiewicza – swój punkt odniesienia w dziedzinie pluralistycznej estetyki – który odczuł potrzebę pisania o szczęściu w czasie drugiej wojny światowej, gdy doznawał bezmiaru nieszczęść („bo w nieszczęściu więcej się o szczęściu myśli niż w szczęściu”). Dziemidok, podobnie, uznawał swój aktualny stan ducha za dostatecznie jasno wyjaśniający genezę rozprawy pt. „Teoretyczne i praktyczne kłopoty ze szczęściem”. Mówi tu już własnym głosem, formułuje wywiedzione z własnych doświadczeń i przemyśleń warunki, mogące sprzyjać osiągnięciu i zachowaniu dobrostanu.

To już moje ostatnie okruszki na gościnnych łamach „Prowincji”. Serdecznie dziękuję czytelnikom i redakcji.

Piotr Napiwodzki



O FILOZOFII JĘZYKA Z POMORZEM W TLE

Pewien znajomy profesor, słynący ze specyficznego, nieco uszczypliwego, poczucia humoru, powiedział mi kiedyś:

„Piotr, a wiesz dlaczego wy, Polacy, jesteście takimi nieznośnymi marudami? Bo w każdym języku istnieje taki niezobowiązujący zwrot stosowany w różnych okolicznościach, który u was brzmi: <mniej więcej> – ale właśnie tylko u was w tej kolejności. Wszyscy inni mówią <więcej mniej>. Wy zawsze zakładacie najpierw <mniej> – i ten pesymizm was kształtuje”.

Ta anegdotka ma nas wprowadzić w temat, który w naukowym i światowym wymiarze rozpoczął się na pomorskiej prowincji, a dokładniej w Lęborku. Tam właśnie, w roku 1884, w żydowskiej rodzinie, urodził się Edward Sapir. Jeszcze jako dziecko wraz z rodziną emigrował do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Był krytykiem literackim, kompozytorem, poetą, a nas interesuje tu zwłaszcza ta dziedzina jego działalności, dzięki której być może najmocniej zapisał się w historii ludzkiej myśli – a mianowicie językoznawstwo.

Filozofia od swoich początków zajmowała się językiem. Można wspomnieć niektóre dialogi Platona (np. Kratylos), ale też potężny biblijny impuls związany z nauką o stworzeniu, gdzie Bóg wszystko powołuje do istnienia swoim słowem, i z nauką o Jezusie Chrystusie, „Słowie, które stało się ciałem”. Wybitnie językowy charakter miał również średniowieczny spór o uniwersalia (Czy istnieją pojęcia ogólne, jak na przykład „ludzkość”, czy też mamy do czynienia jedynie ze słowami, bo realnie nie istnieje ludzkość jako taka a jedynie poszczególni, konkretni ludzie? Czy istnieje coś takiego jak „piękno” niezależne od pięknych rzeczy czy ludzi?). Dla współczesnej „filozofii słowa” punkt wyjścia jest czysto lingwistyczny. To właśnie Edward Sapir (1884–1939), ze swoim uczniem i współpracownikiem Benjaminem Lee Whorfem (1897–1941), w specyficznych warunkach Ameryki lat dwudziestych, sformułował hipotezę, zgodnie z którą język w określony sposób determinuje postrzeganie rzeczywistości. Koniec lat dwudziestych XX wieku to w Ameryce szczególnie ostro przejawiający się kryzys ekonomiczny, który wymusza nowe porozumienie wśród tłumów emigrantów z wielu europejskich krajów uciekających przed biedą panującą po pierwszej wojnie światowej. To także czas dostrzeżenia w nowym świetle rdzennych mieszkańców Ameryki, już nie jako rywali i przeszkodę w ekspansji, ale zagrożonych w egzystencji grup o własnych kulturach, tradycjach, językach. Benjamin Lee Whorf analizował języki Indian z plemienia Hopi, a także Indian z kręgu kultury Majów.

Tu kolejna anegdota na marginesie. Gdy uczyłem się jednego z języków Majów, konkretnie języka tzotzil, bywałem wypytywany o postępy, a jedno z pytań przybierało klasyczną postać: „To powiedz coś w tym języku. Jak jest na przykład <dzień dobry>?” To niewinne pytanie wprowadzało mnie w duże zakłopotanie, gdyż okazywało się, że takich podstaw ciągle jeszcze nie opanowałem. Nie ze względu na brak pilności (choć i tego mi brakowało), ale ponieważ w języku tzotzil przy powitaniach nie stosuje się tego typu odniesień do pory dnia.

Dla nas jest to oczywiste, a przecież mówienie o dobrym dniu, poranku czy wieczorze właśnie w kontekście powitania to czysto językowo-kulturowa konwencja. Indianie na tę okoliczność mają zupełnie inne zwroty, które na przykład są pytaniem o kondycję tego, z którym się witamy, w zależności również od tego, czego od danej osoby się spodziewamy lub czy to my jesteśmy tymi, którzy przychodzą. Można sobie wyobrazić, jak dużą trudność stanowi to przy ewentualnym tłumaczeniu.

Być może właśnie badania języków Indian prowadzone przez Edwarda Sapira i Benjamina Lee Whorfa doprowadziły ich do tezy o istotnej nieprzetłumaczalności ludzkich języków. Język bowiem na tyle mocno kształtuje nasze myślenie i postrzeganie, że tłumaczenie jest w zasadzie niemożliwe – to znaczy jest możliwe jedynie na określonym poziomie, bez możliwości dotarcia do głębszych obszarów doświadczenia. Język to nie tylko narzędzie, ale przestrzeń, w której kształtuje się ludzka kultura, fundamenty odniesienia do świata. Systemy językowe są odbiciem środowisk, w których się tworzyły, a ludzie mówiący i myślący w określonych językach postrzegają świat na inny sposób. Oczywiście otwartym pytaniem pozostaje, na ile język wpływa na światopogląd – pełna determinacja jest odrzucana przez większość badaczy. Pewien związek jest jednak powszechnie zakładany, a wzajemny wpływ języka, myślenia i kultury niewątpliwie istnieje. Mamy więc skrajną koncepcję nieprzekładalności języków, a po drugiej stronie koncepcję uniwersalizmu językowego – jej zwolennicy twierdzą, że można wszystko z każdego języka precyzyjnie oddać w innym języku. Pomiedzy tymi skrajnościami sytuują się wszystkie pośrednie ujęcia, przynajmniej jeśli chodzi o namysł nad językiem od strony praktycznej.

Na marginesie – raz jeszcze. Współcześnie wiele mówi się o wielojęzyczności dzieci, co miałyby zapewnić im lepszy życiowy start. Okazuje się jednak, że w krajach, gdzie wielojęzyczność ma długą tradycję i jest niejako społecznie „wymuszana” (choćby w Szwajcarii), badania wskazują na trudności przy konsekwentnie wprowadzanej wielojęzyczności dzieci. Podstawowe struktury myślenia wymagają jednego języka, wielość „pierwszych” języków może w przyszłości prowadzić do nieoczekiwanych trudności na przykład w procesie podejmowania decyzji. Cóż po idealnym akcencie (który zresztą przecież nie istnieje) w wielu przez kogoś używanych językach, jeśli w żadnym z nich nie czuje się on „w domu”?

I jeszcze jedna, dosyć praktyczna, kwestia: język bywa także narzędziem sprawowania władzy i legitymizacją społecznej przemocy. Jest wyrazem ideologii – to, co obserwujemy w naszej epoce, a co często przejawia się w formie wprost śmiesznej, a więc walka o przyimki, zaimki, przedrostki, przyrostki, wszelkie końcówki i zapożyczenia – to właśnie wyraz tego fundamentalnego przekonania o wielkim znaczeniu języka.

Filozofia języka, zwłaszcza w wydaniu kontynentalnym (a więc abstrahując od analitycznej tradycji anglosaskiej), przeszła w XX wieku jeszcze inną, fascynującą drogę. Język już nie tylko był tym, co kształtuje kulturę, a przez to ludzką świadomość, ale stał się niezależnym, oddzielnym bytem. Doszło to tak zwanej „ontologizacji” języka. Język stał się bytem samym w sobie, bytem, który jest pośrednikiem w naszym rozumieniu świata. Oczywiście filozofowie wyrażają to w o wiele bardziej skomplikowany sposób i mówi się na przykład o „językowości jako istocie procesu hermeneutycznego” czy o „języku jako horyzoncie ontologii hermeneutycznej”¹. Filozoficzna hermeneutyka może wydawać się zbyt

¹ Por. H.-G. Gadamer, *Prawda i metoda*, Kraków 1993, od strony 353.

hermetyczna, ale w praktyce chodzi o fakt, że każde nasze rozumienie świata dokonuje się w języku. Jego rola jest na tyle dominująca, że niektórzy zadają sobie nawet pytanie, czy to my myślimy w danym języku, czy też może już język myśli w nas. To język jest podmiotem, a my jedynie włączamy się w niego, podłączamy się do już istniejących struktur. W takim ujęciu język konstytuuje świat, co fachowcy od historii idei mogliby nazwać stanowiskiem idealistyczno-konstruktywistycznym. To jednak ujęcie skrajne, bliskie pogładowi, że opis tworzy przedmiot, że interpretacja tworzy (czyli konstytuuje) to, co interpretowane, a to wszystko jest wbrew dosyć podstawowej intuicji, że przedmiot ma pierwszeństwo przed opisem. W takie oto meandry filozoficznych rozważań prowadzi nas namysł nad językiem, a jest to dopiero przedsiónek problematyki. W końcu, odrzucając ujęcie skrajne, można przyjąć, że opis (język) zmienia przedmiot (rzeczywistość), że po nazwaniu czegoś, mamy już do czynienia z czymś innym – tym czymś razem z jego opisem, który zawsze jest interpretacją. Zjawisko, któremu dodajemy interpretację, jest już czymś innym, czymś, co niejako „wyposażamy” w całość odniesień obecnych w języku, w cały językowy kontekst. Sprawy nie są tak proste, jak się wydają – to ważna konstatacja, chociaż niekoniecznie to ona jest końcem filozoficznej refleksji, gdyż dla wielu celem filozofii jest odkrycie, jak wszystko ostatecznie jest proste, nieskomplikowane, a nawet jak wszystko jest jednością.

W każdym razie język ukazuje nam świat, umożliwiając nazwanie tego, co nas otacza, daje nam narzędzia niezbędne do funkcjonowania. Już jednak sam w sobie jest rodzajem świata, strukturą, z której nie możemy się wydostać – każde pomyślenie o takiej ewentualności też dokonuje się w języku. Czy zatem język determinuje nasze myślenie i nawet jest granicą naszej wolności? Jak mówimy, tak myślimy, i nie potrafimy myśleć inaczej, bo i inaczej nie potrafimy mówić? Do pewnego stopnia można na te pytania odpowiedzieć twierdząca, zwłaszcza wtedy, gdy się przyjmie, że język oznacza tu szerzej ludzką umiejętność komunikacji. Mamy przecież „wymowne milczenia”, „wiele mówiące gesty” czy „spojrzenie jak tysiąc słów”. Wszystko to należy jednak do tego, co można określić ludzkim „działaniem komunikacyjnym” i co w swojej różnorodności jest też rodzajem języka podlegającym tym samym zasadom rozumienia i tłumaczenia, co każdy język². Tak samo jest on uwarunkowany kulturowo i tak samo kulturę kształtuje. Analogicznie jest z językiem muzyki czy sztuki – znajomość kodów kulturowych pozwala na głębsze rozumienie i nawet jeśli z zachwyty „odbiera nam mowę”, to jednak doświadczenie to dokonuje się na zasadach podlegających regułom hermeneutyki, czyli nauki o rozumieniu. Aby móc się zachwycić utworem muzycznym czy dziełem sztuki, trzeba mieć fundament w postaci językowo przyswajanych danych umożliwiających odbiór przekazu. Podbudowa intelektualna przeciwdziała zakłóceniom w procesach komunikacyjnych, niezależnie od używanego w nich rodzaju języka.

Tu jednak dochodzimy do kolejnej kwestii, która również staje się przedmiotem refleksji filozoficznej. Oto język jawić się może jako przeszkoda, jako to, co zakrywa właściwe sensory, zaciemnia i zasłania, sprawia, że zapominamy o tym, co najważniejsze. Na przykład Martin Heidegger (1889–1976) dostrzegł w tym punkcie ważny aspekt dochodzenia do prawdy, który wyraża się w konieczności odrzucenia dotychczasowego języka i mówienia o sprawach istotnych w nowy sposób. Píše: „słowo jest już tylko dźwiękiem, hałaśliwym

² Teorię działania komunikacyjnego rozwijał w ramach szerszej koncepcji rozumu komunikacyjnego i racjonalności komunikacyjnej Jürgen Habermas (ur. 1929).

roznamiętnieniem, przy którym nie można już doszukiwać się <sensu>, ponieważ całe skupienie wzięte z ewentualnego namysłu, jak również namysł w ogóle, są traktowane ze wzgardą jako coś osobliwego i bezsilnego³. Stąd potrzeba stworzenia nowego języka, aby w ogóle móc coś istotnego powiedzieć. Dlatego też u Heideggera mamy wiele neologizmów, słów stworzonych przez niego po to, aby móc wyrażać się bardziej precyzyjnie i bardziej adekwatnie, w każdym razie inaczej, niż do tej pory. Właściwie nie chodzi o „wyrażanie się”, w sensie „wyrażanie samych siebie”, ale pozwolenie na to, aby „wyrzuciło się” (z konieczności przez nasze pośrednictwo) to, co jest fundamentem bycia, istnienia, a co nasze codzienne posługiwanie się językiem jedynie odpycha coraz dalej od nas, czyniąc z języka narzędzie alienacji, wyobcowania. Oczywiście, najbardziej znany zakrywający sposób mówienia nazywa się kłamstwem, ale to rodzaj stosunkowo nieszkodliwy (na gruncie teoretycznym), chyba że prowadzi do całkowitego zakłamania i kłamiący nie jest już w stanie dostrzec tego, że kłamie. Tu jednak chodzi o całkowicie inny rodzaj zakrywania. Gdy mówimy na przykład o miłości, to w najlepszej wierze używając słowa „miłość” nie jesteśmy w stanie wypowiedzieć nic ponad to, czym słowo to jest już (pop-)kulturowo, społecznie, historycznie „skażone”. Pojawia się językowa bezradność, bo znaczenia obciążające dane słowo mają się nijak do doświadczenia, które chcemy zakomunikować. Są też słowa, które już nic nie znaczą, albo których znaczenia nie da się ustalić ze względu na powszechnie panującą kakofonię. Zaczyna się to już na poziomie normalnie używanego przez nas języka, a nie jest jedynie wynikiem świadomie „sprzedawanych” głównie przez polityków (a w ich służbie przez „ludzi mediów”) sprzecznych narracji prowadzących do sytuacji, w których nikt już nie wie, kto co naprawdę mówi i co za tymi słowami stoi. Dla próby opisanego zjawiska ma Heidegger słowo „gadanina”, które, uważa, nie jest dla niego zjawiskiem negatywnym – to po prostu zwyczajny, powszechny sposób wyrażania i rozumienia rzeczy (które – czemu nie da się zaprzeczyć – sprzyja zakrywaniu, fałszowaniu i samo-zakłamywaniu): „Gadanina jest możliwością zrozumienia wszystkiego bez uprzedniego przyswojenia sobie sprawy. Gadanina strzeże wręcz przed niebezpieczeństwem nieudanego przyswojenia. Gadanina, którą może pojąć każdy, nie tylko odrywa od zadania rzetelnego rozumienia, lecz wykształca ponadto indyferentną zrozumiałość, dla której nic już nie jest zamknięte⁴”.

Nasz język jest „coraz bardziej rozgadany i zużyty⁵”, nie nadaje się do wyrażania fundamentalnej prawdy o istnieniu, rozmija się na podstawowym poziomie z tym, co istotne. Jeśli więc język kształtuje świadomość, to językowy chaos sprawia chaos w naszej świadomości, niemoc czy niedowład duchowy (jak kto woli: psychiczny), dezorientację i zagubienie. Z tego powszechnego i fundamentalnego niedoboru, czy nazwijmy to może ubóstwem lub biedą, rodzi się lęk i zatroskanie (słynna skądinąd Heideggerowska „troska”) o ostateczne rozstrzygnięcia i stąd też wypływa konieczność udania się w drogę, aby móc się przebudzić i nie skończyć „w mroku nowinek, przebieranek lub zupełnego upadku⁶”.

Wypada sobie życzyć tego typu przebudzenia (czy oświecenia), co przy codziennym używaniu języka niekoniecznie jest możliwe, ale co zawsze powinno się jawić jako cel nieco głębszej refleksji nad naszą ludzką kondycją.

³ M. Heidegger, *Przyczynki do filozofii*, tłum. B. Baran, J. Mizera, Kraków 1996, s. 120.

⁴ M. Heidegger, *Bycie i czas*, tłum. B. Baran, Warszawa 1994, s. 239–240.

⁵ Por. M. Heidegger, *Przyczynki do filozofii*, Kraków 1996, s. 79.

⁶ Por. tamże, s. 99.

Alicja Łukawska



ŻUŁAWSKIE opowieści

NIEMIECKIE SIEROCIŃCE NA ŻUŁAWACH ELBLĄSKICH

Po wielkiej powodzi, jaka zdarzyła się na Żuławach w 1888 roku, wiele osób zostało bez dachu nad głową. W efekcie tego kataklizmu ludzie nie tylko tracili życie i majątek w odmętach wodnych, ale też popadali w szaleństwo. Po tej tragedii na Żuławach Elbląskich było wiele osób chorych, bezdomnych i całkowicie pozbawionych majątku. Spora grupa dzieci stała się sierotami. W tej sytuacji po raz pierwszy w dziejach na tym terenie zaczęły powstawać placówki opiekuńcze, które miały nieść pomoc potrzebującym i poszkodowanym.

Olbrzymia wodna katastrofa zdarzyła się w Niedzielę Palmową, 25 marca 1888 roku, po południu. Wcześniej były potężne opady śniegu, a mróz panował tak straszny, że Wisła i Nogat zamarzły. Łód na Nogacie miał około 80 centymetrów grubości. Na Wiśle pokrywa lodowa miała aż 40 centymetrów grubości. Tragedia zaczęła się wtedy, kiedy przyszła odwilż. Gdy temperatura podniosła się powyżej zera, na Wiśle w okolicy Białej Góry powstał olbrzymi zator lodowy. Te masy lodu spowodowały, że woda z Wisły zaczęła przelewać się do Nogatu.

POTOP NA ŻUŁAWACH

Potężny napór wody sprawił, że tamtego dnia wały na Nogacie w okolicy Janówki nie wytrzymały wezbranego naporu i pękły. Pierwsza wyrwa miała długość około 150 metrów. Kolejna wielka dziura w wałach zrobiła się w okolicy Kazimierzowa. Woda szybko zalewała okoliczne tereny. Wkrótce praktycznie całe Żuławy Elbląskie aż do Zalewu Wiślanego zostały zatopione, łącznie było to około 190 kilometrów kwadratowych. Pod wodą znalazło się prawie 80 wsi. Wszystko nagle zamieniło się w jedno wielkie jezioro, z którego wystawały tylko dachy budynków. Zalane zostały domy i całe gospodarstwa.

Niesione prądem pływały po wodzie meble, deski, kawałki płotów, psie budy oraz różne drobne rzeczy. Została zalana nawet linia kolejowa Malbork–Elbląg, która jest przecież zbudowana na nieco wyższym nasypie. Częściowo zalane zostały były również miasta Elbląg, Malbork i Pruszcz Gdański (tam z kolei wylała rzeka Radunia). Na większości zalanych terenów żuławskie rozlewisko miało średnio około 1,5 metra głębokości.

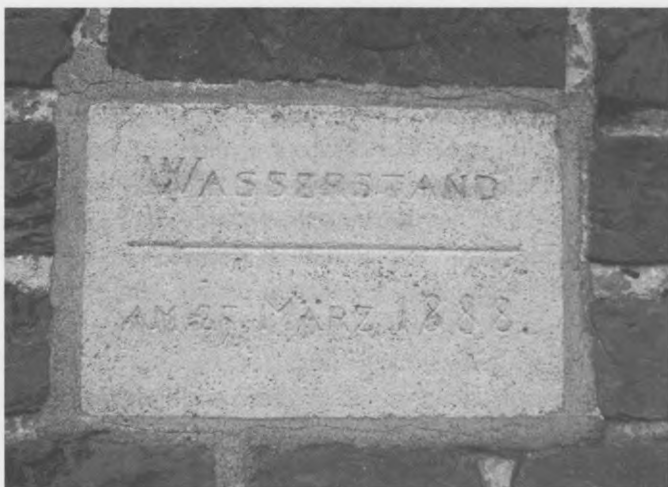
Mieszkańcy Żuław Elbląskich ratowali się jak mogli, gromadząc się na wzniesieniach, m. in. w okolicy Jegłownika. Mimo to kataklizm pochłonął wiele ofiar. Zginęła masa ludzi i zwierząt hodowanych przez rolników. Kiedy zesza woda, okazało się, że wielu



Tak wyglądała wielka powódź w 1888 roku w Malborku i okolicy. Fot. archiwum Muzeum Miasta Malborka

mieszkańców tego terenu zostało bez dachu nad głową, a spora gromadka dzieci została sierotami. Ogólne straty materialne poniesione w czasie tej powodzi szacowano na około 70 milionów ówczesnych marek, a rolnicy z Żuław przez wiele lat odbudowywali swoje domy i gospodarstwa.

W Malborku woda pojawiła się m. in. w takich miejskich instytucjach jak poczta główna, sąd i areszt. Głębokość wody w niektórych miejscach Malborka wynosiła podobno około



Pamiątkowa tabliczka wskazująca stan wody w Malborku w dniu 25 marca 1888 roku. Fot. A. Łukawska

dziesięć metrów. Jedyną zachowaną do dzisiaj materialną pamiątką tej powodzi jest tabliczka umieszczona na wysokości 176 centymetrów na ścianie kościoła pw. św. Wawrzyńca koło zamku.

Katastrofalna powódź na Żuławach została opisana w niemieckiej prasie, m. in. w popularnym ilustrowanym magazynie rodzinnym „Die Gartenlaube”. Stała się nawet tematem wierszowanego poematu o parze zakochanych pt. „Johannes und Mathilde:

ein Epos aus Elbings Ueberschwemmungzeit”, który wyszedł spod pióra elbląskiego nauczyciela gimnazjalnego Adolara Erdmanna i został wydany w Elblągu w roku 1888.

„MATKA” EVA ZE ŚLĄSKA

Dzięki artykułom w gazetach tragedia powodzian z Żuław była szeroko znana w całych ówczesnych Niemczech. Efekt był taki, że ofiarom tego kataklizmu pomoc niosło wiele osób, nawet mieszkających bardzo daleko. Jedną z nich była niemiecka diakonisa Eva von Tiele-Winckler (1866–1930) z Miechowic na Śląsku, zwana popularnie „matką Evą”. Dzisiaj porównuje się ją z katoliczką, matką Teresą z Kalkuty, która również zajmowała się dobroczynnością. Ewangeliczka Eva miała z nią wiele wspólnego, bo tak samo bezinteresownie niosła pomoc bliźniemu zgodnie z nakazami Ewangelii.

Eva von Tiele-Winckler pochodziła z uzlashedonej rodziny niemieckich przemysłowców. Była wnuczką zamożnego śląskiego biznesmena Franza Wincklera (1803–1851), współtwórcy przemysłu ciężkiego w Katowicach. W swej karierze przeszedł on drogę od „zera do milionera”. Zaczynał jako zwykły urzędnik w Okręgowym Urzędzie Górniczym w Tarnowskich Górach. Pracował potem jako szychtmistrz w kopalniach rządowych i sztygar w kopalni „Maria” koło Miechowic, należącej do hrabiego Franza Aresina. Wkrótce awansował i został jej dyrektorem. Niedługo potem stał się bajecznie bogaty.

Źródłem jego bogactwa była jednak nie tylko ciężka praca, ale też bardzo korzystny majątkowo ożenek ze starszą o 14 lat hrabiną Marią Aresin, owdowiałą dziedziczką posiadłości w Miechowicach i spadkobierczynią fortuny Franza Aresina. Związek ten został przez społeczeństwo uznany za wielki mezalians. Wyższe sfery stwierdziły, że pan młody to zwykły dorobkiewicz i łowca posagów. Wielki majątek jednak zawsze czyni cuda!

W 1840 roku wzbogacony Franz Winckler otrzymał od króla Prus tytuł szlachecki, później zaś różne nagrody i przywileje, m. in. prawo wyłączności wydobywania węgla kamiennego w dobrach katowicko-miechowickich. Usilnie pracował nad rozwojem swojej fortuny. W chwili śmierci był właścicielem 69 kopalń węgla kamiennego, 14 kopalń różnych rud, wielu hut cynku i żelaza, a także ziemi rolniczej oraz dwóch potężnych pałaców (w Katowicach i Miechowicach).

Spadkobierczynią ogromnego majątku Franza Wincklera została jego córka z pierwszego małżeństwa, Waleska von Winckler, która w swoim czasie była jedną z najbogatszych panien na wydaniu w całym kraju. Była świetną partią, miała ogromne powodzenie i całe tłumy starających się. Była tak zamożna, że mogła sobie pozwolić na małżeństwo z miłości, co nie było zbyt częste w tamtej epoce. Sama wybrała sobie męża! Była katoliczką, ale poślubiła ewangelika, przystojnego pruskiego oficera Huberta von Tiele, rodem z Kurlandii. Po ślubie oboje małżonkowie uzyskali od władcy Niemiec prawo używania podwójnego nazwiska Tiele-Winckler. Będąc już razem, zakupili dla rodziny trzecią posiadłość (neogotycki zamek w Mosznej na Śląsku Opolskim) oraz nieruchomości w Meklemburgii i na Węgrzech.

Waleska i Hubert bardzo się kochali. Mieli dziewięcioro dzieci. Waleska szczerze korzystała ze swojego majątku. Była bardzo pobożna i prowadziła szeroko zakrojoną działalność charytatywną. Opiekowała się chorymi i ubogimi ludźmi, których wtedy na Śląsku nie brakowało. Ufundowała kościół katolicki w Miechowicach, a także przekazała w darze działki pod budowę świątyni ewangelickiej i szkoły podstawowej w Katowicach.

Eva była ósmym z kolei dzieckiem Huberta i Waleski. Swe najmłodsze lata spędziła niczym księżniczka w bajkowym, neogotyckim zamku w Miechowicach, który liczył aż 300 pokoi. Matka wychowywała ją w duchu katolickim, jednak po jej śmierci dziewczyna



*Eva von Tiele-Winckler. Źródło: Wikipedia,
Matka_Ewa_01*

zmieniła wyznanie. W wieku szesnastu lat przeszła na protestantyzm, który był wiarą jej ojca i jego nowej małżonki. Po matce Eva otrzymała ogromny spadek wart 5 milionów ówczesnych marek. Mając takie pieniądze, mogła robić, co tylko chciała.

W tym czasie sytuacja majątkowa rodziny Tiele-Winckler osiągnęła swój szczyt. Hubert von Tiele-Winckler założył Katowicką Spółkę Akcyjną dla Górnictwa i Hutnictwa, do której wniósł większość swoich posiadłości górniczych i hutniczych. Do tej spółki należały m. in. kopalnie węgla („Florentyna”, „Ferdynand”, „Mysłowice”, „Nowa Przemsza”, „Jakub”), huty żelaza („Marta”, „Hubert”), koksownia przy kopalni „Florentyna”, kopalnie rudy żelaza koło Miechowi i Tarnowskich Gór, cegielnie i fabryki wapna. Poza tym wyłączną własnością tej rodziny były liczne kopalnie węgla kamiennego i rudy cynku oraz rozsiane po różnych okolicach majątki ziemskie. Dyrekcja zakładów Tiele-Winckler była w Miechowicach, zaś główna siedziba rodziny w Mosznej.

Młodziutka Eva Tiele-Winckler, która była osobą wrażliwą na krzywdę społeczną, postanowiła przeznaczyć odziedziczoną fortunę na pomoc bliźnim. Najpierw wyjechała do Bielefeld w Niemczech, gdzie przez osiem miesięcy uczyła się pielęgniarstwa w zakładzie prowadzonym przez diakonisy. Później sama została diakonisą. Po powrocie na Śląsk rozpoczęła pracę charytatywną wśród miejscowej ludności. Mimo sprzeciwu ojca, swój cały spadek przeznaczyła na założenie luterkańskiego klasztoru żeńskiego i fundacji „Friedenshorst” („Ostoja pokoju”) w Miechowicach, którymi kierowała aż do śmierci.

Zakładała domy pomocy potrzebującym, zwłaszcza bezdomnym, osieroconym dzieciom. Dzięki działalności jej fundacji powstało 40 takich domów oraz szpital „Waleska” (nazwany tak od imienia matki). Ustaliła regułę, że w prowadzonych przez jej fundację domach dla sierot będą mieszkać niewielkie grupy dzieci (10–15 osób) tworzące „rodzinę” pod opieką „matki”, czyli starszej diakonisy. Panował tam dość ścisły rygor, ale wychowankowie byli traktowani w sposób zindywidualizowany, jak w normalnej rodzinie.

Sama zaś porzuciła pałace i zamieszkała w skromnym, drewnianym domku na terenie „Ostoj Pokoju” w Miechowicach, który zachował się do tej pory. Swoje przedsięwzięcia początkowo finansowała tylko z kapitału, jaki odziedziczyła, jednak później korzystała też z darowizn innych osób. Tak właśnie zdarzyło się na Żuławach...

ŻUŁAWSKIE SIEROCIŃCE

Dzięki współpracy śląskiej fundacji „Friedenshorst” z żuławskim dobroczyńcą, zamożnym mennonitą Johannem Wiehlerem, powstały na Żuławach trzy placówki o charakterze dobroczynnym. Dwa domy dziecka w dwóch nowych murowanych budynkach z cegły

podarowanych przez Wiehlera fundacja zorganizowała w Preussisch Rosengart (Rozgart) w ówczesnym powiecie malborskim. Jeden nazywał się „Dom Jodłowy” („Tannenhauß”). Początkowo był on przeznaczony dla dzieci chorych i upośledzonych umysłowo. Dzieci zdrowe na ciele i umyśle ulokowano w pobliskim „Domu Lipowym” („Lindenhauß”). Z czasem ten budynek zamieniono na dom dla chorych i bezdomnych starców.

Trzeci dom, przeznaczony dla sierot i dzieci niechcianych, powstał w Neudollstadt (Nowe Dolno) w ówczesnym powiecie pasłęckim. Ulokowano go na pięciohektarowej działce położonej na polderze zwanym Hofkampe. Ten grunt podarował fundacji „Friedenshorst” niejaki Gustav Skirl, zarządca ogromnego majątku ziemskiego w Hohendorf (obecnie Wysoka) w powiecie pasłęckim. Dom o nazwie „Beztroska” („Sorgenfrei”) znajdował się nieco za wsią, nad brzegiem jeziora Družno. Mieszkało tam dwanaścioro dzieci w różnym wieku, przełożona, pielęgniarka dziecięca i asystentka. W pobliżu była rzeka Dzierzgoń, która służyła wówczas jako środek komunikacji. Latem pływano po niej łodziami, a zimą jeżdżono na łyżwach i sankach.

Wszystkie trzy instytucje działały na zasadzie montażu finansowego. Lokalni dobroczyńcy ofiarowywali fundacji „matki Ewy” swoje nieruchomości, a później wspierali finansowo prowadzone przez nią placówki. Fundacja nie tylko prowadziła te placówki, ale też jednocześnie uczyła ich personel pielęgniarstwa. W domach opieki w Rozgarcie zostały fachowo wyszkolone dwie córki Wiehlera, Helena i Anna. Z czasem Anna została przełożoną, czyli „matką” w sierocińcu w Neudollstadt, zaś Helena kierowała domem dziecka w Rozgarcie. Nie wiem, czy w tamtym czasie mennonitka mogła ot tak, po prostu, zostać ewangelicką diakonisą. Być może córki Wiehlera musiały w tym celu zmienić wyznanie?

OJCZULEK „JOHANN” Z ŻUŁAW

„Ojczulek” Wiehler, jak go nazywano, pochodził z Hohenwalde (Wojciechowo-Krzewsk) na Żuławach. Urodził się w 1866 roku jako szóste z kolei dziecko Kathariny z domu Stobbe i Heinricha Wiehlerów. Ożenił się z Elise Bestvater z Markushof (Markusy), z którą miał dziesięcioro dzieci. Początkowo wraz z rodziną mieszkał w nieistniejącej już dzisiaj wiosce Sparrau (Sporowo) położonej niegdyś pomiędzy Fiszewem i Różanami. Dzisiaj tam są już tylko pola uprawne. Nie ma żadnego śladu siedzib ludzkich i nikt nie pamięta o tym, że kiedyś była tam jakaś miejscowość. Sparrau istnieje tylko na starych, poniemieckich mapach. Na stronie „Global Anabaptist Mennonite Encyclopedia Online” czytamy, że Wiehler był świetnym gospodarzem i wydajnym rolnikiem. Był człowiekiem prostym i mało wymagającym. Żył w sposób niezwykle skromny. Jednak potrafił być hojny dla innych, a jego dom był zawsze otwarty dla potrzebujących. Dzięki ogromnej pracowitości i oszczędności miał wkrótce wystarczająco pieniędzy, aby kupować mniejsze gospodarstwa od starzejących się, podupadających rolników. Pozwalał im nadal mieszkać w swoich domach i opiekował się nimi, jak byli już starzy i chorzy. Korzystał tylko z ich ziemi, którą uprawiał i czerpał z niej dochód. Wkrótce zgromadził w ten sposób spory majątek. Podobno miał taki zwyczaj, że co jakiś czas zaprzęgał konia do wozu i jeździł po okolicy, odwiedzając biednych, chorych i starych ludzi, którym regularnie pomagał. Zawoził im ziemniaki, warzywa i kwiaty, a nawet mięso z własnego gospodarstwa. Prócz tego był świeckim kaznodzieją. Zorganizował



Johann Wiehler. Źródło: Global Anabaptist Mennonite Encyclopedia Online, Johann_Wiehler

mennonickie koło modlitewne w Thiergart (Duninowo, Zwierzno).

Kiedy się zestarzał, przekazał dom i gospodarstwo w Sparrau najstarszemu synowi Richardowi, który miał trzynaścioro dzieci. Sam zaś z ociemniałą żoną, najmłodszym synem Heinrichem i córką Heleną zamieszkał kawałek dalej, w Preussisch Rosengart, gdzie kupił sobie nową siedzibę w polu, trochę za wsią, w domu zwanym „Zielone Pastwisko” („Die Gruene Aue”).

Wokół mieszkało wielu jego współwyznawców. Do Rozgartu założonego w średniowieczu przez krzyżaków, pod koniec XVI wieku, w czasach polskich, przybyli osadnicy z Holandii, głównie mennonicy. Po I rozbiore Żuławy zabrano Polsce Królestwo Prus. Według niemieckich źródeł z 1776 roku w Rozgarcie mieszkali wtedy m. in.: Claassen, Cornelsen Dau, Dick, Friesen, Froes, Goertz, Goertzen, Kaettler, Kleewer, Martens, Meckelburger, Nickel, Niessen, Puls, Penner, Peters, Philipsen i Wieb. W 1789 roku było tam 126 mennonitów, w 1821–83. W 1888 mieszkały tam 23 rodziny mennonickie. W styczniu 1945 roku, kiedy skończyła się niemiecka historia tej miejscowości, żyło tam jeszcze 55 wyznawców tej religii.

W 1888 roku, kiedy zdarzyła się owa wielka powódź na Żuławach, została doszczętnie zniszczona świątynia mennonicka w Markusach. Budynek był w tak złym stanie, że już nie opłacało się go odbudowywać. Lepiej było postawić nowy. Dlaczego na miejsce budowy wybrano Rozgart a nie Markusy? Głównym powodem była zbyt mała odległość Markus od innej mennonickiej świątyni, która znajdowała się w Thiensdorf (po wojnie Tynowo, Jezioro).

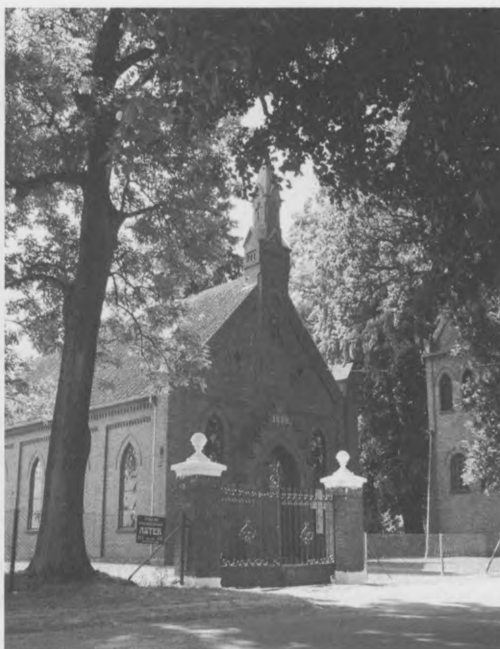
Kościół mennonicki w Rozgarcie ukończono w 1891 roku. Jest to budowla neogotycka, z czerwonej cegły, jedna z nielicznych świątyń mennonickich posiadających dzwonnice. Podobno na budowę dzwonnicy w tym miejscu musieli wyrazić zgodę okoliczni duchowni innych wyznań, m. in. proboszcz ze Zwierzna.

Tragedia II wojny światowej przez długi czas nie była w ogóle wyczuwalna dla niemieckich mieszkańców tego sielskiego zakątka Żuław. Okoliczni rolnicy mieli z nią do czynienia tylko w postaci tłumów cudzoziemskich jeńców wojennych i robotników przymusowych zwozonych tutaj z różnych krajów europejskich podbitych przez III Rzeszę. Ci właśnie niewolnicy mieli zastąpić niemieckich mężczyzn, których Adolf Hitler potrzebował na polu bitwy.

Pod koniec wojny, kiedy Niemcom kończyło się ludzkie mięso armatnie, do służby w Wehrmachcie został powołany także Heinrich Wiehler, najmłodszy syn Johanna. W tamtym momencie Johann miał już 84 lata i musiał sam zająć się gospodarstwem. Prawdopodobnie prowadził je przy pomocy niewolników, którzy byli tutaj prawie w każdym gospodarstwie.

A potem było jeszcze gorzej. W styczniu 1945 roku nadszedł tragiczny koniec. Mieszkańcy tej części Żuław nie podlegali przymusowej, odgórnie zarządzanej ewakuacji, tak jak na Wielkich Żuławach, które Niemcy planowali zatopić i zmuszali wszystkich do wyjazdu stamtąd. Tutaj każdy obywatel sam podejmował decyzję o ucieczce.

Była zima, straszliwy mróz, śnieg, drogi oblodzone i zapchane tłumami uchodźców, cel podróży nieznany. Jak tu jechać? Jak zostawić na pastwę losu swoje wypieszczone, rasowe krowy, konie, świnie i resztę zwierząt hodowlanych? Prawdziwy gospodarz zawsze ma z tym kłopot. Część mieszkańców, zwłaszcza hodowców bydła, zostawała na miejscu ze swoimi zwierzętami, a część wyjeżdżała, pozostawiając swoje gospodarstwa pod opieką robotników przymusowych. Cudzoziemskich niewolników miał z kolei pilnować miejscowy oddział Volkssturmu. Hodowcy z bólem serca i łzami w oczach żegnali się ze swoim inwentarzem, nie wiedząc, czy jeszcze zobaczą swoje zwierzęta. Stojąc przed takim wyborem, starzy Wiehlerowie postanowili zostać w ciepłym domu, choć większość ich sąsiadów wyjechała na zachód.



Dawna świątynia mennonicka w Rozgarcie, obecnie kościół katolicki pw. św. Piotra i Pawła, a jednocześnie kościół filialny parafii pw. św. Michała Archaniola w Zwierznie. Źródło: Wikipedia

Armia Czerwona weszła na Żuławy z dużą łatwością, bo teren ten nie był zbyt broniony przez Wehrmacht. Pojawienie się tu Rosjan wiązało się z akcją oblężenia Elbląga. W Rozgarcie radzieccy żołdaci pojawili się dokładnie 25 stycznia. W jednym z większych gospodarstw była ich komendantura, z której zarządzali całą okolicą. W sąsiedztwie kręciły się jeszcze liczne rozproszone oddziały niemieckie. Jeszcze poprzedniego dnia wieczorem żołnierze Wehrmachtu i członkowie miejscowego Selbstschutzu leżeli z karabinami w zamrzniętych rowach w okolicy mostu na Tynie w Thienesdorf (Jezioro), czekając na atak Rosjan, bo mieli rozkaz obrony tego miejsca. Potem zaczęli odstępować na zasadzie „chowaj się, gdzie kto może”.

Jest taka wersja, że położony nieco z dala od innych gospodarstw dom Wiehlerów okazał się doskonałą kryjówką dla niemieckich dezertersów. Rosjanie wezwali ich do opuszczenia budynku, a kiedy tak się nie stało, podłożyli ogień. W jego płomieniach zginął Johann, jego żona i córka, a także szwagier Hermann Bestvater, który z nimi mieszkał. Nie wiadomo jednak, na ile ta opowieść jest prawdziwa...

Nic na ten temat nie wie Piotr Liedtke ze Zwierzna, którego rodzina od stu lat mieszka w sąsiedztwie Rozgartu i który jest skarbnicą wiadomości o tym kawałku Żuław.

– Znam tę postać, wielokrotnie słyszałem o Wiehlerze od mojej mamy Agnieszki. Ona nieraz wspominała, że to był bardzo dobry człowiek i znakomity rolnik. Jego dom był zawsze bardzo zadbane i otoczony kwiatami. To było bardzo ładne obejście. Dawny dom Wiehlerów jeszcze stoi, ludzie tam nadal mieszkają. Nic nie wiem o tym, by został spalony i że ta rodzina zginęła w pożarze. Ale też nie mam pojęcia, co się z nimi stało. Kiedy moja mama latem 1945 roku wróciła w te strony z nieudanej ucieczki na zachód, to już ich nie było u siebie – powiedział mi Piotr Liedtke.

Niemieccy wychowankowie domu dziecka w Rozgarcie przebywali tam jeszcze po 1945 roku, w czasie, kiedy na te tereny przybyli już Polacy. Dzieci z sierocińca w Rozgarcie we wrześniu 1945 roku rozpoczęły naukę w szkole podstawowej w Duninowie (Zwierznie). W roku szkolnym 1945/1946 uczyły się tam razem z polskimi kolegami. Później zostały przeniesione do domu dziecka w Elblągu.

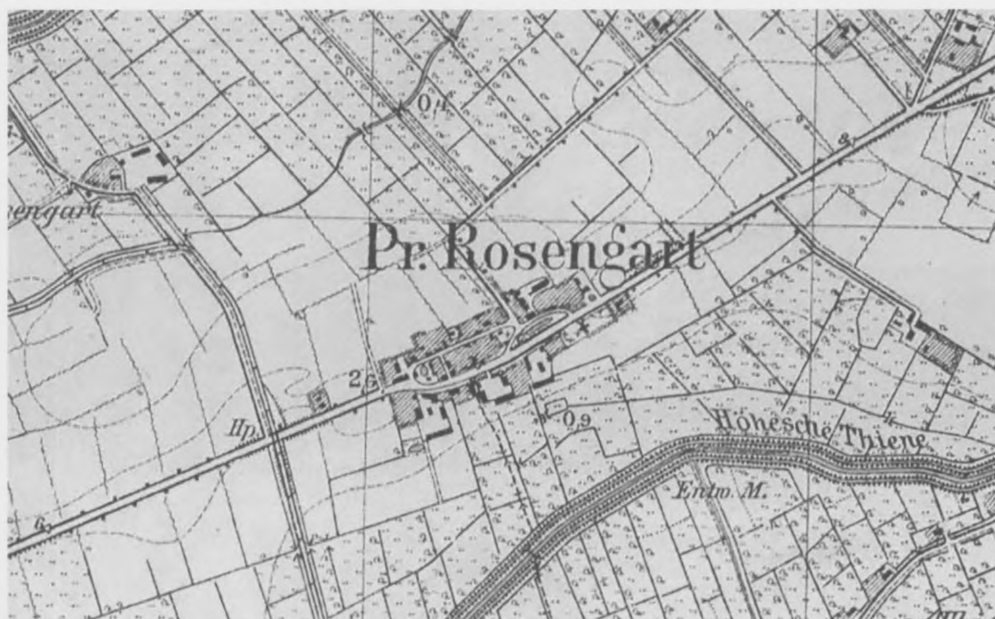
UCIECZKA Z NEUDOLLSTADT

Więcej informacji znalazłam na temat losów wychowanków trzeciej placówki, czyli domu dziecka „Beztroska” znad jeziora Družno, którą kierowała siostra Anna Wiehler. W styczniu 1945 roku, wraz z pomagającą jej pielęgniarką, siostrą Ilzą, opiekowały się dwanaściorcem dzieci w wieku od niespełna roku do czternastu lat. Kiedy wszyscy już wiedzieli, że Armia Czerwona jest tak blisko, że będzie na Żuławach za parę dni, mieszkańcy Nowego Dolna postanowili uciekać, ale tylko jakieś 100 kilometrów na zachód, czyli za Wisłę. Tam chcieli przeczekać parę dni, a jak już front się przewali, wrócić do siebie. Ustalono, że wszyscy chętni do wyjazdu spotkają się koło gospody Roberta Daniela przy moście na rzece Dzierzgoń i wyruszą razem w ustalonym porządku.

Siostra Anna zdecydowała, że wywiezie swoich wychowanków w bezpieczniejsze miejsce. Chciała jechać razem z sąsiadami. Miała jednak do dyspozycji tylko dwa wozy z końmi. Jeden z nich przeznaczyła dla najmłodszych, malutkich dzieci, które nie mogły same maszerować, a drugi na zapasy żywności i najpotrzebniejsze rzeczy na drogę. Nie wiadomo, kto miał powozić tymi pojazdami. Może w sierocińcu również byli robotnicy przymusowi, tak jak w okolicznych gospodarstwach? I to oni powozili końmi? Starsze dzieci dostały polecenie, by spakować swoje szkolne tornistry i zabrać je ze sobą. 21 stycznia wieczorem w sierocińcu była ostatnia kolacja, a potem wszyscy ruszyli w ciemnościach zamarznąłą rzeką Dzierzgoń w kierunku miejsca zbiórki w Nowym Dolnie. Mieli się tam stawić tuż przed północą.

Anna Wiehler miała nadzieję, że część jej podopiecznych wezmą na swoje wozy sąsiedzi ze wsi. Ale okazało się, że w tym trudnym czasie ludzie stali się bardzo egoistyczni. Każdy myślał tylko o sobie i swojej rodzinie. Mało kto był chętny do pomocy sierotom. Tylko dwie sąsiadki z Neudollstadt, Eva Freitag i pani Mahrnun, zaprosiły kilkoro dzieci z „Beztroski” na swoje wozy. Reszta, zwłaszcza starsi wychowankowie, musieli iść pieszo przy wozach. Była zima, panował straszny mróz, około 20 stopni Celsjusza poniżej zera. Padał śnieg, a brukowane drogi były strasznie oblodzone. Jechali po ciemku. Kopyta źle podkutych koni (w tym czasie wszędzie brakowało hufnali) ślizgały się po lodzie. Wśród tłumów uciekinierów panował chaos i bałagan. To był dosłownie cud, że żadne dziecko z sierocińca nie zgubiło się w tym rozgardiaszu!

Kolumna wozów z Nowego Dolna powoli przejechała przez Żuławy, minęła Malbork i Tczew, zaś stamtąd ruszyła na Kościerzynę. Siostra Anna miała już dość tej męczącej podróży na wozach! Postanowiła, że dalej pojedzie z dziećmi pociągiem w kierunku Gdańska, a potem jakimś statkiem na zachód. Dworzec kolejowy w Kościerzynie był potwornie zatłoczony. Nie było już regularnych kursów pociągów, nie było pełnej obsługi stacji,



Fragment starej niemieckiej mapy wsi Preussisch Rosengart. Źródło – internet

wszystkie pociągi były oblegane przez uchodźców, panował potworny ścisk. Tłumy podróżnych szturmowały składy, a potem całymi godzinami czekały na odjazd pociągów.

Rankiem 30 stycznia 1945 roku siostra Anna wraz z całym sierocińcem dotarła do Gdyni. W porcie na nabrzeżu były tłumy. Wszyscy usiłowali dostać się na pokład wielkiego statku „Wilhelm Gustloff”, który miał odpłynąć na zachód. Niestety, był on tak przepelniony, że już w ogóle nie przyjmował pasażerów. Na pokładzie miał około 10 tysięcy ludzi chcących uciec przed Armią Czerwoną. Wkrótce załoga podniosła trap i okręt odpłynął. Grupka zrozpaczonych sierot została na brzegu.

– Dzieci, kto wie, czemu to ma służyć? – stwierdziła siostra Anna, która głęboko wierzyła w to, że czuwa nad nimi boska Opatrzność i tylko w niej pokładała zaufanie.

Okazało się, że po kilku godzinach rejsu „Wilhelm Gustloff” został trafiony trzema radzieckimi torpedami wystrzelonymi przez okręt podwodny S-13 dowodzony przez komandora podporucznika Aleksandra Marinesko. Zatonął godzinę później na wysokości Ulinii w okolicy latarni morskiej Stilo. Inne niemieckie statki obecne w okolicy próbowały ratować rozbitków. Z całej katastrofy wyszło żywcem tylko 1215 osób, reszta utonęła.

Natomiast sieroty z Nowego Dolna wraz z opiekunkami tego samego dnia po południu dostały się na pokład pustego frachtowca węglowego, który okazał się dość wygodnym środkiem transportu. Jednak statek płynął po morzu pełnym dryfujących, niebezpiecznych min morskich. W pewnym momencie jedna z nich zderzyła się z okrętem. Na szczęście siła wybuchu została zmniejszona przez grubą krę lodową. A mróz panował wtedy około 20 stopni Celsjusza poniżej zera. Mimo to sytuacja frachtowca stała się krytyczna. Mina zrobiła dziurę w burcie statku i woda zaczęła przedostawać się do środka. Wśród podróżnych wybuchła panika. Siostra Anna była jedną z niewielu osób, które zachowały spokój w tej sytuacji. Woda sięgała pasażerom już do kolan i statek zaczął powoli



Pałac Tiele-Wincklerów w Miechowicach. Źródło: Wikipedia, Schloss_Miechowitz_Sammlung_Duncker

pograżać się w głębinie. Jednak załozde statku udało się zatamować wyciek i wypompować wodę ze środka statku.

Ostatecznie szczęśliwie dołynęli do Rostocku, gdzie siostra Anna z dziećmi opuściła okręt. Celem ich dalszej podróży było Damen (powiat Malchin, Meklemburgia-Pomorze Przednie), gdzie znajdował się inny dom dziecka prowadzony przez fundację Ewy Thiele-Winkler. Byli pewni, że tam, „u siebie”, znajdą dach nad głową i jakieś pożywienie.

Boska Opatrzność, w którą tak wierzyła przełożona sierocińca z Nowego Dolna, widocznie czuwała na tą grupką dzieci, którym udało się wyjść szczęśliwie z tak ciężkich tarapatów. Ktoś z wychowanków opowiedział tę dramatyczną historię Horstowi Złomke, który uwiecznił ją w swej książce o parafii ewangelickiej w Kwietniewie, do której należało Neudollstadt do stycznia 1945 roku.

Inspiracją do napisania tego tekstu była rozmowa z Leszkiem Marcinkowskim, prezesem elbląskiego Oddziału PTTK, od którego po raz pierwszy usłyszałam o współpracy Johanna Wiehlera z fundacją Ewy Thiele-Winckler. Korzystałam także z książek Lecha Słodownika „Dawne wsie pastęckie i elbląskie” i Horsta Złomke „Das Kirchspiel Koenigsblumenau” oraz hasła osobowego nt. Johanna Wiehlera w „mennonickiej Wikipedii”.

Wioletta Toruńczyk



Żuławy Gdańskie – kulturalnie!

POPULARYZACJA REGIONU POPRZEZ DZIAŁANIA INSTYTUCJI KULTURY W GMINIE PRUSZCZ GDAŃSKI

Żuławy Gdańskie (Danziger Werder) – część regionu północnej Polski, która rozciągnięta jest od Mierzei Wiślanej na północy do Pojezierza Starogardzkiego na południowym zachodzie oraz od Pojezierza Kaszubskiego na zachodzie do Wisły na wschodzie. Największym miastem jest Gdańsk, a właściwie jego wschodnio-południowa część (dzielnice Rudniki – z Rafinerią Gdańską, Niegowo, Olszynka, częściowo Orunia i Lipce) – kanał Raduni stanowi umowną granicę między niziną a wyżynną częścią Gdańska. Natomiast znaczna część Żuław Gdańskich znajduje się w obszarze administracyjnym gminy wiejskiej Pruszcz Gdański, wschodniej części miasta Pruszcz Gdański oraz gmin Suchy Dąb i Cedry Wielkie.

I to właśnie w jednej z wyżej wymienionych jednostek administracyjnych doszło do kulturalnego poruszenia. Ośrodek Kultury, Sztuki i Biblioteka Publiczna Gminy Pruszcz Gdański (OKSiBP) w konkursie Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego pozyskała na lata 2022–2023 dofinansowanie z Narodowego Programu Rozwoju Czytelnictwa.



Replika starego laubekzinu z pomysłodawcą Wiesławem Zbroińskim, fot. Mateusz Włoch

Dotacja była przeznaczona na działania animacyjno-edukacyjne, oparte na budowaniu partnerstw i wykorzystaniu potencjału społecznego. Gmina Pruszcz Gdański jest jednostką regionalnie niejednorodną. Jej wschodnia część leży na Żuławach Gdańskich, a część zachodnia na Wyżynie Gdańskiej. Dotychczas większość działań kulturowych była skoncentrowana na obszarach wyżynnych, choćby z uwagi na ich gęstsze zaludnienie. Projekt z założenia miał wyrównać szanse mieszkańców nizinnej części gminy w dostępie do kultury.

Chcieliśmy zwrócić uwagę na Żuławy, z ich małymi miejscowościami, ze specyficzną gospodarką wodną, rolną, z bogatą historią i z kulturalnymi potrzebami, w tym potrzebą poczucia tożsamości z miejscem, w którym przyszło żyć współczesnym mieszkańcom – wyjaśnia Grzegorz Cwaliński, dyrektor OKSiBP.

KIERUNEK – KULTURALNE ŻUŁAWY

Projekt realizowany był przez dwa lata i zakładał przeniesienie działań kulturalnych na ten obszar. Zaangażowano cały zespół biblioteczny, zaproszono do współdziałania mieszkańców i lokalne organizacje. I tak pozyskano partnerów: Szkołę Podstawową w Wiślinie, Koło Gospodyń Wiejskich w Wiślinie, Ochotniczą Straż Pożarną w Wiślinie, ówczesnego radnego gminy i pasjonata lokalnej historii Jerzego Kornackiego, sołtysa Mokrego Dworu Wiesława Zbroińskiego i sołtysa Wiśliny Adama Wysockiego.

Działania rozpoczęły się badaniami potencjału kulturowego żuławskiej części gminy Pruszcz Gdański. Szczególnie w kontekście potrzeb młodych mieszkańców. Młodzież ma niewielką świadomość i wiedzę na temat regionu, w którym mieszka. Szkoły podstawowe nie prowadzą edukacji regionalnej albo prowadzą ją w sposób mało angażujący. Efektem jest brak poczucia tożsamości, sprawczości i odpowiedzialności za własne otoczenie.

Ośrodek kultury wyszedł do szkół podstawowych z propozycją wspólnego działania. Pierwszym efektem takiej współpracy było stworzenie questa, czyli całorocznej, bezobsługowej gry terenowej. Podczas warsztatów młodzież stworzyła trasę questa, napisała wierszowane zagadki, nauczyła się, w jaki sposób określać geolokalizację punktów ważnych dla aplikacji, w której gra została umieszczona. Proces ten wymagał nie tylko dobrej znajomości języka polskiego, ale przede wszystkim wiedzy na temat żuławskich miejscowości. Należało zapoznać się z historią, topografią, zabytkami i innymi wyróżnikami. Powstała gra „W poszukiwaniu skarbów Wiśliny i Mokrego Dworu”. Są to dwie sąsiadujące ze sobą wsie, które łączy wspólna historia. Gra jest ogólnodostępna i korzystają z niej uczniowie i turyści z całej Polski. Rokrocznie realizuje ją kilkaset osób. Można ją znaleźć na stronie internetowej lub w aplikacji Questy Wyprawy Odkrywców <https://questy.org.pl/quest/zulawskie-drogi-w-poszukiwaniu-skarbow-wisliny-i-mokrego-dworu>

W pierwszym roku działań projektowych zrealizowano wiele działań animacyjnych. We wszystkie była włączana młodzież, nauczyciele i lokalne organizacje. Podczas *Dnia z Biblioteką* został zorganizowany poranek dla najmłodszych – dzieci zapoznały się z „Raptularzem Żuławskim” autorstwa Marty Koperskiej-Kośmickiej i samodzielnie tworzyły papierowe wiatraczki. Młodzież wybrała się na podchody w starym stylu – razem z Hobbitem uczestnicy rozwiązywali żuławskie zagadki, które prowadziły ich do skarbu. W to działanie



Przystanek w Mokrym Dworze, fot. Małgorzata Gołofit

włączyła się miejscowa OSP, organizując dzieciom ognisko i zabawy zręcznościowe. Tego samego dnia odbyło się spotkanie autorskie z Arturem Wasielewskim poświęcone jego książce „Kulinaria żuławskie”. Gość wspólnie z Kołem Gospodyń Wiejskich z Wiśliny, mieszkańcami i bibliotekarkami ugotował żuławską zupę klopsową, która była serwowana podczas kulturalnego *Wieczoru z biblioteką*. Oprócz konsumpcji w programie znalazła się również projekcja filmu „Legends Żuławskie” oraz wernisaż „Utrwalić zanim zniknie”. Wystawa była efektem warsztatów fotograficznych, które miały na celu uwrażliwić mieszkańców na to, co ich otacza, a czego być może na co dzień nie zauważają i co może wkrótce zniknąć z lokalnego krajobrazu.

Rok 2023 to czas, w którym OKSiBP realizował kolejne działania projektowe. Na początku roku została oddana do użytku wyremontowana część gminnego budynku przeznaczonego na działania filii bibliotecznej. To mały lokal, z wyjątkowo dużą liczbą okien i drzwi wewnętrznych – jak na bibliotekę mało funkcjonalny. Jednak ośrodek kultury, który administruje obiektem, to przede wszystkim ogromny zasób kreatywności, który został w tym miejscu dobrze wykorzystany.

Skromną kubaturę lokalu przekuliśmy w jego atut. Mocną stroną okazał się skutecznie zrealizowany pomysł na aranżację. Dużą rolę w tym procesie odegrali Wiesław Zbroiński, sołtys Mokrego Dworu i partner w żuławskim projekcie, oraz dyrektor Grzegorz Cwaliński, który jest kopalnią wielu twórczych pomysłów – dopowiada Wioletta Toruńczak, kierowniczka gminnej biblioteki, która wszystkie „żuławskie” projekty wdrażała w życie.

I tak pojawiła się biblioteka z zupełnie nowym wizerunkiem i nową marką: Biblioteka na Żuławach z lokalnymi wyróżnikami. Główną ścianę zwieńczyły wielkie wrota zbudowane z ponad stuletnich desek pochodzących z żuławskich spichlerzy i stodół. Holenderskie flizy (którymi dawni mieszkańcy regionu chętnie dekorowali swe domy) ozdobiły front



Tablica na trasie questa „Woda na Żuławach”, fot. Wioletta Toruńczak

pulpitu bibliotecznego, a współczesne flizy (podarowane przez Beatę Grudziecką z Ceramiki Malborskiej) zawisły na ścianach. We wnętrzu stanęła wierzba zasadzona w ogromnej donicy i zawisły repliki laubzekinów wzorowane na odnalezionym, starym ornamentcie, zdobitym wcześniej jeden z żuławskich domów. Zaś historia tego laubzekinu była początkiem kolejnego projektu..., ale o tym w dalszej części opowieści.

Drugim rokiem realizacji projektu *Kierunek – Kulturalne Żuławy* to przede wszystkim konkurs na inicjatywy oddolne – dodaje Grzegorz Cwaliński. – Ośrodek kultury oddał inicjatywę kulturotwórczą mieszkańcom. Dodatkowe punkty, które decydowały o wyborze konkretnej inicjatywy, były przyznawane za aktywny udział młodzieży oraz uwzględnienie wątków regionalnych.

Do realizacji zostały przyjęte cztery inicjatywy. Pierwsza to impreza rozrywkowa – *Żuławska Noc Cudów*. Była to znana z kultury słowiańskiej Noc Kupały, podczas której w otoczeniu zabytkowego wiatraka, na brzegu rzeki Motławy (a właściwie jej starego koryta) odbył się koncert pieśni tradycyjnych, bajarki pływające łódką po Motławie opowiadały legendy i baśnie żuławskie, a wieczorem odbył się plenerowy pokaz filmu „Legends Żuławskie”. Nie zabrakło wspólnej biesiady przy ognisku i terenowej gry krajoznawczej. Było to integracyjne wydarzenie, w którym uczestniczyło około pół tysiąca osób. Mieszkańcom tak się spodobało, że w 2024 odbyła się druga edycja imprezy, a w roku 2025 planowana jest kolejna. Jej kontynuatorem jest lokalna Zagroda Edukacyjna U Młynarza.

Kolejną inicjatywą oddolną był projekt o nazwie *Żuławska ekspresja* – mówi Wioletta Toruńczak. – Projekt łączył młodzież z nauczycielami, rodzicami i instruktorami plastycznymi ośrodka kultury. Jego celem była zmiana wizerunkowa typowego, betonowego i szaroburego przystanku autobusowego w Mokrym Dworze. Zaczęło się od lekcji plastycznych dla młodzieży i prac wykonawczych dla wszystkich zaangażowanych. Potem była fizyczna praca – czyszczenie, szycowanie gruntu, ścian, projektowanie wzorów, ich nanoszenie



Detale architektury drewnianej, fot. Mateusz Włoch

i malowanie. Przystanek w biało-niebieskiej kolorystyce, nawiązującej do wspomnianych flizów, stał się ciekawym miejscem, przyciągającym uwagę, inspirującym dla innych. W czerwcu miną dwa lata od czasu sfinalizowania projektu, a wiata wciąż wygląda tak, jakby była pomalowana wczoraj.

Zupełnie innym rodzajem projektu zgłoszonego przez mieszkańców była propozycja związana z gospodarką wodną na Żuławach. Mieszkańcy wymyślili kolejny quest, osadzony głównie w żuławskiej depresji, obejmujący zasięgiem jeden z polderów. Celem było pokazanie jak ważne jest myślenie o wodzie i umiejętnym gospodarowaniu jej zasobami. W założeniu odbiorcami projektu byli mieszkańcy i turyści, w tym młodzież. Pomysł o ogromnym potencjale i efekcie długoterminowym. Dość szybko okazało się jednak, że nie ma go na czym oprzeć, bo quest wymaga punktów stałych, które umożliwiają rozwiązanie ułożonej zagadki. Tymczasem wybrany teren gry stanowiły pola, rowy, kanały i dalekie horyzonty z pasami śródpolnymi.

Aby o tym opowiedzieć, potrzebowaliśmy informacji – kontynuuje Wioletta Toruńczak. – Ośrodek kultury w przygotowaniu tego projektu musiał założyć duży wkład własny, wspierający inicjatorów. W ośrodku została wymyślona, zaprojektowana i opisana ścieżka edukacyjna na temat gospodarki wodnej na Żuławach. W każdym z punktów został zmierzony poziom gruntu, a o sfinansowanie tablic i ich montaż zwróciliśmy się do spółki Wody Polskie. Otrzymaliśmy takie wsparcie, zaprojektowaliśmy ścieżkę i mieszkańcy wreszcie mogli przystąpić do tworzenia questa. Powstała gra „Woda na Żuławach – wyprawa po polderze Krępiec” – umiejscowiona na najniższych położonych terenach w Polsce. Szczególnie atrakcyjna dla rowerzystów, ponieważ trasa liczy około 9 km. Umieszczona w ogólnopolskiej bazie questów przyciąga na Żuławy turystów z najdalszych regionów Polski.

W ramach projektu *Kierunek – Kulturalne Żuławy* zrealizowane zostały również spotkania autorskie, a tym, co łączyło zaproszonych twórców, były wątki żuławskie w ich dziełach.



Final projektu „Kierunek – Kulturalne Żuławy”, fot. Mateusz Włoch

Gośćmi biblioteki byli: Sylwia Kubik, Aleksandra Paprot-Wielopolska oraz twórcy filmu „Legenda Żuławska” – Mateusz Waloszek, Justyna Michalkiewicz-Waloszek i Nikodem Maszota.

Została zainicjowana również działalność Gminnego Archiwum Cyfrowego, którego celem jest nie tylko gromadzenie zbiorów o charakterze społecznym, ale również ich opracowywanie oraz publikowanie. Zostało nagranych pięć wywiadów społecznych z najstarszymi mieszkańcami gminnych żuławskich miejscowości. Zostały one opublikowane na portalu Zbioryspoleczne.pl. Jest on współprowadzony przez Ośrodek Karta oraz Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Premiera nagrań odbyła się podczas finału projektu w świetlicy wiejskiej w Wiślinie, zaaranżowanej na dawny Klub Prasy i Książki. Mieszkańcy mogli wysłuchać zarejestrowanych opowieści, a wśród zaproszonych gości znalazły się również autorki tych wspomnień. Dla jednej z nich, Barbary Wójcik, było to szczególne przeżycie. Przed laty w tym właśnie miejscu sama była „klubową”, czyli ówczesną animatorką społeczną i kulturalną.

Projekt *Kierunek – Kulturalne Żuławy* był złożony, a podejmowane w nim działania przekuły się na kolejny pomysł. Został on opisany we wniosku do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego i uzyskał akceptację oraz dofinansowanie z Funduszu Promocji Kultury w programie dotacyjnym *Kultura ludowa i tradycyjna*. I tak zaczęła się kolejna przygoda na Żuławach...

LAUBZEKINY – ZAUWAŻAJĄC I CHRONIĄC DETALE DAWNEJ ARCHITEKTURY DREWNIANEJ NA ŻUŁAWACH

Tym razem ośrodek kultury, wspólnie ze Stowarzyszeniem Sołtysów Gminy Pruszcz Gdański, postanowił przeprowadzić inwentaryzację detali architektury drewnianej na Żuławach Gdańskich. Zaczęło się od lamentów nad odnalezionym laubzekinem, który spadł ze

szczytu jednego ze starych domów. I jak spadł, tak nie niepokojony przez nikogo leżał sobie w trawie i lada chwila całkiem zniknąłby z tego świata. Prezes Stowarzyszenia, Wiesław Zbroiński, ten niezwykle wytwór pracy ludzkiej uratował od unicestwienia, podobnie jak kilka lat wcześniej uratował wiatrak-paltrak, który przeniósł (a raczej to, co z niego zostało) z centralnej Polski do Mokrego Dworu i uruchomił w celu popularyzacji wiedzy o zawodzie młynarza i tradycjach regionu. To wszystko spinało się w całość, a wspólna praca projektowa, oparta nie tylko na pasjach, ale przede wszystkim na chęci zachowania w pamięci tego, co jeszcze całkiem nie zginęło, zaowocowała niezwykle efektami zarówno rzeczowymi – czyli publikacją zrealizowaną w ramach projektu, ale również, a może przede wszystkim – społecznymi. Zaangażowani zostali mieszkańcy, którzy udostępniili swoje domy i udzielali wywiadów, a młodzież szkolna uczestniczyła w lekcjach o architekturze drewnianej. Lokalna społeczność zaczęła uważniej patrzeć na stare, niszczące drewniane domy i ich elementy zdobnicze.

W przeciwieństwie do Żuław Malborskich czy Elbląskich, na Żuławach Gdańskich detale architektury drewnianej w starym budownictwie są coraz rzadziej spotykane. Skuteczność ochrony konserwatorskiej jest znikoma, a przywiązanie mieszkańców do starych domów znika wraz z odchodzącym pokoleniem pierwszych osadników. Zresztą (jak dowiadujemy się z książki „Zauważając i chroniąc detale dawnej architektury drewnianej żuławskiej części gminy Pruszcz Gdański”, która powstała w ramach projektu) nigdy nie było ono jakieś szczególne. Dlatego tak ważne i zasadne wydawało się znalezienie sposobu, aby ocalić od zapomnienia ten kawałek historii, który właśnie w tych drewnianych detalach został zamknięty.

Książka „Zauważając i chroniąc...” ukazała się w październiku 2024 roku nakładem Ośrodka Kultury, Sztuki i Biblioteki Publicznej Gminy Pruszcz Gdański. Dokumentuje starannie przeprowadzoną inwentaryzację drewnianych elementów starych domostw,



Detale architektury drewnianej, fot. Mateusz Włoch



*Łukasz Kępski, dr Aleksandra Paprot-Wielopolska, dr Jerzy Domino – autorzy tekstów do książki „Zauważając i chroniąc”.
fot. Mateusz Włoch*

która swój początek miała w przypadkowo znalezionym laubzekinie. Publikację wzbogacono starymi zdjęciami z rodzinnych albumów mieszkańców żuławskich wsi gminy Pruszcz Gdański, mapami, grafikami i pocztówkami pozyskanymi z archiwów i książek historycznych. Teksty zostały opracowane przez troje zaproszonych do współpracy autorów. Opracowaniem i opisaniem zinwentaryzowanych zbiorów w pięknym stylu zajął się dr Jerzy Domino – historyk sztuki, konserwator zabytków. Kontekst historyczny w krótkim eseju nakreślił Łukasz Kępski, historyk i przewodnik po Żuławach, a warstwę społeczną opracowała etnolożka, antropolożka i kulturoznawczyni dr Aleksandra Paprot-Wielopolska. Nagrane przez nią wywiady społeczne zostały opublikowane na portalu Zbioryspołeczne.pl, wzbogacając kolekcję utworzonego rok wcześniej gminnego Archiwum Historii Mówionej. Wstęp autorski do książki oraz scenariusz uniwersalnej lekcji edukacyjnej, która ma służyć popularyzacji tematyki detali architektury drewnianej na Żuławach, napisała Wioletta Toruńczak, koordynatorka całego projektu. Grzegorz Cwaliński, który był jego pomysłodawcą i w znacznej mierze realizatorem, wraz z Wiesławem Zbroińskim, prezesem Stowarzyszenia Sołtysów Gminy Pruszcz Gdański, wykonali tytaniczną pracę rozpoznając teren i inwentaryzując wszystkie odnalezione detale. Publikacja to w dużej mierze fotografie i rysunki, eksponowane również na okładce. Ich autorem jest Mateusz Włoch. Efekty ich pracy przyczyniły się do tego, że książka została bardzo wysoko oceniona zarówno na rynku wydawniczym, w kręgach ludzi kultury, jak i przez większość osób, które z publikacją się zapoznały i z niej korzystają.

Książka i wystawa fotograficzna, która przedstawia zarówno efekty działań projektowych, jak i sam proces powstawania publikacji, miała swoją premierę w październiku 2024 r. Odbędzie się Mokrym Dworze na Żuławach, gdzie w pobliżu zabytkowego wiatraka stanęła



„Zauważając i chroniąc detale architektury drewnianej żuławskiej części gminy Pruszcz Gdański”, fot. Mateusz Włoch

drewniana stodoła. W zamyśle właściciela, wspomnianego już Wiesława Zbroińskiego, ma ona służyć działalności edukacyjnej i popularyzującej Żuławy Gdańskie. Publikacja była również prezentowana podczas spotkań autorskich w Żuławskim Parku Historycznym w Nowym Dworze Gdańskim – stolicy Żuław Wiślanych oraz w Warmińsko-Mazurskiej Bibliotece Pedagogicznej w Elblągu. Książka jest udostępniona w bibliotece cyfrowej Polona, w formie drukowanej można ją wypożyczyć w większości bibliotek publicznych w regionie lub otrzymać podczas spotkań prezentacyjnych oraz na wniosek z uzasadnieniem do prywatnych lub instytucjonalnych zasobów bibliotecznych.

Oprócz funduszy MKiDN projekt wsparła też dotacja z Urzędu Gminy Pruszcz Gdański, a realizowane działania współfinansowały Powiat Gdański w Pruszczu Gdańskim, Lokalna Grupa Działania „Trzy Krajobrazy” oraz Eksploatator Sp. z o.o.

NIETYPOWE WYCIECZKI PO ŻUŁAWACH

Zanim MKiDN przyznało dofinansowanie na realizację projektu „Laubzekiny...”, Klub Nowodworski ogłosił kurs na przewodników po Żuławach i Muzeum Żuławskim (Żuławskim Parku Historycznym). Był to doskonały moment na uzupełnienie wiedzy ogólnej, a co za tym idzie na poszerzenie perspektywy i w efekcie propozycję kolejnej oferty popularyzującej region.

Na kurs zgłosiliśmy się we trójkę, z Grzegorzem Cwalińskim i Wiesławem Zbroińskim – wspomina Wioletta Toruńczak. – Każdy z nieco innym zasobem wiedzy i doświadczenia, różną ekspresją, osobowością, energią. Wspólny był dla nas cel – poszerzenie wiedzy. Kurs był bardzo intensywny, nasycony informacjami na temat historii, geografii, architektury,



Żuławska Noc Cudów, inicjatywa oddolna w projekcie Kierunek – Kulturalne Żuławy, fot. Mateusz Wloch

wartości niematerialnego dziedzictwa regionu. Kurs ukończyliśmy i zdaliśmy egzamin. Zdobyta wiedza przydała nam się podczas realizacji projektu o architekturze drewnianej, ale procentuje też w pracy instytucjonalnej. Ofertę kulturalną OKSiBP wzbogaciliśmy o istotną propozycję: „Żuławskie włości”. Pod taką nazwą gminna instytucja kultury realizuje wycieczki po Żuławach Gdańskich. To całodniowe wyprawy, w ramach których zabieramy uczestników w miejsca, które niekoniecznie wydają się atrakcyjne podczas indywidualnego zwiedzania. Przystanków na trasie jest siedem lub osiem. Spotykamy się też z mieszkańcami niektórych miejscowości, a opowiedane przez nich historie nadają wyprawie jeszcze więcej kolorytu. Podczas dziewięciu godzin spędzanych z uczestnikami, we trójkę snujemy opowieść o Żuławach, złożoną z różnych aspektów, ale spójną, ciekawą i pozostawiającą przestrzeń do dalszych, już samodzielnych, poszukiwań. Czas spędzony w autokarze to opowieści o topografii, przyrodzie, historii kształtowania Żuław, która nieodłącznie łączy się z osadnictwem, religią, działaniami gospodarczymi i wojennymi prowadzonymi niegdyś na tych ziemiach. Pokazujemy i opowiadamy o zabytkach – tych pięknych i zadbanych, jak Kościół pw. Znalezienia Krzyża w Krzywym Kole czy ruiny Kościoła w Steblewie. Pokazujemy również te elementy żuławskiego krajobrazu, o których pisaliśmy w książce: detale, zagrody, historyczne układy wsi, zaniebane i opuszczone stare domy. Wywozimy uczestników wycieczki w... pola, gdzie pokazujemy i wyjaśniamy czym jest depresja, jak wygląda gospodarka polderowa, wodna, dlaczego na tym terenie jest ona szczególnie istotna. To również opowieść o powodziach i trudnej w uprawie, ale bogatej w plony żuławskiej ziemi. Wycieczka kończy się smakowaniem żuławskich kulinariów, opowieścią o młynie-wiatraku i poznaniem Biblioteki na Żuławach.

POTENCJAŁ, CZYLI JAK DALEJ DZIAŁAĆ NA TEJ NASZEJ PROWINCJI

Praca z regionem w instytucji kultury może być wpisana w stałe, cykliczne działania, zaplanowane w budżecie i konsekwentnie realizowane. Ale tym, co jej nadaje rozpędu i pozwala spojrzeć z różnych perspektyw, jest praca projektowa. Niezależnie od tego, czy pracujemy projektowo, czy wykonujemy „pracę u podstaw”, działania te wymagają ogromnego zaangażowania, które bez pasji i ciekawości nie jest możliwe. To nie jest tylko praca na etacie, wyłącznie w ramach wyznaczonych godzin. Pracownicy instytucji kultury, zwłaszcza na stanowiskach kierowniczych, mają zupełnie inne zadania do wykonania, które często nie pozostawiają zbyt wiele czasu na działania twórcze. Realizacja opisanych inicjatyw była możliwa dzięki umiejętnemu włączeniu w działalność instytucji potencjału społecznego. Partnerstwo, współpraca z mieszkańcami i organizacjami pozarządowymi – chcącymi i potrafiącymi angażować się w działania nieprzynoszące profitów finansowych – jest kluczowa dla popularyzacji regionów. Powstająca wówczas synergia jest źródłem pomysłów, które realizowane od początku do końca wspólnymi zasobami mogą przynosić trwałe efekty, wprowadzając zmianę społeczną, wpływając na poczucie tożsamości związanej z miejscem i sąsiedztwem. Bo miejsca powinny społeczność łączyć, nigdy dzielić, a żeby tak się działo, to jest potrzebna świadomość historyczna, świadomość możliwości społecznych, zagrożeń gospodarczych i wspólna praca na rzecz środowiska, w którym żyjemy.



Otwarcie Biblioteki na Żuławach – Dyrektor OKSIBP Grzegorz Cwaliński, fot. Grzegorz Haasa

Karol Dziemiańczyk



JEZIORA POWIATU SZTUMSKIEGO – ZARYS PROBLEMU

Był luty 2023 roku. Niby zima, ale już nie taka jak kiedyś. Trochę zimno, ponuro, a śniegu prawie wcale. Po raz pierwszy w życiu przyjechałem wówczas do Sztumu. W te strony przywiodły mnie obowiązki służbowe. Początkowo, w tych zimowych warunkach, trudno było dostrzec oczywiste walory miasta i okolicy, ale od samego początku widziałem w Sztumie podobieństwo do mojego rodzinnego Cztuchowa. Małomiasteczkowy klimat, obecność jezior, zamek krzyżacki i serdeczni mieszkańcy. Jak się okazało, spędziłem tu kolejne dwa lata służbowego życia, a po pracy miałem możliwość zapoznania się z powiatem, z jego mieszkańcami, z przyrodą i historią tego regionu. Już na początku zgromadziłem trochę literatury stanowiącej punkt wyjścia do penetracji powiatu. Bardzo hojnie obdarowali mnie nią włodarze, czyniąc zapewne wcześniej rozpoznanie odnośnie moich pasji. W miarę upływu kolejnych tygodni zapuszczałem się w kolejne zakątki Ziemi Sztumskiej i nabierałem przekonania o jej niezwykłości. Z każdego takiego wypadu powstawał jakiś materiał zdjęciowy i poglądowy. Jako że miałem już na swoim koncie kilka publikacji, których głównym bohaterem były jeziora i rzeki oraz regionalna historia, zaczęła mi świtać myśl, czy aby nie warto było pokusić się o opracowanie pod tym kątem także powiatu sztumskiego. Dostyc kuszącym faktem było także to, że dotychczas wiedza na ten temat nie była usystematyzowana, a ta istniejąca – bardzo niekompletna. Była zatem okazja, aby swoją pracą wnieść coś nowego. Także wiedza mieszkańców na ten temat była generalnie dość skąpa. Trzeba było to zmienić.



Z rąk starosty Leszka Sarnowskiego odbieram stypendium kulturalne powiatu sztumskiego. Sesja Rady Powiatu Sztumskiego, 24 stycznia 2024 r., fot. z zasobów Starostwa Powiatowego w Sztumie

Podczas jednej z rozmów ze Starostą Sztumskim Leszkiem Sarnowskim miałem możliwość pokazania mu swoich dotychczasowych prac. Pamiętam jak dziś jego podsumowanie po obejrzeniu moich książek: „nie puszczę Pana stąd, dopóki nie napisze mi Pan czegoś takiego o powiecie sztumskim”. Oczywiście miało to ramy motywującego żartu, jednakże zostałem dodatkowo zachęcony przez Starostę możliwością zostania stypendystą kulturalnym powiatu. Po głębszych przemyśleniach ostatecznie podjąłem to wyzwanie. Od początku 2024 roku ruszyłem do pracy nad pierwszym kompleksowym opracowaniem jezior i rzek powiatu sztumskiego. Początkowo praca studyjna na dawnych i obecnych mapach, wyliczenia na mapach satelitarnych, później mnóstwo godzin pracy terenowej i wreszcie opracowanie materiału i napisanie książki. Dokładnie 28 grudnia 2024 roku postawiłem kropkę w tekście „Atlasu jezior i rzek powiatu sztumskiego”, a już w styczniu 2025 roku służbowe koleje losu rzuciły mnie do Słupska. W momencie tworzenia artykułu „efekt uboczny” mojego pobytu na Ziemi Sztumskiej jest gotowy i znajduje się w składzie. Obok typowo geograficznego podejścia do tematu, jak to zwykłem czynić, nie pominąłem również wątków historycznych. Obecność wody od zawsze determinowała powstawanie osad ludzkich oraz przesądzała o lokalizacji ważnych wydarzeń historycznych i dopiero połączenie obu tych elementów pozwala na pełne poznanie danego obiektu geograficznego i poczucie „ducha” danego miejsca. To tak w skrócie o genezie mojej pracy. Publikacja powinna być gotowa w wersji papierowej na koniec maja br. A zatem starosta dopiął swego, „wypuścił” mnie, jak książka była już napisana. Rzeczywiście tak to się ułożyło.

W tym artykule opowiem trochę o sztumskich jeziorach w oparciu o opracowany przez siebie materiał. Może na początku zdefiniuję, co to jest jezioro? W większości klasycznych opracowań za jezioro uważa się zbiornik naturalny o powierzchni co najmniej 1 ha. Ta definicja nie jest jednak kompletna, gdyż istnieje wiele zbiorników wodnych powstałych w całości lub w części w wyniku działalności człowieka, a które to posiadają cechy jeziora. Więc za jezioro uważamy zbiornik o charakterze naturalnym lub antropogenicznym o powierzchni co najmniej 1 ha, posiadający misę jeziorną w której mogą gromadzić się wody powierzchniowe. Zbiornik winien także posiadać wykształconą linię brzegową, korzystny bilans wodny oraz wykształconą florę i faunę. Taka definicja znajduje poparcie w wielu opracowaniach naukowych. Jeziozem nie są więc stawy, nawet te duże, powstałe na skutek działalności



Występowanie jezior w Polsce (%) na 100 km² powierzchni. Północny teren Polski, na którym licznie występują jeziora, pokrywa się z granicą zlodowacenia północnopolskiego. Źródło: Rybactwo Śródlądowe, Olsztyn 2008.

człowieka, których w powiecie jest całe mnóstwo, ani też stawy naturalne, ale o niewielkiej powierzchni.

Jakie więc są te sztumskie jeziora? Tę krótką opowieść wprowadzającą do tematu zaczynę od ich genezy. Ziemia Sztumska położona jest na terenie Pojezierza Iławskiego, będącego z kolei zachodnią częścią Pojezierza Mazurskiego. Obszar ten był objęty pomorską fazą zlodowaceń północnopolskich, której efektem było powstanie większości obecnie istniejących jezior w powiecie, ale także zdecydowanej większości jezior mazurskich i pomorskich. Sztumskie jeziora są zatem stosunkowo młode, gdyż powstały jakieś 15200–16000 lat temu. W geologii taki okres to po prostu mgnienie.

Po zejściu lodowca z tego obszaru układ jezior wyglądał inaczej niż ten dzisiejszy. Jezior było więcej i były większe. W miarę upływu czasu stan jezior ulegał zmianie, gdyż niestety byt jeziora to byt chwilowy. Jeziora zanikały i zanikają nadal i jest to zjawisko naturalne. Czas zaniku obecnie istniejących jezior można oszacować. Do obliczania trwałości jezior służy wskaźnik trwałości jeziora. Oblicza się go dość skomplikowanym wzorem, będącym generalnie stosunkiem objętości do długości linii brzegowej. Z moich obliczeń wynika, że największą wartość tego wskaźnika mają jeziora: Balewskie w gminie Mikołajki Pomorskie i Zajezierskie w gminie Sztum. W przypadku tych jezior wartość wskaźnika przekracza 700 i powinny one przetrwać najdłużej. W przypadku blisko połowy jezior powiatu wartość tego wskaźnika nie przekracza 100, co oznacza, że ich koniec jest stosunkowo bliski. Wartość wskaźnika ma postać niemianowaną, więc 100 nie oznacza 100 lat, jednak w przypadku mniejszych wartości mogą to być wartości zbliżone. Aż 3 jeziora powinny zaniknąć w ciągu najbliższego dwudziestolecia. Dlaczego jeziora zanikają? Do podstawowych przyczyn należą: obniżanie się poziomu wód jeziornych, przyrost osadów dennych w ramach niecki jeziornej i systematyczne wypływanie, zmiany klimatu, powierzchniowy odpływ wód oraz prowadzone przez człowieka prace hydrotechniczne, prowadzące do zmian stosunków wodnych. Bardzo często przyczyn zaniku danego jeziora jest kilka jednocześnie. W ciągu ostatniego wieku zanikło 6 jezior w powiecie, z czego aż 4 w gminie Sztum i po jednym w gminach Mikołajki Pomorskie i Stary Targ. Były to z reguły nieduże jeziora o niewielkiej głębokości.



Przykładowe jeziora zanikowe. Z lewej, zbiornik na zachód od Koniecwałdu. Jezioro zanikło niemal całkowicie. Z prawej, zbiornik w gminie Mikołajki Pomorskie, na północ od Siążek. Niekę wypetnia nadal woda, jednak powierzchnia zbiornika spadła poniżej 1 ha. Fot. autor.

Są więc w powiecie sztumskim jeziora polodowcowe, z tym, że różnych typów. Wyróżniamy jeziora rynnowe, z reguły długie i otoczone stromymi brzegami. Takimi klasycznymi przykładami jezior rynnowych są wspomniane już Jeziora Balewskie i Zajezierskie oraz Motława, Barlewickie, Kukskie i inne. Kolejnymi klasycznymi typami jezior polodowcowych są jeziora morenowe, a także oczka charakteryzujące się niewielkimi głębokościami i kolistym kształtem oraz kociołki, będące również kolistych kształtów, ale o znacznych głębokościach. I to w zasadzie wszystkie typy jezior polodowcowych na terenie powiatu sztumskiego.



Jezioro Balewskie. Klasyczne rynnowe jezioro polodowcowe. Fot. autor.



Jezioro bez nazwy geograficznej, zwane potocznie „Głębockiem”, w okolicy Gronajń, to wytopiskowe jezioro polodowcowe. To tzw. „kociołek”. Fot. autor.



Jezioro w Tywężach w gminie Dzierzgoń to polodowcowe oczko. Fot. autor.

Nie tylko lodowiec miał wpływ na powstanie jezior w powiecie sztumskim i pod tym względem powiat sztumski jest wyjątkowy. Na tym terenie, jak na mało którym, wpływ na stosunki wodne w regionie miał człowiek. Obok lodowca, kolejnym czynnikiem jeziorotwórczym okazali się być krzyżacy. Na przełomie XIII i XIV wieku Zakon Krzyżacki przeprowadził tu olbrzymie, pełne rozmachu i kunsztu prace melioracyjne, których celem w dużym skrócie było dostarczenie wody do malborskiego zamku. W wyniku tych prac powstały nowe ciek wodne, jak Malborska Młynówka, Biały Rów, a w przypadku kilku innych cieków choćby częściowo zmieniono ich bieg. Tego typu prace dotyczyły także lat późniejszych, jak choćby zabiegi melioracyjne na Młyńskiej Dzierzgoń. Wracając do sedna, w wyniku prac prowadzonych przez Krzyżaków powstały nowe zbiorniki wodne, a właściwie jeziora antropogeniczne: Dąbrówka i Koniecwałdzkie. Przy okazji melioracje wpłynęły na wiele innych jezior.



Jezioro Dąbrówka (z lewej) i jezioro Koniecwałdzkie (z prawej). Oba zbiorniki to jeziora antropogeniczne powstałe w wyniku krzyżackich zabiegów melioracyjnych. Fot. autor.

W konsekwencji, największe obecnie jezioro powiatu sztumskiego, czyli jezioro Dąbrówka, jest więc dziełem człowieka. Powierzchnia lustra wody jeziora to obecnie 230,2 ha. Drugie w kolejności jezioro Bądze to już tylko 137,33 ha. Tu warto nadmienić, że jeziora sztumskie są generalnie jeziorami małymi. Średnia wielkość jeziora w powiecie wynosi 25,34 ha i jest znacznie mniejsza niż średnia wielkość jeziora w Polsce. Są to także jeziora płytkie. Za jezioro głębokie uważa się bowiem jezioro o głębokości powyżej 30 metrów. Ani jedno jezioro w powiecie nie przekracza tej głębokości. Dwa najgłębsze jeziora to Zajezierkie (25,5m) oraz „Głębocek” (24,6m). Cztery inne jeziora mają głębokość w przedziale 10–15 metrów, a głębokość pozostałych nie przekracza 10 metrów. Średnia głębokość jeziora w powiecie sztumskim to 6,12 metra. Mamy więc też jeziora, do powstania których przyczynił się człowiek. I to jeszcze nie koniec. Wskutek zmiany stosunków wodnych powstają ciągle to nowe jeziora w powiecie sztumskim. Sprzyja temu także podłoże, które na terenie powiatu sztumskiego jest w znakomitej większości trudno przepuszczalne. W powiecie sztumskim występują także jeziora, które istniały dawniej, na skutek działalności czynników zewnętrznych zanikły, po czym, po latach, niekiedy znowu wypełniła się wodą. Takim ewidentnym przykładem jest jezioro Rozlewisko koło Starego Targu. Łącznie, w ciągu ostatniego wieku, powstało 5 nowych jezior, 2 w gminie Stary Targ, po jednym w gminach: Mikołajki Pomorskie, Sztum i Stary Dzierżoń.



*Jezioro Rozlewisko koło Starego Targu. 100 lat temu zbiornik nie istniał. Ponownie „odbudował” się w latach 50. XX wieku.
Fot. autor.*

Analizując stosunki wodne w obrębie powiatu sztumskiego należy jeszcze wspomnieć o jednym ważnym czynniku. Ten akurat miał dodatni wpływ na zanik jezior oraz przeobrażenie rzek. Mowa o północnych krańcach gminy Sztum i Stary Targ oraz o większości obszaru na północ od Dzierżonia. Otóż od wieków na obszarze Żuław prowadzono szeroko zakrojone prace melioracyjne mające na celu odwodnienie terenu oraz stworzenie

pożądaney sieci wodnej. W tym celu, początkowo mennonicy, później Prusacy i Niemcy, budowali liczne kanały i młyny. W ten sposób powstał sprawny i wydajny system melioracyjny wspomagający rozwój rolnictwa i zapobiegający niekontrolowanemu rozlewaniu się wód. Doprowadziło to do połączenia naturalnego systemu odpływu z siecią melioracyjną i znacznego odwodnienia tego terenu. W efekcie na tych obszarach jeziora praktycznie nie występują a znajdujące się tu rzeki zostały poddane silnej regulacji. Widać to na przykładzie rzek: Balewka, Niecieczka i Tiny. To tak w skrócie na temat tego procesu.



Przeobrażenia stosunków wodnych dzieją się nadal na naszych oczach. W okolicy Dzierżonia w ostatnich dziesięcioleciach powstało wiele nowych stawów pokopalnianych. W przyszłości nabiorą cech limnicznych i będzie można je uznać za jeziora antropogeniczne. Fot. autor.

Ile ostatecznie mamy jezior w powiecie sztumskim? Otóż według moich badań jest ich 32 oraz jedno, jezioro Dzierżoń, częściowo położone w granicach powiatu. Łączna powierzchnia jezior to 815,94 ha, co przy powierzchni powiatu wynoszącej 730,55 km² oznacza, że wskaźnik jeziorności powiatu wynosi 1,12%. Nie jest to dużo, jednak powyżej średniej krajowej. Na jednego mieszkańca powiatu przypada 2,17 ara powierzchni lustra wody.

Jeziora nie są rozłożone równomiernie. Większe jeziora zlokalizowane są na terenie gminy Sztum, na południowych rubieżach powiatu i w gminie Stary Dzierżoń. Ilość jezior nie przekłada się wprost na powierzchnię pokrytą wodami i na wskaźnik jeziorności poszczególnych gmin. Ilościowe występowanie jezior w poszczególnych gminach prezentuje poniższa tabela.

GMINA	LICZBA JEZIOR
Sztum	16
Stary Targ	6
Mikołajki Pomorskie	2
Dzierzgoń	2
Stary Dzierzgoń	6

Jako że pierwsze dobre mapy, na podstawie których można w miarę dokładnie oszacować powierzchnię i liczbę jezior dawniej, powstały na początku XX wieku, podobnie jak w poprzednich moich opracowaniach porównałem stan obecny ze stanem sprzed stu lat, korzystając z obliczeń na mapach *Messtischblatt*. I tak, w granicach dzisiejszego powiatu, istniały 33 jeziora o powierzchni łącznej 860,61 ha. Oznacza to, że powierzchnia sztumskich jezior zmalała o 5,19%, a wskaźnik jeziorności powiatu wynosił wówczas 1,18%. Nie oznacza to, że zanikło tylko jedno jezioro. Otóż zanikło, jak już wcześniej wspomniałem, aż 6 jezior, za to powstało 5 nowych. Proces zmian w hydroświecie powiatu będzie nadal



Na mapie Schröttera z początku XIX wieku widoczne jest jeszcze jezioro Goraj. Dziś to Polańskie Łąki. Ten teren został celowo odwodniony w XIX wieku. To jedno z wielu jezior położonych wokół Sztumu, które zanikło wcześniej niż 100 lat temu.



postępował i za kilkadziesiąt lat liczba jezior będzie zupełnie inna.

To w odniesieniu do ostatnich 100 lat. Ciekawe jak wyglądał ten proces wcześniej? Niestety, brak dobrych map uniemożliwia szacowanie. Jednak, analizując dostępne mapy sprzed 200 lat, widać, że dynamika zmian była znacząca. W XIX wieku zanikło sporo jezior, głównie w okolicy Sztumu.

Wyjątkowo ciekawym przykładem są przeobrażenia jezior: Zajezierskiego i Barlewickiego. Tylko przypominę, że dawniej oba te jeziora tworzyły jeden zbiornik wodny zwany Jeziorem Białym. Na przestrzeni lat poziom wody w jeziorze ulegał systematycznemu obniżaniu. Największy wpływ na to miała decyzja krzyżaków z przełomu XIII i XIV

Rycina z 1693 roku przedstawiająca Jezioro Białe. Zamek i zabudowa miejska zlokalizowana była na wyspie. W miarę obniżania się poziomu wody, wyspa powiększała swą powierzchnię. Ostatecznie rozwój miasta nastąpił ze względów oczywistych w kierunku zachodnim. Zachodnią granicą ówczesnej części miejskiej oddzielonej fosą była linia dzisiejszych ulic Kochanowskiego i Baczyńskiego.

wieku o utworzeniu zbiornika retencyjnego, jeziora Dąbrówka. Wówczas to skierowano wody z dzisiejszego jeziora Parlety i ówczesnego Białego do tego zbiornika. Z Jeziora Białego wykonano sztuczny ciek Biały Rów, który swą nazwę zawdzięcza nazwie jeziora. Następowało powolne odwodnienie tego regionu i ubytek wody w jeziorze. Bardzo możliwe, że to w wyniku tego zabiegu pojawiły się sprzyjające okoliczności do budowy na wyspie zamku w Sztumie, gdyż faktycznie, kilkadziesiąt lat później, zaczęła się budowa. Zamek był zlokalizowany na tzw. „wyspie zamkowej”, przy której od strony zachodniej znajdowała się „wyspa miejska”, gdzie wówczas znajdowała się zabudowa miasta. Woda nadal opadała i ostatecznie w XIX wieku obie wyspy połączyły się ze sobą oraz z dzisiejszą zachodnią częścią miasta. W kierunku wschodnim została usypana grobla, przez którą było możliwe poprowadzenie drogi w tym kierunku. W ten sposób powstały dwa jeziora, Zajezierskie i Barlewickie. Pod koniec XVII wieku Jezioro Białe miało około 160 ha powierzchni i mniej więcej 28 metrową głębokość maksymalną. Na przełomie XIII i XIV wieku powierzchnia jeziora była jeszcze większa.

Na terenie powiatu sztumskiego przeobrażenia dotyczyły także rzek i to na niespotykaną skalę. Obecnie w powiecie występują 44 ciekі różnych typów, z czego 16 posiada nazwę geograficzną. Największe i najbardziej znane z nich to Wisła, Nogat, Malborska Młynówka i Dziergoń. Wstępnie już wspomniałem o melioracjach krzyżackich, w wyniku których powstały nowe ciekі. Największe jednak zmiany dotyczyły Wisły i Nogatu i prowadzone były od XVI aż do początku XX wieku. W wyniku tych wielowiekowych prac, Nogat stał się ramieniem Wisły, a wcześniej był samodzielną rzeką, dłuższą niż jest obecnie. Efektem tego jest także to, że powiat sztumski leży w obrębie dwóch dorzeczy: Wisły i Rzek Przymorza. Przed zmianą cały ten teren położony był w Dorzeczu Rzek Przymorza. Obecnie



Okolice Białej Góry. To tu zaszły najpoważniejsze zmiany w systemie wodnym regionu. Fot. autor.



Okolice jeziora Motława Wielka w gminie Stary Dzierzgoń jest przepiękną historią. Fot. autor.

granica wododziału przebiega mniej więcej przez pół powiatu, schodząc w skos w kierunku wschodnim. W dorzeczu Wisły leży cała gmina Sztum, prawie cała gmina Mikołajki Pomorskie, południowa część gminy Stary Targ oraz fragmenty gmin: Dzierzgoń i Stary Dzierzgoń. Pozostała część powiatu to Dorzecze Rzek Przymorza.

Podsumowując, powiat sztumski to niezwykle ciekawy obszar pod kątem panujących tu stosunków wodnych i przeobrażeń. Tutejsze jeziora i rzeki były niemyim świadkiem znaczących wydarzeń wszystkich ważnych okresów historycznych w dziejach Polski. Warto je poznać. Powyższe opracowanie nie wyczerpuje oczywiście tematu, a pokazuje jedynie złożoność problemu i zachęca do zgłębienia wiedzy. W mojej publikacji pt. „Atlas jezior i rzek powiatu sztumskiego” znajdziecie Państwo rozwinięcie poruszonych w niniejszym tekście problemów oraz wyjaśnienie wielu innych. Zachęcam do lektury i mam nadzieję, że skutek uboczny mojego pobytu w Sztumie będzie wartością dodaną.

Janusz Ryszkowski



OD MATKI PŁACZĄCEJ PO BECZKĘ ŚMIECHU. SZTUMSKIE POMNIKI (1927–1968)

Pierwszy pomnik w przestrzeni publicznej pięciotysięcznego wówczas Sztumu stanął na placu Bismarcka w 1927 roku. Wpisywał się silny nurt ówczesnej niemieckiej polityki pamięci, przepracowującej narodową traumę po przegranej Wielkiej Wojnie 1914–1918. Już wcześniej takie obeliski wzniesiono w innych miejscowościach powiatu sztumskiego, na przykład Dzierzgoniu, Starym Targu czy Bągarci. Denkmale, bo tak potocznie do dziś są nazywane, powstały także w Mikołajkach Pomorskich, Ryjewie, Gościszewie, Koniecwałdzie, Postolinie i Żuławce Sztumskiej.

Nasuwa się oczywiste pytanie, co mogło spowodować, że Sztum, siedziba powiatu przecież, wcale nie przodował w tym względzie, ale wręcz odstawał?

Może ktoś dotrze do dokumentów, które to w sposób oczywisty wyjaśnią, na razie pozostaną hipotezy. Decyzja o wzniesieniu pomnika leżała w gestii sztumskich władz miejskich i tu kluczem mógł być układ polityczny, który wyłonił się po wyborach przeprowadzonych 28 listopada 1920 roku. Czyli: ponad cztery miesiące po plebiscycie, decydującym o tym, że Powiśle, podobnie jak Warmia i Mazury, nie zostało przyłączone do odrodzonej Polski, której granice się wówczas ciągle kształtowały. Przypomnijmy, że w powiecie sztumskim



W 1927 roku odsłonięto pomnik ku czci żołnierzy poległych podczas Wielkiej Wojny

opcję polską wybrało ponad 19 procent głosujących (prawie 28 proc. w Sztumie) i było to zdecydowanie największe poparcie na obszarach plebiscytowych.

Przejdźmy do wyborów do Rady Miejskiej w 1920 roku. Najwięcej, bo pięć mandatów zdobyła wówczas Partia Polska. Rywalizowała ona z sześcioma partiami niemieckimi. Katolicka partia Centrum uzyskała 4 mandaty, dwa ugrupowania lewicowe w sumie zdobyły 3 miejsca w radzie, tak jak liberałowie z Niemieckiej Partii Demokratycznej i dwa ugrupowania prawicy (razem). W tak podzielonej radzie mogło być trudno o wypracowanie wspólnego stanowiska dotyczącego pomnika. Czym innym był czyn wojenny dla miejscowych środowisk polskich, inaczej widziały to niemieckie ugrupowania lewicowe, a to z kolei różniło się diametralnie od zwolenników upadłej monarchii. Kolejne wybory komunalne, przeprowadzone w 1924 roku, mocno przemeblowały polityczną scenę miasta. Lista polska otrzymała zdecydowanie mniejsze poparcie niż poprzednio. Wygrała za to wyraźnie lista złożona z niemieckich partii prawicowych. To one nadawały ton lokalnej polityce.

W tej to kadencji zapadła decyzja, że denkmal stanie na placu Bismarcka, który był nową przestrzenią publiczną w mieście. Wcześniej, mniej więcej w miejscu, znajdował się hotel Niemiecki Dom (Deutsches Haus). Gdy spłonął w 1918 roku, nie został odbudowany, a na znacznej części parceli założono skwer. Był to dość ważny punkt sztumskiej Starówki – w sąsiedztwie zamku z sądem obwodowym, budynkiem starostwa powiatowego i dwóch kościołów. Może też pożar Niemieckiego Domu miał jakiś związek z minioną wojną, co nadawałoby lokalizacji pomnika dodatkowego znaczenia?

Przebieg uroczystości z 1927 roku dokumentuje fotografia zamieszczona w wydawnictwie albumowym „Heimat zwischen Weichsel, Nogat und Sorge”¹. Widzimy plac Bismarcka uroczyście przystrojony, przybyły poczty sztandarowe, panowie w czarnych garniturach i cylindrach, nie brakuje osób w mundurach. Jedną z nich jest major Benno von Schack, przedstawiciel starej szlachty niemieckiej, administrator majątku w Węgrach. Przemawia burmistrz Hugo Schröder, sprawujący funkcję od 1915 roku, wcześniej zawiadujący budową kompleksu koszarowego dla batalionu piechoty, rozlokowanego na kilka miesięcy przed wybuchem wojny.

Szczególną uwagę na zdjęciu przykuwa jednak to, że pomnik jest niekompletny: widać pusty postument – bez rzeźby. Dlaczego zdecydowano się na odsłonięcie pomnika w takiej, niedokończonyj formie? Władze działały pod presją. *Rok 1927 był kulminacją uroczystości upamiętniających „Wielką Wojnę” w Europie Zachodniej* – pisze Robert Traba. *Oprócz obchodów w Douaumont, Passchendaele i Ypres odbyły się również uroczystości odsłonięcia Narodowego Pomnika Tannenberskiego (Tannenberg-Nationaldenkmal)* [koło Olsztynek – przy. JR]. *Będąc jednym z najciekawszych założeń architektonicznych ówczesnej sztuki pomnikowej, miał się on stać jednocześnie ogólnoniemieckim symbolem „niezwykłości i jedności”*². Zwycięską bitwę z armią rosyjską pod Tannenbergiem propaganda niemiecka pokazywała jako rewanż za Grunwald.

Odsłanianie w Sztumie obelisk niezmiernie skromny. Na tablicy znajdowała się krótką inskrypcja z żelaznym krzyżem, najwyższym pruskim odznaczeniem dla bohaterów pola

¹ *Heimat zwischen Weichsel, Nogat und Sorge. Ein Bilband über den Kreis Stuhm/Westpreussen*, oprac. B. Braumüller i inni, Rotenburg (Wümme) 1982, s. 40.

² R. Traba, *Procesy zbiorowego pamiętania i zapomnienia. Trzy przypadki i ich konsekwencje dla badania pamięci zbiorowej*, w: *Pomniki pamięci*, red. K. Chmielewska, A. Molisiak, Instytut Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk, Warszawa 2017, <https://doi.org/10.4000/books.iblpan.10062>.

walki. Często na denkmalach (np. w Postolinie i Bażarcie) umieszczano nazwiska poległych mieszkańców. W Sztumie z tego zrezygnowano.

Rzeźba na cokole pojawi się na postumencie pomnika dwa lata później. Jej autorem był ceniony artysta Stanislaus Cauer (1867–1943), profesor rzeźby w akademii w Królewcu. Wcześniej sporo czasu spędził w Rzymie, w pracowni swojego ojca, również rzeźbiarza. „Mając niezwykłą sprawność warsztatową dla zamówień dużych i małych, potrafił nadawać swoim pracom coś, co (...) można by nazwać odchowieniem od historycznej autentyczności w stronę współczesnej swobody, także w myśleniu o przeszłości” – pisał historyk sztuki, Bogusław Mansfeld³.

Kiedy pod koniec lat 80. ubiegłego wieku trafiłem do Królewca/Kaliningradu, moją uwagę przykuł stojący przed miejscowym teatrem pomnik Fryderyka Schillera. Usłyszałem wówczas od miejscowego dziennikarza, że przetrwał szturm miasta przez Armię Czerwoną tylko dlatego, że jakiś oficer sowiecki, wielbiciel twórczości wielkiego romantyka, powiesił na cokole karteczkę z informacją, by nie ruszać figury tego... komunisty. Nawet jeśli to tylko anegdota, to przynajmniej smakowita. Wspominam o tym dlatego, że rzeźba była wykonana przez Stanislausa Caurera.

Artysta wykonywał nie tylko okazałe pomniki, ale i mniejsze nagrobki, projektował też wzory dla słynnej, cesarskiej wytwórni majoliki w Kadynach. Kilka zamówień miał także z Malborka. Tablicę upamiętniającą konserwatora zabytków Conrada Steinbrechta można do dziś oglądać na Zamku Wysokim, a tablicę ku czci żołnierzy poległych podczas I wojny światowej w kościele św. Jerzego. Cauer, mający zlecenia w Malborku, został zaproszony także do Sztumu.

DZIEŁO SZTUKI PRZEMAWIA...

Sztumski „denkmal”, dzięki rzeźbie, w istocie bardzo różni się od okolicznych. Mieszkańcy otrzymali dzieło sztuki, które w swojej wymowie nie gloryfikowało czynu zbrojnego, można nawet powiedzieć, że było protestem przeciwko wojnie. Jak pisała elbląska socjaldemokratyczna gazeta „Freie Presse” w relacji z odsłonięcia rzeźby, podobnie odczytało to kierownictwo miejscowego związku żołnierzy weteranów i oficjalnie nie wzięło udziału uroczystościach. Gazeta ironizowała, że zapewne kombatanoci oczekiwali, iż na postumencie stanie dumna figura żołnierza z karabinem.

Jak widać, od samego początku z pomnikiem wiązało się sporo kontrowersji. Do tego jeszcze doszła tragedia podczas uroczystości odsłonięcia figury 16 czerwca 1929 roku. Ferdynand Schulz, wielokrotny rekordzista świata w szybnictwie, wcześniej nauczyciel w Nowym Targu w powiecie sztumskim, miał wykonać rundę honorową nad pomnikiem. Motoszybowiec aeroklubu malborskiego „Marienburg” pojawił się nad Sztumem mocno spóźniony. Zgromadzeni na odsłonięciu pomnika mieszkańcy zaczęli się rozchodzić. Maszyna przeleciała nad pomnikiem raz i pilot zamierzał ten manewr powtórzyć. Jak opowiadali świadkowie, gdy zaczynał drugą pętlę od motoszybowca oderwało się skrzydło, które wyłowiono potem z Jeziora Sztumskiego. Potem następne. Samolot rozbił się przy

³ *Ponad morze. Kolonia artystyczna na Mierzei Kurońskiej*, „Borussia” 2009 nr39.



Rzeźba „Matki Płaczącej” dłuta Stanisłausa Cauera

południowej pierzei Rynku (Markt), w pobliżu księgarni Friedricha Albrechta. Razem z pilotem Schulzem zginął Bruno Kaiser, towarzysz wielu lotów, także członek aeroklubu malborskiego. Rynek był w tym czasie pusty, dlatego żadna z postronnych osób nie ucierpiała.

Dokładnie rok potem, w miejscu wypadku postawiono tablicę poświęconą obu lotnikom. W 1934 roku nakładem sztumskiej drukarni Albrechta, która znajdowała się blisko tego miejsca, ukazała się czterdziestostronicowa broszurka autorstwa Ericha Borcherta opowiadająca o Schulzu. W 1945 roku tablica podzieliła losy spalonego przez sowietów Rynku. Trzy pierzeje, poza jedną kamienicą, zostały zniszczone i nie zostały nigdy odbudowane.

RZEŻBA ŻEGNAŁA CZERWONOARMISTÓW?

Powojenne losy rzeźby „Trauernde Mutter” – pogrążonej w żałobie matki (nazywano ją też „Matką Płaczącą” i takie tłumaczenie znam z dzieciństwa) są nieco udokumentowane. Bardzo prawdopodobna jest wersja, że pomnik pozostawał na placu, który z Bismarcka został przechrzczony na Stalina, jeszcze przez kilka lat. 9 listopada 1947 r. obchodzono 30 rocznicę Rewolucji Październikowej. Starostwo w Sztumie raportowało o tym do władz wojewódzkich: „Uformował się na ulicy Mickiewicza wielki pochód z udziałem władz państwowych, politycznych itp., skąd ruszył na plac Stalina. Za pochodem posuwało się 5 aut pięknie udekorowanych zielenią ze szczątkami zwłok 34 poległych [żołnierzy Armii Czerwonej] w 17 trumnach zebranych z terenu powiatu (...). Po przybyciu na plac Stalina pochód ustawił się przed pomnikiem”.

O jaki pomnik może chodzić, jak nie o ten „Matki Płaczącej”? Innego na placu w tym czasie być nie mogło! Tak to poległych czerwonarmistów żegnała rzeźba poświęcona pamięci żołnierzy armii niemieckiej z czasów poprzedniej wojny. Nie po raz pierwszy w dziejach nastąpiła dekonstrukcja poprzedniego znaczenia pomnika i nadania mu zupełnie



Pomnik Wdzięczności Armii Radzieckiej. Fot. Henryk Lipski

nowego wydzwiku. Inna rzecz, że nie na długo. Za dwa lata na placu Stalina stanie nowy monument „sojuzsu i braterstwa z ZSRR”, zwany też pomnikiem Wdzięczności.

Co stało się z rzeźbą? Prawdopodobnie po demontażu zabrano ją na teren bazy Rejonu Eksploatacji Dróg Publicznych, która znajdowała się przy ulicy Morawskiego. W 1966 roku „odnalazła się” na terenie budowy osiedla Nad Jeziorem, które rozlokowało się m.in. na działce po bazie Rejonu Eksploatacji Dróg Publicznych. Uwiecznił ją tam reporter „Dziennika Bałtyckiego”. Zrobił zdjęcie, które zostało opatrzone ironicznym komentarzem. „Leżą pomieszczone jak groch z kapustą materiały budowlane, deski, cegły, słupy żelbetonowe, itp. Ten przytłaczający obraz widocznie aż tak podzielał na znajdującą się na tym placu rzeźbę, że opuściła głowę w smętnej zadumie. A swoją drogą ciekawe, co ta rzeźba robi na placu – rumowisku, czyżby pełniła rolę stróża?”⁴ Najpewniej po tej publikacji zrobiono porządek na placu budowy, włączając w to rzeźbę. Czy zepchnięto ją do jakiegoś wykopu i tam nadal spoczywa? Tak przynajmniej twierdził jeden z świadków tego zdarzenia, gdy sztumski oddział „Dziennika Bałtyckiego” wrócił do sprawy po czterdziestu latach.

ZA WYZWOLENIE OD FASZYZMU

W okresie rozkwitającego stalinizmu w Polsce, w 1950 roku Sztum doczekał się aż dwóch pomników. To chyba tłumaczy, dlaczego żaden z nich wyrażał polskiego, narodowego ducha.

22 lipca, w święto Odrodzenia Polski, najważniejsze święto państwowe obchodzone do 1989 roku, w miejscu „Matki Płaczącej” na placu Stalina stanął nowy obelisk. Jego ideę jasno wykladał napis na południowych frontonie, widoczny od ulicy: „Sojusz i przyjaźń

⁴ *Skąd ta rzeźba?* „Dziennik Bałtycki”, 1966, nr 210.



Pomnik milicjantów i funkcjonariuszy UB odsłonięty w 1952 roku. Fot. Henryk Lipski

z ZSRR gwarancją pokoju”. Kolejna inskrypcja głosiła: „W hołdzie bohaterom Czerwonej Armii wdzięczne społeczeństwo sztumskie, Sztum 1950”. Na tablicy od strony wschodniej widniała podobna treść wykuta cyrylicą z uściśleniem: „Za wyzwolenie od faszystów miasta i powiatu sztumskiego”. Na czwartej tablicy widniały dwa skrzyżowane karabiny, symbolizujące braterstwo broni. Monument nazywano oficjalnie Pomnikiem Wdzięczności.

Z rachunku wystawionego pod koniec 1949 roku ówczesnemu Starostwu Powiatowemu w Sztumie wynika, że wykonawcą pomnika było Przedsiębiorstwo Budowlane Wiktora Soleckiego z Malborka według projektu D. Jagodzińskiego.

Pomnik był miejscem obchodów najważniejszych uroczystości miejskich przez kilka kolejnych lat. Po śmierci Józefa Stalina (1953) i następującej politycznej odwilży plac stracił swojego dotychczasowego patrona i pozostał już bezimienny.

Drugi pomnik w 1950 roku stanął na Przedzamczu, przy rozwidleniu dróg na Czernin i Postolin, w sąsiedztwie czynnego wówczas cmentarza, który powstał w XVIII wieku. Jak donosił w informacji własnej „Dziennik Bałtycki”, 7 listopada, w 33 rocznicę Rewolucji Październikowej, „odsłonięto w Sztumie pomnik poległych w walkach o oswobodzenie Sztumu 324 żołnierzom radzieckim (sic!)”.

Gazeta podawała oczywistą nieprawdę, która jednak przez długie lata obowiązywała w narracji dotyczącej wojennej przeszłości miasta. Dopiero w czasie karnawału Solidarności zaczynała przebijać się prawda o tym, że o Sztum nie toczyły się walki, miasto nie było bronione, a większość ludności, w tym niemieckie władze administracyjne, ewakuowała się jeszcze przed nadejściem wojsk radzieckich.

Skąd zatem wzięły się liczne ofiary wojenne? Na sztumskim Przedzamczu w zbiorowej mogile pochowano żołnierzy ekshumowanych wcześniej z mogił rozsianych po całym powiecie. W 1946 roku referat budownictwa sztumskiego starostwa opracował pierwsze takie zestawienie. Wynikało z niego, że w Sztumie żołnierze radzieccy zostali pogrzebani na

cmentarzu katolickim przy ul. Kochanowskiego, u zbiegu ulic Kasprowicza i Sienkiewicza oraz na Przedzamczu.

Pod koniec 1947 roku Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w Sztumie informowało, że na cmentarzu przy ul. Bydgoskiej (obecnie Nowowiejskiego) znajduje się wspólna mogiła 43 żołnierzy w 24 trumnach. Znajdowały się w niej także ciała ekshumowane z terenu powiatu (34 żołnierzy w 17 trumnach), których uroczysty pochówek zorganizowano w tym samym roku z okazji rocznicy Rewolucji Październikowej.

Z tego można wnioskować, że dziewięciu żołnierzy straciło życie w Sztumie lub w bezpośrednim pobliżu. Mogły wśród nich być ofiary skażonego spirytusu z drogerii Augusta Samatina na sztumskim rynku. Miejska legenda głosiła, że to w odwecie czerwonarmiejcy spalili sztumską Starówkę.

Ze sprawozdania TPPR z końca 1947 roku można się dowiedzieć, że w Dzierzgoniu znajdowały się dwie mogiły zbiorowe (ok. 120 ciał bez trumien), w Szropach (prawdopodobnie 70 zmarłych), w Budziszu – 43. Poza tym w Trzcianie, Bukowie, Pozolii, Pietrzwałdzie, Gościszewie, Goraju, Dąbrówce Malborskiej, Mikołajkach Pomorskich.

Pomnik, który stanął na cmentarzu żołnierzy radzieckich na Przedzamczu, miał napisy w języku rosyjskim i polskim. Smukły obelisk został zwieńczony czerwoną gwiazdą. W kolejnych latach w tym miejscu składano tu kolejne szczątki, np. w 1961 roku 9 żołnierzy ze zbiorowej mogiły na terenie PGR Czerwony Dwór. Z protokołu ekshumacji wynikało, że kości znajdowały się w dwóch trumnach, nie znaleziono przy tym żadnych przedmiotów.

Z dokumentacji cmentarza wojennego, która znajduje się w Urzędzie Miasta i Gminy w Sztumie, wynika, że zostało tu pochowanych 405 żołnierzy, z czego większość bezimiennie: w spis poległych i zmarłych obejmuje 74 pozycje. W latach 80 i 90 ubiegłego wieku napływały do urzędu informacje w rodzaju: informujemy, że szeregowy Iwan Gordiejewicz Niestierow, rocznik 1924, poległ 9 marca 1945 roku w Białej Górze i spoczywa na cmentarzu w Sztumie.

Niestierowa i dziewięciu innych dopisano do listy pochodzącej z lat 50. Na jakiej podstawie ustalano tożsamość poległych wiele lat po wojnie – nie wiadomo. W każdym razie zidentyfikowano najwyżej 73 żołnierzy – a jedno nazwisko wpisano przez pomyłkę dwukrotnie.

Pomnik na cmentarzu wojennym żołnierzy radzieckich pozostaje do dzisiaj. Po przemianach ustrojowych stracił jedynie swoją czerwoną gwiazdę. Nie jest specjalnie odwiedzany. O porządek na nekropolii dbają służby miejskie.

ROBOTNIKOM I CHŁOPOM

W 1952 roku szeroko obchodzono w Polsce dziesięciolecie powstania Polskiej Partii Robotniczej. Wśród różnych form uczczenia rocznicy – oprócz wieców, akademii i modnych zobowiązań produkcyjnych – wystawiano także pomniki. Jeden z nich, dość skromny, stanął także w Sztumie, na skwerku przy zbiegu ulic Baczyńskiego i Mickiewicza, naprzeciwko hotelu i restauracji.



Odstłonięcie pomnik Rodła – Bojowników o Polskość Ziemi Sztumskiej – 22 lipca 1956 r

Przypomnijmy, że decyzja o utworzeniu Polskiej Partii Robotniczej zapadła w Moskwie w 1941 roku już po ataku Niemiec na ZSRR. Nowa sytuacja militarna i polityczna spowodowała, że Józef Stalin zamierzał odtworzyć na terenie okupowanej Polski kierownictwo ruchu komunistycznego, które wcześniej sam zniszczył (rozwiązana w 1938 roku Komunistyczna Partia Polski). Teraz aktywiści z nadania Kremla i wyszkoleni w ZSRR (m.in. Bolesław Bierut, Marcei Nowotko, Pinkus Finder, ps. Paweł, bracia Mołojcowie) mieli rozwijać komunistyczne struktury, przygotowując przyczółki dla przyszłej Polskiej Republiki Radzieckiej.

28 stycznia 1952 roku, na centralnej akademii w Warszawie, zorganizowanej dla uczenia dziesięciolecia PPR, Bolesław Bierut, prezydent RP i zarazem pierwszy sekretarz Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (powstałej z połączenia PPR i Polskiej Partii Socjalistycznej w 1948 roku) mówił, że PPR: „Była jedyną partią, która głosiła, że niezawodną i prawdziwą ostoją tych sił wyzwolenicznych może być tylko wielki Związek Radziecki – państwo socjalistyczne, że natchnieniem i genialnym strategiem tych sił jest wódz światowego proletariatu i narodów radzieckich – Józef Stalin”.

Już w tym krótkim cytacie zawiera się ówczesna sytuacja polityczna kraju, jako państwa jednopartyjnego, podporządkowanemu ZSRR.

Sztumski pomnik, jak głosiła tablica, był poświęcony „robotnikom i chłopom, członkom PPR, którzy zginęli w walce o utrwalanie władzy ludowej z faszystowskimi bandami”. Pod tym napisem wymienione były konkretne osoby. Byli to funkcjonariusze milicji i Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Sztumie, którzy zginęli w akcji pościgowej za szwadronem V Wileńskiej Brygady Armii Krajowej „Żelaznego”, ppor. Zdzisława Badochy 10 czerwca 1946 roku. Pod Tulicami samochód z grupą funkcjonariuszy został ostrzelany

przez oddział „Żelaznego”. W trakcie wymiany ognia zginęło trzech milicjantów, ranny został też dowódca szwadronu Zdzisław Badocha. Już po poddaniu się całej grupy pościgowej zostali zastrzeleni dwaj funkcjonariusze UBP – Kazimierz Baczyński i Maksymilian Kantorski. Wkrótce szwadron „Żelaznego” zarekwirowaną ciężarówką odjechał z Tulic w stronę Dzierzgonia. Udało mu się wymknąć kolejnej grupie pościgowej, tym razem jednostki wojskowej z Elblągu.

Na tablicy znalazło się także nazwisko Andrzeja Głuchowskiego, szefa powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Sztumie, który zginął podczas interwencji 26 maja 1950 w Szropach, próbując granatem wypłoszyć ukrywającego się w stodole dezertera.

Milicjanci i funkcjonariusze UB stali za „mitem założycielskim” Polskiej Partii Robotniczej na Ziemi Sztumskiej. W warstwie symbolicznej uczyniono sporo, aby on przetrwał.

Głuchowski został nowym patronem ulicy Grudziądzkiej (obecnie Czarnieckiej). Baczyński zaś sąsiadującej ze skwerem, wcześniej noszącej miano Strzeleckiej.

Na cmentarzu komunalnym przy ulicy Nowowiejskiego obaj mają wraz z innym milicjantem Feliksem Rakiem (zm. 1945) do dziś (2025 rok) okazały grobowiec z inskrypcją „Cześć bohaterom poległym w walce z bandami faszystowskimi za wolność, niepodległość i demokrację”. Zgodne z ówczesną linią propagandy komunistycznej, żołnierzy Armii Krajowej nazywano „faszystowskimi bandami”. Zmieniło się to po 1955 roku, ale na pomnikach ku czci „utrwalaczy” władzy ludowej napisy pozostawały jeszcze do czasów przemian ustrojowych 1990 roku. Wtedy to komisja ds. zmiany nazw ulic i placów, działająca przy Radzie Miasta i Gminy w Sztumie, rekomendowała radnym propozycje zmian. Patronami ulic przestali być wówczas Andrzej Głuchowski i Kazimierz Baczyński. Ten ostatni został zastąpiony poetą Krzysztofem Kamilem Baczyńskim, bo tak naprawdę wielu mieszkańców sadziło, że to o niego chodzi. Zdecydowano o usunięciu pomnika wystawionego w 10 rocznicę powstania PPR z tablicą upamiętniającą milicjantów i funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. Komisja postulowała, żeby zdemontowana tablica znalazła się w zasobach Muzeum Powiśla jak dokument czasu.

POMNIK Z BŁYSKAWICZNĄ ZBIÓRKĄ

Na fali politycznej odwilży 1956 roku stanął w Sztumie pomnik, który przywracał pamięć o przedwojennych, miejscowych działaczach polskiego ruchu narodowego spod znaku Ródlą. Inicjatywa budowy pomnika Wdzięczności bojownikom o polskość Powiśla, którzy zginęli podczas II wojny światowej wyszła od Powiatowego Komitetu Frontu Jedności Narodu w Sztumie. FJN była instytucją społeczno-polityczną utworzoną w 1952 roku jako Front Narodowy. Podporządkowany całkowicie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej realizował jej cele, skupiała partie polityczne, związki zawodowe i organizacje społeczne. To FJN jako jedyna siła przedstawiał listy kandydatów do sejmu i rad narodowych. Poza tym patronował także inicjatywom społecznym o zasięgu ogólnopolskim i lokalnym. Jedną z nich był właśnie pomnik w Sztumie.

Jak oficjalnie podawano Pomnik Wdzięczności wybudowano ze środków społecznych. Zbiórka w miejskich i gromadzkich komitetach FJN oraz radach zakładowych na terenie

powiatu trwała w dniach 22 maja – 15 czerwca. Odślonięcie pomnika, który stanął przy ulicy Mickiewicza, niedaleko budynku Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, odbyło się zaledwie kilka tygodni później, bo 22 lipca, w święto państwowe. Autorem projektu pomnika był inżynier Terenda z Gdańska. Metalową płytę wykonała w czynie społecznym Stocznia im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Na najwyższym z trzech wznoszących się kolumn znalazł się znak Rodła, stylizowany bieg Wisły z zaznaczonym Krakowem, symbol Związku Polaków w Niemczech.

Na uroczystość odślonięcia przybyli przedstawiciele władz wojewódzkich z Gdańska, ale także liczne grono przedwojennych działaczy Związku Polaków w Niemczech z terenu powiatu sztumskiego. Przewodniczący Wojewódzkiego Komitetu Frontu Jedności Narodu w Gdańsku, prof. Romuald Cebertowicz, stwierdził w swoim wystąpieniu: „Zegara historii oraz faktu ujęcia władzy przez lud nie da się cofnąć wstecz. Ziemie te były, są i będą zawsze polskie. Nie ma u nas autochtonów i Polaków. Wszyscy, którym droga sercu jest nasza ludowa ojczyzna, stanowimy jedną wielką rodzinę skupioną w szeregach Frontu Jedności Narodu budującą wspólnym wysiłkiem taką Polskę, o jaką walczyliście wy i wasi ojcowie”⁵. Uroczystość odślonięcia była okazją do uhonorowania członków Związku Polaków w Niemczech odznaczeniami państwowymi. Był to symboliczny zwrot w traktowaniu autochtonicznej (miejscowej) ludności. W tym czasie w sztumskim Prezydium PPRN leżało ponad tysiąc podań osób starających się o wyjazd na stałe do Niemiec. Reporter „Dziennika Bałtyckiego” Waclaw Hyra napisze, że do takiej decyzji „popycha ich zwyczajna bieda, czują się dyskryminowani”, nie mają swoich reprezentantów we władzach. Była to diagnoza z pewnością uproszczona, pomijała bowiem oczywisty fakt, że ktoś starał się o wyjazd, bo czuł się Niemcem, co oficjalna propaganda nie chciała przyznać.

Pomnik Rodła zapoczątkował przywracanie pamięci o aktywności miejscowych Polaków – politycznej, ekonomicznej, oświatowej, kulturalnej – choć głównie warstwie symbolicznej. W 1960 roku, w czterdziestą rocznicę plebiscytu, na budynku przy ulicy Jagielly, zawisła tablica ze znakiem Rodła i napisem: „W tym domu w latach 1919–1939 mieścił się Związek Polaków w Niemczech i wszystkie organizacje polskie Powiśla”. Dom Polski, bo o nim mowa, został zakupiony przez ZPwN w 1932 roku, a rok później odbyło się jego uroczyste otwarcie. Czy ktoś, kto układał tekst, o tym nie wiedział, czy nie troszcząc się o ścisłość, chciał po prostu zaznaczyć międzywojenną, dwudziestoletnią działalność polskich organizacji?

Kolejna tablica poświęcona działaczom *polonijnym ziemi sztumskiej straconym w hitlerowskich obozach koncentracyjnych* została wmurowana w ścianę Powiatowego Domu Kultury przy ulicy Reja w 1966 roku. Obchodzono wówczas 1000-lecie Państwa Polskiego, które było odpowiedzią na uroczystości kościelne 1000-lecia chrztu Polski. Tablica, znajdująca się obecnie pod pomnikiem Rodła, upamiętnia Bolesława Osieńskiego, Maksymiliana Golisza, Mikołaja Dorsza, Jana Fiszera oraz braci – Leona i Feliksa Włodarczaków, działaczy polskiego harcerstwa.

Trudno znaleźć zasadę, którą kierowano się przy upamiętnieniu działaczy. Z przyczyn ideologicznych pominięto przedstawicieli środowisk ziemiańskich i duchowieństwa.

⁵ A. Lubiński, *Odślonięcie pomnika Wdzięczności w Sztumie 22 lipca 1956*, w: *Z dziejów Sztumu i okolic*, cz. VI, Sztum 2010.



Uroczystość odsłonięcia pomnika dłuta Wiktora Tolkina. Fot. Henryk Lipski

Nie wszyscy zginęli w obozach koncentracyjnych. Feliks Włodarczak był uczniem polskiego Gimnazjum w Kwidzynie. Wraz z innymi uczniami i gronem pedagogicznym 25 sierpnia 1939 roku został internowany i przewieziony do obozu w Tapiau i Grünhoff. Po uwolnieniu został powołany do niemieckiego wojska. Walczył w Afryce. W maju 1943 roku dostał się do amerykańskiej niewoli. Potem zameldował się w szeregach I Dywizji generała Maczka i poległ w Normandii. Spoczywa na polskim cmentarzu wojskowym w Langennerie. Maksymilian Golisz, działacz oświatowy, został ścięty w więzieniu w Brandenburgu. Sąd skazał go na karę śmierci za przedwojenną działalność na rzecz państwa polskiego. W ręce niemieckie wpadły wcześniej dokumenty polskiego wywiadu.

ZAGADKOWE, ABSTRAHIZUJĄCE FORMY

W 1968 roku na placu Wolności stanął kolejny monument symbolizujący polsko-radzieckie „braterstwo broni”. Pomnik z 1950 roku nie wytrzymał próby czasu i zaczął się rozpaść. Trzeba było zastosować metalowe opaski, aby utrzymać całą konstrukcję. Władze zdecydowały, że nie będzie się go poddawać zabiegom remontowym, ale z okazji 60. rocznicy Rewolucji Październikowej w Rosji stanie nowy. Projekt i wykonanie powierzono Wiktorowi Tolkinowi (1922–2013), artyście uznanemu, autorowi wielu monumentalnych obelisków, m.in. w Kołobrzegu i w obozie na Majdanku.

Uroczyste odsłonięcie miało miejsce w 50. rocznicę wybuchu Rewolucji Październikowej. Podobno niewiele brakowało, by zakończyło się skandalem. Ktoś czujnie zauważył, że symbole sowieckie na pomniku są zbyt mało widoczne, w każdym razie giną w cieniu



Tablica na przedwojennym Domu Polskim. Fot. Henryk Lipski

naszych narodowych symboli. Na szczęście zaproszeni goście *radzieccy* nie zwrócili na to uwagi, w czym – podobno – pomogły mocne trunki.

„Osią organizującą całość był potężny cylinder, na którym znalazły się surowo opracowane twarze żołnierzy, pośrodku których umieszczony był orzeł. Radziecka gwiazda znajdowała się poniżej, a uzupełniającym wymowę plastyczną cytatem literacki były słowa Joachima Lelewela – *Za wolność naszą i waszą* – pisze o sztumskiej realizacji historyczka sztuki Magdalena Howorus-Czajka. Zwraca przy tym uwagę na „zagadkowe, abstrahizujące formy piramidalne umieszczone w tyle cylindra pomnika”. Niełatwo wyjaśnić, dlaczego się tu znalazły. „Kiedy okrążało się pomnik formy te intrygowały, raz przypominając rozwijające się sztandary, a raz stając się aluzją do luf armatnich”⁶.

To, co wyczytała historyk i krytyk sztuki, umknęło chyba innym oglądającym, Obelisk nie zyskał sympatii sztumian. Nazywano go dość powszechnie „beczką śmiechu”. Na dodatek biały piaskowiec pokrywał się w kolejnych latach czarnym nalotem, detale pomnika stawały się coraz mniej widoczne. Sprawiał przygnębiające wrażenie.

W 1990 roku miejska komisja ds. zmiany nazw ulic i placów rekomendowała demontaż pomnika „braterstwa broni” i zagospodarowanie uwolnionego terenu na cele parkingowe. Wywołało to publiczną dyskusję, m.in. na łamach lokalnych pism. Pomnik stał jednak nadal, ostatecznie został rozebrany w 2010 roku, kiedy to zaczęła się rewitalizacja sztumskiego Starego Miasta.

⁶ M. Howorus-Czajka, *Pomnika jako dialog. Wspomnienie o Wiktorze Tolklinie*. „Orońsko. Kwartalnik rzeźby”, 2013, nr 2.

Agnieszka Świercz-Karaś

DLACZEGO WARTO ROBIĆ SOBIE PREZENTY

Czasem zepsuta część od kombajnu może stać się przyczynkiem do przygody. Tak było w przypadku państwa Angeliki i Artura Przechadzkich z Gąsek. Małżeństwa, które obecnie spokój duchowy osiąga między innymi dzięki ceramice.

LETNIA SZKOŁA

W sierpniu 2023 r. pani Angelika postanowiła zrobić sobie prezent. Młoda kobieta na co dzień uczy wizażu w Pomorskiej Medycznej Szkole Policealnej w Sztumie. Tym razem zamiast kolejnego kursu makijażu postanowiła spróbować czegoś innego. Wybrała się na Letnią Szkołę Ceramiki pod okiem pani Beaty Grudzieckiej z Ceramiki Malborskiej.

– Chciałam zrobić coś dla siebie. Zrelaksować się. Nie planowałam w przyszłości nic więcej z tym robić. I dobrze mi szło do pewnego momentu – opowiada pani Przechadzka.

Pewnego sierpniowego dnia pan Artur jechał po części do traktora do Fiszewa. Zajeżdżał na kawę do żony na zajęcia ceramiki.

– I jak zobaczył, jak ja maluję te flizy, talerze, to powiedział, że on też tak chce. Porozmawiałam z Beatą o miejscu na warsztatach kobaltu i miesiąc po mnie mój mąż wziął udział w swoim pierwszym szkoleniu. Zaraził się od razu – opowiada pani Angelika.

POCZTÓWKA I WYOBRAŹNIA WYSTARCZA

Przez ostatnie lata w domowej pracowni państwa Przechadzkich powstało wiele prac. Sentyment do tych pierwszych jednak pozostał.

– Na tej mozaice widać dawny hotel na Młynach w lesie kwidzyńskim. Przedstawiłem go w metodzie XVII-wiecznej, wszkliwej. Obiekt już nie istnieje, nigdy go na oczy nie widzieliśmy, ale mieliśmy pocztówkę i wybraliśmy się na miejsce. Choć już dzisiaj nie łatwo je znaleźć – opowiada pan Artur, który na co dzień prowadzi duże gospodarstwo rolnicze. Przy wykonaniu ramki do swojej pracy artysta-rolnik wykorzystał znalezione na miejscu kawałki deski i gwoździ. – To taka moja osobista rzecz. Ja się w tym lesie wychowywałem. Dzięki niemu pokochałem historię. Teraz dużo prac tworzymy, ale jednak te pierwsze pozostają ulubionymi – tłumaczy pan Artur, a żona ze śmiechem dodaje, że tylko dlatego możemy je jeszcze podziwiać u nich w domu. Większość prac znajduje bowiem prawie natychmiast odbiorów.



Pani Angelika z głową męża

TAKA PRACA POWSTAJE 1,5 MIESIĄCA

Po pierwszej letniej fascynacji ceramiką nadeszła jesień, a wraz z nią długie wieczory. Mniej było pracy na gospodarstwie. Małżonkowie usiedli do flis. Wieczorami malowali, zbierali kosz swoich prac i jeździli do Ceramiki Malborskiej wypalać je (prawie 90 km w obie strony). Obecnie mają już swój piec, ale nie znaczy to, że nie odwiedzają koleżanki z Malborka.

– Jeździmy tam cały czas. Mąż na przykład dopiero co skończył „Kurs zduński kafli piecowych”. Jeździmy też po kraju w poszukiwaniu inspiracji. Byliśmy oboje na warsztatach w Łucznicy, gdzie zrobiliśmy Podstawowy Kurs Ceramika. Uprawnia nas to teraz także do prowadzenia warsztatów ceramicznych pierwszego stopnia – opowiada pani Angelika, dodając, że sama szykuje się już na zajęcia z koła ceramicznego, jednocześnie pokazując wazon, który ulepiła ręcznie.

Tak opisała proces jego tworzenia: „Wazę lepiłam i gładziłam z gliny przez 8 godzin. Miałam naszkicowany projekt i z tego projektu przenosiłam wzór na mokrą glinę, rzeźbiąc go. Rzeźbienie trwało około 12 godzin. Potem przez tydzień praca musiała wyschnąć. Wszystko co robimy z gliny musi przynajmniej tydzień schnąć, aby glina była stabilna i nie pękała. Taką wyschniętą wazę musiałam wypalić w piecu. Tak dużą pracę wkłada się jako jedyną do pieca i wypala temperaturze 800 stopni Celsjusza. Kiedy wychodzi z pieca jest biała i zaczyna się proces pokrywania jej kolorowymi szkliwami i farbami. Gotową pracę trzeba zanurzyć w wiadrze ze szkliwem”. Cały proces powstania takiej jednej wazy z aniołami trwał półtora miesiąca.



RANDKA NA CMENTARZU

Zamiłowanie do historii dzielą oboje małżonkowie. Pani Angelika już jako nastolatka, pod okiem swojego nauczyciela historii, Piotra Podlewskiego, publikowała pierwsze artykuły w *Dzienniku Bałtyckim*.

– Kiedy Piotr przyszedł do naszej szkoły jako początkujący nauczyciel, miał już wielką zająkę na historię. My jako dzieci szybko ją podłapaliśmy. Chodziliśmy z nim na różne wyprawy. Razem poznawaliśmy historię regionu, o której Piotrek pisze obecnie m.in. w *Penetracji*. Ja połknęłam bakcyła jeśli chodzi o historię Sztumu, a mąż zna bardzo dobrze



Artur Przechadzki w rodzinnej pracowni ceramicznej, fot. archiwum prywatne

historię Prabut. Dyskutujemy na tematy historyczne, nawet nasze pierwsze ranki były na cmentarzu mennonickim. Na początek znajomości poznawaliśmy okoliczne miejsca związane z Prusami – wspomina pani Przechadzka, jednocześnie pokazując pamiątki męża związane z III Batalionem 152 Królewskiego Pułku Piechoty imienia Zakonu Niemieckiego (Deutsch Ordens-Infanterie-Regiment Nr. 152). Część ze zbiorów pana Artura znajduje się obecnie także w depozycie Muzeum Regionalnego w Suszu.

„LIEBE” MA KILKA ZNACZEŃ

Motywy historyczne, takie jak kirasjer prabucki, często goszczą na wyrobach Ceramiki Liebe; taką właśnie nazwę przybrała bowiem pracownia państwa Przechadzkich.

– Termin wziął się od nazwy rzeki, przy której mieszkamy i przepływa przez całe Powiśle. Łączy ten region, który uwielbiamy, i oczywiście miłość, bo Liebe to po niemiecku także miłość – opowiada twórca logo i nazwy.

W SZKOLE MAM PROBLEMY PRZEZ MIŁOŚĆ DO HISTORII

Miłość do historii połączyła rodziców. Oni przekazują ją swoim siedmio- i dziewięcioletniemu synowi. Ja mam problemy przez to, że kocham historię. Potrafię się za bardzo



rozgadać na lekcji np. o wojnach punickich albo o Falklandy – opowiada Felek, uczeń 3 klasy szkoły podstawowej, w której nie ma jeszcze w programie lekcji historii.

– Od jego rówolatków wymaga się znajomości tabliczki mnożenia, a nie wiedzy o wojnach napoleońskich, o których on na przykład lubi się rozgadać – dodaje mama młodego historyka.

LUDZIE PYTAJĄ

Ceramika Liebe pojawiła się w mediach społecznościowych. Ludzie zaczęli dopytywać o sklep i regularną sprzedaż ich produktów. Państwo Przechadzcy, jak sami zapewniają,



prowadzą obecnie bardzo satysfakcjonujące życia zawodowe. To są ich obecne priorytety. Ceramika pozostaje formą „wyzycia się artystycznego”.

– Jeśli ktoś do nas napisze, staramy się jak najszybciej odpowiedzieć. Na ten moment mamy za dużo obowiązków, aby otworzyć sklep, ale z naszymi klientami kontaktujemy się online. Tak jest mi też łatwiej rozplanować pracę. Terminy realizacji są jednak różne. Oboje pracujemy, więc nie zawsze da się zrobić coś „na teraz”. Ceramika jest też procesem bardzo mozolnym, niektóre rzeczy powstają tygodniami. Flisy malujemy np. chwila moment, ale żeby naładować cały piec i móc go uruchomić, musimy mieć taką szpaltę flis. Więcej niż jednej nie da się też namalować w ciągu dnia. Zresztą taka forma pracy nam odpowiada. To jest nasz relaks. Pracujemy tylko wtedy, gdy mamy ochotę – tłumaczy twórcy Ceramiki Liebe.

SŁÓW KILKA JAK TO SIĘ ROBI

Oglądając pracownię w Gąskach można poznać cały proces powstawania ceramiki.

– Kiedy robię np. 30 takich flis, to najpierw je szkliwię. Rozkładam na podłodze i czekam aż wyschną. Wtedy biorę je na stół i muszę odbić wzór, który wcześniej zaprojektowałam i namalowałam w notatniku. Aby powstał wzór na płytce, muszę go przynajmniej trzy razy narysować. Najpierw główny wzór, potem go przerysowuję na kalkę, dziurkuję igłą kontury i robię tak zwaną przepručę. Przeprucza to taka tradycyjna metoda holenderska. Bierze się szmatkę z węglem drzewnym, uderza w przedziurawioną kalkę i na poszkliwionej płytce odbija się wzór. Na malowanym obiekcie zostają kropeczki z węgla. Patrzy się wtedy na swój pierwotny rysunek i odwzorowuje go do końca na pracy – opowiada z pasją pani Angelika.



FILM I MAGIA

Nie samym wykładaniem, rolnictwem i ceramiką państwo Przechadzcy żyją. Pan Artur wielokrotnie był statystą w filmach i działa przy grupie rekonstrukcyjnej. Pani Angelika swoją przygodę miała ostatnio na planie *Baśni z Dolnego Powiśla*, gdzie odpowiadała za charakteryzację.

– Chodziłam za ekipą na planie. Wizaż musi być bowiem przygotowany przed rozpoczęciem zdjęć, a w ich trakcie obserwujemy, czy wszystko jest jak należy. Wiem, że produkcja mogła by się odbyć i bez mojego wkładu, dla mnie była to prawdziwa przygoda. Wspaniale mi się pracowało z tymi ludźmi i ich niesamowitą energią. Jak dziewczyny z *Kobięcych Serc* zaśpiewały w Olsztynku „Dziewico, i Matko, i Starucho”, to przez dwa tygodnie chodziłam i to nuciłam. Wspaniała muzyka, która zostaje w głowie. Prawdziwa magia tam była. Tak, wiem, że mam zamiłowanie do legend – wspomina z uśmiechem swój udział w produkcji pani Angelika.

TELEEXPRESS, PANORAMA

Małżonków z Gąsek i ich prace poznaje coraz szersze grono osób. Informacje o nich nie tylko pojawiały się w lokalnych mediach, ale też w ogólnokrajowym Teleexpresie. Artyści niejednokrotnie pojawiali się Panoramie TVP, Agrobiznesie, Zawodowcach. Swoją działalność i osiągnięcia prętnie opisują w mediach społecznościowych.

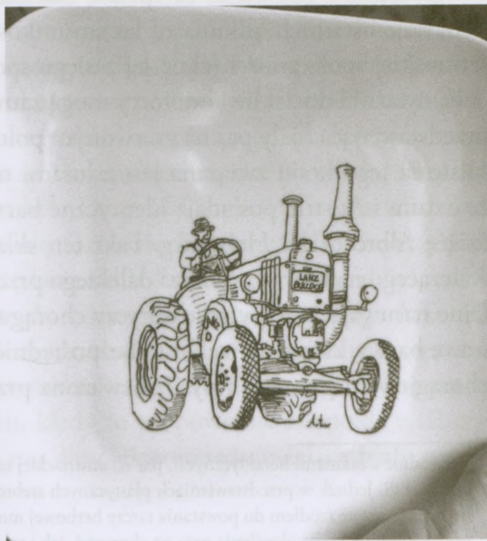


Znajdziecie ich:

Facebook: Ceramika Liebe – Wyroby z Powiśla

Instagram: ceramikaliebe

Jeśli myślicie, że autorce artykułu udało się opuścić pracownię z pustymi rękami, to się mylicie.



Arkadiusz Dzikowski



Historyczna podróż z flagą Austrii w tle

PODRÓŻ PIERWSZA: Z AKKI DO SZTUMU

W lipcu 1191 roku austriacki książę Leopold walczy na murach bliskowschodniej Akki. Jego biała szata okrywająca zbroję ocieka krwią wrogów. Wreszcie, wśród tłumu szturmujących twierdzę krzyżowców, zatyka swoją chorągiew na murach Akki. Jednak Anglicy, na rozkaz swego dumnego i porywczego wodza – króla Ryszarda, strącają chorągiew księcia do fosy, a niektórzy nawet ją depczą. Urażony i rozgoryczony takim obrotem sprawy książę opuszcza mury dopiero co zdobytej twierdzy. Zaszywa się w swym namiocie targany emocjami po doznanej zniewadze. Przez całą noc w jego głowie dojrzewa plan zemsty. Pomimo odniesionego zwycięstwa, po kilku dniach opuszcza szeregi krzyżowców i wraca do Europy. Jednak fakt jego bohaterskiej walki nie pozostaje niezauważony. Cesarz Henryk VI wręcza mu uroczyste nową chorągiew, na której czerwonym, niczym krew Saracenów polu, widnieje biały pas – jedyne miejsce na bojowej szacie Leopolda, które zachowało swoją barwę w trakcie walk. Niemal 200 lat później, w roku 1377 w Prusach, kolejny austriacki, książę Albrecht, wręcza swoją chorągiew wielkiemu mistrzowi Zakonu Niemieckiego, po czym ta staje się znakiem wójta sztumskiego, rezydującego na krzyżackim zamku ufundowanym przez Albrechta. Po wielu wiekach flaga z białym¹ pasem na czerwonym polu nadal stanowi oficjalną wizytówkę Sztumu.

Przytoczona opowieść, za sprawą działalności pasjonatów i pracy historyków, została w okresie ostatnich kilkunastu lat stosunkowo mocno rozpowszechniona wśród lokalnej, sztumskiej społeczności (choć jej zasięgu społecznego nie należy przeceniać). Jednak bardziej uważni i dociekliwi odbiorcy mogą zauważyć w niej kilka istotnych nieścisłości. Flaga przedstawiająca biały pas na czerwonym polu jednoznacznie kojarzy się z barwami Austrii. Historia tego kraju związana jest z losami rodu Habsburgów. Dlatego nikogo nie dziwi, że Sztum i Austria posiadają identyczne barwy, skoro hojnym darczyńcą z roku 1377 był książę Albrecht III Habsburg. Fakt ten skłaniał wielu autorów do uznawania Leopolda walczącego na murach Akki za dalekiego przodka księcia Albrechta. Ale czy to prawda? Kolejne nasuwające się pytanie dotyczy chorągwi Leopolda. Skoro po bitwie cesarz nadał mu nowe barwy, związane rzekomo bezpośrednio z udziałem w oblężeniu Akki, jak wyglądała chorągiew strącona do fosy i znieważona przez Anglików? No i kolejna wątpliwość: jeżeli

¹ Zgodnie z zasadami heraldycznymi, pas na austriackiej tarczy herbowej jest srebrny, a nie biały i jest barwą zaliczaną do tzw. metali. Jednak w przedstawieniach plastycznych srebro przedstawia się za pomocą koloru białego. Stąd na chorągwi, będącej zapewne źródłem do powstania tarczy herbowej mowa o białym pasie. Dla jasności tekstu, autor świadomie wprowadza kolor biały dla określenia pasa na chorągwi, jak i tarczy herbowej książąt Austrii.

cesarz nadał Leopoldowi nowe barwy po oblężeniu Akki, skąd identyczne barwy (biały pas na czerwonym polu) znalazły się w znakach innych rodów austriackich na długo przed III wyprawą krzyżową? Czyżby historia Leopolda została zmyślona?

PODRÓŻ DRUGA: KTO PRZED LEOPOLDEM?

Z wiarygodnych źródeł historycznych wiemy, że zarówno Leopold jak i Albrecht wywodzili się z kręgów rycerstwa austriackiego. Jednak dla zrozumienia tej ciekawej historii należy odpowiedzieć na pytanie, czym była Austria w okresie historycznym, do którego sięgamy, a więc w XII wieku lub nawet wcześniej i jak kształtowały się stosunki polityczne i zasięgi terytorialne poszczególnych rodów w tamtym okresie. Interesujące nas obszary noszą dość ciekawe, acz niekiedy słabo rozpoznawalne nazwy, takie jak: Bryzgowia, Gorycja, Styria, Karyntia i inne. Dla łatwiejszej orientacji geograficznej przyjmijmy, że interesujący nas obszar leży na pograniczu dzisiejszych Niemiec, Szwajcarii, Włoch, Austrii, Czech i Słowenii. Na obszarze tym mniej więcej od X wieku obserwować możemy w źródłach historycznych rody rycerskie, które miały największy wpływ na kształtowanie się wczesnej historii Austrii, a których przedstawiciele odegrali istotną rolę w opowieści o barwach dzisiejszego Sztumu. Były to rody Eppenstein, Spanheim, Traungau, Meinhardin, Babenberg i Habsburg. To przedstawiciele tych rodów osiągnęli w XI i XII wieku tytuły hrabiów i margrabiów, a w końcu także książąt wymienionych wcześniej prowincji. W ówczesnej Bryzgowii, na dzisiejszym pograniczu niemiecko-szwajcarskim, protoplastą rodu Habsburgów, wywodzących się z zamku Habichtsburg (Jastrzębi Gród) był niejaki Guntram Bogaty. Ród Habsburgów miał okazać się najbardziej wpływowym w dziejach Austrii. W Gorycji (na dzisiejszej granicy austriacko-słoweńskiej) od panowania Meinharda I swoje władanie zapoczątkował ród Meinhardinów, by w XIII wieku objąć tytuł książąt Karyntii po dynastii Spanheimów. W Karyntii (dziś południowa Austria) początkowo tytuł margrabiów a później książąt uzyskali przedstawiciele rodu Eppensteinów, wygasłego w 1122 roku. Tytuł książąt tej prowincji aż do XIII wieku utrzymywał wspomniany już ród Spanheimów. W Styrii (także dzisiejsza południowa Austria) pojawili się i dziedziczyli władzę Traungauerowie. Pierwszym margrabią z tego rodu był Ottokar I, a pierwszym księciem bezpotomny Ottokar IV, który w 1186 roku ustanowił księcia Leopolda Babenberga spadkobiercą księstwa Styrii. Wreszcie w Marchii Wschodniej (Ostmark) u schyłku X wieku po władzę sięga ród Babenbergów. Początkowo marchia nazywana była *Ostarrîchi*, czyli wschodnie władztwo. Ta nazwa jest źródłem nazwy Österreich, określającej Austrię. Na tym etapie naszych dociekań najbardziej interesującą postacią jest książę Leopold V Babenberg. Leopold był synem Henryka II Jasomirgotta i Teodory Komneny, bratanicy cesarza bizantyjskiego Manuela I. 17 sierpnia 1186 roku w układzie z księciem Ottokarem IV w Georgenberg zapewnił sobie odziedziczenie po jego śmierci Styrii i centralnej części Górnej Austrii, które zostały połączone z jego posiadłościami w 1192 roku, kiedy to po powrocie Leopolda z III wyprawy krzyżowej cesarz Henryk VI wręczył mu chorągiew przedstawiającą biały pas na czerwonym polu.

PODRÓŻ TRZECIA: ILE PRAWDY W LEGENDZIE?

Badania ikonograficzne i sfragistyczne nie dają odpowiedzi na pytanie, który z rodów jako pierwszy posługiwał się chorągwią z białym pasem na czerwonym polu. Historia kształtowania się terytoriów przyszłej Austrii sięga czasów przedheraldycznych, a przedstawienia ikonograficzne ukazujące przedstawicieli poszczególnych rodów z herbami na tarczach i chorągwiach są dużo późniejsze. Tradycja prawna na terenie Świętego Cesarstwa Rzymskiego wskazuje, że czerwona chorągiew była rodzajem legitymacji do sprawowania sądownictwa początkowo przez królów, a później przez książąt i margrabiów w imieniu cesarza, jako znak prawa do tzw. krwawej jurysdykcji. Posiadaczami takiej chorągwi byli na przykład Eppensteinowie. Chorągiew ta stanowiła symbol ich praw lennych, jako książąt ziem austriackich (już od 1012 roku byli książętami Karyntii) w ramach Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Po wygaśnięciu linii dynastycznej tego rodu, książętami Karyntii zostali Spanheimowie. Odziedziczyli nie tylko ziemie i tytuł, ale także przynależne do nich barwy, potwierdzające ich prawa. Tym samym w książęcym herbie Spanheimów, obok trzech czarnych lwów w złotym polu (herb Hohenstaufów), pojawił się biały pas w polu czerwonym (choć w wcześniejszym herbie rodu przedstawiał panterę w polu srebrnym). W takim też kształcie herb wraz z tytułem książąt Karyntii odziedziczyli Meinhardinowie i posługiwali się nim aż do utraty tytułu książęcego na rzecz Habsburgów. Podobnie kształtowały się barwy heraldyczne margrabiów i książąt Styrii. Marchią tą władali przedstawiciele rodu Traungau, w których herbie rodowym widniała srebrna pantera w polu zielonym. Jednak wszyscy władcy Styrii z tego rodu pieczętowali się herbem, którego część obok pantery stanowił biały pas w polu czerwonym (aż do roku 1192). Leopold V Babenberg, jako książę Austrii (od 1156 roku Marchia Austriacka była księstwem), posługiwał się zapewne również herbem dzielonym, gdzie w jednej jego połowie przedstawiono pięć złotych orłów w polu niebieskim (herb rodu Babenbergów), w drugim natomiast widniał biały pas w polu czerwonym. Istotny przełom nastąpił po podpisaniu umowy o dziedziczeniu księstwa Styrii przez Leopolda V Babenberga po bezpotomnej śmierci Ottokara IV z rodu Traungauerów oraz po powrocie Leopolda z wyprawy krzyżowej. Oto w roku 1192 (w maju zmarł Otton IV) cesarz Henryk VI wynagrodził Leopolda za trudy wyprawy krzyżowej i pojmanie króla Anglii Ryszarda, przyznając mu inwestyturę na Styrię, którą ten odziedziczył właśnie w wyniku dyplomatycznych układów. Dzięki temu Leopold V Babenberg skupił pod swym panowaniem Marchię Wschodnią (Austriacką), Styrię oraz znaczną część Górnej Austrii, stając się władcą Księstwa Austrii. Z wydarzeniami tymi być może związany jest fakt nadania chorągwi lennej Leopoldowi przez cesarza Henryka, a opowieść o skrwawionej szacie dodaje jedynie tym wydarzeniom kolorytu, wpisując się w rycerskie tradycje epoki. Co więcej – niektórzy badacze uważają, że cała opowieść o strąceniu chorągwi Leopolda z murów Akki została zmyślona po to, żeby usprawiedliwić uwięzienie wracającego z wyprawy krzyżowej Ryszarda. W rzeczywistości Leopold mógł być jedynie wykonawcą ułożonego wcześniej przez króla Francji Filipa i cesarza Niemiec Henryka planu pojmania króla Anglii. Tym samym nadanie praw do Styrii i wręczenie chorągwi lennej Leopoldowi przez cesarza było jedynie nagrodą za wydanie króla Ryszarda w cesarskie ręce. Dla złagodzenia negatywnego wydźwięku całej operacji dodano ekscytujące tło w postaci zakrwawionej

Styrię. Na mocy układu z Bernardem z rodu Spanheimów, księciem Karyntii, w 1269 roku zajął to księstwo. W 1273 roku Przemysław chciał sięgnąć po koronę króla Niemiec, jednak elektorowie, którzy obawiali się potęgi króla Czech, powołali na tron niemiecki słabego wówczas Rudolfa I Habsburga. Władca ten zażądał od Przemysława Ottokara zwrotu dziedzictwa Babenbergów: księstw Austrii, Karyntii i Styrii, jednak Ottokar odrzucił żądania króla. Tak doszło do kolejnego konfliktu, którego wynik przybliżył nas do wydarzeń z roku 1377, mających wielkie znaczenie dla Sztumu. Latem 1276 roku armia Rudolfa I przebywała wraz z wojskami Władysława IV, króla Węgier, w okolicy Wiednia. Sojusz ten zmusił Ottokara II do formalnego uznania Rudolfa I jako króla Niemiec oraz zwrotu Austrii, Karyntii i Styrii. Pokój nie trwał długo. W roku 1278 król Czech pomaszerował ponownie w okolice Wiednia,



gdzie 26 sierpnia napotkał sprzymierzoną armię Rudolfa i Władysława IV Węgierskiego. Doszło do starcia zwanego bitwą pod Suchymi Krutami, zaliczaną do największych bitew średniowiecza. Na przestrzeni kilku kilometrów starło się ze sobą kilkadziesiąt tysięcy rycerzy. W jej wyniku król czeski Przemysław Ottokar II zginął. Na jego sarkofagu, obok herbu Przemysławidów, widnieje również herb książąt Austrii. Zwycięstwo w bitwie umożliwiło Rudolfowi odzyskanie zajętych przez króla Czech terenów. Król porozumiał się także z wdową po Ottokarze Kunegundą, co ostatecznie zakończyło konflikt. Wraz z tymi zmianami, na insygniach władzy Habsburgów pojawił się nowy element:

tarcza i chorągiew z białym pasem na czerwonym polu – dziedziczne barwy książąt Austrii – obok habsburskiego, czerwonego lwa w polu złotym.

PODRÓŻ PIĄTA: AUSTRIACKIE DZIEDZICTWO HABSBUROW

Począwszy od króla Rudolfa I Habsburgowie dążyli do skupienia w swoich rękach władzy nad ziemiami austriackimi, nie tracąc z pola widzenia tytułów królewskich. Jednak osiągnięcie korony Niemiec lub Czech nie było łatwe i w efekcie kolejni przedstawiciele rodu opierali swą rosnącą potęgę na terenach austriackich. Pierwszym ze spadkobierców rodu, który nie starał się o koronę królewską, był Albrecht II Habsburg o przydomku Kulawy ze względu na swoją niesprawność. Rządził połączonym dziedzictwem austriackim w latach 1330–1358. Z małżeństwa Albrechta II i Joanny von Pfirt urodziło się trzech synów: Rudolf IV, Leopold III i bohater tradycji związanych z fundacją zamku i barwami Sztumu Albrecht III. Wszyscy trzej bracia legitymowali się tytułem arcyksiążąt Austrii, a to za sprawą działań ambitnego Rudolfa IV. Ponieważ książęta Austrii nie wchodzili do kolegium elektorskiego Rzeszy, dokonał on fałszerstwa szeregu dokumentów. Najważniejszy z nich (*Privilegium Maius*) nadawał władcy Austrii tytuł arcyksięcia, przyznawał insygnia równe

królewskim, wprowadzał niepodzielność terytorium księstwa, wprowadzał dziedziczość tronu opartą na primogeniturze, wprowadzał niezależną legislaturę i niezależne sądownictwo, bez możliwości odwołania się do cesarza. Chociaż fałszerstwo nie uszło uwadze cesarza i samozwańczy tytuł Rudolfa nie został uznany (tytuł arcyksiążęcy usankcjonował dopiero w 1438 roku wywodzący się z dynastii habsburskiej cesarz i jednocześnie książę Austrii, Fryderyk III), Habsburgowie byli w nim konsekwentni. W roku 1365 po śmierci Rudolfa IV władzę nad dobrami Habsburgów przejęli wspólnie Leopold III i Albrecht III.



Obaj podjęli wyprawy do Prus na zaproszenie wielkich mistrzów Zakonu Niemieckiego. Jednak to Albrechtowi dopisało więcej szczęścia i w wyniku odniesionego zwycięstwa na Żmudzi postanowił odwdziżyć się zakonowi fundacją zamku sztumskiego i ... przekazaniem barw lennych (arcy)ksiąząt Austrii. Tak pokrótce mogłaby wyglądać droga chorągwi lennej austriackich możnowładców na sztumski zamek, jednak w tym miejscu napotykamy kolejny problem. W zasadzie trudno dociec, w jaki sposób i za jaką prawdziwą przyczyną austriacka chorągiew lenna miałyby dostać się w ręce dostojników zakonnych w Prusach. Przecież nie sposób sobie wyobrazić, że austriacki (arcy)książe wręcza dostojnikowi bądź urzędnikowi zakonnemu w Prusach chorągiew, przynosząc na niego tym samym prawa lenne ksiąząt Austrii! Skąd w związku z tym wzięła się opowieść o chorągwi? Czyżby miała okazać się legendą, podobnie jak ta o przygodzie Leopolda V Babenberga na murach Akki? Źródła pisane mówią o czerwonej chorągwi z białym pasem jako o znaku, pod którym walczyli rycerze z ziem austriackich pod dowództwem wielkiego komtura Konrada von Lichtenstein w bitwie pod Grunwaldem. Jan Długosz nazywa tę chorągiew znakiem wielkiego komturstwa ze Sztumu. Tyle, że Sztum nie był siedzibą wielkiego komtura. Jednak Długosz wyraźnie wskazuje Sztum jako miejsce reprezentowane przez wspomnianą chorągiew. Konrad von Lichtenstein pochodził z ziem austriackich, a nie posiadając własnego oddziału zbrojnego, jako ważny dostojnik zakonny mógł skupić pod swym dowództwem przedstawicieli rycerstwa austriackiego. Ówczesny wójt sztumski Henryk Pottendorf był urzędnikiem zbyt niskiej rangi, aby stanąć na czele tak znakomitego oddziału, jednak w przyszłości miał on objąć funkcję komtura domowego w Malborku. Obaj urzędnicy zakonu zapewne się znali – przecież w Sztumie często rezydował wielki mistrz, którego wielki komtur był praktycznie zastępcą. Długosz i jego współpracownicy oraz następcy spisywali historię zdobytych pod Grunwaldem chorągwi krzyżackich blisko pół wieku po bitwie. Do ich relacji wkradło się wiele nieścisłości. Być może w przypadku omawianych barw było podobnie. Jednak wiele nitek tej opowieści prowadzi właśnie do Sztumu. Obraz czerwonej chorągwi z białym pasem jednoznacznie przywodzi na myśl barwy (arcy)księstwa Austrii i chociaż nie do końca wiadomo skąd na polach grunwaldzkich wzięła się austriacka chorągiew, to do powiązania jej poprzez osobę

(arcy)księcia Albrechta Habsburga z austriackimi tradycjami fundacji sztumskiego zamku było być może najbliżej.

Z racji ograniczonej objętości niniejszego artykułu oraz aby nie zaciemniać i tak już zagmatwanego obrazu tej historii, pominięto wiele ciekawych wątków i wprowadzono pewne uproszczenia. Dlatego w konkluzji tego tekstu warto jeszcze raz zebrać kilka najważniejszych faktów. Po pierwsze wręczenie Leopoldowi V przez cesarza Henryka VI chorągwi lennej możnowładców ziem austriackich nie było związane z pojawieniem się tego znaku. Książęta poszczególnych prowincji posługiwali się tym symbolem już co najmniej od początku XI wieku. Zatem legenda o skrwawionej szacie Leopolda nie może tłumaczyć powstania tej chorągwi. Co najwyżej usprawiedliwia późniejsze czyny Leopolda. Po drugie Leopold V Babenberg nie był przodkiem Albrechta III Habsburga. Zatem Albrecht nie odziedziczył rodowych barw po Leopoldzie, a jedynie mógł posługiwać się znakiem lennym książąt Austrii w ramach systemu feudalnego Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Rodowym herbem Habsburgów był czerwony lew na złotym polu, więc powtarzanie dziś informacji o przekazaniu rodowych barw wielkiemu mistrzowi Zakonu Niemieckiego przez Albrechta jest błędem. Nie ulega natomiast wątpliwości, że Leopold V Babenberg walczył pod Akką, a Albrecht III Habsburg ufundował budowę sztumskiego zamku, ale czy przekazał barwy swojego lenna na rzecz wójtostwa sztumskiego? Czy taki gest nie naruszałby ram prawa feudalnego ówczesnej Europy? Z tej jakże zagmatwanej historii wyłania się jednak obraz pewnego procesu. Przyjęcie przez Rudolfa IV na podstawie sfałszowanego przywileju tytułu arcyksięcia równego w prawie królom Rzeszy spowodowało, że chorągiew Habsburgów przestała być jedynie oznaką prawa lennego, stając się zaczątkiem symbolu władzy dynastii habsburskiej, a następnie tożsamości historycznej państwa austriackiego. Tożsamości budowanej po części na pięknej, rycerskiej legendzie. Być może część tej legendy stanowi fundament tradycji współczesnej flagi Sztumu?



Michał Piotrowski



MAJĄTEK, KTÓRY ZNIKNAŁ W LESIE

Dawniej istniał w tym miejscu całkiem okazały majątek. Na mapach z początku XX wieku widać budynki gospodarcze, ale też niewielki dwór, park i ogród. Na południowym krańcu folwarku istniał staw, nieopodal wił się niewielki strumień. Zmarłych chowano po sąsiedzku – na niewielkim cmentarzu na zachód od wsi. Drogi prowadziły stąd we wszystkie strony świata – na wschód, zachód, północ i południe. Dziś w gęstym lesie można znaleźć jedynie porośnięte mchem fundamenty budynków, jakieś stare skorupy, resztki, fragmenty. Po dawnej wsi pozostała jedynie nazwa wyświetlająca się wciąż na mapie Google: Paczkowo. I lakoniczne wyjaśnienie: wyludniona wieś w powiecie kwidzyńskim.

Paczkowo istniało już w średniowieczu. Prawdopodobnie jego historia sięga gdzieś do XII wieku, gdy w okolicy Kwidzyna na Pomorzu dotarli osadnicy ze Śląska. To oni założyli osadę, nazywając ją tak samo, jak swój dawny dom – wieś, z której przybyli. Może kierowała nimi tęsknota, a może zwyczajnie nie potrafili nadać imienia tej nowej otaczającej ich rzeczywistości. Tak innej, bo równinnej, płaskiej, ciągnącej się aż hen po horyzont.

Przybysze, osadnicy powoli wrastali w tę ziemię, karczując lasy, wytyczając drogi, orząc pługiem morgę za morgą. W 1361 roku istniał już tu folwark. W dokumentach pojawiło się też pierwsze związane z Paczkowem nazwisko: w 1403 roku właścicielem wsi był Daniel z Paczkowa. Później tutejszy majątek przejął Witko von Weilsdorf. Był to raubritter,





rycerz-rozbójnik, śląski awanturник, który pomorskie włości odziedziczył prawdopodobnie po krewniakach. Mieszkańcy Śląska być może przyjęli jego przeprowadzkę z pewną ulgą. „Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego”, wydawany w latach 1880–1902 w Warszawie, odnotowuje, że w Paczkowie w 1479 roku swoją posiadłość miał podkomorzy pomorski Jerzy Dąbrowski, a także Dytrych z Krzykos.

W kolejnych wiekach o prawa do tutejszego majątku procesowali się von Weilsdorfowie, Bażyńscy i Kunthelowie, aż wreszcie w XV wieku Paczkowo – wraz z innymi pobliskimi folwarkami – przeszło na własność krzyżackiego duchownego, biskupa Hioba von Dobe-necka (jego tron znajduje się do dziś w zbiorach kwidzyńskiej katedry) i jego rodziny.

Ostatnimi właścicielami Nowej Wioski, a więc i folwarków jej podległych (w tym Paczkowa), była rodzina von Groebenów. Majątek obejmujący prócz Paczkowa również Wandowo, Otczyn, Morawy, Kłasztorek i Gilwę kupił w 1673 roku Friedrich von der Groeben. Dwa i pół wieku później, przed drugą wojną światową, majątek należał do Unico Karla Georga Grafa von der Groeben, niemieckiego dyplomaty, szlachcica i parlamentarzysty, dziedzicznego członka dworu pruskiego. Zachowane dokumenty potwierdzają, że Karl oddał Paczkowo w dzierżawę niejakiemu Albertowi Hoppe.



Paczkowo dziś

Duży paczkowski folwark przetrwał wojnę bez większego uszczerbku. Co ciekawe – w 1945 roku zamieszkali w nim ponownie osadnicy, tym razem tacy, którzy trafili tu z okolic zrujnowanej Warszawy. Gospodarstwo funkcjonowało do 1968 roku, potem zniknęło. Dlaczego? Z winy postępu. Po prostu w położonym po sąsiedzku Bronnie rozrastało się Państwowe Gospodarstwo Rolne specjalizujące się w produkcji żywca wołowego. To właśnie PGR w 1973 roku wchłonął grunty Paczkowa, zaś budynki majątku rozebrano do fundamentów, by z pozyskanego surowca wybudować nowe hale w Bronnie. Oczywiście zanim do tego doszło, indywidualni rolnicy z Paczkowa przenieśli się w inne rejony.

Dziś teren dawnej wsi porasta gęsty las. Można w nim jednak nadal natknąć się na zarys dawnych zabudowań gospodarczych: wśród traw ciągną się solidne fundamenty, w mchu spoczywają resztki ceglanych kolumn podtrzymujących stropy. Po budynkach mieszkalnych w północnej części majątku pozostały schody przed gankiem, fundamenty z kamienia i doły w miejscu dawnych piwnic. Na skraju lasu, na południe od drogi prowadzącej do wsi Bronno, widać też w ziemi prostokątny kształt dawnego cmentarza. Pozostałe drogi niestety zupełnie pozarastały. Ale i tak nikt tu nie przychodzi, bo i po co...

Ryszard Rząd

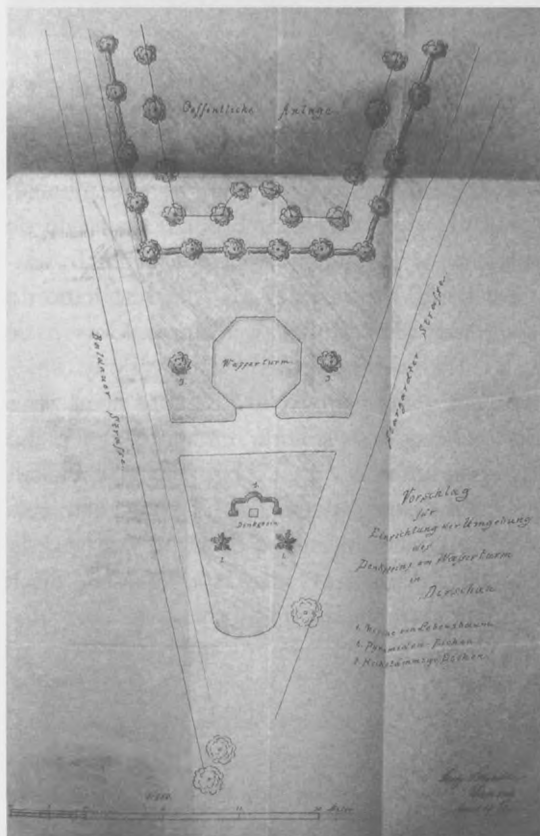


O DWÓCH KAMIENIACH W TCZEWIE

Dwa pamiątkowe kamienie, dwie różne historie, lecz ze wspólnymi wątkami. Oba pojawiły się w mieście przed rokiem 1920. Pierwszy poświęcony osobie, która wywierała wpływ na losy Europy i świata – cesarzowi Niemiec Wilhelmowi II – przepadł w trakcie burz dziejowych. Drugi, upamiętniający zasługi lokalnego, tczewskiego przedsiębiorcy i społecznika – stoi do dziś. Okoliczności powstania pierwszego są znane i bogato udokumentowane w źródłach archiwalnych, o drugim wiadomo niewiele.

Tczew, w odróżnieniu od innych miast pruskich, nie był bogaty w pomniki. Poszczycić się bowiem mógł tylko jednym, lecz za to okazałym – monumentem ku czci cesarza Wilhelma I, odsłoniętym w maju 1899 r.

Z początkiem roku 1913 Niemcy rozpoczęły przygotowania do przypadającego 15 czerwca jubileuszu 25-lecia panowania kolejnego cesarza, Wilhelma II. W prasie i licznych okolicznościowych publikacjach wychwalano zasługi władcy, dziękowano mu za dobrobyt w kraju, pokój i bezpieczne granice. Wyrazy wdzięczności przybierały czasami dość oryginalną formę. Powszechnie komentowano sportowy sukces huzara gdańskiego 1. Leibhusaren-Regimentu, por. Jenö Edwarda von Egan-Kriegera (1886–1965). W dniu wspomnianego jubileuszu, jako jeden z najlepszych jeźdźców w ówczesnej armii niemieckiej, dokonał wyczynu, który do tej pory uznawany był za niemożliwy. Jednego dnia wygrał bowiem dwie wielkie gonitwy odbywające się w dwóch różnych, odległych od siebie miejscach. Pierwsza, „Gaza-Jagdrennen”, miała miejsce w Magdeburgu, gdzie Jenö wystartował na



Projekt aranżacji skweru z kamieniem ku czci cesarza Wilhelma II, 1913 r.

koniu Jaspis. Zaraz po odebraniu nagrody pojechał samochodem na najbliższy plac ćwiczeń, gdzie czekał już na niego samolot. Osobiście go pilotując wylądował na torze wyścigów konnych w Berlinie-Grunewald i dosiadając konia Dragoner wygrał drugą gonitwę, prestiżową „Preis von Leipzig”. W nagrodę dowódca regimentu, książę-następca tronu Wilhelm, odznaczył go Orderem Korony. Niejako równolegle z tym wydarzeniem cesarz, z okazji 25-lecia panowania, odznaczył pułk von Egan-Kriegera srebrną klamrą („Leibspangen”) umocowaną na wstędze paradej sztandaru tej jednostki.

Jubileusz był też okazją do postawienia kilkunastu okolicznościowych pomników. Zgodnie z wolą władcy na żadnym z nich nie pojawiła się jednak jego rzeźbiona podobizna. Były to najczęściej proste obiekty – głazy narzutowe, kamienne kopce lub obeliski. Nie chciano zapewne konkurować z kończącym właśnie kolosalnym monumentem upamiętniającym 100-lecie „bitwy narodów” pod Lipskiem.

Do akcji tej przyłączyły się także władze Tczewa. Wzorem innych miast zdecydowano się na pamiątkowy kamień. Na miejsce jego posadowienia wybrano teren przed wybudowaną w 1907 r. wieżą ciśnień, przy zbiegu dwóch głównych ulic prowadzących do miasta od strony południowej – Baldauerstraße (ob. ul. Bałdowskiej) i Stargarderstraße (ob. ul. 30 Stycznia). Wpływ na tę lokalizację miał zapewne także fakt rosnącej popularności tej części miasta chętnie odwiedzanej przez tczewian. W 1899 r. z inicjatywy Towarzystwa Upiększania powstał tam park – od 1901 r. zwany Parkiem Cesarza Wilhelma, w 1911 znacznie powiększony. W pobliżu znajdowały się także: szpital Joannitów (1897), szkoła żeńska (1908–12), cmentarze katolickie: Stary (1870) i Nowy (1890) oraz ewangelicki, Fabryka Wyrobów Metalowych Emila Kelcha (1883) i dynamicznie rozbudowująca się nowa dzielnica mieszkaniowa.

Zastanowienie budzić może jedynie dość późna data podjęcia decyzji o postawieniu monumentu. Być może wynikało to z przekonania, że zamówienie i sprowadzenie nieobrobionego kamienia nie nastreczy większych problemów. Zaczęto więc od zlecenia projektu jego zakomponowania w terenie. Zadanie to powierzono znanemu gdańskiemu inżynierowi Georgowi Wilhelmowi Schnibbe (1853–1932). Był on współzałożycielem i przewodniczącym tamtejszego Towarzystwa Budowy Ogrodów, autorem wielu publikacji naukowych, właścicielem szkółki drzew owocowych i ozdobnych „Schnibbe-Handels-Gärtnerei” w podgdańskich wówczas Młyniskach, znanym i cenionym projektantem parków i założeń ogrodowych. Jego „sztandarowymi” dziełami były: założony w 1896 r. park przy Wielkiej Alei we Wrzeszczu (ob. Park im. Steffensów przy al. Zwycięstwa) i nowa aranżacja położonego obok Cmentarza Mariackiego. Zaangażowany był też w prace projektowe przy powiększaniu wspomnianego wyżej parku w Tczewie (1903).

W kwietniu 1913 r. Schnibbe wykonał i dostarczył zamówiony projekt. Zgodnie z życzeniem magistratu zalecił ustawienie kamienia przy wieży ciśnień, na nowo zaplanowanym, niewielkim trójkątnym skwerku przed jej północną, frontową elewacją. Miał on być posadowiony we wnęcie z żywopłotu, poprzedzonej dwoma piramidalnymi dębami. Po bokach wieży przewidywano posadzenie dwóch dębów wysokopiennych.

Po zatwierdzeniu projektu przystąpiono do jego realizacji. 26 kwietnia tczewski architekt miejski Otto Specht (1876–1944), projektant m.in. Hali Miejskiej (1910–11) i Łaźni (1911–12), wysłał do szczecińskiej firmy spedycyjnej „Stenzel & Co.” pilne zamówienie na kamień granitowy o wymiarach 1,5 × 1 × 1 m. Nie powinno nas dziwić, że



Wieża ciśnień z kamieniem pamiątkowym, 1913 r.

pismo kierowano do firmy transportowej. Jeden z jej udziałowców, Carl Paul Fritz Jähkel (1887–1968), był bowiem właścicielem wschodnioszwedzkich kamieniołomów w Vänevik, Hällefors hult i Älvehult oraz żwirowni w nadodrzańskich Hohensaaten i Bellinchen a.d. Oder (ob. Bielinek). On też, już dwa dni później, zaoferował odpowiedni blok skalny „in unserem prima Dunkelrot-Wanevik-Granit” (z naszego wspaniałego, ciemnoczerwonego granitu z Vänevik), zgodnie z zamówieniem „z grubsza łupany”. Kamień ważył 7,5 tony, kosztować miał 226 marek 25 fenigów i do Tczewa mógł być dostarczony w przeciągu ok. trzech tygodni, oczywiście na koszt firmy, która nie omieszczała zaznaczyć na koniec: „z niecierpliwością czekamy na jak najszybszą informację zwrotną, czy skorzystacie Państwo z naszej oferty i nas polecicie”.

Tczew ofertę przyjął, kamień do miasta niebawem trafił i czekał na dworcu towarowym na dalszy rozwój sytuacji.

Następną firmą, którą poproszono o współpracę była znana w Niemczech berlińska odlewnia spizu „Aktien-Gesellschaft *Gludenbeck*”. 2 maja zwrócono się do niej z pytaniem o możliwość wykonania tablicy z brązu o wymiarach 30 × 50 cm z napisem: „Errichtet zum 25 jährigen Regierung-Jubiläum Kaiser Wilhelm II. 15 Juni 1913” (Wzniesiony na jubileusz 25-lecia panowania cesarza Wilhelma II. 15 czerwca 1913). Odpowiedź przyszła równie szybko jak poprzednio. Już 5 maja oferowano odpowiednią tablicę w cenie 95 marek netto z terminem realizacji wynoszącym dwa tygodnie od dnia otrzymania zlecenia. Deklarowano też przesłanie w przeciągu 2–3 dni projektu w skali 1 : 1. O ile firma gotowa była na szybkie wykonanie zamówienia, niespodziewane opóźnienie

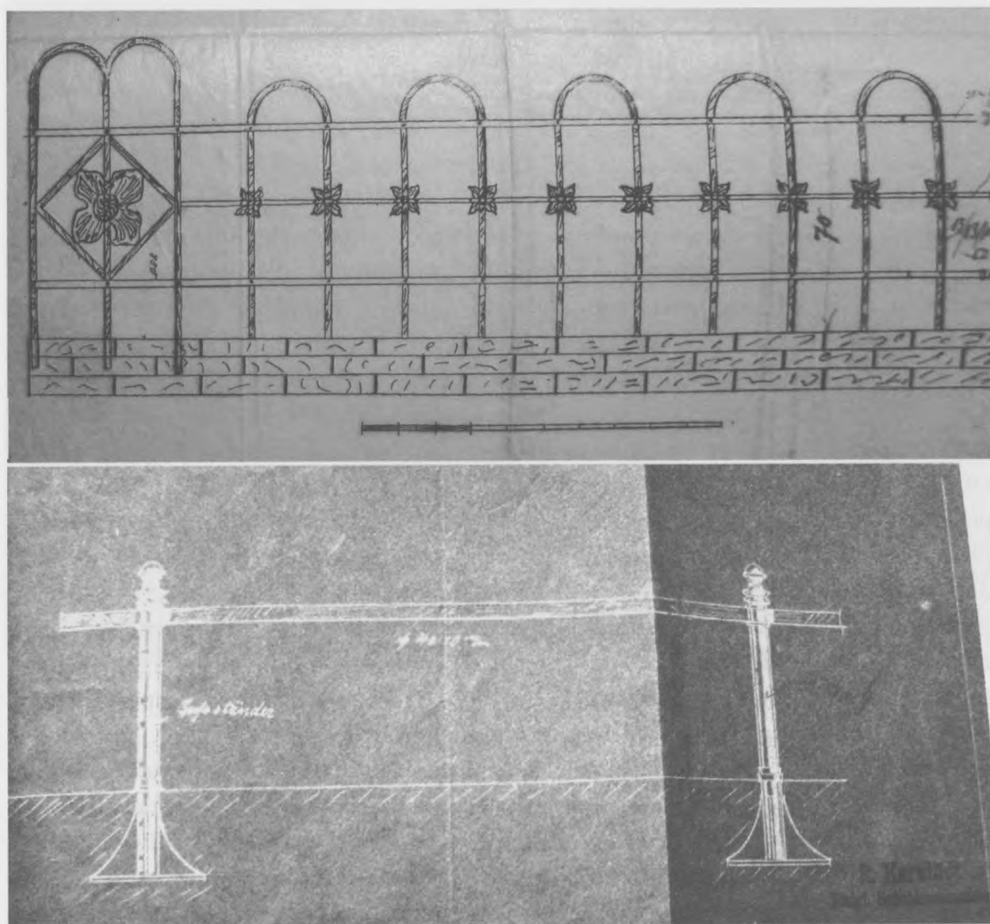
spowodowane zostało przez magistrat. Wywołało je niezdecydowanie radnych co do treści tablicy i związane z tym pertraktacje cenowe.

W dniach 10–20 maja pracownicy tczewskiej firmy budowlano-transportowej Józefa Wintera przywieźli kamień z magazynu kolejowego i złożyli go tymczasowo nieopodal wieży. Przygotowali też miejsce na jego docelowe ustawienie. Działkę odchwaszczono i przekopano, nawieziono kilka furmanek żwiru i ziemi z cukrowni w Lisewie, podnosząc nieznacznie teren w stosunku do poziomu ulicy. 16 maja ośmiu kamieniarzy ze znanej tczewskiej firmy budowlanej Franza Wodtke (1869-ok. 1930) obrobiło z grubsza nierówne krawędzie kamienia, przesunęła go i ustawiła na miejscu docelowym. Ekipa Wintera obłożyła go dodatkowo trzema mniejszymi, nieobrobionymi granitami. Bliżej nieokreślone prace kamieniarskie trwały przy pomniku jeszcze blisko półtora miesiąca.

W dniach 17 i 28 maja, we wspomnianej wyżej „Schnibbe-Handels-Gärtnerei”, zamówiono 26 żywotników zachodnich (na żywopłot wokół kamienia), po dwa dęby piramidalne i wysokopiennie, 12 sadzonek bluszczu i tyleż paproci. Zlecono jej też ich posadzenie i rozplantowanie terenu dookoła wieży i kamienia zgodnie z wcześniejszym planem. Analiza archiwalnych fotografii skłania do wniosku, że zrezygnowano z nasadzeń wspomnianych dębów wysokopiennych.

Dopiero 3 czerwca, za stosowną dopłatą, zamówiono w Berlinie wykonanie tablicy z bardziej uroczystą inskrypcją: „Errichtet zur Erinnerung an die 25 jährigen gesegneten Regierungszeit Kaisers Wilhelm II. 15. Juni 1913” (Wzniesiony dla upamiętnienia 25 lat błogosławionego panowania cesarza Wilhelma II. 15 czerwca 1913). Dotarła ona do Tczewa... dzień po widniejącej na niej dacie. Zamontował ją kamieniarz Wach w dn. 17–20 czerwca. Przez kolejne trzy dni, wspólnie z kilkoma pomocnikami, ustawiał maszty flagowe i dekorował miejsce na uroczystości odsłonięcia pomnika. Archiwalia milczą jednak na temat tego, jaki miały przebieg. Niewykluczone, że wpływ na przełożenie ich terminu miał także, oprócz opisanych wyżej problemów, ogłoszony 14 czerwca strajk tczewskich murarzy, stolarzy i pomocników budowlanych, domagających się podwyżek. Trwający tydzień protest zakończył się podpisaniem nowego, trzyletniego układu zbiorowego dla tej branży i podwyżkami 3–5 fenigów za godzinę pracy.

Zamiarem magistratu było też wykonanie ogrodzenia pomnika. Archiwalna dokumentacja i zdjęcia uwidaczniają jednak, że prace nad nim uległy wyraźnemu spowolnieniu. Bezpośrednio po odsłonięciu kamień tymczasowo ogrodzono siatką rozpiętą na drewnianych słupkach. 2 lipca 1913 r. elbląski mistrz ślusarski Richard Karstädt, szcząc się dyplomem dostawcy dworu królewskiego, przedstawił kosztorysy wykonanych już w czerwcu dwóch projektów metalowego płotu. Trzy tygodnie później swoje szacunki przesała „Danziger Drahtzaun-Fabrik und Schlosserei” Franza Zimmera, a 9 września żeliwne ogrodzenie zaoferowała tczewska firma „Wagen-Fabrik und Eisenkonstruktions-Werkstatt” Otto Fromma. Trudno dziś dociec, którą ofertę wybrano. Być może żadną z nich, bowiem rok później, 17 października 1914 r. gdańska firma „Franceschina & Toffolo”, zajmująca się m.in. handlem betonem, marmurami, płytkami posadzkowymi i ściennymi, dostarczyła i zainstalowała dookoła pomnika słupki granitowe. Ostatnie rachunki dotyczące tych prac noszą datę 18 stycznia 1915 r. Niebawem jednak ogrodzenie wymagało naprawy, a jego metalowe segmenty były niebezpiecznie poluzowane



Fragmety projektów ogrodzenia autorstwa Otto Fromma z Tczewa (u góry) i Richarda Karstäda z Elbląga (u dołu), 1913 r.

(celowo niszczone?). W związku z tym, w sierpniu 1917 r., magistrat zalecił miejscowej komendzie policji wzmożoną ochronę obiektu.

Nie znamy losów kamienia Wilhelma II po powrocie Tczewa do Polski. Prawdopodobnie podzielił los pomnika cesarza Wilhelma I, który po zajęciu miasta 30 stycznia 1920 r. zdemolowali polscy marynarze. W 1925 r. na rozjeździe przed wieżą ciśnień znajdowała się już jedna z pierwszych w Polsce stacji benzynowych należących do firmy „Standard-Nobel”. Cztery lata później tczewski kupiec Chmielecki zaopatrzył ją w niewielki, wieloboczny, wsparty na sześciu kolumnkach kiosk z dystrybutorem od strony ulicy 30 Stycznia. W 1937 r. obiekt przejęła amerykańska „Vacuum Oil Company”. Trudno dziś dociec, co działo się z nim w latach okupacji niemieckiej. Nie jest widoczny na ówczesnych archiwalnych fotografiach ukazujących okolice wieży ciśnień. Około 1960 r. na jego miejscu postawiono kiosk „Ruchu”, działający do końca lat 80-tych.

Dziś na miejscu cesarskiego kamienia znajduje się rondo zbudowane w 2014 r. Wieża ciśnień od 2008 r. służy jako lokum dla tczewskiego Bractwa Kurkowego.



Wieża ciśnieniowa ze stacją benzynową, lata 30. XX w.

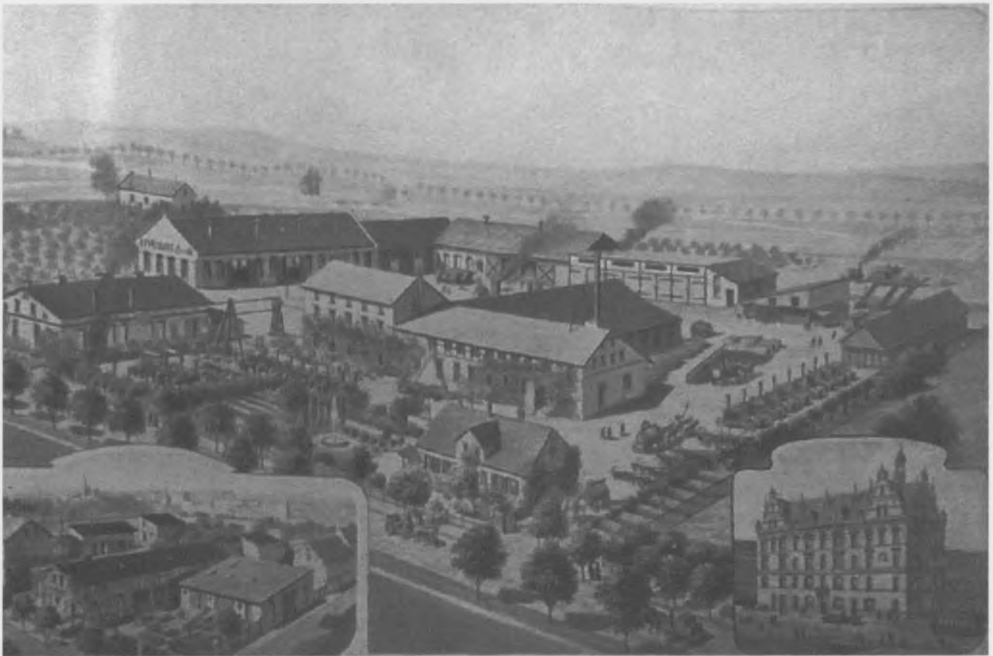
*

Pora na przybliżenie okoliczności postawienia drugiego kamienia. Osoba, z którą jest związany, to Willy Paul Gustaw Muscate. Urodził się 4 maja 1846 r. w rodzinie leśniczego, w bezpośrednim sąsiedztwie królewskiej szkółki drzewek i krzewów owocowych w Wirtach koło Starogardu Gdańskiego.

W Tczewie pojawił się po powrocie z wojny niemiecko-francuskiej w 1872 r. z zamiarem prowadzenia działalności gospodarczej. Otworzył tu hurtownię i warsztat naprawczy maszyn rolniczych (siewników, młockarni, śrutowników i sieczkarni) sprowadzanych z Anglii i Ameryki do Gdańska przez jego starszego brata Alfreda. Połączyli oni swoje firmy i założyli jedną, pod wspólną nazwą „**A.P. Muscate**”. Interes rozwijał się tak dobrze, że Willy niebawem zbudował nowy, większy warsztat przy Chausseestraße 25 (ob. ul. Obrońców Westerplatte), w którym zatrudnił 40 monterów i mechaników. Po wprowadzeniu na Żuławach obowiązku sadzenia buraków cukrowych, zajął się dystrybucją i naprawami tzw. pługów saksońskich do głębokiej orki. W 1878 r. bracia zakupili



Willy Muscate



Widok fabryki Muscatego w Tczewie, 1909 r.

plug parowy angielskiej firmy „John Fowler & Co.”. Orka systemem Fowlera polegała na przeciąganiu wieloskibowego pluga liną rozpiętą pomiędzy dwoma samobieżnymi lokomobilami parowymi ustawionymi na skrajach pola.

Plugi parowe stanowiły bowiem w tym okresie nowinkę techniczną – wykonywana przy ich pomocy orka polegała na wahadłowym przeciąganiu ciężkich, przestawnych lemiesz za pomocą stalowych lin wprawianych w ruch przez maszyny parowe ustawione na przeciwnych skrajach pola.

Milowym krokiem w rozwoju „A.P. Muscate” był zakup w roku 1882 małej fabryki maszyn przy ówczesnej ulicy Starogardzkiej (ob. 30 Stycznia). Już rok później bracia uzyskali pozytywną opinię stacji badawczej przy Instytucie Rolnym uniwersytetu w Halle na temat produkcji w niej młockarni parowej na wzór angielskiej „Garrett and Sons”. Po wybudowaniu odlewni metali i większej hali do montażu lokomobil fabryka zatrudniała 150 pracowników. Specjalnością zakładu stały się siewczkarnie bębnowe. Produkowano też rozdrabniacze do buraków, przenośniki do słomy, brony, sortowniki do ziemniaków i czyszczalnie do ziarna. Utworzono wypożyczalnię walców drogowych. Firma regularnie uczestniczyła w wystawach maszyn rolniczych w Królewcu, Berlinie, Hamburgu, Poznaniu, nierzadko uciekając się do niekonwencjonalnych „promocji”. W 1894 r. angielską lokomobilę Garretta wystawiono w Królewcu ... ze znakiem „A.P. Muscate Dirschau”.

Jako ciekawostkę można podać fakt, że fabrykę przy ul. Starogardzkiej z biurem przy ob. ul. Obrońców Westerplatte łączyła prywatna linia telefoniczna – pierwsza tego typu w ówczesnych Prusach Zachodnich.

Zakład okresowo zajmował się także produkcją na potrzeby wojska: w latach 80-tych XIX w. wyrabiał frezarki do pocisków i granatów dla fabryk broni w Amberg, Spandau



Fragment alei wzdłuż ul. Baldowskiej – pamiątka po Willym Muscate, 2025 r



Stoisko „A.P. Muscate” na targach rolnych w Królewu, 1908 r.



Lokomobila „Garrett and Sons” z tabliczką znamionową „Muscate Dirschau” z 1903 r. (Skwierczyńska, hotel „Dom nad Rzeką”), 2022 r.

W latach 90-tych bracia Muscate, wspólnie z innymi przedsiębiorcami, byli właścicielami kilku lokalnych gazet: „Der Gesellige” w Grudziądzu, „Elbinger Zeitung” w Elblągu i „General-Anzeiger” w Gorzowie Wielkopolskim.

Willy Muscate angażował się także w działalność społeczno-polityczną. Jako jeden z pierwszych pracodawców w Niemczech założył i współfinansował Zakładową Kasę Chorych, zapewniającą pracownikom ubezpieczenia zdrowotne i emerytalne. Już w 1880 r. został jednym ze współzałożycieli tczewskiego Klubu Wolnomularskiego, jedenaście lat później przekształconego w lożę „Friedrich zum unauslöschlichen Gedächtnis” (Fryderyk pod niewygasłą pamięcią). W 1896 r. uczestniczył w tworzeniu miejscowej filii Niemieckiego Związku Marchii Wschodniej, organizacji nacjonalistycznej przez Polaków zwanej Hakatą. Piastował urząd Drugiego Burmistrza i kuratora miejscowego szpitala Joannitów. W kwietniu 1908 r. mianowany został królewskim radcą handlowym.

Uhonorowany wieloma orderami i medalami (m.in.: Czerwonego Orła, Korony, Pamiątkowym za Wojnę 1870/71, Jubileuszu 100-lecia urodzin cesarza Wilhelma I, Czerwonego Krzyża, za Służbę Wojskową w Landwerze), przez długie lata był przewodniczącym tczewskiego Stowarzyszenia Weteranów. Współfinansował wówczas budowę pomnika na grobie jeńców austriackich zmarłych w obozie w Suchostrzygach pod Tczewem po wojnie w 1866 r.

Jako osoba urodzona i wychowana na wsi, był także wielkim miłośnikiem natury i przyrody. Już od 1880 r. należał do gdańskiego Towarzystwa Przyrodniczego, a w 1889 r. doprowadził do powstania Towarzystwa Upiększania Tczewa („Verschönerungsverein Dirschau”) i został jego pierwszym prezesem. Zainicjował posadzenie drzew m.in. przy dzisiejszych ulicach: Bałdowskiej, 30 Stycznia i Wojska Polskiego oraz na terenie fabryki. W 1893 r.

i Gdańsku, a w czasie I wojny światowej 30 jeńców wojennych produkowało w Tczewie korpusy granatów. W latach międzywojennych fabryka działała pod nazwą „Muscate, Betcke & Co”. Dziś na jej miejscu znajduje się „Eaton Truck Components” – tczewski oddział światowego producenta samochodowych skrzyń biegów.

Innym przejawem gospodarczej aktywności Muscatego był folwark w *Szpegawie pod Tczewem* odziedziczony w 1896 r. przez jego żonę Lidię Jantzen. Wzorowo utrzymany, słynął z hodowli bydła i owiec rasy cienkowlasej.

na obradach zarządu Towarzystwa Upiększania zgłosił postulat utworzenia parku miejskiego. Po długich negocjacjach z magistratem powstał on w roku 1899 nosząc dumne imię „Kaiser-Willhelm-Park” (jego historia była tematem mojego wcześniejszego szkicu w „Prowinjii”). W 1910 r. ufundował wyposażenie sali koncertowej w nowo wzniesionej Hali Miejskiej. Jego zasługi dla Tczewa zostały docenione w 1911 r. Otrzymał wówczas tytuł honorowego obywatela miasta.

Willy Paul Gustaw Muscatego zmarł 19 lutego 1915 r. w wieku 68 lat, w berlińskim hotelu „Bristol” i prawdopodobnie pochowany został w Tczewie, w grobowcu rodzinnym zaprojektowanym przez hamburskiego malarza i rzeźbiarza Józefa Jakuba Tibora (Tyborskiego) (1877–1922). Bezpośrednio po śmierci Towarzystwo Upiększania postanowiło upamiętnić jego osobę stawiając obelisk z *tablicą z brązu*. Plany te zniweczył jednak kryzys finansowy wywołany niekorzystnym dla Niemiec przebiegiem I wojny światowej. W parku miejskim zdołano ustawić jedynie wielki, nieobrobiony głąz narzutowy, na którym planowano umieścić odpowiednią tablicę z napisem. Nie zdążono jednak, a po 1920 r. nowy, polski magistrat, nie był już tym zainteresowany.

W 2013 r. miłośnicy historii skupieni wokół Wirtualnego Muzeum „Dawny Tczew”, chcąc uczcić pamięć i zasługi Willy’ego Muscatego, wystąpili z inicjatywą nazwania jednej z miejskich ulic jego imieniem. Zostało to jednak oprotestowane przez jej przyszłych mieszkańców. Pomysłodawcy nie poddali się jednak i 19 czerwca 2015 r., sto lat po śmierci zasłużonego społecznika, na kamieniu w parku umieścili tablicę z wrytym napisem: „Pamięci radcy Wilhelma Muscatego twórcy i krzewiciela tczewskiego parku”.



Kamień ku czci Muscatego w parku miejskim, 2025 r.

Wiesław Niedziałkowski



MAX TOEPPEN

NA POWIŚLU 1869–1882

Niewiele wiemy o Maxie Toeppenie jako osobie prywatnej, a ten ważny badacz pruskiej historiografii od 130 lat czeka na obszerną biografię wzgl. biografie, które oddawałaby w pełni rangę jego dzieła¹. W Wydawnictwie Uniwersytetu Gdańskiego czeka na publikację pierwsza biografia Maxa Toeppena autorstwa prof. Mirosława Ossowskiego pod tytułem *Max Toeppen (1822–1893). Historyk, filolog, dyrektor gimnazjalny*. Należy ufać, iż praca ta przyczyni się do ponownego zainteresowania tym wybitnym historiografem.

Ten skromny człowiek pozostawił po sobie jedynie sporadyczne, krótkie teksty i uwagi na swój temat. Do tej pory nasza wiedza o jego życiu opiera się na obszernym nekrologu Karla Lohmeyera, który napisał go wkrótce po śmierci Toeppena w 1894 roku, przy czym warto zauważyć, że najstarszy syn Toeppena, Robert, nauczyciel gimnazjum w Malborku, dostarczył mu oficjalne akta i rodzinne notatki². Max Pollux Toeppen urodził się w Królewcu jako bliźniak 4 kwietnia 1822 roku. Jego brat bliźniak Anton miał – jakże by inaczej – na drugie imię Castor. Ojciec Toeppena był jednym z sekretarzy nadprezydenta prowincji Prusy Wschodnie, von Schöna³. Kariera szkolna Toeppena rozwijała się wyjątkowo szybko, w latach 1830–1839 uczęszczał do gimnazjum Friedrichskollegium. W wieku 17 lat rozpoczął studia w zakresie filologii klasycznej i historii na Uniwersytecie w Królewcu (Albertyna), aby po zaledwie trzech i pół roku (1843) uzyskać tytuł doktora filozofii i kwalifikacje nauczycielskie⁴. W 1844 r. odbywał praktykę, a później pracował jako nauczyciel stażysta we Friedrichskollegium w Królewcu. W 1847 r., w wieku zaledwie 25 lat, habilitował się na Uniwersytecie w Królewcu w zakresie średniowiecznej i nowożytnej historii Prus i rozpoczął wykłady z historii Prus jako docent prywatny w semestrze zimowym 1848 r.; opuścił Królewiec niespodziewanie już w następnym roku.

W latach 1848–1850 pracował jako nauczyciel w gimnazjum w Elblągu. W latach 1850–1854 pracował jako etatowy nauczyciel w gimnazjum w Poznaniu. W 1854 r.

¹ Odnośnie biogramu Toeppena por. Edward Carstenn: *Das Lebenswerk Max Toeppens und die Gegenwart*, w: *Elbinger Jahrbuch*, t. 2, 1921/1922, s. 147–158, por. Edward Carstenn: *Töppen, Max Pollux*, w: Christian Krollmann (red.), *Alt-preußische Biographie*, N.G. Elwert Verlag Marburg/Lahn 1969, s. 738–739, por. Tadeusz Oracki: *Toeppen Max Pollux*, w: *Słownik biograficzny Warmii, Mazur i Powiśla XIX i XX wieku (do 1945 roku)*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1983, s. 314, por. Marian Biskup: *Maksymilian Toeppen (1822–1893), historyk Pomorza i Elbląga, pedagog i dyrektor gimnazjalny*, w: Marian Biskup (red.), *Zasłużeni ludzie dawnego Elbląga*, Ossolineum, 1987, s. 202–206, por. Marian Biskup: *Elbląg a Max Toeppen*, w: *Rocznik Elbląski*, t. XXI, 2008, s. 105–115.

² Por. Karl Lohmaeyer: *Max Toeppen, Separat-Abdruck aus der Altpreuss. Monatsschrift*, t. XXXI, z. 1 i 2, Buchdruckerei von R. Leupold, Königsberg 1894, s. 1.

³ Por. Lohmaeyer: *Max Toeppen*, s. 1–2.

⁴ Por. Marian Biskup: *Max Toeppen (1822–1893). Erforscher der Historiographie und Stadtgeschichte Preußens und Herausgeber preußischer Quellen*, w: *Zeitschrift für Ostforschung*, t. 39, nr 2, 1990, s. 174.

powrócił do Prus Wschodnich i przez 15 lat przebywał w Olsztynku, początkowo jako dyrektor progimnazjum, które w 1858 r. przekształciło się w gimnazjum. W latach 1869–1882 był dyrektorem gimnazjum w Kwidzynie. Po raz drugi osiedlił się w Elblągu w 1882 r. i przez jedenaście lat pracował tam jako dyrektor Królewskiego Gimnazjum i dyrektor archiwum miejskiego aż do przejścia na emeryturę. Zmarł w Elblągu 3 grudnia 1893 r. Z okazji złotego jubileuszu jego doktoratu w kwietniu 1893 r. Wydział Filozoficzny Albertyny pogratulował Maxowi Toeppenowi tego, że „[...] udowodnił, że jest niejako drugim ojcem staropruskiej historii i krajoznawstwa.”⁵ Pierwsze miejsce było oczywiście zajęte i zarezerwowane dla Johanna Voigta.

Jaki jest aktualny stan recepcji Maxa Toeppena? Z pewnością do renesansu Toeppena przyczynił się historyk z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, profesor Marian Biskup, który na przełomie lat 80. i 90. opublikował szereg tekstów naukowych i popularnonaukowych poświęconych Maxowi Toeppenowi. Szczególnie ważny był jego wykład na konferencji historyków polskich w Toruniu w czerwcu 1988 roku⁶. Warto też wspomnieć o olsztyńskim kole historyków, które skupiło się na pracach Toeppena o Mazurach⁷. W Niemczech nie można pominąć historyków Bernharta Jähniga i Wolfganga Neugebauera, którzy przyczynili się do upowszechnienia spuścizny Toeppena.

TOEPPEN JAKO DYREKTOR GIMNAZJUM W KWIDZYNIE

Wspomniano już, że posiadamy jedynie skąpe informacje na temat życiorysu Toeppena. Dotyczy to również jego pobytu w Kwidzynie⁸. Tym bardziej interesujące i niezwykle wartościowe są dla nas wspomnienia Alexandra Rehberga, który w latach 1880–1914 był zatrudniony jako nauczyciel rysunku i przyrody w gimnazjum w Kwidzynie. Według naszej najlepszej wiedzy jest to jedyne świadectwo, w którym Max Toeppen jest opisywany jako człowiek w życiu codziennym. Natrafiamy na niego już na drugiej stronie ww. wspomnień:

Mój pierwszy dyrektor, dr Max Töppen, był prawdziwym dyrektorem gimnazjalnym swoich czasów. Rządził swoim gimnazjum niczym mały król w suwerennym państwie, a jego władza nad nauczycielami była wówczas nie mała⁹.

⁵ Jähmig, Bernhart: Max Toeppens Bedeutung für die Erforschung der Geschichte des Preußenlandes, insbesondere hinsichtlich der historisch-kritischen Methode, w: *Altpreußische Geschlechterurkunde Neue Folge*, t. 24, R. 42, 1994, s. 318; tłum. z j. niem. tu i w części dalszej autora.

⁶ Por. Marian Biskup: Max Toeppen – badacz historiografii, miast i wydawca źródeł pruskich, w: Jerzy Serczyk/Andrzej Tomczak (red.), *Dzieje historiografii Prus Wschodnich i Zachodnich do 1920 roku*, (Kierunki, ośrodki, najwybitniejsi przedstawiciele), TNT Towarzystwo Naukowe w Toruniu, 1989, s. 73–98.

⁷ Władysław Ogrodziński/Anna Szyfer: Wstęp w: Max P. Toeppen, *Wierzenia mazurskie*, Oficyna RETMAN, Dąbrówno 2014, s. 5–8 i 9–13; por. Alicja Dobrosielska/Grzegorz Białuński: *Dyskretny urok źródeł. Czyli o aktualności pracy Maxa Toeppena: „Exkurs über die Verschreibungen des Ordens für Stammprussen im 13. Jahrhundert”*, w: *Pruthenia*, t. VIII, 2013, s. 197–217; por. Grzegorz Białuński/Grzegorz Jasiński: Wstęp w: Max P. Toeppen, *Historia okręgu i miasta Olsztynka*, Oficyna RETMAN, Dąbrówno, 2004, s. 7–12; por. Grzegorz Jasiński: Wstęp w: Max Toeppen, *Historia Mazur – Przyczynek do dziejów krainy i kultury pruskiej*, wyd. 2, Wspólnota Kulturowa „BORUSSIA”, Olsztyn 1998, s. 5–18.

⁸ Zapytania skierowane przez autora do archiwów państwowych w Gdańsku i Malborku dotyczące działalności Toeppena w Kwidzynie i ewentualnych zasobów spotkały się z negatywną odpowiedzią.

⁹ Alexander Rehberg: *Marienwerder und sein Gymnasium 1880–1914*, w: *Westpreußen-Jahrbuch*, t. 24, 1974, s. 90.

Rehberg zauważa, że w tamtym czasie istniała ścisła tabela wynagrodzeń nauczycieli w zależności od stanowisk nauczycielskich, a każdy, kto chciał się w tych tabelach wspiąć w górę, musiał oczywiście cieszyć się łaskami swojego dyrektora.

Mieszkał w pojedynczym domku [...] Przed drzwiami znajdowały się schody z szeregiem stopni [...] Tam skierowałem swoje kroki, aby przedstawić się „wszechwładnemu” [...] Dr M. Töppen był wysokiej, silnej postury; wyrazista głowa wznosiła się z mocnego karku, twarz bez zarostu ukazywała pięknie zakrzywiony rzymski nos. Ten wygląd przypominający Cezara był jednak mocno osłabiony przez nieszczególne okulary; pan dyrektor był krótkowidzem i ta wada wzroku znacznie utrudniała mu ruchy jak również inne rzeczy¹⁰.

Opisano również współpracę między nauczycielem rysunku a historykiem. Toeppen korzystał z rysunków Rehberga przy opisach pruskich zamków krzyżackich. Obaj brali udział w wykopaliskach i badaniach pomiarowych przy wałach zamkowych. Pozwólmy ponownie wybrzmieć wspomnieniom Alexandra Rehberga:

Ciało nauczycielskie bardziej obawiało się Töppeņa niż go lubiło. Potrafił być bardzo nieuprzejmy, zarówno wobec uczniów, jak i nauczycieli, a także rodziców uczniów. Starał się jednak utrzymywać kontakty towarzyskie ze swoimi kolegami i prawie co 8 dni spotykali się w hotelu Hinz, gdzie spędzali sobotnie wieczory¹¹.

Roczne sprawozdania Królewskiego Gimnazjum w Kwidzynie z lat 1870–1882 dostarczają informacji innego rodzaju o działalności Töppeņa jako dyrektora. W sprawozdaniu rocznym za rok 1870 zaprasza dyrektor Max Toeppen w imieniu grona pedagogicznego na uroczystość zakończenia roku szkolnego w dniu 28 września 1870 r. Program szkolny z 1870 r. zawiera biurokratyczno-administracyjne wiadomości szkolne, na stronie tytułowej znajduje się jednak interesująca nas informacja: „Rozprawa historyczna ‚Elbinger Antiquitäten’ tegoż samego.”¹² W dziale: Kronika gimnazjum znajdujemy następujące informacje:

Pod koniec semestru letniego 1869 r. poprzedni dyrektor gimnazjum, dr Th. Breiter [...], opuścił Kwidzyn, aby [...] objąć nowe stanowisko inspektora szkolnego dla prowincji Hanner. Jego miejsce zajął niżej podpisany dr M. Toeppen [...] Został on wprowadzony na nowy tutejszy urząd 14 października 1869 r. przez inspektora szkolnego dla naszej prowincji, pana Schradera¹³.

Dysponujemy jeszcze kilkoma pisemnych przekazami dotyczącymi pobytu Töppeņa w Kwidzynie. W dniu 1 października 1870 r. Toeppen napisał list do magistratu w Elblągu, w którym poinformował o wysłaniu dzieła *Elbinger Antiquitäten* z prośbą o przechowanie go w archiwum miejskim. Jest to wspomniany tekst z programu rocznego za rok szkolny

¹⁰ Rehberg: *Marienwerder und sein Gymnasium*, s. 90.

¹¹ Tamże, s. 91.

¹² *Jahresbericht Königlichen Gymnasiums zu Marienwerder für das Schuljahr 1870*, s. 1.

¹³ Tamże, s. 5.

1870¹⁴. Marian Biskup przytacza dwa kolejne listy Toeppena do magistratu w Elblągu, w których pisze on o wypozyczeniu i zwrocie akt archiwalnych.

4 października 1880 r. Toeppen napisał list do Wojciecha Kętrzyńskiego z prośbą o wyjaśnienie pewnych rozbieżności w opisie elementów budowlanych zamku w Sztumie. Pracował on wówczas nad opracowaniem *Zur Baugeschichte der Ordens- und Bischofs-Schlösser in Preußen* (1881)¹⁵. Ślady niezwykle interesującej kwestii korespondencji między Toeppenem a Kętrzyńskim odnajdujemy w artykule prof. Grzegorza Jasińskiego, który badał korespondencję Wojciecha Kętrzyńskiego. W zbiorze odnalazł dwa listy od Maxa Toeppena z 1880 r., kiedy Toeppen przebywał w Kwidzynie¹⁶. Jeden z korespondentów Kętrzyńskiego informował go w liście, że spotkał się z „Maxem Toeppenem, badaczem starożytnych dokumentów, jak się wyraził, WPana przyjacielem”¹⁷. Kwestia relacji i współpracy między Maxem Toeppenem i Wojciechem Kętrzyńskim czeka na osobne opracowanie.

KWIDZYN I KRĄG LOKALNYCH HISTORYKÓW

Kiedy Max Toeppen osiedlił się w Kwidzynie w 1869 r., miasto było co prawda stolicą prowincji, ale w tym czasie liczyło ok. 7400 mieszkańców, a jego życie kulturalne było kształtowane głównie przez urzędników państwowych, w tym lokalny krąg historyków-amatorów¹⁸. W Kwidzynie powstała kuriozalna sytuacja, w której kontakt między miejscowymi badaczami starożytności a uznanym historykiem wysokiej rangi był nieunikniony.

Pierwsza kronika miasta Kwidzyn została napisana przez Hansa Jahna, który opisał swoją oficjalną funkcję jako „pierwszy sekretarz i dyrektor kancelarii Królewskiego Wyższego Sądu Krajowego.”¹⁹ Kronika ta została przedstawiona przez Toeppena w jego autorskiej kronice miasta Kwidzyn w następujący sposób:

Jahn najpierw napisał kronikę z przeznaczeniem dla kapsuły czasu nowej wieży kościelnej, którą wydrukował z licznymi poprawkami w przypisach, a następnie dodał do tego jeszcze obszernie uzupełnienia. W rezultacie materiał jest ekstremalnie rozproszony i bardzo trudny do przebrnięcia. Jego wypisy z historii Prus są w większości zupełnie zbędne, a nawet przeskadzają. Ponadto nie ma pojęcia o krytyce źródeł [...]”²⁰.

¹⁴ Marian Biskup: Die Briefe von Max Toeppen an den Magistrat zu Elbing, w: Preußenland, t. 4, R. 28, 1990, s. 61.

¹⁵ Por. Biskup: Max Toeppen (1822–1893). Erforscher der Historiographie, s. 194.

¹⁶ Por. Grzegorz Jasiński: Wrocławski zbiór korespondencji Wojciecha Kętrzyńskiego, w: Komunikaty Mazursko-Warmińskie, nr 1–2, 1991, s. 30.

¹⁷ Jasiński: Wrocławski zbiór korespondencji, s. 30.

¹⁸ Por. Stefan Kwiatkowski: Miejsce Kwidzyna w niemieckiej historiografii Prus Wschodnich i Zachodnich, w: Jerzy Serczyk/Andrzej Tomczak (red.), Dzieje historiografii Prus Wschodnich i Zachodnich do 1920 roku, (Kierunki, ośrodki, najwybitniejsi przedstawiciele), TNT Towarzystwo Naukowe w Toruniu, 1989, s. 115.

¹⁹ Por. Hans Christoph Wilhelm Jahn: Chronik der Stadt Marienwerder in Westpreußen, wyd. nakładem własnym autora, Marienwerder 1844, s. 6.

²⁰ Max Toeppen: Geschichte der Stadt Marienwerder und ihrer Kunstbauten, Königl. Westpreuß. Kanter'schen Hofbuchdruckerei, Marienwerder 1875, s. 415.

Toeppen zauważa jednak, że przekazy Jahna były ważne jako świadka historii podczas wojen z Francją na początku XIX w. i przytacza je kilkakrotnie w swojej monografii²¹. W Kwidzynie Toeppen pracował nad swoimi obszernymi edycjami źródeł *Scriptores rerum Prussicarum* i *Acten der Ständetage Preußens*, musiał się przy tym wspierać na zbiorach archiwalnych i bibliotecznych większych ośrodków niż Kwidzyn. W 1875 r. założono Towarzystwo Historyczne dla Rejencji Kwidzyn. Nazwiska Toeppen nie można jednak znaleźć wśród członków wymienionych w czasopiśmie towarzystwa za rok 1876. *Spiritus movens* towarzystwa był radca rejencji Georg von Hirschfeld. Organizacja składała się głównie z amatorów. Nazwa towarzystwa wskazywała na badania na obszarze rejencji kwidzyńskiej, organizacji nie udało się zdefiniować programu badawczego i skoncentrowano się głównie na ochronie miejscowych zabytków.

Stowarzyszenie liczyło w czasie swojego rozkwitu ponad 400 członków, z których większość stanowili urzędnicy państwowi, poza tym nauczyciele i przedstawiciele wolnych zawodów. Jako wyjątki można wymienić trzech historyków: R. Philippi z Królewca, G. A. Mülverstedt z Magdeburga oraz M. Perlbach z Berlina. Kiedy podobne stowarzyszenie powstało w Gdańsku, Max Toeppen był zwolennikiem połączenia obu stowarzyszeń. Ostatecznie Toeppen został członkiem gdańskiego Zachodniopruskiego Towarzystwa Historycznego w 1879 r. Warto zauważyć, że oprócz Toeppena do gdańskiego towarzystwa wstąpiło również czterech nauczycieli z Kwidzyna, a wśród członków nie było ani jednego urzędnika z Kwidzyna²². W latach 1876–1881 wiodącą rolę w towarzystwie odgrywał Georg Hirschfeld, radca rządowy i archeolog amator. Prowadził on czasopismo towarzystwa i publikował w nim swoje artykuły. Jego wiedza o historii Prus nie wykraczała jednak poza perspektywę zapisane w *Geschichte Preußens* Johanna Voigta. Wydanie *Geschichte des vormaligen Bisthums Pomesanien* (1884) Hermanna Cramera należy uznać za największe przedsięwzięcie towarzystwa²³. Jednym z ostatnich przewodniczących stowarzyszenia był dyrektor gimnazjum dla dziewcząt, dr Diehl. Pozwólmy po raz ostatni sięgnąć do pamięci Alexandra Rehberga, aby w formie malowniczej pointy zilustrować różnicę między lokalnymi kwidzyńskimi historykami a wybitnym historiografem.

Pojawienie się dr Diehla, dyrektora szkoły dla dziewcząt, było zawsze bardzo ożywcze i stymulujące dla towarzystwa przy stole, ponieważ był on znakomitością w zakresie anegdot historycznych. Szczególnie lubował się w ilustrowaniu problematycznych pozycji batalistycznych w szczególny sposób. Wszystko, co stało w pobliżu, było używane jako przedmiot demonstracyjny; jeśli materiał nie był wystarczający, to wszystkie znajdujące się na stole przedmioty okazywały się pomocne; w końcu nagromadzenie szklanek, spodków, popielniczek, pojemników na zapalki, dzwonek stołowych, garnczków musztardy, korków i niedopałków cygar kumulowało się do tego stopnia, że wszyscy wybuchali rześystym śmiechem [...] ²⁴.

²¹ Por. Toeppen: *Geschichte der Stadt Marienwerder*, s. 415.

²² Por. tamże.

²³ Por. tamże, s. 120.

²⁴ Rehberg: *Marienwerder und sein Gymnasium*, s. 91.

BŁ. DOROTA Z MĄTOWÓW Z PERSPEKTYWY MAXA TOEPPENA

Przed wszystkim musimy pamiętać, że Max Toeppen opracował rękopisy *Das Leben der zeligen Frawen Dorothee clewsenerynne in der thumkyrchen* czy *Marienwerdir des landes* czy *Prewszen* Johanna Marienwerdera w II tomie wspomnianego powyżej zbioru źródeł *Scriptores rerum Prussicarum*. Możemy zatem wyciągnąć wnioski, że był on bardzo dobrze zaznajomiony z tematyką dotycząca bł. Doroty z Mątowów²⁵.

Toeppen wymienia nazwisko Doroty z Mątowów w wielu miejscach swojej monografii o historii miasta Kwidzyn, przy czym dla nas istotne będą dwa rozdziały jego opracowania. Pierwszy z nich opisuje wewnętrzną historię miasta Kwidzyn i obraz kościoła w średniowieczu. Pozwólmy tu wypowiedzieć się samemu Toeppenowi:

[...] Życie często podziwianej pustelnicy Doroty jest rażącym przykładem życia kościelnego tamtych czasów, nienaturalności oraz duchowego i psychicznego spustoszenia, na które ówczesna doktryna kościelna mogła skazać i wprowadzić w błąd swoich wiernych²⁶.

Następnie Toeppen przedstawia informacje na temat życiorysu Doroty. Urodziła się w 1347 r. w Mątowach na Żuławach Malborskich. Według Toeppena od najmłodszych lat z oddaniem praktykowała „tak zwane dobre uczynki”, np. trzymanie rąk na krzyż aż do maksymalnego wyczerpania, płacz, rozdrapywanie skóry. Dorota miała skłonności do marzycielskich ekstaz, wierzyła, że sam Chrystus rani jej całe ciało. Dorota wyszła wcześniej za mąż w 1363 r. w Gdańsku za Adalberta z zawodu płatnerza. Zdaniem Toeppena relacje małżeńskie nie były udane, a winę za to ponosiła częściowo sama Dorota.

Jej uniesienia nasiliły się do tego stopnia, że na przykład, kiedy udawała się na targ, aby kupić mięso lub ryby, to w myślach kupowała jajka lub coś innego, a nawet w ogóle nic, i wracała do domu zadowolona, jakby wszystko dobrze wykonała, lub też gotowała ryby bez ich oskrobania i wypatroszenia²⁷.

Mąż musiał przejąć opiekę nad dziećmi, gdyż Dorota często przebywała poza domem z powodu jej obowiązków kościelnych. W rezultacie mąż zagroził Dorocie: „Jeśli nie przestaniesz się włóczyć i nie przypilnujesz domu z większą troską niż do tej pory, to poskromię cię więzami i łańcuchami²⁸.. Para była razem podczas dwóch pielgrzymek do Akwizgranu i Finsterwalde w latach 1384 i 1385. Podczas drugiej pielgrzymki przebywali w Finsterwalde przez półtora roku. Toeppen wspomina również Koszalin i Piaseczno k. Gniewu jako miejsca pielgrzymek Doroty. W 1390 r. Dorota samotnie udała się na pielgrzymkę do Rzymu. Podczas jej nieobecności w domu zmarł jej mąż. Z dziewięciorga dzieci urodzonych z tego małżeństwa przeżyła tylko jedna córka, którą po śmierci męża Dorota

²⁵ Por. Johannes Marienwerder : *Das Leben der zeligen Frawen Dorothee clewsenerynne in der thumkyrchen* czy *Marienwerdir des landes* czy *Prewszen*, w: Max Toeppen (red.), *Scriptores Rerum Prussicarum. Die Geschichtsquellen der Preußischen Vorzeit bis zum Untergange der Ordensherrschaft*, t. 2, 1863, s. 179–396.

²⁶ Toeppen: *Geschichte der Stadt Marienwerder*, S. 141.

²⁷ Tamże, s. 142.

²⁸ Marienwerder: *Das Leben der zeligen Frawen*, s. 226, cytata: Toeppen: *Geschichte der Stadt Marienwerder*, s. 142.

umieściła w klasztorze benedyktynów w Chełmnie. Jej spowiednik w Gdańsku polecił Dorocie udać się do Kwidzyna do zaufanego kanonika, który był mistrzem w Piśmie Świętym. Spowiednik z Gdańska miał na myśli Johanna Marienwerdera. W ten sposób wracamy do Kwidzyna. Dorota z Mątówów uznała Johanna Marienwerdera już podczas swojej pierwszej wizyty za odpowiedniego duchownego. We wrześniu 1391 roku przeniosła się do Kwidzyna.

W dniu 2 marca 1393 r., za zgodą biskupa Johanna, została wprowadzona do pustelni przy kościele, przez okna której mogła spoglądać na kościół i niebo, tam też została zamurowana. Tutaj oddawała się ćwiczeniom duchowym i uniesieniom, odwiedzana codziennie przez swojego spowiednika, który niestrudzenie spisywał jej objawienia (!), aż do jej śmierci 25 czerwca 1394 roku²⁹.

Niedługo po swojej śmierci Dorota została ogłoszona przez lud za świętą, a nawet nazwana „patrona Prussiae”³⁰.

Na zakończenie pierwszego fragmentu monografii poświęconej Dorocie z Mątówów czytamy kilka stwierdzeń Toeppena, które można uznać za publicystykę teologiczną. „Objawienia pustelnicy, które wypełniają przeważającą część opasłych pism sporządzonych przez Marienwerdera, sprawiają wrażenie [...] wysiłków ograniczonego umysłu i chorobliwej fantazji”³¹. Kościół Pruski i Wielki Mistrz Zakonu zwrócili się do papieża Bonifacego IX z prośbą o kanonizację Doroty z Mątówów. Papież powołał komisję do zbadania życia Doroty, jej zasług i cudów. W latach 1404–1405 komisja ta prowadziła przesłuchania w Kwidzynie licznych świadków. Zebrana dokumentacja została przewieziona do Rzymu i tam przekazana *ad acta* bez ostatecznego rozstrzygnięcia; również wznowienie procesu kanonizacyjnego przez papieża Innocentego VIII w 1486 r. nie doprowadziło do formalnej kanonizacji.

Druga część monografii, która odnosi się do Doroty z Mątówów, dotyczy jej pustelni, w której spędziła 14 miesięcy, od 2 maja 1393 roku do śmierci 25 czerwca 1394 roku. W pustelni było miejsce na łóżko i stół, nie było tam pieca. Pustelnia miała trzy okna. Przez ostatnie 20 tygodni przed śmiercią Doroty Johann Marienwerder udzielał jej komunii św. każdego dnia podczas wieczornej mszy. Powyższy opis pustelni oparty jest na wspomnianym wcześniej tekście *Das Leben der zeligen Frawen Dorothee clewenerynne in der thumkyrchen czu Marienwerdir des landes czu Prewszen* autorstwa Johanna Marienwerdera, który został opracowany i wydany przez Toeppena.

Istniały różnorodne przekazy dotyczące lokalizacji pustelni. Według Caspara Steina, który około 1626 r. opisał osobliwości miasta Kwidzyn pustelnia znajdowała się w Kościele Polskim, tzn. w pomieszczeniu, w którym wcześniej znajdowała się krypta i empora. Strona polska poszukiwała wówczas w katedrze relikwii i grobu Doroty, których jednak nie odnaleziono. Pewien jezuita, Crispinus, wyłamał kamień z pustelni i zabrał go ze sobą.

²⁹ Por. Toeppen: *Geschichte der Stadt Marienwerder*, s. 143.

³⁰ Por. Rudolf Bergau: *Schloß und Dom zu Marienwerder. Versuch einer kritisch-historischen Erläuterung*, w: *Zeitschrift für Preußische Geschichte und Landeskunde*, 1865, s. 615.

³¹ Toeppen: *Geschichte der Stadt Marienwerder*, s. 143.

Toeppen powołuje się tu na zbiór źródeł *Acta Borussica* (1730), t. 1, w którym wydrukowano fragmenty rękopisu-raportu *Peregrinator* autorstwa Caspara Steina³². Inny jezuita, Friedrich Szembeck, który również wyjął kawałki muru z pustelni Doroty około 1635 r., widział lokalizację pustelni po prawej stronie ołtarza głównego. W dalszej części Toeppen wnosi szereg informacji na temat lokalizacji pustelni z obszernymi odniesieniami do źródeł i konkluduje: „Decyzja co do tych wszystkich pomieszczeń jest trudna, ale wyżej wymienione poszlaki wydają się najlepiej wskazywać na pomieszczenia pod podestem południowej klatki schodowej [...]”³³.

Dorota została pochowana w krypcie wraz z kilkoma biskupami pomezkańskimi. Jej ciało odkopano po 18 tygodniach i pochowano w pomieszczeniu, w którym przygotowano świece na nabożeństwo. Grób został zamurowany i zaopatrzony w żelazne kraty. Od tego czasu kryptę nazywano kaplicą św. Doroty. W 1395 r. przy grobie Doroty z Mątówów ufundowano srebrny i częściowo pozłacany kandelabr ozdobny i ofiarowano znaczną sumę pieniędzy na utrzymanie wiecznie płonącego światła. Jednym z ofiarodawców był Wielki Mistrz Konrad von Jungingen. Na koniec musimy zauważyć, że Toeppen kilkakrotnie używa określenia święta Dorota, chociaż był świadomy, że proces kanonizacyjny Doroty z Mątówów został w Rzymie przerwany i nie został zakończony za jego życia. Dopiero w 1976 r. Dorota z Mątówów została beatyfikowana, a jej kult oficjalnie potwierdzony przez kościół katolicki.

Postać Doroty z Mątówów stała się – bez wchodzenia w szczegóły prawa kanonicznego – wspólnym duchowym dziedzictwem Polaków i Niemców, a jej historia znalazła pokłosie w literaturze światowej jako inspiracja do ukazania tej postaci w powieści *Turbot* (1995) autorstwa Güntera Grassa, pochodzącego z Gdańska laureata nagrody Nobla. Na ile było to możliwe dzięki wzmiankowanej powyżej edycji źródeł opracowanych przez Maxa Toepena, powinno być z pewnością przedmiotem osobnego opracowania.

³² Por. Toeppen: *Geschichte der Stadt Marienwerder*, s. 249.

³³ Tamże, s. 251–252.

Krzysztof Czyzewski



NOTATKI SŁÓW I OBRAZÓW (25)

LUBKA I IKONOPIS Z UŻHORODU

2 listopada 2023 roku

Jesteśmy w Użhorodzie, Andrij opowiada mi o swoim przyjacielu, ikonopisie Maksymie Pleszy. Poświęcił mu ostatnim rozdział książki „Wojna od tyłów”, która wkrótce ukaże się w serii „Meridian” w przekładzie Marka Zadury. Niech i ten portret znajdzie się pośród naszych bliskich zmarłych. Wstąpił do wojska jako ochotnik, odstawszy swoje w kolejce przed komendą wojskową, i trzeciego dnia wojny trafił do zmechanizowanego oddziału, który natychmiast wysłano na front. Swoją decyzję wyjaśniał zwyczajnie: „Jak mogłem nie pójść na wojnę?”. Zarówno w życiu, jak i w duszy był malarzem, delikatnym i nieco wstydliwym. Malował ikony, pomagał ozdabiać cerkwie, tworzył portrety —tak zarabiał i tak był sens jego życia. Do chwili wybuchu wojny pracował w sklepie, zarabiając na życie i na malarstwo, żeby móc zatrzymać się gdzieś w centrum miasta i malować portrety, które często rozdawał w prezencie. Zadowalał się małym, był skromny i nieco zamknięty w sobie.



Prosty, uczciwy i sumienny człowiek, być może aż za bardzo, biorąc pod uwagę nasz grzeszny świat. Na pogrzebie myślałem o tym, że Maksym zupełnie nie pasował do wojny. On i wojna — to dwa różne światy. Maksym nie miał zginąć, miał żyć i malować, wychowywać swoją córeczkę, tworzyć, budować, poznawać. Chowano go w rodzinnym mieście w zakrytej trumnie. Szkoda, bo był pięknym, przystojnym mężczyzną. Takich to tylko portretować...

GRUZJA – PRZEŚLADOWANI PISARZE

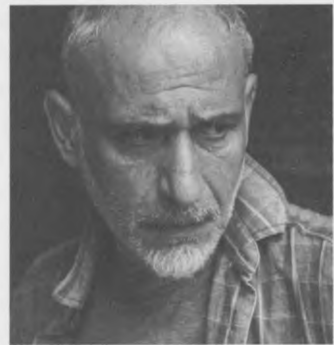
5 grudnia 2024 roku

W Gruzji walczą za Europę. Jak na Węgrzech w 1956. Jak w tylu innych krajach. A Europa niemrawa. A oni „samotni, / Już zapomniani od świata, / Język nasz stał się im obcy...” W pamięci Gruzinów wraca 1937 rok. Z protestujących na ulicach Tbilisi pisarzy robią „zaprzedanych Zachodowi chuliganów”. Zapadły wyroki dla Zwiada Ratianiego i Tornike Czelidze. Brutalnie pobici, zamiast do szpitala trafili do więzienia. „Ratiani pisze tak, jak żyje. I żyje tak, jak jest mu pisane”. To słowa tłumaczki poety, Magdy Nowakowskiej. A to jego wiersz „porządek”, z finałowego tomu Europejskiego Poety Wolności, proroczy, wypowiadający posłuszeństwo „grzecznemu” życiu:

Raz jeden,
jedyne raz
życie mnie nie ubiegło: zawsze,
kilka sekund zanim
otworzę oczy,
ono czuje, że się budzę,
i błyskawicznie doprowadza się do porządku,
żeby, kiedy się obudzę,
zostać mnie dokładnie takie,
jakim je zostawiłem.



Tornike Czelidze, fot. Dirk Skiba



Zviad Ratiani

LUBKA – CONRAD I KSIĄŻKA

17 grudnia 2024 roku

Ledwie wczoraj Andrij Андрій Любка otrzymał Nagrodę Conrada, a już dzisiaj w księgarni Wydawnictwo „Pogranicze” pojawia się jego nowa książka. Od wybuchu pełnoskalowej wojny Andrij Lubka zajął się kupowaniem samochodów terenowych dla ukraińskiej armii. Wcześniej jego książki zyskały szeroką rzeszę czytelników. Niezwykłe w jego przypadku jest nie tylko to, że z pisarza stał się wolontariuszem, często ryzykującym życie, ale że na wojnę zabrał ze sobą potężny oddział czytelników. Trzeba było sytuacji granicznej by odkryć, że prawdziwy kapitał pisarza to nie ilość sprzedanych książek,

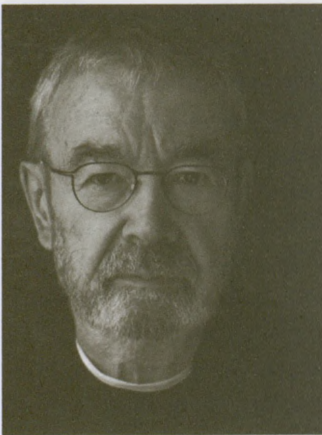
Andrij z Conradem



a zaufanie ludzi. W ciągu dwóch pierwszych miesięcy zbiórki otrzymał od nich blisko pół miliona euro. Do dzisiaj przekazał siłom zbrojnym ponad trzysta samochodów. A zaczęło się od żołnierzy batalionu z Użhorodu, którzy na front w Donbasie dojechali taksówkami, bo autobus zepsuł się w połowie drogi. Książka Lubki nie pozostawia złudzeń co do tego, że wojna to śmierć i destrukcja, że przyzwyczajają nas do siebie, oswaja ze złem, a ludzi Księgi przemienia w „mięso, kości i krew, które mogą zostać zniszczone przez kulę”. Pisarz nie daje nam o tym zapomnieć, ukazując jednocześnie wojnę od tyłów, gdzie jest miejsce na ludzkie ciepło i nadludzką odwagę, gdzie człowiek toczy jeszcze inne, niewidzialne wojny o bycie sobą, o intymną przestrzeń dla duszy, o dobrze zaparzone espresso w metalowym kubku. Nie da się tej książki zapomnieć.

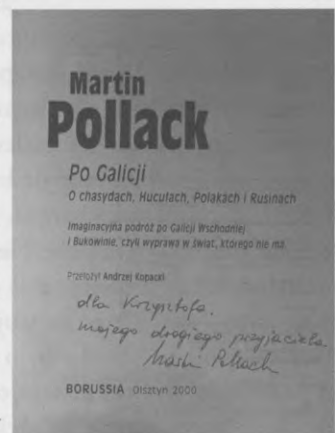
ODSZEDŁ MARTIN POLLACK

17 stycznia 2025 roku



Od dłuższego czasu wiedział, że jego rak jest nieuleczalny. „Ale to nie ważne” – pisał w liście. Wciąż mnie pocieszał. „Można z tym żyć, tylko nie wiadomo jak długo. Nie przejmuję się tym specjalnie, ale nie bardzo mogę planować podróży do ciebie...” „U mnie po staremu, no, może trochę gorzej... ale to nic”. Był pierwszy rok istnienia Pogranicza. Telefon. „Nazywam się Martin Pollack. Jestem korespondentem «Spiegla». Chciałbym przyjechać do Sejn, napisać o was...” Rozmawialiśmy często o Dzienniku Mihaila Sebastiana. „Jak to możliwe, że intelektualiści pokroju Eliadego dali się uwieść faszystom?” Wtedy jeshczenie wiedziało uwiedzionych w kręgu własnej rodziny i o tym, że pytanie „jak to możliwe?” nie opuści go do końca życia, że przy okazji szukania na nie odpowiedzi napisze kilka książek, w tym

może najlepszą z nich, czyli *Śmierć w bunkrze*. Opowieść o moim ojcu. „Spotkajmy się w CaféSperl”. We wczesnych latach dziewięćdziesiątych Wiedeń stał się dla mnie przy-stankiem w częstych podróży do byłej Jugosławii. Trwała wojna. Martin część swojego mieszkania oddał uchodźcom z Bośni. Przy stoliku w kawiarni miał swoje biuro. Kelnerka przynosiła mu nie tylko świeżą prasę ze świata, ale także prywatną korespondencję. Stolik był marmurowy, więc ze stukiem pojawiały się na nim Melange, szklanka wody i Apfelstrudel. Po tym, jak skończyłem opowieść o podróży z Tadeuszem Mazowieckim do Tuzli i Mostaru, Martin otworzył na moment historyczny nawias: „Przy którymś z tych stolików zasiadał generał Hötzendorf, szef



sztabu generalnego, który jako pierwszy po zamachu w Sarajewie w 1914 roku rwał się do wojny z Serbią. A wcześniej mieli tu swój stolik twórcy wiedeńskiej secesji. W tej kawiarni wojskowi i artyści nie przeszkadzali sobie”. Martin miał w sobie coś z tradycyjnej elegancji Sperla. Wystrzegał się jednak jak ognia austriackiej krotocwilności, groźnej, bo objawiającej się –niczym choroba dwubiegunowa –wiecznymi nawrotami. „Jeśli uległeś urokowi tego miejsca –powiedział mi kiedyś na odchodne –nie zapominaj, że jeden z jego właścicieli nazywał się Kratochwil.” Odwiedziłem go w Bocksdorfie, domu otulonym winoroślą i starym ogrodem, w sercu Burgenlandu, przy granicy z Węgrami. Przez całą noc opowiadał mi historię ojca nazisty, którą właśnie odkrywał. „Wyjątkowo fanatyczny, brutalny, gotowy na wszystko” – wynotowywał z akt policji ścigającej zbrodniarzy wojennych. „Dobrze, że wpadłeś. Trudno to znieść samemu...” Dochodził mnie głos człowieka wyjątkowo dobrodusznego. Nie tak dawno przesłał mi apel: „Pragniemy Europy wolności i pokoju. W zamian do głosu dochodzi nacjonalizm. Rozprzestrzenia się nietolerancja. Głośniejsza staje się nienawiść, przemoc wkracza w codzienność. Podsycany jest strach przed innym, obcym i przekuwany w polityczny kapitał. Rozbrzmiewa wołanie za silną ręką. Korupcja podkopuje podstawy społeczeństw. Następuje erozja państwa prawa. Osiągnięcia socjalne i ciężko wywalczone prawa są zagrożone. Wolność i pokój nie są już oczywistością. Nadchodzi czas, by wysłać sygnał!” „Sam wiesz czy podpisać, czy nie” – dodawał. Podpisując wtedy, myślałem o Europie. Dzisiaj myślę o Martinie. Był jak ten apel – w sercu prosty jak lot strzały.

Pańska tożsamość, panie Pollack? Wolność.

Za kim pan się opowiada? Za solidarnością.

Jak pan żyje? W prawdzie.

Martinie...

Z KUNDERĄ

21 stycznia 2025 roku

Z Kunderą w obliczu narastającej w świecie fali trumpizmu...Cytuję za esejem *Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej* w przekładzie Marka Bienczyka

Franz Werfel... W roku 1937 na zaproszenie Organizacji Współpracy Intelktualnej przy Lidze Narodów pojawia się z żoną, sławetną Anną, wdową po Mahlerze, na paryskiej konferencji, której tematem jest „przyszłość literatury”. W swoim wystąpieniu Werfel przeciwstawił się nie tylko hitleryzmowi, lecz ogólnie niebezpieczeństwu totalitaryzmu, ówczesnemu ideologicznemu i dziennikarskiemu otumanieniu, które wkrótce dobije kulturę. Swoją przemowę zakończył propozycją, która uznawał za władną powstrzymać to piekielne zjawisko: należałoby założyć światową akademię poetów i myślicieli. [...] Misją akademii, niezależnej od polityki i propagandy, byłoby „stawianie czoła polityzacji i narastającemu barbarzyństwu świata”.

Nie dość, że propozycji nie przyjęto, to jeszcze ją wyszydono. Była naiwna, oczywiście. Straszliwie naiwna. [...] A jednak ta naiwna propozycja jakoś mnie wzrusza, gdyż wyraża rozpaczliwą potrzebę odnalezienia w świecie pozbawionym wartości moralnego autorytetu.

Stoi za nią trwożliwe pragnienie, by rozległ się niesłyszalny głos kultury... Przypomina mi [ono] inne wystąpienie, Roberta Musila z roku 1935 w Paryżu. Musil, podobnie jak Werfel, dostrzega niebezpieczeństwo nie tylko w faszyzmie, lecz także w komunizmie. Obrona kultury nie równa się dla niego zaangażowaniu kultury w walkę polityczną (jak to wówczas powszechnie rozumiano), lecz przeciwnie, obronie przed głupotą polityzacji. Obaj rozumieją dobrze, że w nowoczesnym świecie techniki i mediów nadzieje żywione przez kulturę są płonne. A jednak przysłuchując się wszelkim dzisiejszym dyskusjom o polityce i kulturze, nie miałbym niemal nic nowego do dodania i czuję się w takich chwilach bardzo mocno z Werflem i Musilem związany. Czuję się w takich chwilach nieuleczalnie środkowoeuropejski.”

Milan Kundera, *Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej*. Przełożył Marek Bieńczyk

CZYM JEST WOJNA

24 lutego 2024 roku

Samotność ofiar. Oto nowe Campo di Fiori. Jeszcze jeden stos wzniesiony dla heretyków tej siły imperiumi racji legitymizowanej zniewoleniem. Ukraińcy doświadczyli niemało solidarności w świecie. Za mało jednak, by nie czuli się osamotnieni. Opuszczenie polityczne czy militarne – one nie są ostateczne, można je negocjować i, przynajmniej po części, im zapobiegać. Jest jednak inne opuszczenie – w inności bycia ofiarą, a co za tym idzie, w samotności doświadczenia prawdy o przemocy i wojnie. Boli śmierć najbliższych, bolą głód, zniszczenie i poniewierka, ale równie, a czasem bardziej – tak naprawdę – boli osamotnienie w prawdzie. Świat, a więc my/ja, może mieć najlepsze intencje, może słuchać swoich racji, może mówić, że nic nie jest czarno-białe, powtarzać odwieczną mantrę o pokoju i o tym, że humaniści powinni trzymać się z dala od broni... I nawet przez myśl mu nie przejdzie, że może tym ranić ofiary wojny, pogłębiając ich samotność. Co można na to poradzić? Niejedno. Waży każda forma solidarności i pomocy. Ważne, abyśmy zrozumieli, że w Ukrainie pomoc militarna nie jest osobną formą wsparcia, lecz stanowi część pomocy humanitarnej, decydującej o egzystencjalnym być albo nie być. Wiem, że to może się kłócić z racjami wielu, tak jak kłóciło się z moimi. Ale to jest właśnie ten moment, w którym możemy przełamać samotność ofiar, a przynajmniej radykalnie się do nich zbliżyć. Tak, czasem za cenę przełamania siebie. Zrozumiałem to w oblężonym Sarajewie. Trzy lata trwało zabijanie tysięcy jego mieszkańców, przy akompaniamencie światowej orkiestry głosów przekonujących, że nasz humanizm powinien poprzestać na dożywianiu ofiar. Kto raz przyjmie do siebie samotność ginących, ten nie rozstanie się z nią do końca życia i na świat patrzeć będzie innymi oczami. A przy każdej kolejnej eskalacji przemocy, zanim da przemówić swoim racjom, będzie starał się słuchać w głos ofiary. Może to najwięcej, co możemy zrobić dla przełamania ich samotności – dać przemówić gwałconym i zabijanym, otworzyć się na prawdę heretyków zniewolonego umysłu... „I ci ginący, samotni, / Już zapomniani od świata, / Język nasz stał się im obcy / Jak język dawnej planety.” Jeszcze nie

wszystko stracone. Jeszcze możemy zawalczyć o to, by ich język stał się dla nas zrozumiały. A tymsamym zmienić naszą mowę, tak dotkliwie obcą niewinnie ginącym. W odróżnieniu od Czesława Miłosza, który pisał wiersz „Campo di Fiori” na zewnątrz murów warszawskiego getta, Ostap Sływinski pisze wiersz „Czym jest wojna” z wnętrza Ukrainy. Wiele można znaleźć różnic pomiędzy towarzyszącymi im okolicznościami, jedna jest jednak samotność ofiar i zatrważająco niewzruszone trwanie tych, którzy „zawsze wiedzą lepiej”. Tymczasem nasze, międzyludzkie trwanie, które w obliczu wzbierającej fali ciemności na nowo wydaje się nam cudem, jest wciąż możliwe. Wciąż jeszcze bowiem potrafimy przełamać siebie, przekroczyć własną niemoc, a mówiąc po ukraińsku peremohty, i dopisać do drukowanych bez współautorstwa ofiar podręczników kilka stron prawdy osamotnionych. Napisany na początku tego roku przez Ostap Sływinskigo wiersz podaję we własnym przekładzie.

CZYM JEST WOJNA

Być może kiedyś napiszą o tym podręcznik
tylko my nie będziemy jego współautorami
bo inni zawsze wiedzą lepiej czym jest wojna
bo inni zawsze wiedzą lepiej
no dobrze
ale jeden rozdział
jeden rozdział oddajcie nam
i tak nie znajdziecie dosyć literatury
to będzie rozdział o milczeniu
kto nie był na wojnie ten nie wie czym jest milczenie
albo przeciwnie wie
tylko my nie wiemy
jak ryby nie wiedzą o wodzie która je żywi i ropie która je zabija
jak mysz-nornica nie wie o ciemności która ją ukrywa przed zimorodkiem ale
zimorodka też ukrywa
pozwólcie napisać nam ten rozdział
wiem że boicie się krwi więc napiszemy go wodą
wodą o którą prosił ranny nie mógł przetykać i tylko
patrzył na nią

Marek Suchar



Ogród Oliwny

Pierwsi chrześcijańscy pielgrzymi zaczęli przybywać do Ziemi Świętej już w IV wieku, kiedy po wydaniu przez cesarza Konstantyna w 313 roku Edyktu Mediolańskiego zaprzestano prześladowania chrześcijan w Cesarstwie Rzymskim. Wtedy też z inicjatywy matki Konstantyna, świętej Heleny, rozpoczęto w miejscach zidentyfikowanych jako związane z życiem Jezusa budowę upamiętniających je kościołów. W ten sposób powstały między innymi Bazylika Narodzenia w Betlejem i Bazylika Grobu Świętego w Jerozolimie. Chrześcijańska obecność na terenie Ziemi Świętej nie rozpoczęła się jednak dopiero w IV wieku, ale trwała prawie nieprzerwanie od I w. naszej ery. Przed wszystkim przez pierwsze ponad trzydzieści lat po ukrzyżowaniu Jezusa, do zburzenia miasta w roku 70 n.e., działała w Jerozolimie gmina judeochrześcijańska. Przewodził jej *Jakub Brat Pański* – jeden z braci lub kuzynów Jezusa. Po zburzeniu Jerozolimy przez Rzymian w roku 70, a nade wszystko po upadku powstania Bar Kochby w 135 roku n.e., Żydów z Jerozolimy wypędzono i zakazano im wstępu do miasta, ale ten zakaz nie dotyczył chrześcijan, zwłaszcza, że część z nich była już wtedy innej niż żydowska narodowości. Możemy więc z dużym prawdopodobieństwem zakładać, że pierwsi chrześcijanie przebywający, jawnie lub w ukryciu, w II i III wieku na terenie przemianowanej przez Rzymian na *Colonia Aelia Capitolina* Jerozolimy, przechowywali pamięć o lokalizacji zdarzeń opisanych w Ewangeliach, przekazując ją z pokolenia na pokolenie. Mamy pełne prawo przypuszczać, że to właśnie ich wskazówki były podstawą lokalizacji tych miejsc przez ekipę cesarzowej Heleny. „Oficjalne” niejako wskazanie przez nią *świętych miejsc* związanych ze zdarzeniami opisanymi w Nowym Testamencie zaczęło przyciągać wiernych z różnych zakątków świata. Ich pielgrzymki miały charakter duchowy, były wyrazem głębokiej pobożności, czasami miały też charakter pokutny. Wśród ówczesnych pielgrzymów przeważały osoby duchowne oraz przedstawiciele wyższych warstw społecznych. Do tych ostatnich należała najprawdopodobniej pobożna hiszpańska pątniczka Egeria, która odwiedziła Ziemię Świętą w roku 385. Sporządzona przez nią i zachowana do dziś pisemna relacja z podróży jest bezcennym źródłem informacji nie tylko na temat ówczesnych praktyk pielgrzymkowych i religijnych wczesnego chrześcijaństwa, ale także w ogóle codziennego życia mieszkańców Ziemi Świętej w IV wieku naszej ery. Do naszych czasów przechowało się zaledwie kilka takich *itinerariów* (m.in. Euzebiusza z Cezarei i Pielgrzyma z Bordeaux), bo dopiero w późniejszych wiekach pielgrzymki do Ziemi Świętej stawały się bardziej popularne. Ich znaczenie rosło, szczególnie w okresie średniowiecznym, kiedy Ziemia Święta stała się celem Wypraw Krzyżowych.

W swojej fascynującej relacji Egeria szczegółowo opisuje między innymi obchody Wielkiego Tygodnia w Jerozolimie. Píše ona, że „w nocy z Wielkiego Czwartku na Wielki



Grota Getsemani

Piątek, po odprawieniu nabożeństwa w sanktuarium na Górze Oliwnej, duchowieństwo wraz z wielką liczbą wiernych schodzi do *Getsemani*. Po przybyciu na miejsce odmawia się tam najpierw modlitwę, potem hymn, następnie zaś czyta urywek Ewangelii, w którym opowiada się o pojmaniu Jezusa”.

Relacja Egerii wspomina o ważnym z punktu widzenia zdarzeń Wielkiego Tygodnia miejscu nazywanym często zamiennie – „Ogrodem Oliwnym” albo „Getsemani”, znajdującym się u podnóża Góry Oliwnej, również i dzisiaj licznie nawiedzanym przez pielgrzymów i turystów. Żeby się tam dostać, najprościej jest przejść wąskimi uliczkami Starego Miasta do Bramy Świętego Szczepana, a przez nią wyjść poza mury Starej Jerozolimy i kierować się na wschód do Doliny Cedronu, gdzie od niepamiętnych czasów znajdują się sady pełne drzewek oliwnych. Nazwa doliny nawiązuje do potoku Cedron, ale odwiedzający to miejsce najczęściej na próżno będą go tam poszukiwać. Jest to bowiem tzw „strumień epizodyczny”, a jego suche zazwyczaj łóżysko wypełnia się rwącą wodą jedynie w chwilach obfitych opadów deszczu, do których dochodzi tu tylko zimą. Przez większą część roku potok Cedron jest więc wyschnięty, a jedynym zbiornikiem wodnym w okolicy jest znajdująca się w odległości kilku kilometrów sadzawka Siloe, do której wpływa woda ze źródła Gichon.

Dolinę Cedronu kojarzy się często z wymienianą w Biblii Doliną Jozafata i niekiedy również i te nazwy bywają używane zamiennie. Według starotestamentowego proroctwa to właśnie w Dolinie Jozafata Bóg ma zgromadzić ludzi wskrzeszonych w dzień końca czasów, aby odbyć nad każdym z nich swój sąd. Panuje przekonanie, że ci, którzy są w tym miejscu pochowani, zostaną jako pierwsi wskrzeszeni w dzień Sądu Ostatecznego, a że wedle starożytnej żydowskiej tradycji bramy Nieba mają być wtedy otwarte zaledwie przez cztery

dni, największą gwarancję dostania się do niego będą mieli ci, których groby znajdują się w pobliżu. Stąd być może powstał datujący się jeszcze sprzed czasów Jezusa zwyczaj chowania zmarłych na zboczu Góry Oliwnej. Możliwe też, że kolejność była odwrotna, to znaczy, że najpierw zaczęto chować zmarłych w Dolinie Cedronu, czyli zgodnie z żydowskimi nakazami religijnymi poza murami miasta, a następnie zaczęto uzasadniać związaną z tym tradycję nawiązując do ludowych wyobrażeń o Sądzie Ostatecznym.

Niezależnie od przyczyn pewne jest w każdym razie, że na stokach Góry Oliwnej znajduje się najstarszy, czynny nieprzerwanie od starożytności do dziś, i jeden z największych na świecie, cmentarzy żydowskich. Szacuje się, że znajduje się na nim około stu pięćdziesięciu tysięcy grobów. Jak już wspomniałem, ta wiekowa nekropolia żydowska jest wciąż czynna, tyle że niełatwo dziś jest zostać tam pochowanym, jako że ceny kwater na niej są obecnie niebotyczne i podobno dochodzą do kilkuset tysięcy dolarów. No, ale jeśli za tę cenę będzie się miało pierwszeństwo przy zmartwychwstawaniu w dzień Sądu Ostatecznego, to może i warto? Trudno mi powiedzieć.

Wśród osób pochowanych na tym cmentarzu jest wiele osób zasłużonych. Przed wszystkim znani rabini, a wśród nich podobno pochodzący z Girony w Katalonii wielki XII-wieczny kabalista Nachmanides, a poza tym wielu świątobliwych cadyków różnych współczesnych dynastii chasydzkich. Współcześnie chowani są tam także zasłużeni mieszkańcy Jerozolimy, między innymi wskrzesiciel nowożytnego języka hebrajskiego Eliezer Ben Jehuda czy dwaj izraelscy laureaci Nagrody Nobla – Josef Szmul Agnon, który otrzymał ją w dziedzinie literatury, i premier Izraela Menachem Begin, będący laureatem nagrody pokojowej. Co ciekawe, z żydowskim cmentarzem na zboczu Góry Oliwnej związane jest pewne polonicum. Mają tam bowiem swoje groby również dwaj polscy żołnierze Armii



Dolina Cedronu



Kościół Wszystkich Narodów u podnóża Góry Oliwnej

Andersa, starszy sierżant Leon Blumensztok i kapitan Hersz Hammer, którzy tu w Jerozolimie zakończyli swój szlak bojowy.

Ponad malowniczą Doliną Cedronu wznosi się kilkusetmetrowe, dość strome zbocze Góry Oliwnej. Warto tu zauważyć, że określenie „góra” kojarzy nam się przeważnie ze wzniesieniem uwieńczonym szczytem, a tymczasem Góra Oliwna jest nie tyle taką właśnie górą, ale raczej dość długim, pozbawionym wyraźnego szczytu grzbietem, wyrastającym ponad Doliną Cedronu, przechodzącym w dwa inne grzbiety górskie. Od strony północnej jest to Góra Scopus, na której swoją główną siedzibę ma Uniwersytet Hebrajski, a południowe „przedłużenie” Góry Oliwnej to *Góra Zgorszenia* inaczej nazywana *Wzgórzem Złej Rady*. To na niej biblijny król Salomon miał urządzić miejsca kultu pogańskich bożków dla swoich cudzoziemskich żon. Tam też w czasie Mandatu Brytyjskiego zbudowano rezydencję Wysokiego Komisarza Palestyny. Od niej wzgórze wzięło swoją współczesną hebrajską nazwę „Armon Ha Natziv” czyli „Rezydencja władcy”. A nazwę „Wzgórze Złej Rady” miłośnicy prozy Amosa Oza pewnie dobrze pamiętają jako tytuł jednej z jego znakomitych nowel rozgrywających się w Jerozolimie.

Wróćmy jednak do najbardziej interesującego nas dziś miejsca, czyli znajdującego się u podnóża Góry Oliwnej *Ogrodu Oliwnego*. Od ewangelistów wiemy, że po zakończeniu uroczystej wieczerzy, która odbyła się wieczorem 14 dnia żydowskiego miesiąca Nisan, a więc w przeddzień święta Paschy, Jezus wyszedł z uczniami z miasta i skierował się istniejącą do dziś drogą wiodącą dnem Doliny Cedronu do Ogrodu Oliwnego. Ewangelista Marek i Mateusz piszą, że uczynili oni tak „zgodnie ze swym zwyczajem”. Chodzi o to, że znajdująca się w tym ogrodzie grota była często miejscem odpoczynku Jezusa

i apostołów w drodze powrotnej z Jerozolimy do Betanii, gdzie zwykle zatrzymywali się na nocleg w domu Łazarza i jego sióstr, kiedy przybywali do Świątyni Jerozolimskiej na święta. W czasach Jezusa wszyscy dorośli mężczyźni mieli religijny obowiązek odbywania w miarę możliwości pielgrzymek do Świątyni Jerozolimskiej trzykrotnie w ciągu roku, w tak zwane Święta Pielgrzymkowe (hebr. *regalim*), czyli wiosną czasie Paschy, latem w czasie Pięćdziesiątnicy (Święta Tygodni czyli *Szawuot*) i jesienią w czasie Święta Namiotów (*Sukot*).

Do Betanii, niewidocznej z Jerozolimy, bo leżącej już za grzbietem Góry Oliwnej, jest ze Wzgórza Świątynnego około 4–5 kilometrów. To żaden dystans dla przywykłych do odbywania pieszych wędrówek. Ale warto zauważyć, że powrót z Jerozolimy oznaczał konieczność wspinania się po dość stromym zboczach, więc jeśli pobyt w mieście z jakichś powodów się przedłużył, nocna wędrówka wiodąca stromymi, pnącymi się w górę ścieżkami po zboczach Góry Oliwnej, mogła się apostołom wydawać zbyt ciężka, a może nawet niebezpieczna i dlatego też nocowali po drodze, w grocie należącej do sadu oliwnego, którego właścicielami byli jacyś ich jerozolimscy przyjaciele. Wiele wskazuje na to, że mogli to być rodzice Jana zwanego Markiem, jednego z uczniów Jezusa, którego matka była właścicielką domu, w którym później, po zmartwychwstaniu Jezusa, gromadzili się członkowie pierwszej jerozolimskiej gminy chrześcijańskiej. W tekście ewangelii wg św. Marka możemy znaleźć wskazówki, które można tak interpretować.

Nazwa Getsemani pochodzi od określenia *gat szamanim* oznaczającego po aramejsku, a więc w języku, którym porozumiewali się żydowscy mieszkańcy Palestyny za czasów Jezusa, *tłocznię oliwek*. Tu konieczne jest pewne wyjaśnienie lingwistyczne. Otóż od czasów powrotu z Wygnań Babilońskiego językiem codziennym Hebrajczyków stawał się stopniowo w coraz większym stopniu język aramejski, wypierając z codziennego użycia hebrajszczyznę, która natomiast pozostała językiem liturgii oraz świętych tekstów, w tym Biblii. Dopiero pod koniec XIX wieku, za sprawą Eliezera Ben Jehudy, hebrajski znów stał się językiem dnia powszedniego, głównie na terenie dzisiejszego Izraela. Jest to dziś w tym kraju jeden z dwóch oficjalnych języków (drugim jest język arabski). Wg statystyk po hebrajsku mówi dziś około dziesięciu milionów ludzi na świecie. Za czasów Jezusa w Jerozolimie na co dzień mówiono jednak, jak już wspomnieliśmy, po aramejsku. To dlatego, kiedy w Ewangeliach dosłownie cytowane są wypowiedzi Jezusa, podawane są one przez autorów w języku aramejskim, stąd pochodzą na przykład *Effata!* (Otwórz się), *Talita kum!* (Dziewczynko wstań!) czy wreszcie wypowiedziane na krzyżu słowa: *Eli, Eli lama sabachtanini?* (Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?). Jest prawie pewne, że Jezus z apostołami rozmawiał po aramejsku. W takim języku musieli więc oni też odmawiać modlitwę *Ojcze nasz*, której ich nauczył. W Jerozolimie, w należącej do chrześcijan syryjskich kościele św. Marka, można poprosić przewodniczkę Yostinę o odmówienie Modlitwy Pańskiej w tym antycznym języku, w którym jej pierwsze słowa brzmią: „Abun d' baszamajo”. To dla wielu osób bardzo poruszająca okoliczność.

Ale wróćmy do Getsemani, która to nazwa, jak już wspomnieliśmy, używana jest dziś często zamiennie z określeniem *Ogród Oliwny*. Dla precyzji warto więc zauważyć, że w zasadzie określenia te nie są jednoznaczne, jako że *Getsemani* czyli tłocznia oliwek, mieściła się n a t e r e n i e Ogródu Oliwnego, czyli jednej z licznych plantacji oliwek znajdujących się, podobnie jak dzisiaj, na zboczach Góry Oliwnej.

Ogród Oliwny i znajdująca się na jego terenie grotta Getsemani to zatem miejsca będące „naocznymi” świadkami ważnych i dramatycznych wydarzeń, które rozegrały się w noc poprzedzającą proces i ukrzyżowanie Jezusa. Dziś obie te nazwy odnosimy do ogrodzonego od XIX wieku sadu z ośmioma prastarymi drzewami oliwnymi, o grubych pniach i pobrużdżonej korze, oraz do skalnej groty znajdującej się w odległości kilkudziesięciu metrów od niego. Badania archeologów potwierdzają, że grotta ta, obecnie zamieniona na franciszkańską kaplicę, na początku naszej ery, a więc za czasów Jezusa, mieściła tłocznię oliwy. Prowadzi dziś do niej ciasne kamienne przejście, przez które wchodzi się do skalnego pomieszczenia bez okien o nieregularnym kształcie, wysokości 2–3 metrów i wymiarach w przybliżeniu 10 na 20 metrów. Ze świadectw pielgrzymów, a także z prowadzonych w niej w XX wieku badań archeologicznych wiemy, że grotta ta już w II/ III wieku naszej ery była otaczana przez pierwszych chrześcijan szczególnie czcياً jako miejsce pojmania Jezusa. Stąd pochodzi zresztą jej druga obecnie używana nazwa: Grotta Pojmania. Wspominają o tym w swych relacjach z pielgrzymek do Ziemi Świętej, oprócz cytowanej już wcześniej Egerii, również Euzebiusz z Cezarei, Pielgrzym z Bordeaux, a także św. Hieronim.

Surowe wnętrze skalnej groty jest miejscem szczególnym, bo wydaje się być w niewielkim tylko stopniu zmienionym, w stosunku do swego pierwotnego wyglądu. Jest tak, gdyż po zniszczeniu Groty w czasie powodzi w roku 1955 udało się przywrócić w dużym stopniu jej oryginalny wygląd sprzed dwóch tysięcy lat. Podczas gdy inne „święte miejsca” Jerozolimy w większości straciły swój pierwotny wygląd i charakter, bo zostały z czasem obudowane pochodzącymi z różnych okresów kościołami czy kaplicami, Grotta Getsemani jest jednym z tych miejsc, które zachowało do dzisiaj pewną autentyczność wyglądu. Robi to na pielgrzymach wielkie wrażenie. Świadomość, że znajdują się w tym samym pomieszczeniu, w którym przebywał za swego życia Jezus, jest niesamowita i z niczym właściwie nieporównywalna.

Podobnych wzruszeń może dostarczyć nam również znajdujący się tuż obok niewielki sad oliwny, w którym oglądać dziś można 8 poskręcanych wiekowych oliwek. Niektórzy są przekonani, że one również mogły one być świadkami pojmania Jezusa, jako że wedle powszechnej wiedzy drzewa oliwne mogą osiągać wiek nawet ponad 2000 lat. Jednakże większość uczonych ocenia, że te akurat konkretne drzewa, choć niewątpliwie bardzo stare, mają nie więcej niż – bagatela! – 1500 lat. Nie są to więc te same drzewa, które rosły w tym miejscu za czasów Jezusa. Jednocześnie jednak nie wyklucza się, że te powyższe ze starości rośliny mogą być odroślami z korzeni oliwek, które rosły tu za Jego życia.

Obok ogrodzonego metalowymi barierkami Ogródu Oliwnego znajduje się Bazylika Agonii nazywana także Kościołem Wszystkich Narodów, zawdzięczająca swą nazwę datkom wiernych z różnych krajów świata, dzięki którym franciszkanie zdołali zbudować tę świątynię w 1924 roku na miejscu antycznej budowli wspomnianej przez pątniczkę Egerię. Zaprojektowana przez architekta we franciszkańskim habicie, Antonio Barluzziego, któremu zawdzięczamy wiele innych świątyń znajdujących się dziś w Ziemi Świętej, w stylu określanym jako „neoklasycystyczno-bizantyjski”, przyciąga uwagę wielką, barwną mozaiką Jezusa jako pośrednika między Bogiem a ludźmi umieszczoną na frontonie. Niezwykle nastrojowe i sprzyjające skupieniu i medytacji wnętrze kościoła, oświetlone jest przefiltrowanym przez witraże przyćmionym światłem, nawiązującym do nocy, podczas

której Jezus modlił się w Ogrodzie Oliwnym. W Kościele Wszystkich Narodów możemy znaleźć też ciekawe polonicum. Z prawej strony głównego ołtarza znajduje się mozaika ukazująca scenę pojmania Jezusa w Ogrodzie Oliwnym, która została ufundowana w roku 1944 przez przebywających w czasie II Wojny Światowej w Jerozolimie polskich żołnierzy Armii Andersa. W centralnym miejscu kościoła w pobliżu ołtarza, w miejscu jakby wyciętym w posadzce, znajduje się odkryty prostokątny fragment nagiej skały, otoczony niską kratą o kształcie korony cierniowej. Przy nim pielgrzymi wspominają modlitwę Jezusa w noc Jego pojmania. Skała, czczona dla upamiętnienia cierpień Jezusa, znajduje się w odległości kilkudziesięciu kroków od Groty Pojmania i kilkunastu kroków od rosnących nieopodal tysiącletnich oliwek.

Każde z miejsc, które tu oglądamy, jest materializacją wyobrażeń towarzyszących osobom wychowanym w tradycji chrześcijańskiej od dziecka. Co ciekawe, akurat tu, w jakiś dziwny sposób, dzisiejszy wygląd tych miejsc nie kłóci się z naszymi o nich wyobrażeniami. A dodatkowe wrażenie wywierają mogą pogoda, odległości, kolor powietrza, nieba i skał, które miejscu temu przydają wyrazistości i wzruszającego realizmu. Można by powiedzieć – „Wszystko się zgadza!” Jest tak chyba przede wszystkim dlatego, że doświadczamy tu w jakimś sensie autentycznego biblijnego krajobrazu i jest to doznanie niezwykle, zwłaszcza jeśli się zważy, że od zdarzeń upamiętnianych w tych miejscach upłynęły dwa tysiąclecia.

Chrześcijańscy pielgrzymi przybywający do Jerozolimy zawsze poszukiwali w niej miejsc wspomnianych w Ewangeliach. Starali się je zidentyfikować, by móc potem otaczać je kultem. Wspominają o tym w swoich itinerariach pierwsi pielgrzymi: pątniczka Egeria, Anonim z Piacenzy czy Pielgrzym z Bordeaux, którzy odwiedzili Jerozolimę zaledwie około 300 lat po ukrzyżowaniu Jezusa. „Zaledwie!? – spyta ktoś. – Trzysta lat to przecież strasznie dużo czasu! Czy po tylu latach można było dokładnie zidentyfikować miejsca jakichkolwiek zdarzeń?” Wydaje się, że miejscowa ludność była w stanie dokonać tego bez większego kłopotu. Bo czyż my dziś nie potrafimy dokładnie wskazać na przykład miejsca, w którym 24 listopada 1227 roku w Marcinkowie koło Gąsawy zamordowany został książę Leszek Biały? A przecież od tego czasu do dziś minęło nie trzysta, jak w przypadku czasu dzielącego wydarzenie opisane w ewangeliach i wizytę w Jerozolimie św. Heleny, ale osiemset lat! A przecież waga i doniosłość obu porównywanych zdarzeń jest nieporównywalna. A poza tym – w końcu mówimy o Jerozolimie, w której nie po trzystu, ale po trzech tysiącach lat potrafimy dokładnie wskazać miejsca rozmaitych zdarzeń wspomnianych w Biblii, choćby takich, jak wykuta w skale instalacja wodna doprowadzająca wodę ze źródła Gichon, przez którą jeden z tuneli około roku tysięcznego przed naszą erą król Dawid ze swoją drużyną dostał się do bronionej przez Jebuzytów jerozolimskiej twierdzy!

Trzeba też mieć na uwadze to, że Jerozolima w czasach biblijnych była miastem niewielkim, ponad dwukrotnie mniejszym od dzisiejszego Pelplina. W tak ograniczonej przestrzeni, w której dodatkowo istniało wiele charakterystycznych i niezmiennych (istniejących często do dziś!) punktów orientacyjnych, takich jak kamieniołomy, źródła i sadzawki, jaskinie skalne, dolina jedyne w okolicy potoku, czy wzgórza i wąwozy – trudno było się po prostu pogubić pierwszym chrześcijanom. Rozumie się to bardzo szybko znalazłszy się tam na miejscu. A skoro tak, to topografia ważnych dla lokalnej społeczności zdarzeń musiała

być dla członków pierwszej gminy chrześcijańskiej zarówno oczywista, jak i na tyle ważna, by zasługiwać na utrwalenie jej i przekazywanie następnym pokoleniom.

Co do lokalizacji najważniejszych „miejsc świętych” pomyłek więc chyba raczej nigdy być nie mogło. Możemy być o tym spokojnie przekonani, niezależnie od tego, czy i na ile archeologom udało się do dziś ich autentyczność potwierdzić w sposób niewątpliwy poprzez odnalezienie materialnych śladów związanych z konkretnymi biblijnymi zdarzeniami. Te ślady w większości przypadków z oczywistych powodów przez tysiąclecia mogły, a nawet musiały, ulec zniszczeniu i zatarciu. Ale wiele przemawia za tym, że w większości przypadków możemy mieć zaufanie do wielowiekowych tradycji związanych z poszczególnymi „świętymi miejscami”.

Poszukując w Jerozolimie śladów ewangelijnych zdarzeń powinniśmy mieć jednak na uwadze, że możemy tam mieć do czynienia z innym jeszcze rodzajem takich „świętych” miejsc. Oprócz wcześniej wspomnianych, takich, o których historycznej autentyczności przekonują nas wyniki badań naukowych albo tradycja wczesnego kultu, mamy tam również miejsca będące wyłącznie wynikiem pielgrzymiej pobożności, potrzeby urealnienia wyobrażeń, tęsknoty za możliwością przeżycia, że „To było tu! To się zdarzyło w tym miejscu, w którym teraz jestem!”.

Dziś wiemy, że wiele takich miejsc mogło zostać wskazanych w sposób arbitralny lub przypadkowy i następnie obrosło tradycją pielgrzymiej dewocji. Dziś czasami trudno odróżnić je od tych pierwszych. Taki charakter mają choćby w większości stacje Via Dolorosa, kaplica upamiętniająca „więzienie Jezusa” pokazywana w podziemiach jednego z budynków znajdujących się obok franciszkańskiego Klasztoru Biczowania, czy kamień z odciskiem stopy Jezusa(!) w Betfage. O ich historycznej autentyczności raczej nie może być mowy, ale przecież zasługują na nasz szacunek jako miejsca uświęcone tradycją pobożności, miejsca duchowego skupienia i religijnej kontemplacji wielu pokoleń pątników. Na ich miejscu zbudowane zostały świątynie, które choć mogą nie wiązać się bezpośrednio z autentyczną lokalizacją ewangelijnych zdarzeń, to jednak stały się z upływem czasu modlitelnymi przystankami na pielgrzymim szlaku, miejscami rozpamiętywania epizodów z życia Jezusa lub członków pierwszej jerozolimskiej gminy chrześcijańskiej. Należą do nich choćby malowniczo położony na zboczach Góry Oliwnej kościółek Dominus Flevit, monumentalny kościół pod wezwaniem Zaśnięcia NMP na Syjonie, franciszkańskie kaplice Biczowania i Skazania na Śmierć, perła architektury z czasów krzyżowców, czyli kościół św. Anny, a także ormiańska Katedra św. Jakuba, czy jakobicki klasztor św. Marka.

Tuż obok Ogródu Oliwnego znajduje się właśnie jedno z takich tłumnie nawiedzanych przez pielgrzymów jerozolimskich świętych miejsc. Jest to niezwykle interesujący bizantyjski kościół Grobu Najświętszej Marii Panny. Gospodarzami jego są dziś wspólnie prawosławni Grecy, Ormianie i Etiopczycy. Żeby wejść do jego wnętrza musimy zejść w dół po 47 stopniach szerokich schodów, kościół ten znajduje się bowiem pod ziemią i jest w istocie częściowo wykutą w skale, podziemną kryptą pierwotnej, zburzonej w XII wieku przez Saladyna, dwupoziomowej bizantyjskiej świątyni. W ciemnym wnętrzu, na prawo od ołtarza znajdującego się przy wschodniej ścianie tej podziemnej kaplicy, znajduje się pusty skalny grób czczony jako miejsce tymczasowego złożenia ciała Matki Jezusa po jej śmierci, a przed Wniebowzięciem jej ciała. Przekonanie o umiejscowieniu grobu Marii właśnie w Dolinie

Jozafata ma swoje źródło nie w Nowym Testamencie, ale w apokryfach pochodzących z V wieku naszej ery. Nie ma też żadnych dowodów na to, że miejsce to (w odróżnieniu choćby od Groty Getsemani) miało jakieś specjalne znaczenie dla pierwszych chrześcijan. W jego przypadku brakuje więc dwóch ważnych podstaw dla uznania jego autentyczności – dowodów naukowych oraz świadectw wczesnego kultu. A jednak wiemy, że tradycja maryjnego kultu związanego z tym miejscem, mająca swoje źródła w nieuznawanych za kanoniczne stosunkowo późnych utworach apokryficznych, jest bardzo silna i trwa nieprzerwanie od kilkuset lat wśród wiernych różnych kościołów i denominacji chrześcijańskich. Na marginesie można zauważyć, że jest też nieporównywalnie starsza od katolickiego dogmatu mówiącego że, „Niepokalana Bogarodzica zawsze Dziewica Maryja po zakończeniu swojego ziemskiego życia została z ciałem i duszą wzięta do niebieskiej chwały” ogłoszonego przez papieża Piusa XII dopiero 1 listopada 1950 roku.

Dodatkowo można jeszcze wspomnieć, że bizantyjska świątynia jest interesująca również z tego powodu, że mieści w sobie także inne warte wspomnienia groby. Mniej więcej na wysokości połowy schodów, którymi schodzi się, by dostać się do jej wnętrza, w bocznych wnękach znajdują się groby z czasów krzyżowców. Po lewej pochowana została jerozolimska królowa Melisanda, a po prawej między innymi jej synowa Maria, żona króla Jerozolimy Baldwina III. Choć założone przez krzyżowców w Ziemi Świętej Królestwo Jerozolimskie przetrwało tylko dwieście lat, zdążyło się w nim koronować blisko dwudziestu królów i kilka królowych. Nie wszyscy z nich zdołali odegrać w czasie swego panowania znaczącą rolę. Pod tym względem Melisanda stanowi jednak wyjątek – była nie tylko córką, żoną i matką królów jerozolimskich (jej ojcem był Baldwin II, mężem Fulko V, a synami panujący kolejno Baldwin III i Amalryk), ale również samodzielnie panującą królową tego przedziwnego królestwa.

Miejsca zdarzeń opisanych w tekstach Nowego Testamentu są dla chrześcijan ważne przede wszystkim jako materialny wymiar ziemskiej egzystencji Jezusa, której ślady w tej czy innej postaci istnieją do dziś tam, gdzie się ona uobecniła. Pragnienie osobistego doświadczenia tych śladów wynika chyba z potrzeby, aby to, co duchowe, stało się treścią naszego osobistego przeżycia. W ten sposób dla wierzących teologiczna prawda Ewangelii może stać się elementem ich indywidualnej, osobistej historii. Z psychologicznego punktu widzenia to zupełnie niezwykle doświadczenie. A poza tym, podążanie po śladach konkretnych zdarzeń sprzed dwóch tysięcy lat jest przecież samo w sobie przeżyciem na poły metafizycznym, zupełnie niezależnie od ich ewentualnego religijnego kontekstu. Nieuchronnie nasuwa mi się pytanie: Czy gdzieś indziej niż w Jerozolimie coś takiego mogłoby nam się przydarzyć?

Piotr Zawada



AUSTERLITZ – BITWA TRZECH CESARZY

REKONSTRUKCJA HISTORYCZNA EPOKI NAPOLEOŃSKIEJ
(29.11 – 01.12.2024)

W piątek 29 listopada 2024 roku o godzinie 5 rano wyruszyliśmy w czteroosobowym składzie samochodem osobowym z Gdańska do Slavkova u Brna czyli pod Austerlitz na Morawach w Czechach. 2 grudnia 1805 roku w pobliżu tej miejscowości doszło do słynnej bitwy Trzech Cesarzy, w której cesarz Napoleon Bonaparte odniósł jedno z najświetniejszych zwycięstw w historii. Dokładnie w pierwszą rocznicę swojej koronacji na Cesarza Francuzów rozgromił połączone armie cara Rosji Aleksandra I oraz cesarza Austrii Franciszka I. Do Austerlitz z Gdańska mamy około osiemset kilometrów i po ponad dziewięciu godzinach jazdy, głównie autostradami, z dwoma przystankami po drodze, dojechaliśmy do celu. Tak naprawdę nie jechaliśmy do samego Austerlitz, tylko do miejscowości Pozorice, gdzie tradycyjnie już polscy rekonstruktorzy nocują na dużej sali koncertowej miejscowego domu



Autor z polskim dobozsem Legii Nadwiślańskiej w Twarożnej

kultury. Ale zanim tam dotarliśmy, wcześniej zatrzymaliśmy się przy nietypowej konstrukcji w miejscowości Holubice, gdzie również toczono walki w ramach bitwy pod Austerlitz. Otóż w miejscowej cementowni, wykorzystując metalowe silosy oraz infrastrukturę obiektu, stworzono nietypową, bardzo oryginalną, olbrzymią dioramę. Już z autostrady widać wielką napoleońską armatę z potężnymi postaciami napoleońskich kanonierów. Polecam wszystkim, aby się tam zatrzymali, co naprawdę zajmie niewiele czasu, a warto zrobić sobie pamiątkową fotkę. Warto też podjechać dosłownie kilkaset metrów dalej, by zobaczyć zabytkowy budynek Starej Poczty, w której spotkał się Napoleon ze swoimi marszałkami: Muratem, Lannesem i Berthierem. Oprócz Poczty znajduje się tam kompleks hotelowy

z karczmą z epoki, do której warto wstąpić, co mieliśmy zaplanowane na następny dzień. Wreszcie około godziny 15 dojechaliśmy do Pozoric, do miejsca naszego zakwaterowania, gdzie warunki bytowania mamy istic spartańskie. Okazało się, że nie byliśmy pierwsi. Przed nami przyjechała Legia Polsko-Włoska z Nysy i zajęła nam najlepsze miejscówki. Właściwie śpimy na gołym parkiecie, gdzie zazwyczaj stoją krzesła i stoły, albo na drewnianych deskach dość sporej sceny. Każdy śpi na tym, co sobie przywiezie. Jedni śpią na wszelkiej maści łózkach polowych, inni na dmuchanych materacach albo na karimatach, a jeszcze inni śpią na gołej podłodze z kocem jako łóżkiem i plecakiem jako poduszką, a cały dobytek mają wokół siebie. Zazwyczaj tzw. polski batalion liczy od stu do stu kilkudziesięciu osób, które oprócz podłogi mają do dyspozycji stoły i krzesła, i aż po dwie umywalki i dwie toalety, oddzielnie dla kobiet i mężczyzn. O dziwo jednak, w tych trudnych warunkach wszyscy stosunkowo sprawnie dają sobie radę i jakoś nikt nie narzeka. Jak się tak wejdzie do zapełnionej już sali, to ma się wrażenie, jakby się weszło do gniazda szerszeni, czy na jakieś bliskowschodnie targowisko albo do obozu uchodźców. Panuje tam niesamowity tumult i gwar. Wszyscy rozmawiają ze wszystkimi. Co chwila słychać wybuchy salw śmiechu a nawet i krzyki. Zjechali się starzy dobrzy znajomi, z niemal każdego zakątka Polski, którzy tylko kilka razy w roku mogą się spotkać, więc nadrabiają stracony czas, nie mogąc się do końca nagadać i nacieszyć spotkaniem. Jedni siedzą przy stołach konsumując przywiezione zapasy, inni grają w karty lub gry planszowe, jeszcze inni siedzą na podłodze lub łózkach, a niektórzy handlują swoimi rzemieślniczymi wyrobami. Ja sam sprzedałem swoją starą kurtkę mundurową, w której od dawna już się nie mieszcę. Obok sali jest mała knajpeczka, w której można napić się dobrego czeskiego piwa z beczki i zjeść obiad lub pizzę. Na obiad są aż dwa dania do wyboru: pieczony ser w panierce z frytkami albo kotlety wieprzowe w panierce z sałatką warzywną. O ile piwko jest w przyzwoitej cenie około 9 złotych, to jednodaniowy obiad jest stosunkowo drogi nawet jak na polskie warunki i kosztuje około 50 złotych. Co tam, jesteśmy na wyjeździe i trzeba spróbować miejscowych przysmaków. Zresztą czescy organizatorzy, w przeciwieństwie na przykład do niemieckich, zwracają uczestnikom koszty podróży, więc mieliśmy trochę więcej czeskich koron na swoje przyjemności. Już po rozlokowaniu się na sali wiele osób i grup wyruszyło w teren na zwiedzanie. Jedni pojechali do oddalonego o około 20 km Brna a inni do pobliskiego Austerlitz. W obu miastach, w uliczkach wśród zabytkowych kamienic, odbywają się przepiękne bożonarodzeniowe jarmarki, bardzo kolorowe, oświetlone przeróżnymi światełkami, pełne wszelkiego rękodzieła, gdzie można posmakować miejscowych przysmaków i napić się grzanego wina przyprawionego goździkami. W centrum Austerlitz szczególne wrażenie robi podświetlony, stojący na niewielkim wzniesieniu, zamek, w którym po wygranej bitwie przebywał Napoleon. W piątek, w pierwszy dzień naszego pobytu, na zamku organizowany jest napoleoński bal, gdzie można wejść tylko za zaproszeniem. Oczywiście trzeba mieć na sobie odpowiedni strój z epoki i trzeba przestrzegać ówczesnej etykiety. Na balu tańczy się dawne tańce, a w przerwach między nimi można poćwiczyć konwersację i nieco się posilić smacznymi przekąskami. W parku na tyłach zamku, już po zapadnięciu zmroku, można było obejrzeć napoleońskie widowisko z cyklu światło i dźwięk, gdzie na tle płonących wiejskich zabudowań przemieszczały się cienie żołnierskich sylwetek, często walczących ze sobą lub przemykających wśród płomieni, a wszystko to okraszone muzyką

o odpowiedniej intonacji w zależności od dynamiki przedstawianych wydarzeń. Całość była spięta fachowym komentarzem w wykonaniu tajemniczego głosu. Podobne widowisko z cyklu światła i dźwięk można też było zobaczyć bezpośrednio na ścianach zamku, co jest niezwykle uciążliwą dla naszych zmysłów nie tylko wzrokowych, ale i głębszych doznań wewnętrznych. Całość kończy się przemarszem wojsk napoleońskich oraz przemową samego Napoleona. Niestety, w tym roku nie było francuskiego cesarza, gdyż zwykle świetnie odtwarzający jego rolę Amerykanin Mark Schneider w ostatniej chwili musiał odwołać swój przyjazd. Szkoda, że dowiedziałem się o tym już na miejscu, bo może mógłbym wskoczyć w jego rolę. Zawsze można sobie pomarzyć, bo marzenia czasami się spełniają, czego sam doświadczyłem, wcielając się w rolę Napoleona pod Lip-



Widok na pole bitwy pod Austerlitz. W tle wzgórze Santon z kapliczką na górze. Po prawej Tymon

skim w 2022 roku. Po powrocie do Pozoric do naszej sali większość rzuciła się wir nieustającej imprezy trwającej do późnego wieczoru, a przecież nazajutrz trzeba było wstać. Następnego dnia pobudka o siódmej rano i wtedy na sali zapalane jest światło, aby obudzić wszystkich śpiących. Tak naprawdę to już od szóstej mało kto śpi, gdyż już wtedy zaczynają się pielgrzymki między śpiącymi do toalety. Po wstaniu koniecznie trzeba we własnym zakresie zjeść jakieś śniadanie, by mieć siły na kilkukilometrowy przemarsz na pole bitwy i na manewry oddziałów, będące próbą generalną przed bitwą. Niestety, w tym roku organizatorzy nie zagwarantowali nam posiłków, jak to było w poprzednich latach, i musieliśmy sobie jakoś radzić. Być może tym razem organizatorzy postanowili dać zarobić miejscowym karczmarzom. Ze smakiem pożarłem golonkę wieprzową z puszki i popiłem kawą. Nie ma co, iście francuskie śniadanie. O dziewiątej rano oddziały polskie i francuskie (Czesi) kwaterujące w Pozoricach ruszyły pieszą kolumną w pełnym rynsztunku bojowym (plecaki, karabiny, ładownice, szable, chlebaki, manierki, rogatywki itp.) do miejscowości Twarożna, za którą w historycznym miejscu na rozległym polu pod wzgórzem Santon jak co roku odbywa się inscenizacja Bitwy Trzech Cesarzy pod Austerlitz. Naszą pieszą kolumnę prowadzili grenadierzy gwardii cesarskiej, którzy od początku narzucili ostre tempo, które kosztowało mnie sporo zdrowia. Na szczęście tego dnia była piękna bezmroźna pogoda i szło się bardzo dobrze. W poprzednich latach nie raz się zdarzało, że musieliśmy iść w śniegu, podczas zadyмки, po śliskich drogach i przy minusowej temperaturze. Wreszcie po mniej więcej pięciu, sześciu kilometrach intensywnego marszu minęliśmy tablicę z napisem Twarożna, co bardzo mnie ucieszyło, gdyż miałem nadzieję, że choć na krótką chwilę



Nietypowa cementownia w Holubicach

zatrzymamy się, aby choć chwilę odpocząć. Jednak jak to często w życiu bywa, nadzieja jest matką ... i ku mojemu przykremu wrażeniu nasza kolumna, nie zatrzymując się, przeszła jak burza przez długą jak jelito cienkie Twarożną, a następnie pomaszzerowała pod górę na rozległy płaskowyż u stóp wzgórza Santon, aby odbyć tam manewry wojskowe, przygotowujące nas do bitwy. Ćwiczyliśmy wiele manewrów całymi kolumnami, w tym tworzenie różnych ugrupowań, jak na przykład czworobok chroniący piechotę przed atakami kawalerii. Jednak przede wszystkim ćwiczyliśmy strzelanie salwami z dwóch szeregów, a wszystko po to, aby było bezpiecznie, przyjemnie i atrakcyjnie dla nas i dla publiczności. Na ćwiczeniach wpadliśmy z deszczu pod rynnę. Co prawda nie trzeba było aż tak intensywnie maszerować, ale za to, na zaoranym polu, wpadliśmy w niezłe błotko. Każdy miał buty oblepione mieszanką błotno-słomianą, która strasznie utrudniała nam chodzenie.

Wyglądaliśmy jak zdobywcy bieguna północnego, którzy poruszają się w raketach śnieżnych, z tym, że w naszym przypadku nasze rakiety zrobione były z błota przyklejonego do butów, co zamiast nam pomagać, przeszkadzało w poruszaniu się. Męczono nas na tych ćwiczeniach przez ponad godzinę, przez co mieliśmy tylko półtorej godziny na odpoczynek, na jakiś posiłek i piwko oraz łożenie po kramach historycznego jarmarku w Twarożnej. Przerwa minęła jak z bicza strzelił i na powrót trzeba było stawać w szeregach. Po sformowaniu się oddziałów, przy biciu w bębny przez naszych doboszy (było ich trzech), ruszyliśmy równym krokiem z powrotem na pole bitwy, gdzie stanęliśmy we wcześniej ustalonym szyku. Tak na moje oko samych rekonstruktorów było w przedziale od 700 do 1000 ludzi. Dookoła sceny, którą było pole bitwy, za oddzielającymi nas od publiczności metalowymi barierkami, zgromadziło się kilka tysięcy widzów. W tle słychać było głos czeskiego komentatora, który żywiłowo relacjonował wszystko co się działo. Jak zazwyczaj bitwę rozpoczęła kanonada artyleryjska kilkunastu armat oraz ryki dowódców wydających rozkazy szykującym się do walki oddziałom. Przez półtorej godziny intensywnie walczyliśmy z wrogiem. Jak nie atakowaliśmy Austriaków lub Rosjan na bagnety, to broniliśmy się przed ich kawalerią. Długimi okresami strzelaliśmy do siebie salwami karabinowymi, po czym atakowaliśmy na bagnety. Jak już nie miałem siły, to z okrzykiem na ustach: niech żyje Cesarz!, padałem, udając poległego, a tacy też są potrzebni, aby bitwa wyglądała bardziej realistycznie. W czasie gdy tak leżeliśmy polegli na ziemi, to nad naszymi głowami przechodziły masy wojsk, to w jedną, to w drugą stronę. Trochę się obawiałem, aby ktoś na nas nie

nadepnął albo się o nas nie wyrócił. Najgorzej było wtedy, kiedy jeden z oddziałów do słownie stawał nad naszymi głowami i zaczynał strzelać z muszkietów, nie mówiąc już o armatach. Wtedy trzeba było zatykać uszy palcami i cierpliwie czekać, aż sobie pójdą. Jacyś Rosjanie próbowali ściągnąć mi buty niby jako zdobycz wojenną, ale na szczęście nasi ich przegonili i pomogli mi wstać, dzięki czemu już jako żywy powróciłem do szeregów. Przez cały ten czas na polu bitwy panował ogromny zgiełk, ciągnęła kanonada artyleryjska, salwy karabinowe, tupot końskich kopyt i okrzyki walczących ze sobą żołnierzy. Cały teren bitwy spowijały gęste białe chmury prochowego dymu przemieszczające się Bóg wie gdzie, a wszystko to razem choć w namiastce przypominało atmosferę prawdziwej bitwy. W krótkich chwilach przestoju, kiedy byliśmy w rezerwie, mogłem choć przez chwilę podziwiać to barwne i głośnie widowisko. Rekonstrukcja bitwy pod Austerlitz wśród rekonstruktorów ma swoją uznaną renomę i napoleońscy rekonstruktorzy chętnie na nią przyjeżdżają. Zazwyczaj uczestniczą w niej doświadczone i sprawdzone w boju grupy historyczne, dobrze wyćwiczone zgodnie z ówczesnymi regulaminami wojskowymi, epokowo umundurowane i wyekwipowane, które sprawnie, ale przede wszystkim bezpiecznie, posługują się bronią palną. Z przyjemnością oglądało się, jak piechota rozwijała się w linie, aby strzelać salwami z muszkietów, bądź kiedy związała swoje szeregi w gęste kolumny z nastawionymi do ataku bagnietami. Aż miło było popatrzeć, jak na komendę te wszystkie manewry były zgrabnie i widowiskowo wykonywane. Nie ma co. Lata ćwiczeń i bezpośrednie próby przed samą bitwą dają dobre efekty. Inne rodzaje wojsk również mogły się podobać. Artyleria niezwykle szybko i sprawnie przetaczała swoje armaty na nowe stanowiska, a zgrani ze sobą kanonierzy uwijali się jak w ukropie, oddając strzał za strzałem. Dobrze, że z luf nie leciały prawdziwe kule. Kawaleria różnych rodzajów, od lekkiej do ciężkiej, co chwilę szarżowała, a to na piechotę najeżoną bagnietami, a to ucierała się ze sobą, po czym nagle szybko odszukiwała. Wielkim atutem kawalerii jest jej szybkość, czego sam jako piechociniec wiele razy



Wymarsz oddziałów na bitwę z Twarożnej. Od lewej: Lorenzo, autor, Tymon



W ferworze bitwy

doświadczylem. Człowiek stał sobie spokojnie w szeregach, obserwował sobie bitwę, aż tu nagle nie wiadomo skąd nadjeżdżała kawaleria i rąbała nas szablami albo kuła lancami, rozpędzając nas na cztery wiatry. Często człowiek chętnie poddawał się wrogiemu kawalerzyście, zwłaszcza wtedy, gdy jeźdźcem okazywała się piękna Czeszka, których sporo służy w kawalerii. Przez cały ten czas, po całym polu, na koniach, wściekle krążyli wyżsi dowódcy obserwując rozwój sytuacji, aby w odpowiednim momencie wydać rozkazy naszym bezpośrednim dowódcom, a oni nam. W tym roku wśród rekonstruktorów było około setki Polaków tworzących samodzielny polski batalion oraz oddział polskich uła-

nów. Co prawda historycznie w bitwie pod Austerlitz oddziały polskie nie brały udziału, bo Polski wtedy jeszcze nie było, ale organizatorzy zawsze robią dla nas wyjątek, ponieważ jesteśmy stosunkowo liczną, znaną i doświadczoną ekipą, a poza tym należymy do międzynarodowej organizacji w skrócie CENS, zrzeszającej różne grupy rekonstrukcyjne epoki napoleońskiej z całej Europy. Pod Austerlitz w żołnierzy francuskich, naszych sojuszników, wcielają się najczęściej Czesi, Niemcy, Włosi, Litwini, a nawet Polacy. Natomiast jeżeli chodzi o wroga, to siły rosyjsko-austriackie reprezentowane są zazwyczaj przez Czechów, Słowaków, ale też i Polaków. Wreszcie po około półtoragodzinnej intensywnej przepychance nasz wróg, wojska rosyjsko-austriackie, uznały naszą wyższość i zaczęły w popłochu wycofywać się z pola bitwy. Jak to zazwyczaj bywa po skończonej bitwie, wszystkie oddziały stanęły przed publicznością prezentując broń, w podziękowaniu za przybycie i kibicowanie, co spotkało się z gorącą owacją onych. Następnie czeski komentator przedstawiał po kolei każdą z grup, która wzięła udział w batalii. Na koniec wojsko przemaszerowało w szyku defiladowym przed widownią, by w końcu zejść z pola bitwy. Nareszcie padła komenda: rozejść się! Po chwili odpoczynku i wypiciu ostatnich kropli wody z manierek musieliśmy ruszyć w powrotną drogę do naszej kwatery w Pozoricach. Tym razem nie musieliśmy wracać na piechotę, gdyż na powrót, ku naszej radości, organizator zapewnił nam autobusy, oczywiście napoleońskie autobusy, które zawiozły nas na miejsce. Po powrocie na kwatery nie mieliśmy zbyt wiele wolnego czasu, gdyż na godzinę 20.00 byliśmy umówieni na występ polskiej trupy cyrkowej „Cirque de Poulet” w budynku Starej Poczty, o czym już wcześniej wspominałem. Musieliśmy szybko się ogarnąć, tzn. przede wszystkim wyczyścić buty, coś nieco podjeść i, jak starczyło jeszcze czasu, na chwilę się zdrzemnąć. Do Starej Poczty jest kilka kilometrów, więc podjechaliśmy prywatnymi samochodami. Obok budynku Starej Poczty stoi epokowa karczma, w której napoleońscy żołnierze chętnie biesiadują i gdzie dzisiaj ma występ nasz „Cirque de Poulet”. Pierwotnie na występie miał być obecny sam cesarz, dla którego, ale i dla innych gości, specjalnie

przygotowano występ w wersji angielskiej. Niestety, jak wiemy Napoleona nie było, ale i tak było dla kogo wystąpić, bowiem cała karczma tak na parterze, jak i na piętrze, zatłoczona była żołnierzami, markietankami, wyższymi oficerami i damami wielu nacji. Wewnątrz panował ogromny zgiełk, zewsząd słycać było głośnie rozmowy, pokrzykiwania karczmarza, wybuchy salw śmiechu, a co chwila głośnie toasty i pobrzękiwanie szabelkami. Stoły ugięły się pod jedzeniem, winem i piwem. Atmosfera tego miejsca była niesamowita, wszędzie elegancy napoleońscy oficerowie i szykowne piękne damy. Co chwilę toasty i śpiew francuskich i polskich pieśni i piosenek z epoki. A wszyscy dla siebie mili i przyjaźnie nastawieni, wczuwający się w swoje role, co sprawiało, że chwilami myślałem, że naprawdę przeniosłem się w tamte napoleońskie czasy. Nasza napoleońska pasja, w której nadajemy na tych samych falach, bez względu na to, kto ma jakie wykształcenie, jakie zajmuje stanowisko w pracy, czy przysłowiowo jest bogaty czy biedny, pozwala nam choć na chwilę zapomnieć o naszych codziennych troskach i cieszyć się sobą w tak pięknych okolicznościach. Po dłuższych przygotowaniach wreszcie rozpoczął się z niecierpliwością przez wszystkich oczekiwany występ „Cirque de Poulet”, czyli po prostu Cyrku Kurczaka. A dlatego Kurczaka, ponieważ jego założyciel i lider Marcin w naszej napoleońskiej braci ma ksywę właśnie Kurczak. Razem z nim występuje jeszcze Martyna oraz Arkadiusz zwany Jaksą, a na barabanie przygrywała Marlena. Tak w ogóle to Kurczak i Jaska są żołnierzami francuskiego 33 pułku piechoty liniowej, a Martyna jest ich markietanką. Wreszcie kurtyna się podniosła i przy ogłuszającym aplauzie zgromadzonej publiczności show rozpoczął się. Jak zwykle w swoim charakterystycznym ekspresyjnym stylu wyskoczył Kurczak prezentując swój cyrk i zapowiadając oraz prezentując kolejne numery, a wszystko to po angielsku. „Cirque de Poulet” to właściwie trupa teatralno-kabaretowa przedstawiająca w zabawny sposób magiczne i absurdalne sztuczki z początku XIX wieku. Jest to interaktywna zabawa z publicznością okraszona tradycyjną muzyką na żywo. Można tam między innymi zobaczyć siłacza Jaksę, który uwalnia się z grubych łańcuchów czy z łatwością łamie gwoździe, wzrokiem krzywi łyżki oraz Kurczaka z Martyną pokazujących magiczne sztuczki z pogranicza magii, takie jak odgadywanie kart czy tresowanie skaczących ludzkich pcheł. Cały czas występowi towarzyszy charakterystyczna, oddająca klimat występu, muzyka, rytmicznie wybijana na barabanie przez Marlenę. Około godzinny występ „Cirque de Poulet” nagrodzony został przez widownię owacjami na stojąco. Kto tego nie widział, ten tego nie pojmie. Po występie cyrku, wszyscy chętni, a wśród nich i ja, ruszyli z miejsca prosząc damy i włościanki do tańca, by choć trochę z radością rozruszać się w rytmie skocznej muzyki wygrywanej na skrzypkach przez Tomka od ułanów. Kiedy już wszyscy się wytańcowali, przyszedł czas pożegnań. Po ostatnich toastach, po ostatnich uściskach, powoli wszyscy zaczęli opuszczać karczmę, aby udać się na swoje kwatery rozrzucone po różnych miejscowościach wokół Austerlitz. Do Pozoric wróciliśmy krótko przed północą, gdzie większość naszej braci już spała, aby jutro być wypoczętym przed długą podróżą powrotną do Polski. Ja jeszcze na chwilę przysiadłem do moich przyjaciół z Legii Polsko-Włoskiej, by podzielić się swoimi wrażeniami z występu cyrku Kurczaka i, jak to mam w zwyczaju, opowiedzieć kilka dowcipów. Przy stłumionym śmiechu, aby innych nie obudzić, w końcu się pożegnaliśmy i jak inni wpadliśmy w ramiona Morfeusza. Wstaliśmy następnego dnia około 8 rano, by po skromnym śniadanku zacząć się pakować, ładować samochody i ruszać do domu. Na sali panował duży ruch,



Stara Poczta w Pozoricach

przypominający ten w mrowisku. Wszyscy chodzili we wszystkie strony, nosili swój dobytek, szukali czegoś, dyskutowali z innymi, żegnali się, umawiali się, a jeszcze inni dopiero wstawali i robili sobie śniadanie. Wiele osób wyjechało już wczesnym rankiem, a nawet w nocy. My przed wyruszeniem do Polski postanowiliśmy jeszcze skorzystać z okazji i zobaczyć pomnik-kaplicę „Mogilę Pokoju” wystawioną na wzgórzu Prackim (Pratzen), gdzie toczyły się ciężkie walki, a upamiętniającą wszystkich poległych żołnierzy w tej bitwie. Zwiedziliśmy też małe muzeum poświęcone bitwie znajdujące się w pobliżu pomnika. Na koniec pojechaliśmy do miejsca na wzgórzu Żurań, z którego Napoleon dowodził bitwą, co upamiętnione zostało granitowym obeliskiem, na którego górnej powierzchni w płycie z brązu wyryto plan sytuacyjny bitwy pod Austerlitz, po czym już definitywnie ruszyliśmy w kierunku granicy z Polską. Tym, którzy w przyszłości będą mieli okazję zwiedzić pole bitwy pod Austerlitz, to oprócz miejsc upamiętniających wydarzenie tej batalii szczególnie polecam wizytę w samym Austerlitz (Slavkov u Brna), a zwłaszcza na zamku. Przy okazji można też pojechać na wycieczkę do uroczego i pełnego zabytków pobliskiego Brna z twierdzą Spilberk, a wracając do Polski, tak już na sam koniec, jak wam czas pozwoli, to koniecznie zatrzymajcie się w Ołomuńcu, by zwiedzić piękne zabytkowe Stare Miasto. Morawy to naprawdę przepiękna kraina. Sami to przyznacie.

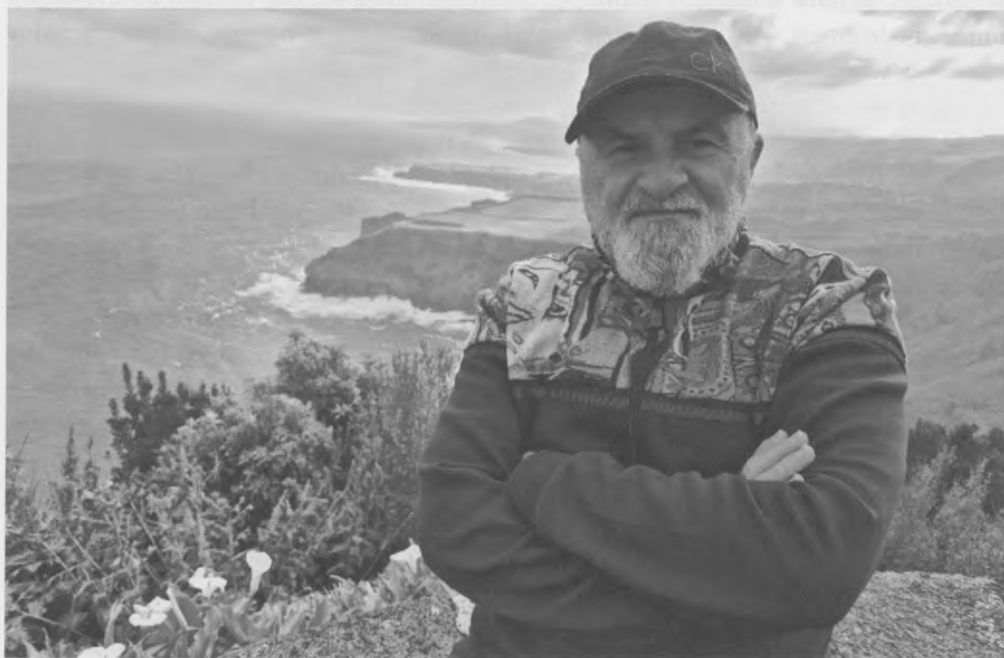
Andrzej Kasperek



POCZTÓWKA Z AZORÓW

1

Rok temu z przyjaciółmi wybraliśmy się na Maderę. Swoje zachwyty opisałem wówczas na łamach „Prowincji”. Nasi kompani – Jadzia i Jacek – nie przestawali w czasie całego pobytu wspominać wyprawy na inne portugalskie wyspy na Atlantyku – Archipelag Azorów. Słuchaliśmy ich opowieści o niezwyklej zieleni, spokoju, polach hortensji po horyzont... To sprawiło, że wpisałem Azory na swoją listę marzeń... Kolega, któremu o niej opowiedziałem, zauważył, że przypomina ona „bucket list”, czyli spis marzeń – rzeczy, które chcemy zobaczyć, osiągnąć, doświadczyć, zdobyć... przed śmiercią – dodał, bo po angielsku wyrażenie „kick the bucket” oznacza po prostu „kopnąć w kalendarz”. Przypomniał mi amerykański film „Choć goni nas czas” z 2007 roku z Jackiem Nicholsonem i Morganem Freemanem. Zagrali oni dwóch starszych panów, których dzieli wszystko – jeden jest miliarderm a drugi mechanikiem. „Pewnego dnia spotykają się w jednej sali szpitalnej i dochodzą do wniosku, że są dwie rzeczy, które ich łączą: chcą robić rzeczy, o których zawsze



Autor na jednym z licznych miraduro

marzyli, a nie zdążyli ich zrealizować oraz odkryć kim tak naprawdę są. Wyruszają wspólnie w podróż ich życia, odkrywają przyjaźń i uczą się jak najlepiej przeżyć życie...”.

Kiedyś oglądałem ten film i nawet dziwiłem się, że tytuł polski tak bardzo odbiegał od oryginalnego. Ale wyjaśniałem już, że pochodzenie mojej listy wzięło się z innych powodów. A może nie tak bardzo innych? Może mnie też czas goni... Na wycieczkach organizowanych przez biura podróży (szczególnie poza sezonem) jest bardzo wielu emerytów. Badacze turystyki mówią wręcz o boomie na turystykę dla seniorów. Zjawisko to nasiliło się w XXI wieku. Świat się starzeje, bo wraz ze wzrostem dobrobytu i polepszeniem powszechnej opieki medycznej wydłuża się przeciętna długość życia a dodatkowo emeryci są w lepszej kondycji zdrowotnej i finansowej niż kiedyś. Od kilku lat zauważa się nowy trend, znany pod nazwą „golden gap year”, który można dosłownie przetłumaczyć jako „złoty rok przerwy”. Jest to nawiązanie do zjawiska (w Polsce jeszcze wciąż mało popularnego, ale rozpowszechnionego – szczególnie w USA, Izraelu i Europie Zachodniej), czyli „gap year”. Ten termin oznacza wzięcie roku wolnego, najczęściej pomiędzy szkołą średnią a rozpoczęciem studiów, głównie po to, by podróżować i poznać trochę świata, zastanowić się nad sobą, przemyśleć scenariusze na przyszłość, zanim wkroczy się w bezlitosny czas dorosłego życia i kariery.

Według badań Booking.com: „obecnie starsi podróżujący na nowo definiują oblicze emerytury, decydując się na *złote lata przerwy*. Ten trend nasilił się [...] ważną rolę w rozbudzaniu pragnienia poznawania świata wśród tej grupy demograficznej odgrywa globalizacja. [Bo] to pierwsze pokolenie na emeryturze, które żyło w erze globalnej komunikacji: globalne wiadomości, globalne programy telewizyjne, globalne miejsca pracy, ogromna mobilność, międzynarodowa kuchnia, możliwość skorzystania z tanich linii lotniczych, aby wyskoczyć na tanie wakacje za granicę [...] Emeryci mają większy dochód do dyspozycji i mogą podróżować w okresach przejściowych, ponieważ nie są ograniczeni przez terminy szkolnych wakacji”.

Tak, seniorzy stanowią ważną grupę wśród turystów. Sam miałem okazję się o tym przekonać w czasie moich ostatnich podróży do Portugalii, Berlina, Wiednia i na Azory. Wycieczki portugalskie były zorganizowane przez biuro podróży. Nie podaję jego nazwy, bo nie chcę lokować produktu. Na szczęście dobrze trafiliśmy – biuro przygotowało je bardzo dobrze – program, pilot, noclegi i ogólny poziom usług był dobry. Dwie trzecie uczestników to byli silvers. (Tak ładnie nazywa się osoby po pięćdziesiątce, od silver, czyli srebrny.) Gdy z nimi rozmawiałem, to okazywało się, że wyjeżdżają od lat, a na emeryturze nawet kilka razy do roku. Bliżej i dalej: Egipt, Kanary, Włochy, Madera, Hiszpania. Ale także: Seszele, Madagaskar, Bhutan, Kalifornia i Hawaje. Tu decydują zasoby finansowe, bo kierunki, które wymieniłem, to wydatek często powyżej 20 tysięcy złotych. Znamienne, że nikt z poznanych przeze mnie wojażerów nie żałował ani złotówki wydanej na podróż. A niektórzy mieli wręcz kompulsywny stosunek do wyjazdów. Poznana na wycieczce para jeździ po świecie prawie co miesiąc. Z humorem opowiadali mi, że gdy syn powiedział im, że chce się żenić, to spytali go: kiedy? I kilka podanych dat od razu odrzucili, bo już mieli wpłacone zaliczki na wycieczki: Teneryfa, Madera (po raz czwarty!), Irlandia... Już nie chcą czekać, chcą skorzystać ze zgromadzonych funduszy, a przede wszystkim z wciąż jeszcze dobrej kondycji fizycznej. Bo przecież dalekie wycieczki to spory wysiłek.

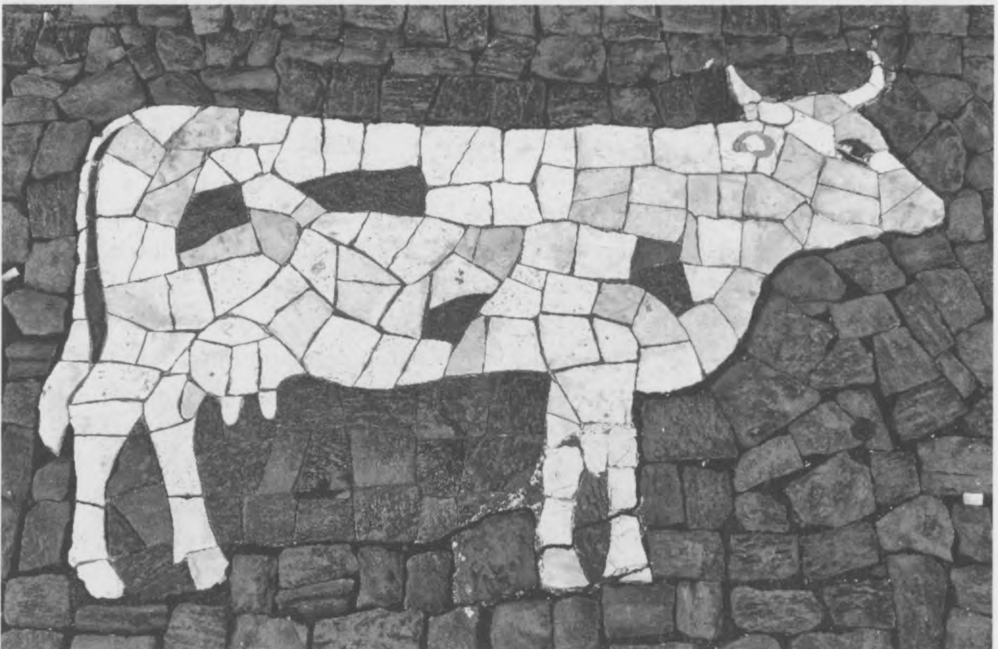
2

Przyznam się, że nie miałem zbyt wielu skojarzeń z Azorami. Gdzieś w głowie kołatało się najdawniejsze wspomnienie z lat dzieciństwa, gdy w czasie prezentacji prognozy pogody Wicherek lub Chmurka, bo tak nazywano popularnych prezenterów pogody, bardzo często zaczynali od informacji: wyż znad Azorów... Dużo częściej na wsi słyszało się to słowo jako popularne imię dla psa. Skąd się wzięło? Czy to możliwe, że ma coś wspólnego z biblijnym imieniem Azor, które w języku hebrajskim oznacza: „ofiarujący pomoc”.

Nazwa wysp na Atlantyku pochodzi od portugalskiego słowa: „açor”, oznaczającego jastrzębia. Jego obraz widnieje na fladze regionu. Jest pokazany wraz z dziewięcioma gwiazdami symbolizującymi dziewięć wysp archipelagu. Odkrywczy jednak się pomylili, bo ten ptak nie występuje i nigdy nie występował na tych wyspach. Pewnie ujrzeli myszołowa tam zamieszkującego. Istnieje jeszcze inna wersja – niektórzy wywodzą nazwę Azory od portugalskiego słowa „azures”, które oznacza liczbę mnogą od słowa niebieski. I ten piękny kolor można zobaczyć na wielu budynkach, także rządowych. Już zawsze będzie mi się kojarzył z tym archipelagem.

Przeglądałem oferty różnych biur podróży i okazało się, że ceny wycieczek organizowanych zimą bardzo różniły się od tych latem. Różnice sięgały nawet 100%. Ale to nie temperatury o tym decydują, bo średnia temperatura od grudnia do kwietnia jest prawie stała: 15–16° C. Latem zaś sięga 22°C – maksymalnie dochodzi do 30°C. To przede wszystkim ilość opadów ma na to wpływ. W miesiącach zimowych jest nawet 10–13 dni deszczowych.

Wpłaciłem zaliczkę i termin wyjazdu coraz bardziej się przybliżał, a ja z niepokojem obserwowałem długoterminowe prognozy pogody. Nie napawały optymizmem. Na São Miguel i sąsiedniej wyspie Terceira miało padać codziennie. Uznałem, iż skoro zdarzyło się



Krowa sigła bruku

kiedyś, że latem w Zakopanem lało 12 dni bez przerwy, to nic nie poradzę. Trzeba się po prostu nastawić na deszcz – zaimpregnować buty, wziąć pelerynę i kurtkę przeciwdeszczową, podwojny komplet odzieży i w drogę. Raz kozie śmierć...

W lutym lecimy do Ponta Delgada, stolicy Regionu Autonomicznego Azorów, z przesiadką w Lizbonie. Z Polski nie ma bezpośrednich lotów i dlatego prymat Madery jako ulubionej wyspy polskich turystów jeszcze długo nie zostanie zachwiany. Opisywałem już uroki portugalskiej wyspy i to, jak stała się szalenie popularna – w 2024 roku odwiedziło ją prawie dwa i pół miliona gości, z czego przeszło 139 tysięcy stanowili Polacy – to rekordowy wynik i wzrost o $\frac{1}{5}$ w porównaniu do 2023 roku. Po Niemcach i Francuzach jesteśmy najliczniejszą nacją na Maderze, przegoniliśmy Anglików, którzy przybywają tam od przeszło stu lat! Dla porównania – w 2024 r. Azory odwiedziło przeszło milion dwieście tysięcy turystów, w tym było 7 tysięcy Polaków, co stanowi ogromny wzrost w porównaniu do zaledwie 2 tysięcy w 2021 r. Mimo że my byliśmy przed sezonem, to parę razy słyszeliśmy język rodzimy. Parafrazując Maksa z „Seksmisji”: „Nasi już tu są!”.

Ale po co tłuc się kilka godzin na te absolutne peryferia Europy? Dlaczego warto odwiedzić tę grupę wulkanicznych wysp, która leży w jednej trzeciej odległości od Europy do Ameryki Północnej? Po pierwsze klimat jest tu łagodniejszy niż u nas. Kiedy jesteśmy już zdołowani pogodą za oknem a polskie „pół roku mroku” zaczyna nas niemiłosiernie męczyć, kiedy marzymy o skrawku błękitnego nieba, o ciepłym wietrze i zieleni, to Azory są dobrym wyborem. Warto zaryzykować. W czasie naszego ośmiodniowego pobytu padało raptem pół godziny, nie licząc przelotnych, kilkuminutowych deszczyków. Pogoda jest tu nieprzewidywalna, wszelkie zapowiedzi są zawodne – to prawdziwy koszmar meteorologów. Zapamiętam z naszego pobytu piękne lazuruwe niebo, niezwykle nasyconą zielen w niezliczonych odcieniach, największy wiatr, z jakim miałem kiedykolwiek do czynienia (z pewnością było to więcej niż 8 w skali Beauforta, bo nasz autobus sprawiał wrażenie, że za chwilę odleci) i niezliczoną ilość czarno-białych krów na pastwiskach ogrodzonych kamiennymi murkami.

3

Obowiązkowym celem wszystkich wycieczek po Lizbonie jest Pomnik Odkrywców. Znajduje się on nad brzegiem Tagu, niedaleko ikonicznego symbolu stolicy, czyli wieży Belém. To monumentalna konstrukcja z betonu, ma kształt karaweli i mierzy 52 metry wysokości. Upamiętnia portugalskich odkrywców: Henryka Żeglarza, Vasco da Gamę, Ferdynanda Magellana i wielu innych. Przed pomnikiem jest ogromna marmurowa mozaika, która przedstawia mapę i trasy podróży portugalskich podróżników. Kiedy spaceruje się po tej gigantycznej mapie, różne myśli człowieka nachodzą. Przede wszystkim warto zastanowić się nad pojęciem „odkrycia geograficznego”. Wedle słownikowej definicji „odkrycie to dotarcie do nieznanego obszaru”. Stosując się do niej można powiedzieć, że Portugalczycy odkryli Maderę i Azory – leżące 1450 km od wybrzeży Europy wyspy nieznane i niezamieszkałe. Nikt o ich istnieniu nie wiedział. Choć ponoć docierali tam w starożytności Fenicjanie a później Wikingowie.

A przecież Afryka, Indie, Chiny i Japonia istniały i utrzymywano z nimi kontakty handlowe od starożytności. Inaczej rzecz się miała z obu Amerykami odkrytymi przez Kolumba. Ale

i tu najnowsze badania potwierdzają, że Wikingowie dotarli tam prawie 500 lat wcześniej. Wykorzystano więc sprytnie formułę, że „nowo odkryte ziemie”, jeśli nie były zamieszkałe przez chrześcijan, stawały się własnością tego, kto je odkrył. To pozwalało Europejczykom nazywać się dumnie eksploratorami. Szukanie nowej drogi do Indii, motywowane przede wszystkim ekonomicznie (ogromnie wysokie ceny „korzeni”, szczególnie pieprzu, bardzo cennej przyprawy), stało się motorem ogromnych zmian cywilizacyjnych na całym świecie.

Hiszpanie i Portugalczycy „odkrywane” ziemie brali w posiadanie swych królów. Ich mieszkańcy stawali się od razu poddanyymi władców dwóch niezbyt dużych iberyjskich krajów, które w ciągu kilku stuleci opanowały pół świata i zdobyły niezmierzone bogactwa. Stosowano zasadę „ogniem i mieczem”. Zdobywano i podbijano. Wszak słowo konkwista wywodzi się od hiszpańskiego „conquista”, czyli – podbój nowo odkrytych terytoriów Ameryki, Afryki i Indii. Terror był najczęściej stosowaną metodą.

Usprawiedliwieniem dla jego stosowania było szerzenie religii chrześcijańskiej wśród ludów na „odkrytych” terenach, co w istocie sprowadzało się do poszerzania władzy monarchy oraz bogacenia się poprzez grabież i handel niewolnikami. Zubożałej szlachcie iberyjskiej dawało to szansę szybkiego awansu. Na przykład niezbyt bogaci szlachcice z Estremadury – Francisco Pizarro i Hernán Cortés – zrobili w Nowym Świecie zawrotne kariery jako konkwistadorzy. Portugalczycy także mieli swoich „conquistadores”, ale mówią o tym niechętnie. .

Co prawda strategię obu państw, które rozpoczęły niechlubną epokę kolonializmu, były odmienne. Wspomniani hiszpańscy konkwistadorzy „działali bezwzględnie i okrutnie, nie gardząc intrygą i podstępem”. Podbijali wielkie państwa Azteków i Inków. Inaczej czynili potomkowie Luzytan, pradawnego plemienia zamieszkującego tereny dzisiejszej Portugalii – opływali oni stopniowo Afrykę, Indie, Indonezję aż do Chin i Japonii, wszędzie po drodze zakładali swe faktorie, dzięki którym mogli handlować i bogacić się. Ten niewielki kraj miał aż 20% zysków z handlu światowego! Nic więc dziwnego, że portugalski epos narodowy pt. „Luzjady” (z 1572 roku) autorstwa Luísa Vaz de Camõesa opowiada



3 w 1 – plantacja herbaty, krowy i ocean



Fragment mozaiki w Lizbonie

o wyprawie Vasco da Gamy, która przyniosła odkrycie drogi morskiej do Indii. Tej, której szukał Krzysztof Kolumb dla monarchów Hiszpanii.

Zdobycie Konstantynopola przez Turków zamknęło odwieczne szlaki handlowe, którymi do Europy trafiały m.in. przyprawy kuchenne. Bardzo szybko ich ceny na rynkach europejskich wzrosły niepomierne, np. 100 kg goździków na Molukach (Wyspach Korzennych) kosztowało 2 dukaty, w Indiach warte były one już 50 dukatów, a w Londynie płacono za nie 213 dukatów. „Gdzie pieprz rośnie” – mówi stare powiedzenia, aby podkreślić, że coś jest bardzo daleko. Bardzo trafnie, bo to odległości ogromne. Ale dlaczego Europejczycy tak łaknęli przypraw? Stare książki kucharskie pełne są rad: „Pieprzno i szafranno, mościa panno”. Przypraw nie żalowano, bo oprócz soli były one jedynymi konserwantami. Poza tym pozwalały „uzdatnić” nadpsute mięso, ryby i warzywa, żeby można je było zjeść. Dziś w epoce lodówek to nie są nasze zmartwienia, ale jeszcze całkiem niedawno przechowywanie żywności było ogromnym zmartwieniem gospodyń domowych i kucharzy.

Woreczek pieprzu to była fortuna. Wedle legendy słynny Klasztor Hieronimitów w Lizbonie, jeden z symboli tego miasta, został wybudowany za worek pieprzu ofiarowany na ten cel przez króla Manuela I. Gdy się zwiedza kuchnię w opactwie cystersów w Alcobaça, przewodnik pokazuje wmurowany w ścianę sejf na przyprawy, do którego klucz miał tylko opat.

Ale poza chęcią zysku, tym, którzy wsiadali na karawele, często liche, ciasne i mało bezpieczne, przyświecała żądza przygód oraz sławy. A także ciekawość: gdzie jest koniec świata, gdzie są mitologiczne wyspy szczęśliwe i czy „el dorado” naprawdę istnieje?

Azory, Madera, Wyspy Kanaryjskie i Wyspy Zielonego Przylądka tworzą Makaronezję. Ta zbiorcza nazwa kilku archipelagów wysp mających wulkaniczne pochodzenie pochodzi z greki i oznacza Wyspy Szczęśliwe. W mitologii greckiej mieli je zamieszkiwać cnotliwi

zmarli. Lokowano je za Słupami Heraklesa (czyli Cieśniną Gibraltarską), na Atlantyku. Według niektórych gdzieś tam, het na oceanie, miała znajdować się zaginiona Atlantyda...

4

Plan wycieczki zakładał zwiedzenie dwóch wysp: São Miguel i Terceira. Żeby obejrzeć wszystkie dziewięć, trzeba by minimum dwóch tygodni. My mieliśmy tydzień i to wystarczyło, żeby bez pośpiechu kontemplować piękno tego archipelagu na krańcu Europy. Między wyspami można przemieszczać się lokalnymi liniami lotniczymi lub promami, ale wiele z nich pływa tylko latem.

Mieszkaliśmy w Ponta Delgada – spokojnym mieście; sporym, bo liczącym ponad 60 tysięcy mieszkańców, ale wcale tego nie widać, przynajmniej w jego zabytkowej części. Spokój i cisza, czystość i mokre od deszczu chodniki, które zaraz wyschną. Takie zapamiętam pierwsze wrażenia...

Spacerujemy wąskimi uliczkami wśród niewysokich kamieniczek. Podziwiamy kunsztowne białe-czarne chodniki, które zachwyciły nas na Maderze i w Portugalii. Niektóre to prawdziwe dzieła sztuki, misterne mozaiki z białego wapienia i czarnego bazaltu. Kamienne morskie fale kojarzą się z op-artem, wręcz zaburzają błędnik i oszukują nasz wzrok. Ornamenty, zawijasy, cuda pod naszymi nogami, kamienne dywany – trzeba patrzeć w dół, żeby dostrzec tę część piękna Portugalii. Nic dziwnego, że kamieniarzom w Lizbonie postawiono pomnik. Zasłużyli na tak godne upamiętnienie.

Na obu wyspach jest dużo kościołów, starych, nawet z XV wieku, zbudowano je zaraz po odkryciu wysp. Często są mocno nadżarte przez upływający czas, poczerniałe od deszczu i mokrej bryzy znad oceanu. To problem całej Portugalii – wilgoć, żarte przez nią tynki, ciemne lub zielone plamy grzyba oraz zapach stęchlizny. Kościoły w dni codzienne (a także w niedzielę) są puste, bo choć przeszło 80% mieszkańców deklaruje przynależność do kościoła katolickiego, to tylko ¼ z nich regularnie chodzi do kościoła. Dla większości życie sakramentalne kończy się na przyjęciu I Komunii Świętej. A później tylko pogrzeb musi być religijny. Ślub niekoniecznie...

Ale wszyscy uwielbiają święta religijne. Żyją przygotowaniami do hucznie obchodzonego karnawału a później Wielkiego Tygodnia, podczas którego w całym kraju odbywają się procesje. Są miłośnikami festiwali (*fetas*) i pielgrzymek (*romarias*). Na Azorach bardzo uroczysto obchodzi się Festas do Espírito Santo, czyli uroczystości ku czci Ducha Świętego; są one jedną z najbardziej rozpoznawalnych miejscowych tradycji. Uroczystości skupione są zawsze wokół „império”, czyli małej, kolorowej kapliczki. Na Terceirze jest ich ponad 70. Tu można obserwować pochody z koronami czy poczęstunki dla całej wioski. Odbywają się co roku w siódmą niedzielę po Wielkanocy, czyli w Niedzielę Zesłania Ducha Świętego. Rodziny i przyjaciele będą się przez tydzień zbierać na modlitwie – oczywiście przy suto zastawionym stole. Do tradycji należy rozdawanie chleba i zupy. W tym roku oczekuje się, że około 13 000 porcji zupy zostanie podanych podczas Grandes Festas do Espírito w Ponta Delgada w dniach 11–14 lipca. Burmistrz miasta powiedział: „Są to festiwale ludzi dla ludzi, z wielkim poczuciem dzielenia się, solidarności, honorujące wielowiekową tradycję, która została nam



Imperio – kaplica w Ribeira Grande



Ponta Delgada

przekazana przez naszych przodków”. Ten szacunek dla tradycji imponuje. Wielu turystów planuje swe wycieczki na Azory właśnie w czasie tego święta. Raczej nie talerz darmowej zupy ich przyciąga, zapewne poza kolorowymi pochodami i celebracją uczuć religijnych chcą ujrzeć także dumną miejscową społeczność manifestująca swą jedność.

Miasto nie ma znaczących zabytków – najśłynniejsza jest Portas da Cidade, zespół trzech arkadowych bram z XVIII wieku, które stanowią wejście do historycznego centrum i prowadzą na główny plac miasta. W czasie spaceru bulwarem wzdłuż Atlantyku widać, że zaczął się boom turystyczny – powstają liczne nowe hotele. Turystyka jest coraz ważniejsza, staje się znaczącym składnikiem miejscowego PKB. Gospodarka regionu opiera się obecnie na usługach i rolnictwie (z mocnym ukierunkowaniem na chów bydła mlecznego) i rybołówstwie. W restauracji bez problemu można zjeść dobry stek, pałasa czy tuńczyka. Nie ma jednak już wielorybnictwa, z którego ten region słynął. Jeszcze na klifach można zobaczyć czatownie, z których strażnicy wypatrywali przepływających ławicami płetwali i kaszalotów. Do 1984 roku dozwolone było tu wielorybnictwo. Do dziś głównym źródłem dochodu dla wielu mieszkańców archipelagu stało się organizowanie wycieczek, w trakcie których pokazuje się turystom delfiny i wieloryby zamieszkujące w dużej liczbie okoliczne wody. Azory – jedno z najlepszych miejsc na świecie do obserwacji wielorybów i delfinów. Niestety, w czasie naszego pobytu wiało zbyt mocno i rejsy się nie odbywały.

Ale wszystkim mogę polecić spacer bulwarem, można iść kilka kilometrów podziwiając wielkie fale rozbijające się o umocniony brzeg. Ten spektakl nigdy się nie nudzi. Można się też wykapać w oceanie na miejskim kąpielisku – temperatura wody jest taka jak latem w Bałtyku. Na pewno warto pójść do Jardim António Borges, rozległego parku z egzotycznymi roślinami. Miejscowy klimat pozwala na vegetację wielu roślin z całego świata – nie tylko eukaliptusów, bambusów, dracen, araukarii czy palm. Można oglądać gigantyczne egzemplarze nowozelandzkiego drzewa bożonarodzeniowego. Ale tu kwitnie ono na wiosnę – jest wprost oblepione jaskrawo czerwonymi pomponami kwiatów. I dlatego chciałbym polecić na Azory jeszcze raz – w cieplejszym miesiącu, żeby zobaczyć pola kwitnących hortensji i przyrodę w pełnym rozkwicie. Zimą część roślin zamiera, tak jak na kontynencie. Drzewa gubią liście, kwiaty czekają na wiosnę i lato. Ponoć najpiękniej jest wtedy na wyspie Flores, jej nazwa oznacza po portugalsku: Kwietna. Podobnie jak na Maderze nie przestają mnie zadziwiać krzaki strelacji rosnących tu niczym chwasty przy drodze albo szpalerami przy trawnikach. Albo połacie białych kali...

Następnego dnia wyruszamy na objazd wyspy. I wpadamy w zachwyt – to rzeczywiście zielone wyspy, pełne pastwisk, ogrodzonych kamiennymi murkami, na których pasie się mnóstwo biało-czarnych krów. Mam wrażenie, jakbym był na Żuławach. Nic dziwnego, bo to rasa holenderska sprowadzona tu wraz z osadnikami niderlandzkimi. Po odkryciu bezludnych wysp prowadzono ich kolonizację osadnikami z prowincji Alentejo i Algarve. Wyspę Faial król Portugalii Alfons V odstąpił w dożywotnie władanie księżnej Izabeli Burgundzkiej (z pochodzenia portugalskiej infantce); została ona latami zasiedlona przez Flamandów i Francuzów z północy. Wraz z nimi przybyły krowy. Dziś stały się one symbolem wysp. Są wszędzie – na pamiątkach, ręcznikach, magnesach... Tak, to kraina szczęśliwych krów, które nie znają obory i wiecznie mogą przeżuwać najbardziej zieloną trawę na świecie. Z ich mleka powstaje znakomity nabiał a sery z napisem „Produto dos Açores” są wyśmienite i niczym nie ustępują najlepszym produktom szwajcarskim i holenderskim.

Cechą krajobrazu tych wulkanicznych wysp są jeziora kalderowe, czyli utworzone w wygasłych kraterach. Akurat nad Lagoa do Fogo złapała nas krótkka, za to intensywna ulewa. Jezioro jest najwyżej położone, leży na wysokości 575 metrów. Nawet w deszczu Jezioro Ognia (to polska nazwa) robi wrażenie. Chciałoby się mieć więcej czasu i obejść go po szlakach widocznych z „miradouro”. Trekking po wyspach musi być wspaniałym przeżyciem. Jeszcze kilka razy widziałem dobrze oznaczone szlaki. Często zaczynają się one z owych „miradouro”, czyli punktach widokowych. Są one zawsze dobrze oznaczone a widoki z nich zapierają dech – spektakularne klify, niezwykle ukształtowane skały wybrzeża, jeziora w nieczynnych kraterach, panoramy miast...

Atrakcją wulkanicznych wysp są także zjawiska geotermalne – w wielu miejscach woda bulgocze i paruje. Spod ziemi wydobywają się ekshalacje, czyli wyziewy wulkaniczne. Przez fumarole wydostają się gazy, m.in. chlorowódz, dwutlenek siarki i para wodna. Caldeira Velha to rezerwat przyrody z naturalnymi basenami i wodospadem, woda ma kilka rodzajów temperatury, jest bogata w żelazo, idealna do kąpiel. Chętnych nie brakuje, nawet zimą. Baseny są niewielkie, otoczone lasem jak z „Parku Jurajskiego” – ogromne paprocie, palmy, skrzypy wielkości dużego mężczyzny...

Jedziemy do Furnas, które znajduje się w miejscu dawnego wulkanu. Ziemia drży, czuć charakterystyczny zapach zgniłych jaj i siarki. Obłoki pary i smrodliwych gazów unoszą się w środku miasteczka. Niektórzy mają skojarzenia z piekłem... Ale miejscowi sprytnie wykorzystują gorącą ziemię i w specjalnych kamiennych komorach umieszczają szczelnie zamknięte gary z jedzeniem. W ciągu 6–7 godzin w naturalny sposób gotuje (?) się lokalny przysmak – cozido das Furnas, czyli portugalskie danie narodowe: gulasz z kociołka.



Baseny termalne w Caldeira Velha



Bulwar nad brzegiem oceanu



Nowozelandzkie drzewo bożonarodzeniowe

Mieszanka różnych mięs (wołowina, wieprzowina, drób), kiełbasy, warzyw i ziemniaków. Oglądaliśmy jak pan „kociolkowy” zasypuje ziemią otwór z garem, wstawia tabliczkę z nazwą restauracji a potem wyjmuje gotowe danie. Pojechaliliśmy do lokalnej gospody, aby go spróbować. Ogromne porcje mięsa i warzyw. A smak? Nie o smak tu chodzi – atrakcją jest sposób przyrządzenia...

Azory ofiarują turyście sporo kulinarnych atrakcji – oprócz wspomnianych do najważniejszych należy hodowla ananasów, małych ale bardzo słodkich i kilka razy droższych od tych z Ameryki Południowej. Są także uprawy bananów, równie smacznych jak te z Madery i jedyna w Europie plantacja herbaty Chá Gorreana – tradycyjna firma rodzinna z ponad 135-letnią historią. Można zwiedzić małą manufakturę, gdzie liście kamelii chińskiej („*Camellia sinensis*”) są odpowiednio przygotowywane, aby po posegregowaniu i zapakowaniu wyruszyć w świat. Ma ono swoich wielbicieli ze względu na delikatny smak herbaty zielonej i czarnej. Kiedyś produkcja była naprawdę duża ale dziś to raczej ciekawostka i lokalna atrakcja. Podobnie jak winnice na wyspach Pico i Terceira. Uprawia się winorośl na malutkich poletkach, ogrodzonych murkami, które chronią przed wiatrem i zatrzymują ciepło. Odwiedziliśmy winnicę Casa Agrícola Brum w Biscoitos. Brum to nazwisko rodziny, która zajmuje się produkcją wina od prawie 130 lat. Mieliśmy okazję uczestniczyć w degustacji wina. Wytrawne okazało się winem likierowym w typie porto lub madery. Podobnie słodkie o nazwie „Chico Maria”. Ale to drugie już po jednym łyku pokazało, że jest winem wybitnym. W handlu jego butelka jest sprzedawana po 45 euro, na szczęście w wytwórni było taniej.

Terceira jest trochę inna niż jej większa sąsiadka. Jej stolica Angra do Heroísmo zachwyca architekturą, piękne stare domy, kościoły i twierdza na wzgórzu. Miasto zostało wpisane na Listę światowego dziedzictwa UNESCO. Zasłużenie. Niestety poważne trzęsienie ziemi w 1980 roku mocno je zniszczyło. Na szczęście od lat jest rekonstruowane. Miasto słynie także z walk byków. Ma własną arenę Praça de Toiros a przed nią aż dwa pomniki byków i corridy. W mieście odbywają się także coroczne Touradas à corda. Polega to na tym, że byk jest uwiązany na długiej linie i biega po ulicach a śmiałkowie próbują go rozjuszyć. Ci (najczęściej) młodzi faceci spragnieni adrenaliny mimo uwięzi, która poskramia byka, dużo ryzykują. Oglądałem filmy, na których byki mocno ich turbują, noszą na rogach. Dla niektórych pewnie owe „bliskie spotkania trzeciego stopnia” skończyły się źle. Ale sami się o to prosili...

Jeszcze do niedawna na wyspie stacjonowało kilka tysięcy amerykańskich żołnierzy, teraz baza jest likwidowana, zostało ich raptem kilkuset. Amerykanie byli tu od czasu II wojny światowej. Nawet lotnisko, na którym się ląduje jest wojskowe, kołując nasz samolot przejeżdżał koło myśliwców RAF-u. One też tu stacjonują. To ważny punkt strategiczny. Już przed wojną Azory były wykorzystywane jako lotnisko tranzytowe przez lecące nad Atlantykiem samoloty i sterowce. Startujemy z Terceiry do Lizbony. Z powodu silnego wiatru lot jest opóźniony i na spacer po stolicy Portugalii pozostaje niewiele czasu. A o koncercie fado, na który się wybieraliśmy, trzeba zapamiętać. A może odłożyć go na jakiś czas. Coś jest w Portugalii, w Maderze i Azorach takiego, że chce się tu wrócić. Choć to niewielki kraj i nieduże wyspy, to jest tam tyle ciekawych miejsc. Jeszcze tyle zostało do zobaczenia.

Wacław Bielecki



ZAPISKI MELOMANA

PAWEŁ ZAGAŃCZYK – WIRTUOZ AKORDEONU

piątek, 6 grudnia 2024 r.



Na akordeonie gra P. Zagańczyk, dyryguje Sz. Morus, fot. W. Bielecki

Podczas opadów drobnego deszczu i towarzyszącym im dużych samochodowych korków, dojechałem do Opery Leśnej w Sopocie na koncert Polskiej Filharmonii Kameralnej. Jako solista wystąpił tam Paweł Zagańczyk, gdański akordeonista, znany mi od czasów, kiedy był nauczycielem w Szkole Muzycznej w Malborku. Obecnie ma tytuł doktora habilitowanego nauk muzycznych i jest kierownikiem Katedry Organów, Klawesynu, Akordeonu, Gitary, Harfy i Instrumentów Historycznych w Akademii Muzycznej w Gdańsku. Głównym punktem programu tego mikołajkowego wieczora było *Concerto Classico na akordeon i orkiestrę smyczkową* łódzkiego kompozytora Bronisława Kazimierza Przybylskiego (1941–2011). Jest to utwór powstały w 1986 roku, ale, jak sama nazwa wskazuje, ujęty w klasyczne i tonalne ramy. Moim zdaniem, jego tytuł jest niepełny, bo do składu wykonawców należałoby dopisać instrumenty perkusyjne, które w niebagatelny sposób ubogacają

koloryt dźwiękowy kompozycji: szczególnie ostro brzmiący ksylofon, przebijający swym brzmieniem orkiestrowe tutti oraz czynele i werbel.

Trwające około 22 minut *Concerto* składa się z trzech części, kontrastujących ze sobą tempem: szybka, wolna, szybka. Pierwsza część zaczyna się od solowego wejścia akordeonu, po czym smyczki grają temat, który skojarzył mi się z neoklasycznymi utworami Sergiusza Prokofiewa. Mniej więcej w połowie tej części, w tzw. kadencji solowej, akordeonista miał możliwość popisania się swoimi niezwykłymi umiejętnościami wirtuozowskimi. Druga część została napisana w powolnym tempie i trójdzielnym rytmie. Po ładnym temacie zagranym przez smyczki, solista podejmuje smutną melodię, która przypominała mi... kują-wiaka. Najbardziej nietypowa dla formy koncertu jest trzecia część, jest to bowiem temat z kilkoma wariacjami. Są one bardzo krótkie i niezwykle zróżnicowane. Cały utwór kończy się efektowną, burzliwą kodą.

Jedynym utworem granym na akordeonie solo, bez towarzyszenia orkiestry, była kompozycja solisty wieczoru, akordeonisty Pawła Zagańczyka pt. *Ptaki nad Kijowem*. O okolicznościach jej powstania opowiedziała słuchaczom prowadząca koncert pani Justyna Mroczek-Gil, która do Sopotu przyjechała aż z Kielc, gdzie pracuje w impresariacie tamtejszej Filharmonii Świętokrzyskiej. Z jej ust dowiedzieliśmy się, że utwór miał swoje prawykonanie w 2022 r. podczas Krakowskiego Festiwalu Akordeonowego. Miniatura została dostrzeżona i uchroniona międzynarodową nagrodą „Muzyczne Orły”. O swoim utworze tak mówił jej kompozytor: *Stanowi swoisty dokument czasu, będący próbą rejestracji przełomowego momentu historii najnowszej, zdefiniowania za pomocą obrazów muzycznych tego, co odczuwa artysta pogrążony w chaosie splątanego świata.*

Już od samego twórcy dowiedziałem się, że utwór został zamówiony przez Europejskie Centrum Solidarności w Gdańsku w okresie po zajęciu Krymu przez Rosjan, a ukończony kilka lat później. A jaka to jest kompozycja? Zaczyna się smętnie i brzmi jak ukraińska dumka unosząca się nad szerokim stepem. W pewnym momencie melodia jest zagłuszana przez dysonujący bas, staje się niespokojna, to ucicha, to przybiera na sile, to zwalnia, to przyśpiesza. Jednak cały czas odczuć można jakiś potęgujący się niepokój. *Ptaki nad Kijowem* nie kończą się muzycznym akordem, tylko gwałtownym i głośnym uderzeniem akordeonisty w korpus instrumentu, niczym wystrzał.

Oprócz wspomnianych utworów wysłuchaliśmy czterech tang w aranżacji na akordeon z towarzyszeniem orkiestry Polskiej Filharmonii Kameralnej, prowadzonej przez niezawodnego Szymona Morusa. Pierwsze trzy zostały stworzone przez argentyńskiego kompozytora Astora Piazzollę (1921–1992). Były to tzw. tanga nuevo, czyli przeznaczone do słuchania, a nie do tańczenia: *LEvosin*, *Oblivion*, *Escualo*. Wieczór zakończyło *El Tango de Roxanna* skompilowane z dwóch innych tang skomponowanych przez Mariano Moresa i Stinga. Oczywiście, na koniec usłyszeliśmy bis, a wszystkie utwory były gromko oklaskiwane przez publiczność wypełniającą do ostatniego miejsca niewielką salę sopockich kameralistów. Był to przedświąteczny koncert z ładną i lekką muzyką, i z wirtuozem akordeonu w roli głównej.

OPERA W FILHARMONII, CZYLI KONCERT NOWOROCZNY NA OŁOWIANCE

środa, 1 stycznia 2025 r.



Soliści (od lewej): A. Dobber, A. Kubas-Kruk, T. Kuk, M. Walewska, z tyłu za nimi klaszczący dyrygent G. Tchitchinadze, fot. W. Bielecki

W pierwsze noworoczne popołudnie udałem się do Gdańska do Państwowej Filharmonii Bałtyckiej na Ołowiance, aby wysłuchać koncertu z udziałem czwórki znakomitych solistów. To właśnie ich nazwiska, a szczególnie mezzosopranistki Małgorzaty Walewskiej oraz barytona Andrzeja Dobbera skłoniły mnie do wyjazdu. Przyznam bowiem, że nie bardzo gustuję w tego rodzaju spotkaniach muzycznych ze sztamowym programem, jaki można usłyszeć w sylwestra i Nowy Rok prawie we wszystkich operach i filharmoniach, nie tylko w Polsce. No, ale gdzie ma rozpocząć Nowy Rok meloman, jak nie w filharmonii lub operze? Program noworocznego koncertu na Ołowiance był powtórzeniem dwóch wczorajszych koncertów Sylwestrowych i w sumie okazał się bardzo przyjemny.

Program ten można krótko streścić słowami: opera w filharmonii. Złożyły się nań trzy uwertury do oper oraz kilkanaście arii i dwa kwartety. Nie będę wymieniał wszystkich, tylko skupię się na kilku wybranych. Szczególnie pięknie zabrzmiała aria Rokiczany *Jak będę królową* z nieukończonyj opery *Rokiczana* Stanisława Moniuszki zaśpiewana przez Małgorzatę Walewską. Andrzej Dobber zachwycił publiczność *Kupletami toreadora* z opery *Carmen* Georges'a Bizeta, a jedyny nieznamy mi wśród solistów śpiewak – tenor Tomasz Kuk – przepięknie wykonał arię Calafa *Nessun dorma* z opery *Turandot* Giacomo Pucciniego. Największym zaskoczeniem na plus był dla mnie występ sopranistki Aleksandry Kubas-Kruk, która już od samego początku urzekła wszystkich brawurowo wykonaną arią Noriny z opery *Don Pasquale* Gaetano Donizettiego. To ona swoim wysokim, koloraturowym głosem była w stanie przebić się, tzn. być słyszana, ponad orkiestrową masą dźwiękową, na ogół bowiem orkiestra pod dyktando swojego szefa George Tchitchinadze, chcąc nie chcąc, nieco zagłuszała solistów.

Trzeba bowiem zauważyć, że warunki akustyczne dla występów wokalistów na Ołowiance są bardzo trudne. Jak wiadomo, śpiewacy operowi występują na scenie bez mikrofonów i wzmacniaczy, ale na Ołowiance nie ma klasycznej sceny operowej z kanałem dla orkiestry pod estradą. Na dodatek zastosowano zabieg reżyserski polegający na tym, że śpiewacy przemieszczali się po estradzie, co skutkowało tym, że jak byli blisko widza, to słyszani byli dobrze, a jak dalej, to bardzo słabo. Te przestrzenne uwarunkowania szczególnie niedobrze sprawdziły się podczas wykonania przesławnego *Kwartetu* z opery *Rigoletto* Giuseppe Verdiego. Śpiewacy byli tak daleko od siebie, że niezmiernie trudno było ogarnąć uchem ich partie i całość tego utworu stała się przez to nieczytelna.

Koncert zakończył się, jakże by inaczej, powszechnie znanym toastem *Libiamo* z opery *Traviata* Giuseppe Verdiego i bisem: *Marszem Radetzky'ego* skomponowanym przez Johana Straussa (ojca). Całość profesjonalnie zapowiadał konferansjer Krzysztof Dąbrowski.

Jak już pisałem, był to w istocie wieczór z muzyką operową zaśpiewaną i zagraną na sali w filharmonii. Nasuwa się więc pytanie, czy nie lepiej byłoby, gdyby w filharmonii zagrano utwory kojarzone z tą instytucją, czyli instrumentalne? Jest przecież w Gdańsku Opera Bałtycka i po co wchodzić w jej repertuar. W takiej wątpliwości utrzymało mnie następujące wydarzenie. Otóż po przyjeździe z Gdańska zajrzałem do Internetu i przez przypadek znalazłem nagranie noworocznego koncertu z Filharmonii Czeskiej w Pradze. Tam na rozpoczęcie roku wybrano tylko utwory instrumentalne i to wyłącznie kompozytorów francuskich: Ravela, Saint-Saëns'a, Fauré'a, Masseneta, Ysaÿe'a, Poulenca. Do wykonania koncertu dyrygent Tomáš Netopil zaangażował tylko dwóch solistów – skrzypka i wiolonczelistę – i ułożył bardzo atrakcyjny program oklaskiwany burzliwie przez publiczność. Wydaje mi się, że w tym kierunku mogliby pójść programiści z Ołowianki w przyszłych latach. Jestem przekonany, że melomanów na tak zaplanowany koncert Sylwestrowy czy Noworoczny z muzyką instrumentalną nie zabraknie.

TAŃCE SYMFONICZNE W OLSZTYNIE

piątek, 24 stycznia 2025 r.

Do wyjazdu na koncert do Filharmonii Warmińsko-Mazurskiej w Olsztynie skusił mnie program koncertu zatytułowany „Tańce symfoniczne” z nieznanymi mi zupełnie utworami oraz dyrygentem. Na godzinę przed koncertem poszedłem do sali kameralnej filharmonii aby posłuchać tzw. wprowadzenia. Przez pół godziny z dużą uwagą chłonałem opowieści o trzech utworach znajdujących się w programie. Bardzo rzeczowo i ładnie opowiadał o nich Witold Paprocki, który później zapowiadał utwory na dużej sali.

Koncert zaczął się od *Tańców symfonicznych* napisanych w 1937 roku przez niemieckiego kompozytora Paula Hindemitha, początkowo uznawanego za awangardzistę, a następnie związanego z nurtem neobarokowym w muzyce. Moim zdaniem, utwór ten wybrano dość niefortunnie, bo oprócz tytułu, to czteroczęściowe dzieło, niewiele wspólnego ma z tańcami, no może z wyjątkiem części drugiej. A tak naprawdę usłyszeliśmy dość długą, półgodzinną symfonię z poważną i często bardzo głośną muzyką, w której dominowały grzmiące instrumenty dęte blaszane oraz kotły i bębny. Zastanawiałem się, do jakich tańców stworzono



Klarncista Dominik Jastrzębski i dyrygent Joolz Gale, fot. W. Bielecki

tę muzykę, bo podobno była ona pisana do jakiegoś baletu, który nigdy nie został wystawiony? Odpowiedzi na to pytanie nie udało mi się znaleźć.

Kolejnym utworem, na który oczekiwałem najbardziej, był *Koncert na klarnet z towarzyszeniem orkiestry smyczkowej, harfy i fortepianu* amerykańskiego kompozytora Aarona Coplanda z 1949 r. Został on napisany na zamówie-

nie jazzowego klarncisty, Benny'ego Goodmana za honorarium wynoszące dwa tysiące dolarów. Jak wiadomo ten wybitny klarncista jest nazwany w historii muzyki jazzowej „królem swingu”, czyli stylu z lat 30–40 ubiegłego wieku. Jako ciekawostkę można przypomnieć, że ojciec klarncisty, zanim przeprowadził się do Chicago, był krawcem w Warszawie. Myślę, że wielu melomanów pamięta największy przebój Goodmana: *Sing, sing, sing*. Wiemy też, że muzyka swingowa była muzyką do tańca, grana zwykle przez kilkunastoosobowe zespoły zwane big-bandami. Do najsławniejszych z nich, obok big-bandu Benny'ego Goodmana, należały zespoły Duke'a Ellingtona i Glenna Millera.

W zaprezentowanym na scenie olsztyńskiej filharmonii koncercie nie było big-bandu. Zgodnie z założeniem i tytułem zastąpiła go orkiestra złożona tylko z instrumentów smyczkowych, harfy i fortepianu. Utwór zbudowany jest z dwóch części: pierwszej wolnej i lirycznej oraz drugiej szybkiej i wesołej, które połączone zostały solową kadencją solisty na tyle długą, że można ją uznać za trzecią część. Jako solista wystąpił pierwszy klarncista Filharmonii Warmińsko-Mazurskiej – Dominik Jastrzębski, urodzony w Szczytnie, doktor sztuk muzycznych, po studiach m. in. w Akademii Muzycznej w Gdańsku.

Przyznam, że z lekkim rozczarowaniem wysłuchałem tego koncertu. Dlaczego? Bo, jak dla mnie, za mało było w nim jazzu i swingu. Szczególnie widoczne było to w kadencji solowej. Zaczęła się ona ciekawie, szczególnie wtedy, kiedy doszło do tego, że muzycy orkiestry pstrykaniem palców „nabijali” soliście rytm. Niestety, nie sprostała jazzowym wymaganiom młoda pianistka, która nie wyczuła tanecznego rytmu i nieustannie opóźniała tempo. Pomyślałem sobie, że pewnie nie grała ona nigdy na dancingach do tańca, a przecież w początkowym okresie jazz był muzyką taneczną i nie grywano go na salach koncertowych, tylko w lokalach. Występ olsztyńskiego klarncisty został przyjęty gromkimi brawami przez publiczność, ale bisu nie było. Tak czy owak, do grupy znanych mi koncertów klarncetowych Mozarta, Webera i Kurpińskiego, doszedł kolejny – Coplanda.

Ostatnim utworem wykonanym podczas styczniowego wieczoru, także mi dotychczas nieznanym, były *Tańce symfoniczne* Edwarda Griega, norweskiego kompozytora zwanego

„Chopinem północy”, napisane w 1896 roku. W tym czteroczęściowym utworze Grieg wykorzystał melodie norweskie, m. in. taniec ludowy *balling*, melodie weselne czy walca. Wszystko to jest świetnie zinstrumentowane i barwne muzycznie. Jednak skandynawskie tańce z północy Europy nie są tak żywiołowe i melodyjne, jak bardzo znane *Tańce węgierskie* Johannes Brahmsa, czy *Tańskie słowiańskie* Antoniego Dwořaka. Słuchało mi się jednak tego utworu z dużą przyjemnością. Zauważyłem też, że orkiestra i dyrygent chyba najlepiej odnaleźli się w tym neoromantycznym dziele.

Jeśli idzie o olsztyńską orkiestrę, to jest to zespół z wyraźnie dominującą grupą młodych muzyków, „siwych głów” jest tam niewiele. Bardzo młody był też angielski dyrygent Joolz Gale. Jak można wyczytać z artystycznego CV, jego pasją jest, m.in. odkrywanie nietypowych utworów symfonicznych z XX wieku. Zobaczyliśmy go na podium w tradycyjnym, czarnym fraku. W moim odczuciu jego gesty nie zawsze były zdecydowane i jednoznaczne dla orkiestry a także do publiczności. Przyznam się z pewnym zażenowaniem, że pierwszy raz w życiu (!) zacząłem klaskać przed zakończeniem trzeciej części utworu Hindemitha, bo zmyliły mnie gesty dyrygenta.

Piękna sala koncertowa Filharmonii Warmińsko-Mazurskiej w Olsztynie na pięćset miejsc siedzących odznacza się bardzo dobrą akustyką. W czasie relacjonowanego koncertu dół sali na parterze był prawie całkowicie wypełniony przez publiczność, jednak balkon świecił pustkami, było tam zaledwie kilkunastu melomanów. Może to sprawa zbyt ambitnego i nieznanego repertuaru? Myślę, że gdyby zamiast *Tańców Symfonicznych* Hindemitha, pojawiły się w programie wspomniane wyżej tańce Brahmsa lub Dwořaka, to publiczności byłoby znacznie więcej.

CONCIERTO DE ARANJUEZ W FILHARMONII BYDGOSKIEJ

piątek, 21 lutego 2025 r.

Do wyjazdu na ten koncert w Filharmonii Pomorskiej w Bydgoszczy zachęciło mnie dzieło hiszpańskiego kompozytora Joaquina Rodriga: *Concierto de Aranjuez*. Właściwie, to wyjazd sprowokował nie sam utwór, który kilka razy słyszałem, tylko zapowiedziane, inne jego wykonanie, nie na gitarze klasycznej, tylko na harfie. W tej wersji nigdy nie słyszałem go na żywo.

Concierto de Aranjuez to jeden z hitów muzyki klasycznej XX wieku. Został skomponowany na początku 1939 roku w Paryżu dla gitarzysty Regino Sáinz de la Maza i wykonany rok później w Barcelonie. Jest to pierwszy koncert na gitarę i orkiestrę w historii muzyki hiszpańskiej XX wieku. Szczególną popularność wśród wykonawców i publiczności zyskała druga jego część, powolne *Adagio* z melodią inicjowaną przez różek angielski. Swoją nazwę zawdzięcza utwór osobistym przeżyciom kompozytora, który w położonym niedaleko Madrytu mieście Aranjuez spędził miesiąc miodowy. Szczególną atrakcją tej miejscowości, letniej siedziby władców Hiszpanii, jest pałac królewski oraz otaczające go wspaniałe ogrody położone nad rzeką Tag.

Kompozytor chciał z pomocą muzyki przedstawić ogrody pałacu królewskiego. Sam opisuje koncert jako próbę uchwycenie „zapachu magnolii, śpiewu ptaków i szumu fontann



Na harfie gra Joel von Lerber ze Szwajcarii,
fot. ze strony Filharmonii Pomorskiej

w ogrodach Aranjuez”. Do tego doszedł jeszcze inny, mniej przyjemny moment z życia kompozytora, nie zawsze przypomniany melomanom. Po spędzeniu miesiąca miodowego w Aranjuez on i jego żona, turecka pianistka Wiktoria Kamhi, pojechali do Niemiec. Oczekiwali tam narodzin swojego pierwszego dziecka, niestety, synek urodził się martwy, a Wiktoria była bliska śmierci. I właśnie do tego zdarzenia nawiązuje kompozytor w drugiej, przesławnej części koncertu. Jak sam wyznawał: pytał wtedy Boga o poronienie swojej żony i prosił, aby pozwolił jej żyć. Swoje próśby

i uczucia wyraził muzycznie za pomocą dźwięków gitary znajdujących się na początku drugiej części koncertu, które symbolizują bijące serce. Ten moment cechuje smutek, gniew i beznaście. Na koniec, w kulminacyjnym momencie partii gitary i orkiestry, kompozytor „słyszy Boga” i w końcu akceptuje owo bolesne wydarzenie, osiągając spokój wewnętrzny.

Od strony formalnej koncert składa się trzech klasycznych części: *Allegro con spirito*, *Adagio* i *Allegro gentile* i trwa około 20 minut. Aranżację na harfę stworzył kompozytor dopiero po 35 latach w 1974 r. W Bydgoszczy wykonał tę wersję szwajcarski wirtuoz harfy Joel von Lerber. Ten młody artysta koncertował w licznych w krajach europejskich, i nie tylko. Jako ciekawostkę można podać, że w ubiegłym sezonie był artystą-rezydentem naszej Filharmonii Zielonogórskiej, a od września 2024 roku jest wykładowcą w Szkole Muzycznej w Shenzhen wchodzącej w skład Chińskiego Uniwersytetu w Hongkongu.

Bydgoskie wykonanie *Concierto de Aranjuez* przebiegło w nieco żywszym tempie niż słuchane przez mnie wcześniej i trwało około 3 minuty krócej. Joel von Lerber zagrał utwór z dużą pewnością i pokazał niezwykłą biegłość w opanowaniu harfy. Taką grą potwierdził swój kunszt wirtuozowski. Orkiestra, którą prowadził również młody dyrygent Paweł Kapuła świetnie muzykowała z solistą. Pięknie wypadło solo różka angielskiego, no może solówki fagotu i fletu były nieco za ostre w barwie, ale całość wypadła niezwykle pięknie. Rozentuzjowana publiczność bydgoska wyklaskała bis. Harfista zagrał nieznan mi, niezwykle efektowny utwór, jakby ze znaną mi melodią, której tytułu nie mogłem sobie przypomnieć. Była to taka typowa, grana na bis miniatura, przetykana często brzmiącymi, olśniewającymi arpeggiami harfy i uroczymi flażoletami. Już po przyjeździe do domu znalazłem nagranie tego harfowego cacka na stronie internetowej artysty. Okazało się, że była to króciutka fantazja *Colorado trail* (*Szlak Kolorado*) skomponowana przez francusko-amerykańskiego harfistę Marcela Grandjany.

Dodać trzeba, że Joaquin Rodrigo, ociemniały w czwartym roku życia po przebyciu błonicy, dożył sędziwego wieku. Zmarł mając 98 lat i został pochowany na cmentarzu

w Aranjuez. Kilka lat wcześniej król Juan Carlos nadał kompozytorowi szlachecki tytuł markiza. W centralnym miejscu tarczy herbowej „I Markiza Ogrodów Aranjuez” znajduje się... gitara.

Muszę też uzupełnić tę relację o informacje, że *Concierto de Aranjuez* poprzedziła rzadko grywana, radosna uwertura *Ruy Blas* Felixa Mendelssohna-Bartholdy'ego napisana do przedstawienia sztuki Victora Hugo. Natomiast w drugiej części wieczoru, już po przerwie, usłyszeliśmy bydgoskie prawykonanie *Symfonii Nr „O”* Antona Brucknera. Kompozytor był z niej niezadowolony i oświadczył, że symfonia ta „nie liczy się” i wycofał ją ze spisu skomponowanych przez siebie utworów. Partytury jednak nie zniszczył i dlatego jest ona od czasu do czasu wykonywana. Czy słusznie? – zapytał melomanów zapowiadający koncert Cezary Nelkowski. Moim zdaniem, żałować trzeba, że Bruckner nie dokonał korekty tego potężnego, czteroczęściowego dzieła trwającego ponad 50 minut. Są w nim bowiem ciekawe momenty, np. atrakcyjny początek, ładne melodie zainicjowane przez rogi w części wolnej i znakomite *Scherzo*, ale nie wiadomo dlaczego z wielokrotnie powtarzanym fragmentem. Publiczność z uwagą wysłuchała utworu i nagrodziła orkiestrę i dyrygenta hucznymi oklaskami.

KLASYCZNY BALET *COPPELIA* W OPERZE BAŁTYCKIEJ

niedziela, 9 marca 2025 r.



Scena końcowa *Coppélii*, fot. z FB Opery Bałtyckiej

Relacje z przedstawień baletowych pojawiają się w niniejszych „Zapiskach melomana” bardzo rzadko. Ostatnia pochodzi sprzed dwóch lat z „Bajadery” Ludwiga Minkusa, którą oglądałem w Operze Narodowej w Warszawie. Natomiast marcową niedzielę bieżącego roku spędziłem w Operze Bałtyckiej na oglądaniu przedstawienia baletowego *Coppélia* Léo Delibes. Kilka lat wcześniej byłem na paru przedstawieniach Bałtyckiego Teatru Tańca działającego w Operze Bałtyckiej w Gdańsku. Przez sześć lat (2010–2016) kierowała nim

Izadora Weiss. Był to zupełnie inny, współczesny balet, wzorowany na choreografiach Jiříego Kyliána, mistrza i nauczyciela Izadory. Najbardziej w mojej pamięci zachowało się świetne przedstawienie *Romea i Julii* z muzyką Sergiusza Prokofiewa. Po odejściu z Gdańska męża Izadory, Marka Weissa, znakomitego reżysera operowego, który przez dwie kadencje kierował Operą Bałtycką, powrócono tutaj do baletu klasycznego. Ten balet kojarzy mi się z nieco staroświecką sztuką XIX wieku, ale ma ogromne rzesze swoich wielbicieli.

Choreografię do gdańskiego przedstawienia baletu *Coppélia, czyli dziewczyna o szklanych oczach* stworzył Johan Kobborg, Duńczyk. To onegdaj główny tancerz w Royal Danish Ballet i Royal Ballet w Londynie, a także wzięty choreograf. Jego największym sukcesem w tej ostatniej dziedzinie była zapewne reżyseria *Romea i Julii* wystawionej na słynnej Arenie w Weronie w 2019 r. W rozmowie, której zapis można przeczytać w programie do przedstawienia, Johan Kobborg wyjawia swoje credo: *Nie sadzę, abyśmy musieli zrezygnować z klasyki, nazywając ją nudną czy staroświecką [...] Mam natomiast poczucie konieczności dostosowania spektaklu do współczesnego widza, mocno jednocześnie wierząc w siłę baletu klasycznego. [...] Chcę dalej robić co w mojej mocy, aby tradycyjny balet klasyczny przetrwał.*

Hanna Wójcikowska-Szymczak, scenarzystka i projektantka kostiumów, zdradziła, że do *Coppelii* zaprojektowała około 100 kostiumów wykorzystując do tego ponad 400 metrów tkanin. Rzeczywiście, tancerze na scenie są ubrani w wielobarwne i różnorodne stroje, ale z jakiej epoki i miejsca? – [...] *Trudno dokładnie określić miejsce opowieści* – opowiada scenarzystka – *to może być miasteczko na Słowacji, Morawach, Węgrzech, w Transylwanii czy nawet pod Tarnopolem, po prostu gdzieś w Cesarstwie Austro-Węgierskim.* Oboje realizatorzy zdecydowali także o tym, aby: – *Przyjrzeć się bliżej postaci Coppeliusa. Tradycyjnie był on pokazywany jako staruszek-dziwak, któremu udało się skonstruować lalkę-automat [...] Choreograf wspinał się ominąć tę pułapkę pewnej banalności i zdecydował się przesunąć akcent z młodej pary i ich uczuciowych perypetii na Coppeliusa i wątek miłości rodzicielskiej i bolesnej straty.*

Gdańska prapremiera *Coppelii* odbyła się prawie rok temu, a w relacjonowanym tutaj przedstawieniu brali udział prawie wszyscy ówcześni tancerze z wyjątkiem głównej postaci Swanildy, którą zatańczyła z wielką lekkością i wdziękiem Rei Yamamoto. Jej scenicznym partnerem był Jacopo Severini, a w postać Coppeliusa wcielił się Daniel Morrison. Wszyscy ci obcokrajowcy są koryfejami w zespole baletowym Opery Bałtyckiej i pięknie tańczyli swoje partie w układach solowych oraz w duetach, czyli pas de deux.

W *Coppelii* jest wiele scen zbiorowych tańczonych przez duże grupy tancerzy z tzw. corps de ballet. Kompozytor prezentuje wiele różnych tańców. Oglądamy więc: przepięknego walca, węgierskiego czardasza, taniec cygański, hiszpańskie bolero, ale najbardziej efektowny jest mazur zaprezentowany na początku I aktu. Dziwić trochę może, że Delibes umieścił ten polski taniec narodowy, ale z jego życiorysu wiadomo (o czym wspomina znawczyni sztuki baletowej Katarzyna Gardzina), że kilka razy był w Polsce i zachwycił się naszą muzyką, a szczególnie twórczością Stanisława Moniuszki. Tak, mazur zatańczony został rewelacyjnie, chociaż i muzyka, i stroje nie były takie jak w operach Moniuszki.

Wielkim atutem przedstawienia Léo Delibesa jest muzyka. Myślę, że gdyby nie te piękne melodie, łatwo wpadające w ucho i przemyślnie zinstrumentowane, to balet nie wytrzymałby próby czasu. Za stronę muzyczną przedstawienia odpowiadali z kanału orkiestrowego gdańscy instrumentalści. Zagrali znakomicie, i na ogół bez błędów intonacyjnych, wyjąwszy kiks trąbki pod koniec I aktu. Dyrygował nimi ukraiński maestro Alexei Baklan,

ten sam którego podziwiałem w *Bajaderze* przed dwoma laty w Operze Narodowej. Trochę zaskoczony byłem jego pojawieniem się, bo na stronie internetowej Opery Bałtyckiej zapowiadany jest ciągle inny dyrygent, Argentyńczyk Luis Gorelik, który prowadził przedstawienie premierowe.

W sumie gdańskie przedstawienie *Coppélii* sprawiło mi wiele przyjemności od strony wizualnej i muzycznej, mimo że nie przekonał mnie choreograf, przesuwając akcent na postać Coppeliusa i dodając smutne zakończenie. *Coppélia*, jak piszą wszystkie przewodniki, jest baletem komicznym a więc radosnym i – moim zdaniem – takim powinna zostać, tym bardziej, że w warstwie muzycznej nie ma momentów dramatycznych.

JUBILEUSZ KLASY ORGANÓW AKADEMII MUZYCZNEJ W GDAŃSKU

wtorek, 11 marca 2025 r.



*Drugi od lewej – prof. R. Perucki, trzeci od lewej – dr M. Zakrzewski,
piąta od lewej – dr hab. Hanna Dys, fot. W. Bielecki*

W sali koncertowej Polskiej Filharmonii Bałtyckiej odbyły się koncert z okazji jubileuszu klasy organów tutejszej Akademii Muzycznej im. Stanisława Moniuszki. Wykonawcami byli absolwenci tej klasy, a świętowano: 100. rocznicę urodzin organisty prof. Leona Batora (1925–2002) oraz rocznice pracy dydaktycznej nauczycieli: 40-lecie prof. Romana Peruckiego, 20-lecie dr hab. Hanny Dys i 13-lecie dra Macieja Zakrzewskiego.

Koncert poprzedziła część oficjalna z przemówieniami trojga jubilatów (z nagranych uprzednio filmu) i vipów z wręczeniem nagród: Marszałka Województwa Pomorskiego (w jego zastępstwie głos zabrała radna Sejmiku Wojewódzkiego) i Prezydentki Gdańska (reprezentowała ją urzędniczka miejska), tudzież Rektora Akademii Muzycznej Ryszarda Minkiewicza w asyście swoich trzech zastępców oraz absolwenta i jednocześnie dyrektora

Zespołu Szkół Muzycznych w Gdańsku-Wrzeszczu Błażeja Musiałczyka. Potem przez ponad półtorej godziny bez żadnej przerwy brzmiała muzyka organowa. Sala była przyciemniona, a w samym środku sceny stał pulpit organowy na którym po kolei zasiadali wykonawcy, tyłem do publiczności. Było ich 10 ze wszystkich 80 absolwentów. Program koncertu został ułożony, jak się dowiedziałem od prof. R. Peruckiego, z utworów zaproponowanych przez wykonawców z jedynym zastrzeżeniem, że mają być krótkie. Wszystkie utwory i ich wykonawcy byli kwiecieście zapowiadani przez konferansjerkę Martę Goluch.

Usłyszeliśmy kompozycje, które stworzyli: Maciej Babnis, Joseph Bonnet, Maurice Duruflé, Jacques Nicolas Lemmens, Siegfried Karg-Elert, Bjarne Sløgedal, Camille Saint-Saëns, Maciej Zakrzewski, Joseph Callaerts. Literatura organowa jest olbrzymia i tym usprawiedliwiam się, że nie znałem żadnego z wykonanych utworów. Wydaje mi się, że nie ma sensu wymienianie tytułów wszystkich zagranych kompozycji. Skupię się tylko na paru, które zainteresowały mnie najbardziej

Wśród wykonanych utworów tylko dwa zostały skomponowane przez polskich kompozytorów współczesnych. Było to okolicznościowe *Preludium – aria nt. Matko Najświętsza* z dedykacją dla prof. Leona Batora, skomponowane i wykonane przez jego ucznia – dr hab. Macieja Babnisa z Katedry Sztuki Muzycznej Akademii Pomorskiej w Słupsku oraz *In die Ewigkeit (W wieczność)* dra Macieja Zakrzewskiego. Ten drugi, interesujący utwór, trwający około 11 minut, składa się z kilku części, z których pierwsza, żywsza i motoryczna, przedzielona jest powtarzającymi się fragmentami o smutnym, melancholijnym charakterze. W zapowiedzi usłyszeliśmy, że kompozycja skłania do refleksji nad istotą czasu i nieskończoności. Natomiast sam kompozytor powiedział mi, że tworzył to dzieło w smutnych czasach pandemii w 2021 roku, i stąd znajdujące się w nim powtórzenia melodyczne i rytmiczne napisał w stylu minimalistycznym. Utwór ten jest ciekawy i z tego względu, że jest on przeznaczony do wykonania, co jest rzadkością, na duet organowy. W moim odczuciu chyba lepszym określeniem byłoby: „na cztery ręce”, bo wykonywany jest na jednym instrumencie. Na relacjonowanym koncercie *In die Ewigkeit* zagrali Klaudia Twardzik-Poloczek i Damian Poloczek, małżonkowie, obecnie mieszkający i pracujący w dalekiej Turynii. Byli oni wykonawcami prawykonania tego dzieła w 2023 r. w Jastrzębiej Górze.

Jeśli chodzi o wykonawców, to najbardziej poruszyła mnie interpretacja Katarzyny Olaszewskiej, która na koniec wieczoru z wielką pasją zagrała dynamiczną i radosną *Toccatę op. 29* Josepha Callaerts. Koncert zakończył się wspólnym zdjęciem nauczycieli – jubilatów i absolwentów – wykonawców.

Arkadiusz Welniak



NA MOJE UCHO (2)

RANKING PIOSENKOWY MINIONEGO ROKU

Mnożące się co roku muzyczne podsumowania i rankingi najlepszych płyt są dobrą okazją do sprawdzenia, w jakim kierunku podąża globalny i rodzimy rynek muzyczny, w czym gustuje młode pokolenie słuchaczy, gdzie lokują się poszczególne nurty, co jest chodliwe, a co człowiek przeoczył i wypada nadrobić. Z jednej strony w pewnym wieku człowiek, mimo szczyrych chęci, nie jest w stanie być na bieżąco z dokonaniem młodych wykonawców głównego nurtu, debiutanckimi płytami z milionami odtworzeń w serwisach streamingowych, okrzykniętymi czasami z emfazą i na wyrost „nowym Led Zeppelin” albo „największą nadzieją brytyjskiego rocka od czasów Oasis”. Więc zamiast gnać ku nowemu wraca człowiek do sprawdzonych patentów, ulubionych płyt i artystów, którzy niegdyś znaczyli wiele w muzycznym świecie, a dziś są niszowi, niemal zapomniani i symbolicznie umieszczani w starej szafie z niemodnymi ubraniami pachnącymi naftaliną. Z drugiej strony jednak rankingi roczne inspirują i zobowiązują, więc i ja sprawdzam statystyki swoich odsłuchów, czytam, głosuję i wybieram swoje ulubione albumy w radiowych audycjach tematycznych – w rockserwisie.fm, Radiu 357, czy starej, dobrej (odpolitycznionej) Trójce. Tych przesłuchanych płyt w ubiegłym roku była cała masa, a ich rozrzut gatunkowy również całkiem spory. Więc mój mocno subiektywny wybór ograniczę do kilku albumów w konwencji tradycyjnej i piosenkowej, wyciszającej – takiej do posłuchania podczas długich, jesiennych spacerów, jako muzyczne tło przy dobrej książce albo przed snem. Żeby było sprawiedliwie, po dwie propozycje z kraju i spoza niego, przy czym płyty wykonawców zza Wielkiej Wody jako miłośnik Grenlandii wykluczyłem z rywalizacji ze względu na odpowiedzialność zbiorową. Żeby zachować parytet płci, też będzie po równo, a i wiekowo wykonawcy są z dwóch różnych pokoleń.

Wypada zacząć po polsku i patriotycznie od płyty Moniki Brodki „WAWA”, bo to rzecz wyjątkowa z wielu względów. Brodka, której twórczość niesprawiedliwie może kojarzyć się niektórym z wyświechtanym schematem muzyki pop czy wręcz pewnym infantylizmem, nagrywa od dekady ciekawe i bardzo wartościowe płyty. Nowoczesne aranżacje, zgrabne melodie, więc można przypuszczać, że gdyby miała okazję debiutować w Szwecji a nie w Polsce, zasięg jej muzyki byłby z pewnością inny, a ona była w line-up koncertów w Roskilde i Glastonbury. Brodka umiejętnie porusza się zarówno w stylistyce muzyki klubowej, soulowej, rockowej i ambitnego popu. Najnowsza płyta „WAWA” została nagrana z okazji 80. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego. Ów hołd dla miasta Warszawy i jego ofiar zawiera dziesięć wyjątkowych utworów, wśród których znajdują się zarówno jej własne kompozycje jak i covery, na przykład „Sen o Warszawie” Niemena. Jakże nie wyrazić najwyższego uznania po

wysłuchaniu poruszającej wersji „Spotkania z Warszawą” przeboju Ireny Santor. Kompozycje wyróżnia bogaty aranż, szerokie instrumentarium, w tym jazzowe inklinacje i wstawki. Duża zasługa w tym artystów biorących udział w nagraniu „WAWY” m.in. Maseckiego, członków eksperymentalnych wrocławskich formacji EABS i Błoto czy zespołu Księżyc. Zdecydowanie warto wsłuchać się w ten materiał i to nie tylko okazji w dniu kolejnej rocznicy 1 sierpnia.

Album „Kasia i Błażej”, wspólny projekt Katarzyny Nosowskiej i Błażeja Króla, to jedenaście kompozycji, pełnych prostoty, dystansu i emocji, a jednocześnie pozbawiony patosu, który w sporych dawkach znajdziemy na niektórych płytach rodzimych wykonawców (Kortez, Tyszkowski). Im częściej słuchałem w ostatnich miesiącach płyty, tym bardziej mi się podobała i na trwałe gościła w samochodowym i domowym odtwarzaczu. Lubię teksty Nosowskiej, te z czasów Hey i z jej solowych płyt, ale tutaj jest naprawdę intrygująco, bo mamy do czynienia z kunsztem słowa pełnego dygresji i inteligentnej ironii w utworach, stanowiących swoisty dialog między wykonawcami. Piosenki „Można” czy „Błyszcz” miały i mają potencjał na spore przeboje i to zarówno podczas ogólnopolskiego festiwalu w Opolu, jak i koncertów w Jarocinie i Cieszanowie.

Angielski zespół rockowy The The istnieje od blisko pięćdziesięciu lat i ma w dorobku kilkanaście albumów. Mimo, że czasy największej popularności grupy przypadły na lata 80. I początek 90. (albumy: „Soul Minnig” „Mind Bomb” i „Dusk”), The The dowodzone przez charyzmatycznego wokalistę Matta Johnson’a nadal w miarę regularnie nagrywa i koncertuje. Wydany w ubiegłym roku album „Ensoulment” ma kilka zalet. Najważniejszą z nich jest melodyjność i pełna realizacja kryterium pod tytułem „muzyka wpadająca w ucho”. Ta umiejętność i łatwość nagrywania zgrabnych, nastrojowych piosenek na wół akustycznych, z charakterystyczną sekcją i wędrującym basem to wyróżnik twórczości tej grupy. Jest jeszcze głos Johnsona, niepowtarzalny, raz delikatny, przechodzący w szept, kiedy indziej gwałtowny i impulsywny. Dla mnie to dodatkowy plus, bo i sentymentalnie przychodzi na myśl moje odkrywanie zespołów z 4AD i to co najlepszego do zaproponowania miał brytyjski gitarowy rock drugiej połowy lat 80. (The Smiths, The Cure). To płyta relaksacyjna, co zdają się potwierdzać nawet tytuły niektórych kompozycji „Some Days I drink my Coffee”, „A Rainy Day in May”.

King Hannah to indie-rockowy projekt Hannah Merrick i Craiga Whittle z bitelsowskiego miasta Liverpool, który w 2024 roku nagrał swój drugi album długogrający pod tytułem „Big Swimmer”. Pamiętam dobrze, kiedy podczas pandemii i kompletnej izolacji, przebijając się przez przepastne kolekcje nowych brzmień w mp3 kojarzonych na zasadzie „similar artists”, trafiłem na utwór „Creme Brulee”. Zapadająca w pamięć melodia, wyśpiewany delikatnym nieco chropowatym głosem przez młodziutką King Hannah. Wydany dwa lata później pierwszy album to zbiór nastrojowych piosenek, w której przebija fascynacja dokonaniem PJ Harvey, Patti Smith, Portishead, Buckley’em i folkrockowymi zespołami z czasów flower-power. Ostatnia płyta „Big Swimmer” oczarowała mnie i zachwyciła jeszcze bardziej. Brzmieniowo to przede wszystkim ukłon w stronę estetyki amerykańskiego folkrocka, country i tradycyjnego rocka spod znaku Neila Younga czy Kurta Ville. Ta płyta uzależnia, a wokal Hanny Merrick jest na pewno dodatkowym atrybutem. Warto posłuchać w całości, bo próżno odnaleźć te kawałki w popularnych stacjach radiowych i na listach przebojów.

Podsumowując ten mój wielce subiektywny wybór dobrych, piosenkowych płyt, muszę dodać, że moim ulubionym albumem mijającego roku był niespecjalnie piosenkowy album

„Songs of Last World” grupy The Cure. Mogę być nie do końca obiektywny w ocenie, albowiem wychowałem się na wczesnych płytach Roberta Smitha i kolegów, a albumy „Faith” i „Disintegration” były dla mnie tym samym co „Abbey Road” i „Sticky Fingers” dla mojego nieżyjącego ojca i jego pokolenia. Jednak nowy materiał The Cure jest ze wszech miar dopracowany stylistycznie i dopasowany do nieśmiałych życzeń całej generacji miłośników charakterystycznego brzmienia zespołu. To swoisty ekstrakt z tego, co najlepsze w egzystencjalnych, kilkunastominutowych, rozbudowanych kompozycjach z podkładami psychodelii, zgiełkiem gitar, z klawiszowym tłem. Takiej płyty oczekiwałem i takiej płyty słuchałem pasjami w ostatnich kilku miesiącach po premierze. Płyta została bardzo pozytywnie oceniona przez krytykę muzyczną i nowe pokolenie słuchaczy zimmofalowych, rockowych brzmień, dla którego Cure przestał być jednym z wielu. Osobiście mam nadzieję, że finałowy utwór z płyty „Songs of last World”, przepiękny w formie „Endsong”, wcale nie będzie ostatnim kawałkiem nagrany przez ten wyjątkowy zespół, który za rok będzie świętował pół wieku swojej działalności.

SKALPEL BAND GRA „SKALPEL”. KONCERT GDAŃSK, STARY MANEŻ 3.12.2024

„A teraz dla kontrastu chciałbym Państwu przedstawić ludową muzykę murzyńską Ameryki Północnej...” „Mnie się wydaje, że problem polega na tym, co oni naprawdę robią, kiedy niby grają ten jazz...” „A może jazz jest dla nich czymś więcej niż muzyką, co?”. Ten dialog z filmu „Był jazz” w reżyserii Feliksa Falka stanowi swoiste intro wsamplowane w utworze „Behind the Curtain” wrocławskiej grupy Skalpel. Kompozycja pochodzi z debiutanckiej płyty tego zespołu, która świętowała niedawno swoje dwudziestolecie. W jubileuszową trasę koncertową z tej okazji zespół wyruszył pod koniec ubiegłego roku i było to sporym wydarzeniem artystycznym. Dowodzą tego nie tylko szybko wyprzedane bilety na cztery zorganizowane koncerty, ale także udział zaproszonych gości, najzdolniejszych przedstawicieli współczesnej sceny okołojazzowej i improwizowanej na czele z „Latarnikiem” (EABS, Błoto), saksofonistą Kacprem Krupą i perkusistą Rafałem Dutkiewiczem.

Wydanie w 2004 roku pierwszej studyjnej płyty Skalpela stanowi istotną cezurą nie tylko historii muzycznego undergroundu, ale w ogóle polskiej muzyki i kultury jako takiej. Oto bowiem po podpisaniu kontraktu z kultową, londyńską wytwórnią Ninja Tune, wrocławski Skalpel, projekt Marcina Cichego i Igora Pudło, stał się ambasadorem nowej polskiej muzyki na całym świecie. Być może gdyby ten album ukazał się tylko w Polsce, zainteresowanie zespołem wśród miłośników muzyki niebanalnej na świecie ograniczyłoby się do wąskiego kręgu słuchaczy poszukujących nowych, oryginalnych brzmień. Kontrakt z Ninja Tune był więc przełomowy, bo płyty z katalogu wytwórni (Cinematic Orchestra, Jaga Jazzist, Amon Tobin, Bonobo) cieszyły się niezwykłą estymą i były dla nowoczesnej elektroniki tym samym, czym Blue Note dla jazzu. Skalpel po mistrzowsku wskrzesił klimat kanonu polskiego jazzu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych spod znaku Komedy, Namysłowskiego, Novi Singers i Stańki, żeby odtworzyć ją w stylistyce i muzycznym języku nowego tysiąclecia. Czerpiąc garściami z dorobku klasyków, wrocławski duet przedstawił swoją wizję brzmienia opartego na technice samplingu i elektronicznych podkładach. Pierwotnie ten album miał się zresztą nazywać „Polish jazz”, ale Skalpel nie musiał kuścić



zachodniego słuchacza egzotyką i takimi reklamowymi chwytami, bo ta muzyka broniła się sama. Wtedy w 2004 roku płyta polskiej formacji, wpisująca się idealnie w estetykę Ninja Tune, była objawieniem na rynku brytyjskim, z zachwytem przyjęta przez krytyków i recenzentów magazynów specjalizujących się zarówno w muzyce jazzowej, elektronicznej, jak i rockowej. Jak pisano entuzjastycznie w *Melody Maker* „Polacy wnoszą do nieco skostniałego nurtu współczesnej elektroniki, sporo świeżości, bo oprócz jazzowych inspiracji ich nagrania zdradzają doskonałą znajomość alfabetu hip hopu i pochodnych, a także dorobku nowej elektroniki, ambientu i muzyki improwizowane”.

Miałem wyjątkową przyjemność wysłuchania kompozycji z tej płyty jeszcze przed jej premierą, na jednym z kameralnych koncertów w Trójmieście. Znałem już z radiowej Trójki single z pierwszej EP-ki Skalpela, a że właśnie wtedy słuchałem masowo wykonawców sceny nu-jazzowej (Molvaer, Bugge Wesseltoft, Cinematic Orchestra, Medeski&Martin&Wood) więc długograj Skalpela wpasował się w moją muzyczną przestrzeń idealnie. Żywiolową, rytmiczną stronę płyty tworzą bigbeatowy, taneczny utwór „1958”, budowany wokół linii kontrabas „Not too bad” czy żywiolowy, lekko funkujący „Quiz”. Z drugiej strony mamy motoryczny i transowy „Asphodel”, delikatny i nastrojowy „Together” czy wspomniany już „Behind the Curtain” wymarzony do kontemplacji i popołudniowego odpoczynku. Album zamyka kompozycja „Sculpture” z łagodnym, ambientowym podkładem, intymną atmosferą, klawiszowymi smaczkami i świetnym prowadzeniem sekcji, które chyba najbardziej definiują muzykę wrocławskiej grupy. Przez ostatnie dwadzieścia lat wracałem do tej płyty wielokrotnie, a singlowy „Sculpture” znalazłby się zapewne w ściślejszej czołówce statystyk najczęściej odsłuchiwanym przeze mnie utworów. Zaraziłem muzyką Skalpela kilka osób, w tym osobę o mocno tradycyjnym guście muzycznym, dla której wszystko, co nie zawiera w sobie tekstu, melodii i trwa dłużej niż cztery minuty, nie jest piosenką, a jakimś dziwactwem.

Ubiegłoroczny, gdański koncert w klubie Stary Maneż był moim trzecim spotkaniem z muzyką Skalpela na żywo. Pierwszy miał miejsce latem 2004 roku, następny dekadę

później podczas trasy promującej album „Transit”. Z dorobku grupy, poza debiutem, właśnie wspomniany „Transit” uważam za najlepszą płytę, chociaż stylistycznie to już jednak inna muzyka, bardziej eksperymentalna i naszpikowana elektroniką. Stary Maneż przy Słowackiego jest miejscem fajnym i pojemnym na mapie trójmiejskich klubów, ale z pewnością i on nie był w stanie pomieścić wszystkich zainteresowanych występem legendarnego Skalpela. Na scenie obok Igora Pudła i Marcina Cichego znalazło się siedmiu innych muzyków, dzięki czemu znacznie wzbogacono instrumentarium, dynamikę i efekt odbioru. Zaprezentowany w całości materiał z debiutanckiego winyla we wzbogaconych, wydłużonych i zmodyfikowanych aranżacjach nabral nowego wymiaru, choć jako ortodoksyjny miłośnik pierwotnego brzmienia mogłem tu i tam kręcić nieco nosem. Efekty, scenografia, nagłośnienie i akustyka, zapowiedzi utworów – perfekcyjne wręcz. Na mnie niezwykle wrażenie zrobiła też gra saksofonisty i wcale nie chodzi o jakieś karkołomnie solówki i niepowtarzalne improwizacje. Ta muzyka płynęła i otulała kilkuset osobową widownię. Był to naprawdę wyjątkowy i atmosferyczny koncert, na który czekałem przez lata i dzięki któremu cofnąłem się o dwie dekady. Podczas ostatniego dwudziestolecia omawiany album stał się symbolem, niedoścignionym wzorcem i elementem porównawczym. Nieprzypadkowo dzisiaj właśnie Wrocław pozostaje niekwestionowaną stolicą takiego modyfikowanego, okolojazzowego grania i estetyki bliskiej dokonaniom Skalpela. Ukoronowaniem gdańskiego koncertu były szczególnie owacyjnie przyjęte „Sculpture” i „Break In”, które wybrzmiały z siłą godną wodospadu.

Gdyby wymienić nieliczne polskie zespoły, które autentycznie zyskały rozgłos i stały się rozpoznawalne poza naszym krajem obok Michała Urbaniaka, Urszuli Dudziak, Basi Trzetrzelewskiej, blackmetalowych tuzów Behemotha, Vadera i Mgły, znajdzie się też miejsce dla grupy Skalpel. Film Feliksa Falka „Był jazz” to swoisty hołd dla „podziemnych” zespołów próbujących w mrocznych czasach stalinowskich grać zakazaną, „czarną” muzykę zza Oceanu. To historia osnuta wokół historii Jerzego „Dudusia” Matuszkiewicza i łódzkiej grupy jazzowej „Melomani”, którzy wbrew wszystkiemu, zafascynowani muzyką amerykańskiego Południa, tworzą i promują te brzmienia. Muzyka grupy Skalpel to z kolei swoisty hołd dla tamtej generacji muzyków i artystów, dzięki której marka „Polish Jazz” jest dziś mocna w świecie. Skalpel ma również w tym swój udział.



Leszek Sarnowski

MAGIA JAZZU, CZYLI CO MAJĄ WSPÓLNEGO MOŻDŻER I GARBAREK Z MOJĄ ŻONĄ

Kiedy zabieram się za pisanie o muzyce, zawsze w uszach brzmia mi słowa mojego nauczyciela muzyki Pana Świerbutowicza ze Szkoły Podstawowej w rodzinnym Barcinie: „Nie masz słuchu, nie masz głosu. Siadaj – dwa”. Muszę z tym jakoś żyć, choć może by się Pan nauczyciel ucieszył, że od muzyki mnie nie odstraszył, bo mimo wszystko jej słucham. Śpiewanie mam już za sobą – zostało dawno temu w akademiku czy przy biwakowych ogniskach, ale od szkoły średniej muzyka była wszędzie. To ówczesna klasyka młodzieżowa, czyli Beatelsi, Pink Floyd i wszystko, co się wtedy słuchało – The Rolling Stones, Queen, Yes, Procol Harum, Suzi Qatro, Mayall, Clapton, Omega i wiele, i wielu innych, głównie rockowych kapel, które słuchano w radio i nagrywano na magnetofonach szpulowych ZK 140, by później katować, aż do wytarcia taśmy czy wkręcenia w nadużywany mechanizm. Standard, nic wyjątkowego, choć w podstawówce i ABBY się słuchało i lokalsów, zgodnie z wyzwaniem ówczesności, że „polska młodzież słucha polskiej muzyki”. Na studiach przyszedł czas na „krajną łagodność” i „czas miłowania”, więc się szlajało po festiwalach – Bazunach, Yapach czy Szklarskich Porębach. Ale nastał czas jazzowych fascynacji, czyli Jazz nad Odrą, a przede wszystkim Jazz Jamboree. No i może mój nauczyciel mi wybaczy, bo do tzw. „muzyki poważnej” mniejsze miałem skłonności.

W czasie studiów sporo kasy (rodziców i zarobionych w Techno-Serwisie) szło na książki i płyty. Szczególnie cenne były te jazzowe. Polskie Stowarzyszenie Jazzowe (PSJ) wydawało wtedy cykl świetnych płyt. To się nazywało „Biały kruk czarnego krążka”. Same perełki. Niestety PSJ trochę oszczędzał na okładkach i zdarzało się, że na przykład płyty wybitnego skrzypka Zbigniewa Seiferta czy Krzysztofa Komedy dostawałem albo w białych kartonowych, siermiężnych okładkach, albo w opakowaniach zastępczych, czyli na zewnątrz Tercet Egzotyczny, a w środku Zbigniew Urbaniak. Coś jak ówczesne „rarytasy”, czyli wyroby czekoladopodobne tylko odwrotnie, bo tam były kolorowe opakowania, a w środku szajs, choć jadalny na swój sposób.

Październik był zawsze świętem, oczywiście nie z powodu rozpoczęcia roku akademickiego, ale wtedy w Sali Kongresowej w Warszawie odbywał się Jazz Jamboree i jam session w Akwarium, Stodole lub Remoncie. Dzięki temu słuchałem i oglądałem Stana Getza, Frediego Hubarda, Sonny Rollinsa, Scotta Hamilton, Didiera Lockwooda, Art Blakey czy zwariowanych freejazzowych Art Ansamble of Chicago i wielu innych. Nie mówiąc już o polskiej awangardzie, jak Stańko, Namysłowski, Urbaniak, Ptaszyn-Wróblewski, Muniak, Jaremko czy kultowe wtedy String Connection i Sun Ship.

23 października 1983 r. nastąpiło wiekopomne wydarzenie w historii muzyki jazzowej. W Sali Kongresowej w Warszawie wystąpił, po raz pierwszy na polskiej ziemi, „najwyższy kapłan jazzu” – Miles Davis. W 1980 r. Miles Davis przerwał kilkuletnie milczenie spowodowane chorobą wydając album „The Man With The Horn”. Wszyscy jazzfani odetchnęli z ulgą, a trębacz zestawiał zespół z młodych muzyków i wyruszył w trasę koncertową, której efektem był album „We Want Miles”. My też Milesea chcieliśmy.

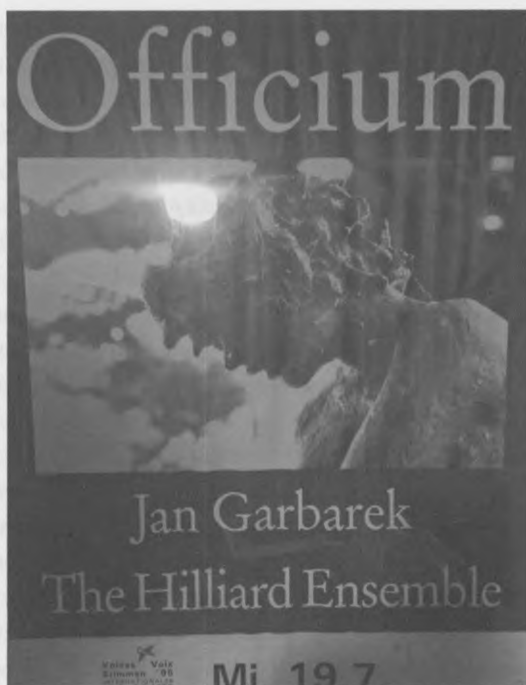
Kilka tygodni wcześniej poznałem fajną dziewczynę, moją obecną żonę, Małgorzatę. Mieszkałem wtedy na stacji w falowcu na Piastowskiej, a moja dziewczyna w wieżowcu (tzw. dolarowcu) przy sądzie w Sopocie. No i zaczęliśmy ze sobą chodzić. A cóż to ma z muzyką i Milesem wspólnego? Otóż, jeszcze zanim wszyscy się dowiedzieli, że mam nową dziewczynę, dostałem zaproszenie na ślub znajomych. Poszedłem i poznałem tam szefa warszawskiego klubu Remont, który, gdy dowiedział się o moich jazzowych zamiłowaniach, zaprosił mnie do Warszawy na jam session do klubu, bo istniało prawdopodobieństwo, że może się tam pojawić sam Mistrz. Wróciłem z tą radosną nowiną do mojej dziewczyny po północy z weselnym tortem, schabowym i flaszką wina w kieszeni. Nie podzielała może zbyt entuzjastycznie mojej radości, ale perspektywa wspólnej podróży nie wystraszyła jej. Mogło być ciekawie. Nie stać nas było wtedy na bilety do Kongresowej (zresztą dawno ich już nie było), ale jak się okazało, że mamy Remont za darmo, to wystarczyło tylko zebrać parę groszy na pociąg. Udało się i pojechaliśmy razem. Poszliśmy najpierw pod Kongresową, żeby choć pooddychać powietrzem, którym wszak kilkadziesiąt metrów dalej oddychał sam Miles Davis. Dziewczyna-psycholog raczej nic nie poczuła, bo racjonalna, a poza tym nazwisko Mistrza niewiele jej mówiło. No i czekaliśmy na Milesea w Remoncie. Mistrz nie dotarł, ale dotarło kilku Jego muzyków, a to nie byli przypadkowi muzycy. Na gitarze grał wtedy John Scofield, na saksofonach i flecie Bill Evans, na instrumentach klawiszowych Robert Irving III, na gitarze basowej Darryl Jones, na perkusji Al Foster, a na instrumentach perkusyjnych Mino Cinelu. Kilku z nich włączyło się do jamowych występów, ale prawdziwą furorę zrobił Mino Cinelu, który rozegrał swój najlepszy „koncert” na klubowym zapleczu na skrzynkach z piwem i innych użytkowych przedmiotach. Część widzów tam się przeniosła, żeby oklaskiwać mistrza perkusjonaliów. Było fantastycznie, choć nie miało to niestety odzwierciedlenia na twarzy mojej dziewczyny. Oczywiście uśmiech akceptacji był, ale chyba głównie ze względu na klubową atmosferę, a nie na muzykę. Może to było nieco egoistyczne z mojej strony, ale pomyślałem sobie, że jak to przetrwa, to będzie dobrze. Poza tym jazz na żywo, a szczególnie radosne jam session, zawsze lepiej brzmi niż najlepsze płyty. Było miło, ale nie przełożyło się to na wspólne słuchanie jazzu. Jakoś musiałem z tym żyć i ona też, kiedy już w naszym mieszkanku w Sztumie przy ul. Chełmińskiej, a potem na Osiedlu Różanym, zapuszczałem muzykę na gramofonie Bernard, który moja już wówczas żona przywiozła mi pociągiem z Elbląga, będąc w piątym lub siódmym miesiącu ciąży. To był iście miłosny wyczyn. No i tak puszczałem jazzowe nuty, które z czasem nasza córka Martyna rozpoznawała, kiedy chcąc się pochwalić przy kolegach pytałem, a kto to gra i wszyscy słyszeli błyskotliwe odpowiedzi osłuchanej córeczki, że to Majls Dejwis czy Kif Dzalet, bo „r” zamieniała wtedy na „f”. Żony nie pytałem, choć trąbkę od fortepianu odróżniała, ale bez entuzjazmu co do całości brzmienia. No więc trzeba było jakoś dzielić muzyczny czas jazzowych mistrzów z krainą łagodności – SDM, Elżbieta Adamiak, Ewa

Demarczyk, Wojciech Młynarski czy Pod Budą.

Gdybym tu wychwalał Milesa Davisa, to była to by rzecz naturalna. Napisano o nim tomy książek i recenzji. Mistrz i już, jak Chopin, Bethovenn czy Mozart dla miłośników poważnej muzyki. Mistrzem dla mnie (poza Coltrainem Parkerem) jest także Keith Jarret. Jego solowy „The Köln Concert” z 1975 roku nie ma sobie równych do dziś. Słucham bez końca i się wzruszam. Rok wcześniej nagrał również wyjątkową płytę „Belonging” z saksofonistą Janem Garbarkiem, Palle Danielssonem i Jonem Christensenem, a w 1977 roku „My song” w tym samym składzie. I gdyby nie nagrał później nic więcej (a na szczęście nagrał), to i tak byłyby to szczyty muzycznych eksploracji i moich zachwyków. Kocham te trzy płyty, a moja fascynacja Jarretem

trwa do dziś, mimo że pierwsza była nagrana jak miałem 15 lat, a kolejne niewiele więcej. Od tych płyt zaczęła się moja „znajomość” z Janem Garbarkiem. Jest 12 lat starszy ode mnie. Urodził się w 1947 roku w Norwegii. Ojciec był Polakiem i pochodził z Wielkopolski. W czasie wojny walczył w polskiej armii i trafił do niewoli, do obozu pracy w Norwegii. Tam po wojnie poznał swoją żonę Norweżkę, nie wrócił do Polski i kilka lat później dostał obywatelstwo norweskie, zatem przez kilka lat i ojciec, i syn byli bezpaństwowcami. Pierwszy raz odwiedzili wspólnie Polskę w 1964 roku. W wieku 14 lat młody Garbarek usłyszał po raz pierwszy w radiu Johna Coltrane’a i tak się zachwyił jego jazzowym saksofonem, że wybór był jednoznaczny. Wybrał saksofon sopranowy i tenorowy. Najpierw opanował sceny skandynawskie, a w latach 70., kiedy podjął współpracę z Jarretem, także sceny światowe. W latach 80., gdy stanął na własne nogi, po fascynacji freejazzowym Donem Cherry, odkrył w sobie pokłady ekumenicznej muzyki świata, która kazała mu szukać inspiracji w Indiach (*Vision, Song for Everyone*), Pakistanie (*Ragas and Sagas*), Skandynawii (m.in. *Legend of the Seven Dreams, Twelve Moons*) i wielu innych pograniczach. W wielu płytach pobrzmiewają folkowe nuty z różnych kontynentów, ale zawsze na koniec jest to melodyjne, subtelne wyjście do świata, by nieść muzyczną dobrą nowinę, która łączy ponad kontynentami, przekraczając nie tylko granice narodowe, ale też muzyczne gatunki.

W jednym z wywiadów powiedział: *mnie bardziej interesuje indywidualizm każdego artysty, a nie paszport. Nie obchodzi mnie, skąd pochodzi muzyk – z Ameryki, Afryki czy Indii. Dla mnie to po prostu człowiek. Analogicznie – nieważne jest, jaki rodzaj muzyki ten artysta reprezentuje. Bo jeśli poczuję do tego drugiego człowieka wyraźną sympatię, to wtedy wiem i czuję, że możemy razem uprawiać muzykę, że „nadajemy na tej samej częstotliwości”. Muzyka*



Plakat z Koncertu Garbarka w 1995 r, zbiory własne

opiera się na tych samych podstawach emocjonalnych we wszystkich kulturach i szerokościach geograficznych, dodając na koniec: ważna jest indywidualność artysty. Człowiek to styl. To zawsze mnie najbardziej interesuje, to jest dla mnie ważne... a jeśli chodzi o mój styl, to mogę go określić jako konglomerat wielu wpływów, wielu różnych, często bardzo dziwnych i zaskakujących dźwięków, w które wsłuchiwałem się przez całe życie. Teraz z nich korzystam, układając je w kompozycje, tak jak się układa puzzle, albo ładniej – jak bukiety. Doświadczenia zmieniają ludzi, więc po kilku latach mogę już brzmieć zupełnie inaczej. I znowu mnie wtedy ktoś zapyta o mój styl. A ja odpowiem to samo. No i jak tu nie słuchać ekumenicznego Garbarka.

W 1995 roku obchodziliśmy dziesięciolecie małżeństwa. Żona była psychologiem w Zakładzie karnym w Sztumie, ja uczyłem historii w szkole podstawowej, dorabiając po godzinach w mediach regionalnych, Gazecie Wyborczej, Radio Gdańsk, Dziennik Bałtycki. W końcu trafiłem do raczkującego Radia Plus, katolickiej rozgłośni, ale bardzo otwartej i nowoczesnej. Najlepsze radio na Pomorzu, w którym pracowało wielu fantastycznych dziennikarzy, część z nich do dziś czynnych i znanych w różnych mediach. Przyjaciele mieszkający w Niemczech zaprosili mnie z kilkoma kolegami do siebie, proponując dorywczą pracę na wakacje, w ramach pomocy rodakom w kraju, bo łatwo nie było, szczególnie na nauczycielskiej pensji. No i trzeba było wyruszyć na zarobek. Ponad miesiąc pracowałem w wyjątkowym miejscu na granicy niemiecko-szwajcarskiej w koncernie Vitra Rolfa Fehlbauma, a w zasadzie w jego części – Vitra Desig Museum, czyli muzeum, w którym gromadzono krzesła najwybitniejszych projektantów na świecie – Frank Gehry, Michael Thonet, Charles i Ray Eames, Fritz Hansen, Verner Panton, Le Corbusier, Philip Starck i wielu innych, których wtedy nikt z nas nie znał i nie miał pojęcia na jak wyjątkowych krzesłach (i drogich) siadamy i przenosimy z miejsca na miejsce. A na dodatek pracowaliśmy we wnętrzach budynków zaprojektowanych przez najwybitniejszych architektów, jak Frank Gehry, Tadao Ando czy Alvaro Siza, mijając codziennie zakładową remizę strażacką zbudowaną według projektu wybitnej Zahy Hadid, brytyjskiej architektki pochodzącej z Iraku. Wielki świat pełną gębą, choć nie do końca zdawaliśmy sobie z tego sprawę. No i pojawiła się też muzyka. Moi przyjaciele, znając moje jazzowe upodobania, zaprosili mnie na fantastyczny koncert, który akurat w pobliżu miał się odbyć.



*Spotkanie z Janem Garbarkiem po koncercie w Lörrach w 1995 roku,
fot. archiwum*

To był Jan Garbark i Hilliard Ensemble z płytą „Officium” w kościele św. Piotra w Lörrach, w pobliżu Bazylei, gdzie mieszkaliśmy. Płyta „Officium” to jedna z najbardziej oryginalnych w dyskografii Garbarka. Została nagrana w 1994 roku w klasztorze św. Gerolda w austriackich Alpach, a zawiera pieśni sakralne z XIV-XVI wieku. To dość ryzykowne i pionierskie połączenie dwóch światów – współczesnego, improwizującego saksofonu i muzyki

dawnej. Ryzyko się opłaciło. Koncert rozpoczął się od przejmującego saksofonu sopranowego Jana Garbarka, który stanął przed nami w prezbiterium kościoła św. Piotra i rozpoczął swoją opowieść i „rozmowę” ze śpiewakami z kwartetu Hilliard Ensemble – David James (kontratenor) Roger Covey-Crump (tenor), John Potter (tenor) oraz Gordon Jones (baryton). Dla jazzowych ortodoksów nie był to łatwy koncert (płyta też), ale ja ortodoksem nie jestem i dla mnie była to uczta. Garbark przechadzający się po prezbiterium i głosy kwartetu rozmieszczonego w obu nawach bocznych, tak ze sobą współbrzmiały, że pomyślałem sobie, że w takim niebie chciałbym się znaleźć, z czeskimi, węgierskimi, gregoriańskim, angielskimi lamentacjami, hymnami, litanią czy w końcu requiem Officium Defunctorum na deser, autorstwa XVI-wiecznego hiszpańskiego kompozytora Cristobala Moralesa. Świat podzielił moje emocje, bo koncerty kwartetu HE i Garbarka przyciągały tłumy w całej Europie i nie było to ostatnie słowo artystów, bo pojawiły się kolejne płyty (Officium Novum i Mnemosyne). Udało mi się osobiście uściskać dłoń Mistrza i zamienić kilka słów po koncercie w zakrystii kościoła. To była moja pierwsza i jedyna korespondencja zagraniczna dla Radia Plus. Wróciłem z ciężko zarobioną kasą i mogliśmy dokończyć rodzinne wakacje z córką i żoną nad morzem w Białogórze i kupić coś dla domu, nie wspominając muzycznych uniesień.

No i dalej świat się toczył. Ja nienachalnie słuchałem jazzu na wysłużonym Bernardzie, a wspólnie z żoną słuchaliśmy muzyki, mówiąc głosem Mamonia, którą znaleźliśmy. Na rozjazdy po koncertach nie było czasu i kasy, a przede wszystkim trzeba było się zajmować dzieckiem, pracą i działalnością społeczną, bo przecież Polska wciąż była ważna.

Minęło sporo czasu, aż moja żona, na koniec swojej kariery zawodowej psychologa więziennego, została rzecznikiem prasowym dyrektora okręgowego Służby Więziennej w Gdańsku. Pewnego dnia dostała zadanie, żeby zająć się gościem, który od jakiegoś czasu dobijał się do Okręgu i w jakimś sensie był odsyłany z kwitkiem. To był Leszek Moździerz, który chciał szerzyć muzyczną kulturę w miejscach zamkniętych i niedostępnych, czyli w więzieniach. Przyjechała pewnego dnia do domu i opowiada o Moździerz, a mi szczęka opada, bo gościa już znałem, raz z awangardowej „Miłości”, a dwa z fenomenalnego albumu „The Time” (2005) z Larsem Danielssonem i Zoharem Fresco, bo ich koncert wcześniej nagrywaliśmy w TVP Gdańska, gdzie wtedy pracowałem. Na pytanie żony – czy warto?, odpowiadam – jak najszybciej, żeby się nie rozmyślił. No i poszło, dzięki rozumnym przełożonym żony, którzy dali zielone światło, szczególnie dyrektor, pułkownik Lesław Bryłkowski (wcześniej dyr. Radosław Chmielewski). Moździerz odbył swoiste tournée po zakładach karnych, w których zostawiał pianina dla muzykujących więźniów i jeszcze dawał koncerty. Kilka koncertów w więzieniach i kobieta wpadła na amen. Dyrektor Okręgu podobnie. Początkowo był sceptyczny, bo a nuż pianina staną się dla więźniów miejsce przemytu, a nie muzycznych uniesień, więc lepiej je zamknąć na kłódkę. Po koncercie Moździerza na Przeglądzie Sztuki Więziennej w Sztumie, zmienił zdanie i pozwolił na wykorzystanie pianin do artystycznych działań terapeutycznych.

I tak zaczął się, ku mojej radości, okres stopniowej fascynacji jazzem (ze wskazaniem oczywiście na Moździerza) u mojej żony, za co do dziś jestem wdzięczny Leszkowi Moździerzowi, nie mówiąc już o kompletnej dyskografii muzyka, która wzbogaciła nasze muzyczne zbiory, w dodatku z osobistą dedykacją dla mojej żony.



Trilok Gurtu w Gdańsku, fot. autor

Jako dykteryjkę przytaczam często znajomym, którzy znają już na pamięć wspomnienia żony z kontaktów z Moźdzere, że pewnego miesiąca w „Jazz Forum”, na drugiej stronie pojawiła się krótka notatka, w której czytam, jak moja żona, major Małgorzata Sarnowska, wypowiada się o terapeutycznych walorach muzyki Moźdzera dla osadzonych. No i moja żartobliwa konstatacja. Czterdzieści lat kupuję „Jazz Forum” i nigdy na łamach szacownego miesięcznika nie pojawiło się moje nazwisko, a tu proszę, dziewczyna na bakier z jazzem, a ledwo poznała Moźdzera i już jest cytowana w „Jazz Forum” i to na drugiej stronie.

No ale warto było, bo się potoczyło. Najpierw były to wyjazdy wspólne ma koncerty Moźdzera w wersji solo, w zestawie Moźdzera-Danielsson-Fresco, Moźdzera-Fresco czy z naszym sztumskim

harmonijkarzem Kacprem Smolińskim, no i w końcu koncert Moźdzera na 20. lecie powiatu sztumskiego, jako wisienka na torcie. To za sprawą mojej żony udało się muzyka zaprosić na nasz powiatowy jubileusz, mimo że, jak powiedział w czasie koncertu, nie bardzo wiedział, czym jest powiat i jakie ma znaczenie dla świata.

W listopadzie ubiegłego roku pojechaliśmy na wyjątkowy koncert do Gdyni, promujący najnowszą płytę moździerowego trio polsko-szwedzko-izraelskiego czyli „Beamo”. Leszek Moźdzera zagrał na trzech fortepianach, by zyskać nową barwę i brzmienie oraz przekroczyć granice, które do tej pory wydawały się nieprzekraczalne. Większość kompozycji jest autorstwa Moźdzera, trzy szwedzkiego kontrabasisty Larsa Danielssona i jedna izraelskiego perkusjonalisty Zohara Fresco. Jako że nie jestem muzycznym krytykiem, mając w uszach słowa mojego nauczyciela od muzyki, posłużę się recenzją Piotra Kałużnego z miesięcznika „Jazz Forum”, który po koncercie „Beamo” napisał: *Muzyka stale zaskakuje swoim wyrazem, który zmienia się zgodnie z niespodziewanymi zwrotami kolorystycznymi. Muzycy grają wspaniale. Wydaje się, że łączy ich jakiś metafizyczny związek, umożliwiający im tworzenie absolutnie jednorodnej, wspólnej narracji. Jest to o tyle zdumiewające, że każdy z nich pozostaje sobą w wykorzystywanych środkach technicznych, artykulacyjnych, dynamicznych i sonorystycznych. Powstało dzieło niemające odpowiednika w światowej fonografii. Dzieło rewolucyjne i przełomowe.* Nie posiadając takiego aparatu badawczo-recenzenckiego, a posiłkując się jedynie własnymi emocjami, muszę zgodzić się, że było to po prostu piękne i wzruszające. Tym bardziej, że w moim przekonaniu była to kontynuacja ich pierwszej płyty „The Time”, którą od lat wspólnie słuchamy w aucie i w relaksujące weekendy przy lampce wina. Po wybitnej „The Time” długo trzeba było czekać na coś takiego, ale było warto.

No i wreszcie, powoli, przyszedł czas na inne gwiazdy z mojej ulubionej playlisty. W grudniu ubiegłego roku stało się tak, że wspólnie wybraliśmy się na koncert Jana Garbarka do gdańskiej filharmonii. Ja miałem bilet już od kilku miesięcy, ale pewnego dnia żona powiedziała, że może by ze mną pojechała. No i tak się stało.

W Gdańsku Jan Garbark wystąpił ze wspaniałymi muzykami – Rainer Brüninghaus (piano), Yuri Daniel (bas), no i z wybitnym perkusistą tureckiego pochodzenia Trilokiem Gurtu. Zaczęło się jak u Hitchcocka, czyli od muzycznego trzęsienia ziemi, bo taką wyjątkową muzyką jest dla mnie cała płyta *In Praise of Dreams*, wydana w 2004 roku przez Jana Garbarka, w kooperacji z francuskim perkusistą Manu Katचे (współpraca między innymi ze Stingiem czy Peterem Gabrielem) i altowiolinistką ormiańskiego pochodzenia Kim Kashkashian (współpraca z Krzysztofem Pendereckim). Altówki i Manu Katचे zabrakło, ale nostalgiczny saksofon Garbarka zrobił wszystko, by nawiązać do oryginału, razem z pozostałymi muzykami. To było przejmujące i wzruszające. Brüninghaus i Daniela słuchałem po raz pierwszy. Skupieni, wycofani, jakby zaakceptowali swoje miejsce w tle wielkiego Mistrza, ale kiedy w kolejnych utworach Garbark wypuścił ich do solowych popisów, okazało się, że drzemie w nich wielka moc, a widownia niemal wstawała z miejsc. A Trilok Gurtu (współpraca między innymi z John McLaughlin, Joe Zawinul) udowodnił, że tytuł najwybitniejszego żyjącego perkusisty świata, przyznany mu przez *Drum Magazine* w 1999 roku, nadal jest aktualny. Miałem miejsce niemal nad głową Triloka i gdy obserwowałem, z jaką wprawą poruszał się po swoich instrumentach perkusyjnych, wprowadzając



Jan Garbark, Yuri Daniel w Gdańsku, fot. autor



Zespół Garbarka w gdańskiej filharmonii, fot. autor

coraz to inne przedmioty (choćby wiadro z wodą), to czułem, jak brzmienia instrumentów wprawianych w ruch sprawnymi i szybkimi palcami indyjskiego muzyka przeszywają całe moje ciało. No i Jan Garbarek niewzruszony, dostojny, subtelny, skromny, przechadzający się między swoimi muzykami, niczym niewidzialny dyrygent panujący nad całością, zmieniając jedynie swoje saksofony i flety, by wspólnie odtworzyć to, co mimo że zapisane w nutach, to na scenie w improwizacjach nabierało nowych znaczeń i brzmień. Wszystkie utwory znałem, ale, co pewnie jest truizmem, na żywo zabrzmiały na nowo, oryginalnie i wyjątkowo. Magiczna uczta. By się chciało, żeby Jan Garbarek, skoro z polskimi korzeniami, był nasz i tylko nasz, ale na szczęście Garbarek jest światowy i uniwersalny. Ponad wszystko, ponad jazzem i ponad folkiem. Jest romantykiem światowej muzyki, który z każdej części świata potrafi uchwycić nutę i przerobić ją na złoto.

Tym bardziej, że i mojej ulubionej żonie rzecz przypadła do gustu, mimo wcześniejszych wielu obaw. Może jeszcze daleka droga do wspólnego słuchania Coltraina, Parkera, Hancocka, Milesa, Monka, Schortera czy innych jazzowych gigantów, ale dziś możemy z przyjemnością wspólnie słuchać Jana Garbarka, który wiele lat temu mnie zaczarował. Jest tu także miejsce dla Keitha Jarreta, a przede wszystkim dla naszego Leszka Możdżera.

Ani ja, ani moja żona nie jesteśmy muzycznymi recenzentami, nie możemy się też nazwać koneserami. Słuchamy tego, co nas wzrusza, porusza, zaciekawia, uspokaja, przeszywa ciarami, nawet jak na pytanie o pokoncertową recenzję jesteśmy w stanie powiedzieć krótko – To było piękne!

A jeśli kogoś nie przekonuje zawarte w tytule tekstu stwierdzenie o magii jazzu i ma jeszcze co do tego wątpliwości, to trudno.



Możdżer, Danielsson, Fresco na koncercie w Gdyni, fot. autor

Andrzej Kasperek



Żuławskie tajemnice według Rity Staszulonok

W lipcu 2021 roku w Żuławskim Parku Historycznym trafiłem na wystawę „Dziennik żuławski” nieznannej mi artystki. Rita Staszulonok pokazywała swe obrazy zainspirowane moim płaskim krajem. W „Prowincji” (2021/4) pisał o nich Leszek Sarnowski. Rok później miałem okazję poznać osobiście panią Ritę na promocji naszego kwartalnika w Małym Holendrze w Cyganku. Urzekła mnie jej otwartość i skromność. Nie chcę powielać stereotypów, ale odnajdywałem w niej cechy ludzi ze wschodu: prostolinijność, serdeczność, życzliwość. I ten miękki sposób mówienia, śpiewność... A gdy dowiedziałem się, że pochodzi z Białorusi, wszystko stało się jasne.



*Rita Staszulonok w swojej pracowni,
fot. archiwum prywatne*

Ta profesjonalna malarka, która stara się żyć ze swej sztuki, ukończyła Białoruską Państwową Akademię Sztuk Pięknych w 2005 roku. Z pewnością można wiele złego powiedzieć o sowieckich i postsowieckich akademiach sztuk plastycznych, ale jednego nie można im odmówić – świetnie uczyły warsztatu. To w Mińsku zdobyła umiejętności w technice witrażu, mozaiki, fresku, sgraffito, rysunku, malarstwa olejnego i temperowego. Po studiach pozostała kilka lat w swej uczelni ucząc w niej malarstwa. Od 2010 roku mieszka w Polsce. Jest członkiem Związku Polskich Artystów Plastyków. Maluje dużo, często wystawia, jest laureatką wielu nagród i stypendiów (niedawno po raz kolejny przyznano jej Stypendium dla Twórców Kultury Marszałka Województwa Pomorskiego). Chętnie bierze udział w rezydencjach artystycznych (ostatnio była na Wyspach Kanaryjskich). Jej prace wiszą w wielu muzeach oraz w kolekcjach prywatnych w Polsce i na świecie. Lista nagród, rezydencji i wystaw jest bardzo długa – dlatego nie będę jej tu przytaczał...

W lipcu zeszłego roku odwiedziłem artystkę w jej pracowni. W Pruszczu Gdańskim, w starych poprzemysłowych zabudowaniach, jest pracownia SLJ Budowa Organów; to firma jej męża – Szymona Januskiewicza, organmistrza. Obok w małym pomieszczeniu pracuje pani Margarita. Obok typowych dla pracowni malarza sztalug oraz słoików lub tub z farbami tu spotykamy coś innego – starannie poukładane białe deseczki, najczęściej

niewielkich rozmiarów. To dokładnie wyglądzone deski pokryte jasnym podkładem. Na nich maluje się obrazy z użyciem prawie zapomnianej dziś techniki tempery jajowej.

Tempera znana jest od starożytności, najbardziej popularna była w średniowieczu i we wczesnym renesansie. Jej stosowanie jest trudniejsze od malarstwa olejnego, gdyż farba szybko wysycha, ponadto jaśnieje po wyschnięciu i trudno jest dobrać i mieszać kolory. Gdy pytam, skąd zainteresowanie i wybór tego sposobu malowania, mówi: „Pracuję w różnych technikach, używając ich w zależności od celów i zadania które mam przed sobą, jednak moja ulubiona to tempera jajowa. Mnie bardzo fascynuje język plastyczny sztuki gotyku i wczesnego renesansu. A wtedy tempera to była głównym medium malarskim, póki nie wynaleziono farb olejnych. Moja przygoda z temperą trwa od czasu studiów, bo mimo tego że jest to pracochłonne i wymagające medium, ma swoje zalety: pozwala na szybkie schnięcie laserunków, z pomocą których osiąga się intensywność i głębię kolorów, daje świetlistość i szlachetność lustru malarskiemu. Dla mnie powierzchnia obrazu jest równie ważna jak jego idea. Każdy obraz ma warstwy farby i warstwy znaczeń, opowiada historie, które można odczytywać wielowątkowo. Takie podejście do malowania mam nie tylko w temperze, ale ona ma w sobie coś, co mnie urzeka. Odkrywanie tajemnic technologicznych i używanie ich w swojej pracy jest rodzajem dialogu z dawną sztuką. Idealnie gładki grunt pozwala na portretowanie najmniejszych szczegółów. Lubię aspekt rzemieślniczy tego medium: przygotowanie deski, gruntowanie, mieszanie farb z pigmentów na bazie kurzego jajka. W pewnym sensie dyktuje on charakter pracy, ponieważ etapy związane z technologią mają określoną kolejność, co wymaga cierpliwości, a jednocześnie to bardzo wciąga”.

Artystka nie używa gotowych farb, pracuje jak dawni malarze, którzy byli trochę podobni do aptekarzy i alchemików. Ucierali pigmenty, eksperymentowali z doбором składników, ustalali proporcje oleju, jaj, minerałów... Jest w tym coś niezwykłego, ot choćby używanie składników biologicznie czynnych. Wszak żółtko jaja kurzego jest źródłem energii, witamin i minerałów oraz kwasów tłuszczowych. Ma przecież wyżywić zarodek, nakarmić przyszłe życie.

Pewnie używanie takiej techniki ma wpływ na wybór tematów a także na liczne nawiązania do dawnego malarstwa, które często funkcjonują na jej obrazach na zasadzie cytatów albo wklejek, trochę jak w kolażach. Jej malarstwo bywa zadziwiającym połączeniem tradycji dawnych mistrzów z surrealizmem i dadaizmem. Jej tajemnica polega na tym, że te tak odległe tradycje wcale się u niej nie wykluczają, nie są antagonistyczne. Wręcz przeciwnie, one wchodzą w jakiś rodzaj dialogu, pojawia się jakaś synergia pomiędzy tymi osobnymi składnikami.

Chodzę po pracowni i oglądam jej dzieła, często to malutkie obrazy. Oczywiście użycie podłoża z deski ma na to wpływ, ale nie tylko. Te miniatury to także wynik zafascynowania przeszłością. Pytam, czy ma jakichś ulubionych malarzy, jakie są źródła jej inspiracji. Po chwili zastanowienia odpowiada: „To się zmienia na przestrzeni lat. Nie mam schematu i cały czas odkrywam coś innego, nigdy nie wiem co mnie zatrzyma i zachwyci. Kocham obrazy starych mistrzów, bo można ich oglądać bez końca: Piera della Francesca, Bruegla, Vermeera, Velazqueza... Zadziwia mnie ich kunszt”.

Na półce stoi kilka martwych natur. Jedna szczególnie mnie zachwyca. Kwiaty w wazonie z ornamentami z Delft. Na ciemnym tle cztery tulipany, ale nie byle jakie – to odmiana



Rita Staszulonok przy pracy, fot. archiwum prywatne

Semper Augustus – piękny biały tulipan z czerwonymi płomieniami. W czasie tulipanowej gorączki w Holandii płacono za niego krocie – był wart tyle, co dom z ogrodem w Amsterdamie. Symbol bogactwa, ale koło wazonu leży muszla ślimaka. Na martwych naturach symbolizują one śmierć i przemijanie. Jest też mały owad, symbol krótkości i nietrwałości życia. Wyjaśnia, że ten typ malarstwa nie jest najważniejszym tematem w jej twórczości, ale „czasem przyciąga i domaga się odzwierciedlenia. Używam jej raczej jak elementu złożonego obrazu. Fascynuje mnie to sekretne, subtelne życie. Bardziej odpowiada mi angielski termin *still-life* [ciche życie] niż martwa natura, bo nie uważam że jest martwa”. Rzeczywiście, motywy „cichego życia” można odnaleźć na wielu obrazach artystki.

I wreszcie muszę zadać najważniejsze dla mnie pytanie: Skąd się u niej wzięły Żuławy? Dlaczego tak często występują w jej malarstwie? Uśmiecha się i odpowiada, że: „to jest paradoksalnie, ale Żuławy zaczęłam malować jeszcze przed tym, zanim je poznałam. Już wcześniej przez moje obrazy przewijały się wiatraki, tulipany, wierzby, stare zegary, i przede

wszystkim atmosfera pewnej tajemniczości, która dla mnie jest bardzo wyczuwalna na Żuławach. A odkryłam je dzięki mojej przyjaciółce Mai Pietrasik, która jest pasjonatką regionu. Maja znalazła moje obrazy w internecie i przy spotkaniu powiedziała, że dużo w nich Żuław. Wtedy zaczęłam się interesować tematem, na nowo odkryłam dla siebie okolice, domy podcieniowe, historie mennonitów... Jestem szczęśliwa, że mam inspiracje tak blisko". Przecież Pruszcz leży na Żuławach Gdańskich.

Warto dodać, że Maja Pietrasik od lat z wielką pasją walczy o ocalenie domu podcieniowego w Kamionku Wielkim. Kocha Żuławy i pewnie dlatego właściwie odczytała na obrazach Rity Staszulonok te tropy. Pomyślałam, że skoro Pan Jourdain, bohater komedii Moliera pt. „Mieszczanin szlachcicem”, nie wiedział, że mówi prozą, to pani Rita mogła malować nizinne Żuławy nie wiedząc, że one istnieją. A swoją drogą zastanawia mnie to powinowactwo duchowe, jak można było odkryć w sobie niepowtarzalną aurę tej krainy, zanim się jeszcze ją poznało naprawdę. To jakiś czar, że „nizinne fluidy” zawędrowały do białoruskiej malarki i ovladnęły nią, poruszyły pewne struny wrażliwości i powstał magiczny świat będący połączeniem wiatraków, domów podcieniowych, wierzb i tulipanów, łodzi i kanałów. Kolorowy i melancholijny. Mój ulubiony obraz ma tytuł „Dziennik żuławski. Cisza”. Ta miniatura przedstawia cmentarną kapliczkę z Żuławek. Owa strażniczka wiekowej nekropolii jest schowana za drzewami. Całość emanuje spokojem, jest tu tytułowa cisza i świetnie oddany nastrój przemijania. To kwintesencja żuławskiej melancholii.

Pytam, czy można kupić tę temperę. I zamiast się ucieszyć, autorka się zafrasowała. Okazało się, że nie chce się pozbywać ulubionego dzieła. Kupuję obraz z tulipanami, mały wizerunek z Gdańskiem i liściem na prezent dla przyjaciół, i zaczynam negocjować. Stało się na tym, że obraz z kapliczką będzie wisiał w pracowni do Świąt Bożego Narodzenia a potem trafi do mnie. Pod choinkę. A pani Rita zobowiązała się, że sama go dostarczy. I jak tu nie lubić artystów?!

W czasie zimowego spotkania pytam ją o plany. Malarka odpowiada: „Och, to trudne pytanie, bo zawsze jest za mało czasu, żeby zatrzymać się i przeanalizować, jestem zwykle w trakcie kilku projektów. Planuję dalej malować. Teraz znów sięgam po inspirację do skarbów sztuki dawnej z Muzeum Narodowego w Gdańsku (uważnij przyjrze się portretem), maluję obrazy na wystawę inspirowaną rezydencją artystyczną na Teneryfie, składam dokumenty do różnych konkursów i rezydencji artystycznych, czekam na wiosenne wycieczki na Żuławy, na wiosnę w ogóle. Marzy mi się chociaż raz w roku odwiedzać znaczące wystawy i słynne muzea”.

Piszę te słowa i spoglądam na moją kolekcję żuławskich obrazów. Nie jest duża, ale wspomniane dwie małe tempere są jej ozdobą. Dziękuję pani Rito!

Dominika Lewicka-Klucznik

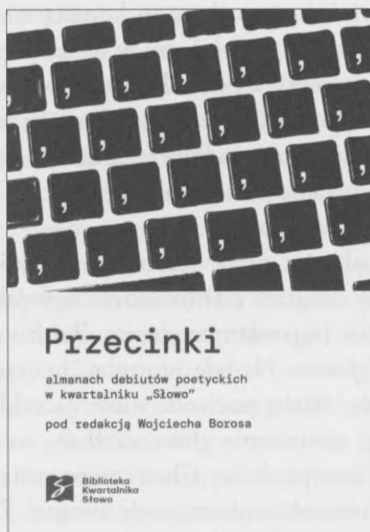
NIE CZEPIAJMY SIĘ PRZECINKÓW

Moja przyjaciółka ma zwyczaj mówić, że interpunkcja to jej Waterloo. Dlatego zdarza się, że dostaję wiersze, by dostawić to, co trzeba, a usunąć zbędne kreski czy kropki. Moglibyście powiedzieć, że przecież mogłaby z przecinków zrezygnować i wiersz by się obronił, ale siła przyzwyczajenia stawia na przerywniki nawet w przypadkowych i niezgodnych z regułami miejscach. Poza tym, gdyby tak wszyscy, to jakże zbędna okazałaby się praca korektorów i redaktorów. A tak nawet sztuczna inteligencja nie łapie meandrow polskiej interpunkcji.

ALE PRZECIEŻ NIE MIAŁO BYĆ O INTERPUNKCJI

Mam wrażenie, że od kilku lat wydaje się mniej antologii poetyckich. Pewnie przyczyn jest sporo, a na czele listy będą niezmiennie pieniądze. Pojawiają się oczywiście wydawnictwa pokonkursowe, kolejne tematyczne zbiory czy też reprezentatywne książki jakiegoś środowiska literackiego. I choć tego typu publikacja daje pewien szerszy kontekst i pozwala się zaprezentować wielu twórcom, to jednak może być pułapką. Nie mówimy tu o rywalizacji konkursowej, ale antologie z założenia są niespójne i dość nierówne – ciężko bowiem znaleźć klucz i dokonać selekcji. Tym bardziej, gdy z założenia ma się pojawić każdy...

Te miny skutecznie ominęły wydawcy almanachu debiutów poetyckich „Przecinki”. Przede wszystkim teksty i wywiady, ale o tym później, już zostały redakcyjnie obrobione



na etapie kolejnych numerów Kwartalnika „Słowo”. Poza tym poetki i poetów (a może należałoby napisać osoby poetyckie) łączy Trójmiasto. Książka staje się więc swoistym przeglądem tego, co nie tylko w najmłodszej poezji okołogdańskiej się dzieje. Bo choć mówimy o twórcach przed debiutem, jednak przekrój pokoleniowy jest dość duży. I to bardzo dobrze „Przecinkom” robi. Nie ma się wrażenia, że siedzi się na widowni slamu czy też bierze się udział w turnieju jednego wiersza, czy w innych wydarzeniach środowiskowych. Tu konwencje, język, motywacje i inspiracje mieszają się jak w tyglu. I dlatego też jest niemożliwością porównać wiersze dziesięciu osób, które się w almanachu pojawiły. Nie można też ich w jakikolwiek sposób hierarchizować. Tak jak nie powinno się zadawać pytania, dlaczego właśnie oni, a nie ktoś inny.

SUBIEKTYWNY PRZEGLĄD TRÓJMIASTA

Już sam tytuł „Przecinki” nasuwa wiele interpretacji. Oczywiście pierwszą jest interpunkcyjna, ale nie chciałabym się nad nią pochyłać, bo groziłoby to korektą wierszy na gorąco. Z przecinkami w tej książce jest dość dowolnie i pozwólmy autorom wziąć za to odpowiedzialność, tym bardziej że nie przeszkadza to w odbiorze, a daleka jestem od wytykania personalnie błędów. Może są one celowe? Kto wie.

Skąd więc tytuł? Zebrani w tej książce twórcy związani z Trójmiastem są w jakimś aspekcie jego ważnym głosem. Bardzo ważnym głosem. Na tyle istotnym, że czytając książkę, trzeba pozwolić sobie na oddech, pauzę, zawieszenie głosu, czyli to, co daje nam interpunkcja. Choć niepozorna, to w całości niezmiennie istotna. Znajdziesz tu, czytelniku, wiele światów, inspiracji i historii. Niekoniecznie wszystkie będą miłe, bo w większości wynikają ze zbyt czułego odbierania rzeczywistości i długiego lizania się z ran. Poza tym poetki i poeci, zapraszając na swoje kartki w książce, będą zmuszać do szukania kontekstów, odnajdywania się w popkulturze, sztuce, historii, topografii miejsc. Zarówno tych bliskich, jak i zupełnie egzotycznych.

W tych odczytaniach niewątpliwie pomogą wywiady, jakie poprzedzają odautorские prezentacje. Pozwoliłam sobie nawet na omijanie biogramów, za co serdecznie urażonych przepraszam, bo bardziej niż wyglądzone wizytówki interesowało mnie, co poeci i poetki mają pod skórą, bo to najlepszy wstęp do wejścia w intymny świat między słowami.

PRZESTAWIAJCIE TE PRZECINKI, JAK CHCECIE I CZYTAJCIE W DOWOLNEJ KOLEJNOŚCI

Wojciech Boros, redaktor almanachu, otwarcie mówi, że przecinkowa dziesiątka to efekt jego osobistych poszukiwań i wsłuchań. Jest więc dość subiektywnie, aczkolwiek różnorodnie. W książce bowiem, tak jak na trójmiejskich spotkaniach literackich, dzieje się bardzo dużo. Redaktor nie ukrywa też, że pomysł z wywiadami poprzedzającymi set tekstów nie jest nowością, ale dobrze, że ta formuła nie została odłożona ad acta, bowiem daje świetną bazę do odczytań. Okazuje się, że twórca jest równie ciekawy jak tworzywo. I jeszcze jedno, ci ludzie się znają i pewnie w większości lubią, a to sprawia, że w takim towarzystwie warto się pojawić. Ja, z pewnym nadbagażem tychże znajomości i sympatii, miałam wrażenie podczas lektury, że słyszę jak Julia, Wiktorina czy Marcin czytają wiersze na scenie. A to dobry bonus.

Niewątpliwie almanach „Przecinki” jest bardzo ciekawym zapisem pewnej epoki tu i teraz. I niewątpliwie kondycja współczesnego świata (człowieka) we wszystkich językach poetyckich tej książki brzmi bardzo wyraźnie. Podkreślają to też poetki i poeci w wywiadach. Niewątpliwie redaktor prowokuje też do pewnych deklaracji twórczych, szuka inspiracji i kontekstu, podpytuje o słamy i inne aktywności nie tylko poetyckie, a także podbija marzenia o debiutanckiej książce. I ciężko nie ulec przekonaniu, że ta dziesiątka jest na takie wydawnictwo już gotowa.

O PISANIU, CZYTANIU I ŻYCIU

Oczywiście poza kontekstem miejsca na mapie, stanu przed debiutem czy pewnej twórczej aktywności – w końcu dali się

odkryć – mogłoby być ciężko znaleźć jakąś wspólną nić łączącą poetki i poetów. Każda kolejna lektura „Przecinków” odkrywa kolejne warstwy. Już nie czyta się znajomych i nie słyszy się w myślach, jak czytają oni dany tekst ze sceny, a wnika się w świat. Być może właśnie chodzi o to, o czym wspomina w wywiadzie Patrycja Oryl, że *wiersz innego poety musi wywołać we mnie emocje, zabołość, wywiercić dziurę w bezpiecznym postrzeganiu świata. Słowa muszą być nagie...* W mnogości poetyk ta szczerłość właśnie może być najcenniejsza. Natomiast Marta Kędys dorzuca, że *poetą nie da się zostać. Poetą się rodzisz. Czy wystarczy mi ta świadomość?* I niezależnie od czasów czy pokoleniowych zawiłości temat twórcy i tworzywa, a czasem też czytelnika – choć akurat ten nie wszystkich bohaterów tej książki specjalnie interesuje, wraca jak mantra. Być może wynika to z potrzeby opowiedzenia siebie w sposób jak najuczciwszy – dla siebie przede wszystkim.

W pisaniu przecież nie zawsze chodzi o to, żeby skłonić do rozmyślań nad swoim tekstem, ale wzbudzić zainteresowanie też tym, co przekazują inni mówi Zuzanna Kruczyca, a Zofia Konicka idzie jeszcze dalej twierdzeniem, że *poezja komplikuje życie. Sama sobie je komplikuję, wchodząc coraz głębiej w wątki, które poruszam w tekstach, często rozgrzebując rany. To trochę szukanie dziury w całym.*

Nie da się także nie zwrócić uwagi na jeden z nielicznych w przypadku tego almanachu wspólnych mianowników. A jest nim scena slammerska. Niewątpliwie Gdańsk jest na mapie Polski silnym ośrodkiem, a kolejne pokolenia śmiało rozbijają bańkę poetyckiej rywalizacji, która wciąga zarówno twórców, jak i słuchaczy. Jest bowiem szalenie angażująca. Wiktoria Eulalia Dąbrowska zwraca uwagę, że *być może jest w tym (w slamach) coś z „konieczności artystycznej” – gdy piszę*

nowy tekst, zawsze wyobrażam sobie jak wybrzmi na scenie i ile różnych interpretacji powstanie. Jeśli jest to w jakiś sposób wciągające czy uzależniające, to faktycznie Trójmiasto ma ten potencjał. Slamy odbywają się zarówno w lokalach, jak i w centrach kultury i bibliotekach, a także w mniej oczywistych miejscach takich jak chociażby plaża. I można uwierzyć, gdy Grzegorz Bronakowski pisze: *Czasami opowiadam bajki w środku nocy, zdarza mi się sięgać po mikrofon i improwizować wiersze, kiedy nikt ich nie słucha, zdarza mi się gadać wiersze do morza, śpiewać piosenki na peronie, lub recytować coś bezdomnemu.* Przypadkowość, losowość, a czasem wymyślanie tekstu na potrzeby danego momentu to w tym środowisku żadna nowość. Często można usłyszeć wiersz, którego nie było i nie będzie w jakiegokolwiek innej formie niż minuta na scenie. Świetną pointą jest myśl Zofii Konickiej – *Największe wrażenie wywierają na mnie teksty performatywne, w oprawie scenicznej z teatralnym charakterem. Treść tekstu stoi dla mnie na równi z prezentacją. Lubię czuć się na slamie jak w teatrze, z tą różnicą, że na slamie się to nie udaje.*

Marta Kędys w wywiadzie mówi: *Lubię trzymać dystans do świata, przyjmować wszystko, co mnie spotyka ze spokojem. Nie chciałabym, abym lekturą moich tekstów przysparzała komuś bólu głowy. A jeśli tak się dzieje, polecam jako odrutkę filmy Tima Burtona.* Natomiast Marcin Makowski zauważa: *chcę i lubię być czytany, ale ostatnio mam jeszcze taką myśl, żeby być wśród ludzi jako człowiek, jako istnienie i to jest dla mnie ważniejsze.* W całym tym poetyckim zawirowaniu być może tu jest pewien „przecinkowy” manifest. Osoby piszące rzadko chowają się za metaforą, nie udają, a raczej poszukują swojego miejsca. Choć to jest i będzie się zmieniać. Nawet powinno.

DZIESIEĆ ŚWIATÓW W JEDNEJ KSIĄŻCE

Nie chcę zastanawiać się, czy w tym almanachu są lepsi i gorsi twórcy. Wszak jest to kwestia subiektywna, a książka nie do porównań została wydana. Nie mówimy też o pokonkursowych zestawieniach z miejscami. To dlatego właśnie krzywdą byłoby jakieś zestawienie z próbą wartościowania. Muszę też się oderwać od prywatnych sympatii i wrażeń, bo sporą część zamieszczonych w „Przecinkach” wierszy już słyszałam. Tym samym efekt pierwszego wow mam już za sobą. Postanowiłam więc, że podejść do tematu metodycznie i dość sprawiedliwie, czyli o każdym coś i to w zgodzie ze spisem treści.

Patrycja Oryl przykuwa moją uwagę przede wszystkim silną rytmiką tekstu i krótką frazą. To pewnie sprawia, że przewijający się motyw miasta tętni tuż pod skórą. A w nim człowiek w pośpiechu, zagubieniu, poszukiwaniu. W wierszu miasto podmiotka liryczna mówi Łódź się rozpada / jak ja, / gdy tracę wątek / i nie pamiętam, / która to nić. I na próżno szukać tu uniwersalizmu. To miasto jest bowiem jakąś pokoleniową tubą. Tu czuć jeszcze postpandemiczny ferment wyrosły na niełatwej historii. I być może właśnie ten rytm jest bazą do poetyckich poszukiwań, a może też do pewnej gry ze sobą. Finalnie czytamy *A ja ledwo sklejam sylaby / z tego, że świat mnie oswoił / z tym, że ciągle jest pod górkę, / że można nie dopinać spodni, / miłość może trwać krócej niż spojrzenie...* (Gra). Patrycja Oryl rewelacyjnie prowadzi po popkulturze, własnym świecie, a snute opowieści są pewnym obrazem zatrzymanym w kadrze. Tak, na jej książkę warto będzie poczekać.

W wywiadzie poprzedzającym prezentację wierszy Julia Marczak mówi: *czasem człowiek potrzebuje znaleźć się w ciemnym,*

*a tej ciemności, mam wrażenie się unika [...] Uważam, że w kulturze jest już dość pudru i wyidealizowanego cierpienia. A przecież życie bywa bardzo nieładne. I tak właśnie jest brzydko, ale nie tak jak u Grochowiaka. Jest realistycznie, czasem naturalistycznie, ale w granicach możliwych przez osobę mówiącą w wierszu do przełknięcia. Czytelnik też sobie z tym poradzi, bo Marczak szuka swojego sposobu wyrazu – od intymnych zwierzeń po ponury obraz świata. Od krótkiej ascetycznej frazy do rozbudowanej niemalże prozaicznej formy. W wierszu „Mój chłopak zamieszkał w komputerze” żali się: *Nie pamiętam już jak wygląda ludzka twarz / w świetle dnia. Znam tylko ten obraz / jego gładka skóra i niebieskie usta / wiecznie otwartych stron.* A na tym się nie da zbudować ani domu, ani szczęścia. Intymność wyznania i przeważająca pierwszoosobowa forma wypowiedzi każą w pewien sposób pochylić się nad historią podmiotki. Szczególnie mocno to czuć, gdy mówi ona *myślę wtedy / jak to jest być drogą / która nie wie gdzie do celu.**

Jeśli spojrzycie kilka akapitów do góry, to przypomnicie sobie, jak Marta Kędys mówi o dystansie do świata. Wymaga tego od czytelnika, tak jak oczekuje swobodnego poruszania się po kontekstach. Tu dzieje się sporo, choć oczywiście dobry wiersz też się wybroni, jeśli nie będziemy odczytywać podskórnych warstw. Niewątpliwie (może też z racji pokoleniowej bliskości) poczucie humoru i pewnego rodzaju gra fantazmatami u Marty pociąga mnie najbardziej. Czytam *gołębie robią syf na balkonie / z dostępnych metrów świata / wybrały właśnie mój / biorę aparat / mój chłopak tego nie rozumie* (znak pokoju) i uśmiecham się do siebie. Doskonale czuję tę ironię, tę pewną niesprawiedliwość dziejową. Z drugiej strony w innym wierszu Marta Kędys dopuszcza do głosu swoje wyczulenie na drugiego

człowieka. Współczesnego człowieka. Pisze
czytam bruzdy na twarzach / obojętnych pasażerów / słyszę jak odliczają półgłosem / umykające przystanki / węzeł ofiar grudnia / jak co dzień zostawia ślad / pętla zamyka oczy. I jakże jest to bliskie codzienności wielu z nas.

Wiktorija Eulalia Dąbrowska, wprowadzając czytelnika w swój poetycki świat, podkreśla: *od zawsze intuicyjnie szukałam prawdy poprzez proces twórczy – kiedy zaczynałam pisać pierwsze wersy, to wiersz zaczynał prowadzić mnie do miejsc, uczuć i pytań wcześniej niedostępnych.* Przy lekturze czujemy też, że poetka ma gotowy materiał na książkę, być może nawet dwie. Wiersze są świadectwem poszukiwań i śmiałego meandrowania po inspiracjach i stylistykach. Trochę jak na slamie – takie brnięcie w to, co akurat trafia do słuchacza. Kilka wierszy już pokazuje, że zarówno forma, jak i tematyka są bardzo płynne. Intymnie podmiotka liryczna wyznaje: *Wytłumacz tak, abym nie zrozumiała / wygięła ciao w pytajnik / z kropką tam, gdzie chcesz bywać / zamiast trwać.* (otwórz mi oczy na szerzej) Nie wiem, czy tylko mi się tu włącza jakaś analogia do tytułu almanachu i interpunkcyjnych dywagacji. Skądinąd ciekawe zestawienie. W męsko damskim świecie Dąbrowskiej jednak nie zawsze jest przyjemnie, a wiele historii kończy się po prostu rozczarowaniem. Wystarczy przywołać fragment tekstu „patrz patrz”: *kto by teraz wspominał / zesztoroczne lato w cudzym ogrodzie czerstwego / od suszy chleba smak / kubków na języku głodnych / niejadalnych części / kłęski bezpłodnych płonów,* by w intymnym wyznaniu dostrzec po prostu samotność.

Niewątpliwie „Przecinki” są sfeminizowane. Chciałabym powiedzieć na szczęście, ale się ugryzę. Natomiast parytety nie są zachowane, co nie jest ani ujmą, ani zaletą. Marcin Makowski jest jednym z dwóch poetów w tym almanachu i te męskie głosy ciekawie dopełniają całość. U Marcina widać też szerszą frazę, a wiersz snuje się niczym opowieść. Zresztą

poeta nie ukrywa swoich prozatorskich zapędów. Niewątpliwie jednak męskość jest na pierwszym miejscu. Makowski pisze: *nie mówili nam wtedy, że będziemy krzywdzić innych samym istnieniem / że bycie mężczyzną to patrzyenie na piersi / pocięte żyłką w głębi mięsa / i mówienie sobie: to nie moja wina / potem krew wsiąka we wstążki szarego papieru toaletowego / (to nie jest wiersz, tylko dokument)* (Pepsi), by w innym wierszu „Szumowina” dodać *mnie się wybiera / mnie się odczeka / żebym był klarowny i bez skazy / mnie się studzi i dmucha na zimne / mną się nie zajmuje póki nie wrze / żebym nie przywieriał.* To prawdopodobnie jeden z najbardziej spójnych zestawów. Tak jakby prezentacja w „Słowie” nie miała być przebieżką po tym, co się umie.

Gdy czytałam Zuzannę Kruczycę, nie mogłam oderwać się od jej głosu, który po szarych komórkach mi chodził. Myślę, że to jest efekt jej charakterystycznego brzmienia i samego wyglądu, który na scenie przyciąga uwagę. Zresztą cieszę się, że sama mówi o słabości do czerwonej szminki i już nie trzeba się na tym skupiać. Zaczepia też czytelnika hasłem: *Wciąż sprawdzam, a nie sprawdziłam.* Sam zestaw tekstów, jaki w tym almanachu został zamieszczony, jest niewątpliwie odpowiedzią na walkę kobiet o swoje prawa, które przez kilka ostatnich lat były na celowniku rządzących. Być może Zuzanna nie chciała by, by przyczepiać jej etykietkę społecznego zaangażowania, ale niewątpliwie wiersze są bardzo wyraźnym głosem w obronie. Głosem, który boli. Bo wiem *małe kobietki tykają tabletki / nie dorastają do pięt mężczyzn / dorastają do pięt mężów / nie dorastają do wielkich wierszy / dostają jak im się należy* (małe kobietki). W innym tekście podmiotka liryczna wyznaje: *czuję go pod skórą / to podobno objaw psychosomatyczny / nie powinnam się przejmować jeśli zabije / drugie serce pod drugim zębem.*

Obecnie mam tendencję do nadmiernego uylewania słowa na papier. Teksty są

rozbudowane, bo i myśli są rozbudowane mówi w wywiadzie Weronika Sikorska. Podkreśla również plastyczne inspiracje, a także pewnego rodzaju poszukiwania między formami. Moją uwagę zwróciło też wyznanie, że to *poezja jest dla mnie jak szklanka wody, którą codziennie muszę wypić, żeby nie umrzeć z pragnienia*. I to widać i slychać, gdy Black Salma (pseudonim artystyczny) na scenę wychodzi. W tekstach jest gęsto, rytmicznie i często bardzo prozatorsko. Może sama idea slamu zbliża performance właśnie do epiki, a może tu najbardziej zaciera ją się już gatunkowe zasady. A może wcale ich nie ma. Poetycko Weronika Sikorska prowadzi czytelnika pewnie, choć próżno w tekstach szukać subtelności. Każde słowo jest na ostrzu noża i niewątpliwie sama forma też ma przykuwać uwagę. Wyznanie:

*Nie wiem czym sobie zasłużyłam, ale na jednym siniaku zapisało się / NIE WIDZIEĆ TO NIE TO SAMO CO ZAPOMNIEĆ, a na drugim / ROZCZAROWANIE TO SKUTEK NIEZASPOKOJONEJ TĘSKNOTY. / Oba fioletry zaczęły się zastanawiać, jak pachniałby czarny kolor od przemocowej miłości z pewnością będzie krzyzczyć caps lockiem, ale samo ujęcie tematu powoduje empatyczne chowanie się ciała w sobie. Wiemy doskonale, że boli, a podmiotka liryczna wcale nie ma ochoty udawać, że siniaki są przypadkiem. To jest właśnie ta szczerść, której czasem próżno szukać, gdy zastanawiamy się, czy wypada o wszystkim mówić głośno. Inny wiersz bez tytułu kojarzę właśnie ze slamów. Zaczyna się tak: *Babcia nie byłaby zadowolona, gdyby dowiedziała się, / że popołudniami rozmawiam z wiedźmami / Babcia nie chciałaby, żebym z nimi rozmawiała / Ale ja znów do niej poszłam, bo kurza łapka była moją przychodnią na NFZ / Chatka z niejadalnego piernika stała przy ulicy Nadmiernej Skłonności / Do Introspekcji*. I jak tu nie ufać genom?*

Ksandrine w wywiadzie podkreśla, że *poezja jest dla mnie miejscem ciszey, to znaczy takim,*

gdzie dzieje się dużo i słowa się sypią na głowę, ale nie ma w niej obsceniczności, a przede wszystkim wulgaryzmów i tu mogłabym określić siebie mianem poetki retro. Oczywiście nie chodzi o poetykę czy klasycystyczne formy, ale raczej o pewien klimat, w którym podmiotka liryczna czuje się bezpiecznie. To istotne, ponieważ, jak mówi, *dzięki wieloznaczności, jednocześnie dalej wyrażam to, co najbardziej tkliwe i prawdziwe, schowane, bolesne i nadwyrężone*. A może to być dość niewygodne. Wiersze są mocno odautorskie i swobodnie mogą się mieścić w szufladce poezja konfesyjna, choć Ksandrine dość odważnie na tej konwencji gra. Pisze: *Moja matka ma córkę – kogoś ubranego w słowo – / krwawa pestka, słone oczy, dalekie gwiazdy. / Córką się wyludnia, wyprowadza swoje litery, wypróżnia wyraz, / traci znaczenie, rozpada się, spada, wyrzuca, wytrąca...* (Córki) Kolejne wyliczenia budują napięcie, ale też pokazują, że język jest jednak niewystarczający, by się dookreślić. Zresztą motywy ciała pojawia się też w wierszu „Bachanalia” i podobnie dość poszarpana fraza niekoniecznie zostawia miejsce na oddech: *rozkładam cytrynowe sylaby na bruku, gramatyka / ciało rozchodzi się w neonowych świetłach, / a ty – rozciągasz noc na różowo w moich włosach. / Biało-czarne kadry, splecione ręce – suche gardło – / nie chcę Tęgo kończyć*

Drugim męskim głosem jest Grzegorz Bronakowski. W wywiadzie przyznaje, że *moje książki (których nigdy nie wydałem) to były patchworkowe połączenia wiersza, prozy i dramatu, a nawet przeplecione utworami rapowymi* i każdy, kto z tym poetą miał kiedyś do czynienia wie, że te muzyczne wycieczki nie są na wyrost. Dość mocno też brzmią wiersze zarówno te oszczędne w formie, jak i bardziej rozbudowane. U Grzegorza Bronakowskiego nic nie jest oczywiste, a zabawa konwencjami niektórych może nawet szokować. W wierszu „super hero” zaskoczy niewątpliwie zestawienie chłopięcych zabaw z tymi właściwymi

dorośli (aczkolwiek niekoniecznie dojrzałym) chłopcom. Podmiot liryczny wyznaje: *kiedy byliśmy dziećmi / bawiliśmy się w super bohaterów / ale ze mną nie chciano się bawić / ani w miłość do ojczyzny ani / w ucieczkę z Auschwitz. W innym tekście będzie o miłości, ale nie tak prosto w oczy, a frazy *kiedy wychodzę zamykam na klucz / nie żebyś nie uciekła / aby nie wdarł się świat / pies patrzył z wyrzutem / żeby za chwilę ostentacyjnie tęsknić / jak ja kiedy ty wyjadiesz* (Banalne wierszyki) spokojnie mogłyby się znaleźć na okolicznościowych giftach.*

Dziesiątkę zamyka Zofia Konicka. I tu też jest najwięcej prozy. Oczywiście długa rozbudowana fraza nie robi krzywdy poetyckości ani sile wyrazu. Podmiotka liryczna jednym tchem wyznaje: *Boję się ciemności i światła w tunelu, zawsze myślę, że to pułapka / Boję się składu ulubionego dżemu, dlatego nigdy go nie sprawdzam / Boję się ciasteczkowych wróżb i sentencji na*

zakrętcie Tymbarka, / pustych przepowiadni, i że w miejscu wiersza zostanie pusta kartka (Potwory i spółka). Oczywiście sam tytuł już jest jakimś pokoleniowym osadzeniem, ale przecież wszyscy czytamy to doskonale. To balansowanie na motywach znanych z wielkiego i małego ekranu u Konickiej jest szczególnie widoczne. Z drugiej strony świetnie poetka wplata je w tłumaczenie sobie (a może też czytelnikowi) świata. Finalnie, *a my będziemy oglądać, / bo samotność najlepiej przeżywa się z serialem, / takim dziesięciosezonowym* (O życiu jak z filmu i życiu filmem). Nie darowałabym sobie też, gdybym nie zwróciła uwagi na słowotwórcze i brzmieniowe cudelnka w wierszach. Zobacz, jak to płynie: *i znowu czeka mnie czekanie / aż rana się zablizni, / a bliźni z drugim bliźnim rozumieją / „piąte nie zabijaj”, / trochę późno, bo już umieram*, (Gdyby Ziemia była kobietą, pewnie chciałaby to powiedzieć)

I kropka.

Piotr Napiwodzki

PARĘ OSOBISTYCH SŁÓW O SŁOWACH SZEMRANYCH BEATY LANGOWSKIEJ

Beata Langowska, Słowa szemrane, Biblioteka kwartalnika Prowincja, tom XII, Sztum 2022.

Dobrze mieć wśród nas poetki i poetów. Dobrze jest, gdy ktoś przypomni, że ta nasza codzienna paplanina to jeszcze nie wszystko, na co stać nasz język.

Przypuszczam, że nie jestem pierwszy, który używa takiego porównania, ale dla mnie osoba pisząca poezję niejako zarzuca na rzeczywistość sieć ze słów. Łapie w nie to, co ważne, co być może niedostrzegane,



co zwykle umyka uwadze. Nazywa, zapisuje, pozwala wybrzmieć. Czasami są to rzeczy zbyt osobiste, aby mogły być uniwersalne, niemniej najczęściej są w stanie dotknąć jakąś część czytelników albo coś w czytelnikach.

Poezja Beaty Langowskiej dobrze wpisuje się w ten obraz. W pierwszym wierszu tomiku mówi wprost: „Nie licz na moje słowa”. To być może ogólna recepta na czytanie poezji: ucieszyć się nią, ale nie przywiązywać się do poszczególnych słów czy wierszy. Niech będzie jak łyk wody – niezbędny, ale chwilowy, pomagający w tym, aby ruszyć własną drogą, ale już jako człowiek bardziej wrażliwy, bardziej uważny, bardziej gotowy do „samodzielnego wykuwania słów”. Niemniej Autorka prowadzi nas swoimi ścieżkami i nie jest to krótka wędrówka. Tomik to prawie sto wierszy, utrzymanych w różnym nastroju – część jest owocem obserwacji otaczającego świata, część odnosi się do konkretnych ludzi, inne są reminiscencją klasycznych lektur. Wspólnym elementem dla większości z tych krótkich form poetyckich jest końcowy wers czy też wersy, które często w niespodziewany, zaskakujący sposób, z dużą dozą przekory, w swoisty sposób podsumowują wiersz, a zarazem stanowią dla niego antytezę, czasami pełną humoru, czasami smutną, czasami całkowicie oderwaną, a przez to tworzącą więzy między pozornie obcymi sobie zjawiskami. To interesujący motyw – czytając większą ilość wierszy Beaty Langowskiej czeka się na ten finał i za każdym razem jest on czymś nowym i świeżym. Wiersze „rozwijają się” w swoim tempie, do którego także można się przyzwyczaić. Jest w tej drodze sporo skrótów, trochę cytatów z otaczającego świata, być może nie wszystko od razu daje się uchwycić, ale to dobrze. W końcu do poezji można, a nawet należy, powracać.

Wiersze te bywają w swoisty sposób drażniące. Być może w ten sposób interpretuję zawarty w nich element kobiecy, pewną bezkompromisowość w opisywaniu emocji, dążenie wprost do ukazania pragnień i tęsknot, które bywają przewrotne, zaskakujące, tajemnicze. Sprowokowane są zaś przez często neutralne sytuacje, przez zwykłe krajobrazy czy spotkania, które zyskują rangę czegoś, co pozwala na wyzwolenie energii bawiącej się wrażeniem, bawiącej się samym opisem, a także jego skutkami, wrażeniem, które wywiera sam opis. To wielokrotnie zapętlona gra – tym lepiej, trudno się przy takiej lekturze nudzić. Słowo „szemrany” sugeruje w pierwszym znaczeniu oszustwo, to, że w tej grze karty mogą być znaczone. „Szemrany” to także „nielegalny”, „podejrzany”, w kolejnym nasuwającej się intuicji – „szemranie” to cicho wyrażane niezadowolenie, i dopiero gdzieś dalej mamy szemrzący strumień ożywiającej wody. Być może taka jest właśnie kolejność szukania w poezji prawdy – „nie licz na moje słowa / każda litera to przechera”.

To specyficzna sytuacja, gdy chociaż trochę zna się osobę, która pisze czytane przez nas wiersze. Z konieczności podkładamy pod słowa wspólne obrazy, domyślamy się szerszych kontekstów, próbujemy coś zinterpretować w oparciu o coś, co wiemy spoza wierszy. Zastanawiam się, czy to nie pułapka i czy w gruncie rzeczy nie jest to zakłócenie procesu wchodzenia w wiersz. Być może. Przyglądając się jednak tym samym krajobrazom, można zadać sobie pytania – czy sam bym tak potrafił? To zawsze warty spróbowania owoc każdej lektury, zwłaszcza lektury poezji, a mianowicie namysł nad własnym spojrzeniem, nad własną wrażliwością, nad sposobem używania słów. Na ile są to słowa „szemrzące”, a jeśli tak, to w jakim znaczeniu, dla kogo, po co i dlaczego?

Dobrze mieć wśród nas poetki i poetów. Dobrze też, gdy się poezje wydaje, aby można się było samemu przejrzeć w słowach być

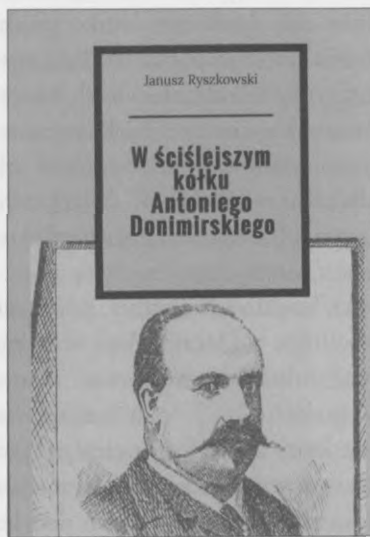
może „szemranych”, być może „szemrzących”, a zwykle zaskakujących i wykraczających poza codzienne schematy.

Andrzej Lubiński

DONIMIRSKI WIELOWYMIAROWY

Janusz Ryszkowski, W ściślejszym kółku Antoniego Donimirskiego, Sztum 2024.

Rodzina Donimirskich herbu Brochwicz osiedliła się na ziemi sztumskiej w latach 60. XVIII wieku. W kolejnym wieku jej przedstawiciele mają swoje majątki w Cygusach, Buchwałdzie (Bukowie), Czerninie, Zajezierzu, Ramzach Dużych i Ramzach Małych. Zasłynęła z tego, że aktywnie włączyła się w polski ruch narodowy. Bracia Teodor i Piotr Alkantary Donimirscy, urodzeni w Bukowie, należeli do władz Ligi Polskiej, która powstała w okresie Wiosny Ludów. Teodor wchodził w skład władz centralnych Ligi mającej siedzibę w Wielkopolsce, Piotr Alkantary kierował Ligą na ziemi sztumskiej. Władze pruskie w osobach prezesa rejencji kwidzyńskiej Jakuba von Nordenflychta i starosty sztumskiego Henryka Jerzego Rittberga były zaniepokojone działalnością Tymczasowego Komitetu Narodowego Prus Polskich w Chełmnie. Obawiano się, że polska ludność poprze działania zbrojne przeciw Rosji. Władze zgodziły się na zorganizowanie przez Piotra Alkantarego na dziedzińcu sztumskiego zamku w dniu 3 kwietnia 1848 roku polskiej manifestacji. Zebrało się wówczas 2785 mieszkańców, o czym donosił w liście do władz w Berlinie prezes rejencji. Po otrzymaniu zapewnienia o uchwaleniu pruskiej konstytucji, gdzie ludność polska uzyska pewne prawa autonomiczne, zebrani przysięgli wierność monarsze pruskiemu. W tym



czasie Antoni Donimirski, syn Teodora, miał dwa lata. Po odebraniu wykształcenia domowego podjął naukę w Gimnazjum Chełmińskim, ciesząc się wysokim poziomem nauczania. Uczył się w nim jego starszy brat Edward i kuzyn Henryk Donimirski z Zajeziersza. Obaj z ław gimnazjalnych poszli do Powstania Styczniowego. Antoni po maturze rozpoczął studia (kameralistyka) we Wrocławiu, ukończone z tytułem doktora w Berlinie.

Autor omawianej książki przedstawia „ściśle kółko”, w którym na różnych etapach życia obracał się Donimirski. Nie jest to typowa biografia, rozpoczynająca się od narodzin po kres żywota. Są to bardziej szkice do biografii, które składają się na pasjonującą

i pełną dygresji opowieść. Rozpoczyna się ona pod koniec I wojny światowej w Wiedniu, kiedy Eugenia z Benisławskich Leszetycka redaktorowi pisma „Kunst und Leben” udzielała wywiadu o Teodorze Leszetyckim, drugim swoim mężu, sławnym muzyku i nauczycielu gry na fortepianie (m.in. Jana Paderewskiego), młodości spędzanej z rodzicami w okolicach Dyneburga w Polskich Inflantach i Moskwie. Tylko wzmiankuje o swoim pierwszym małżonku, Antonim Donimirskim, dyrektorze banku polskiego w Toruniu, którego porzuciła dla Leszetyckiego. Czyżby kilkuletni związek naprawdę nic dla niej nie oznaczał? Niekoniecznie tak być musiało, a w wywiadzie-rzecz w odcinkach dla „Kunst und Leben” (była przepytывana przez kilka lat) znalazły się tylko wątki związane z Leszetyckim i muzyką.

Nie brakowało ich również, gdy zamieszkała po ślubie z Donimirskim w Toruniu. Eugenia, młoda utalentowana pianistka, dała w grudniu 1877 roku koncert charytatywny, który spotkał się z ciepłym przyjęciem ze strony słuchaczy. Z kolei miejscowy kapelmistrz Jan A. Jędrowski dedykował jej utwór na fortepian „Marsz Eugenia”. Oczywiście trudno to porównywać do suity „A la Compagne”, którą ofiarował jej później Leszetycki.

Ale i dla Donimirskiego ten związek miał dość nieoczekiwane konsekwencje. Podróżując z małżonką w roku 1879 po jej rodzinnych stronach (Polskie Inflanty) zainteresował się Antoni malowniczymi ruinami zamku Marienhaus, a już bardziej dokładnie niedalekim dawnym cmentarzyskiem. Tak został pionierem badań archeologicznych na tym terenie. Jego śladem podążył Zygmunt Gloger, z którym Donimirski konsultował znaleziska, zanim omówił swoje odkrycia w na posiedzeniu wydziału historycznego Towarzystwa Naukowego w Toruniu, którego był współzałożycielem. Donimirski,

co warto podkreślić, był w składzie polskiej delegacji na Kongres Antropologii i Archeologii Przehistorycznej w Sztokholmie w 1874 roku.

Inny szkic próbuje naświetlić okoliczności niespodziewanej rezygnacji Donimirskiego z kierowania bankiem polskim w Toruniu (współzałożycielem i firmowym był jego ojciec Teodor) i wyjazdu zagranicę. Do tej pory nikt nie podjął tego tematu, a badacze podnosili jedynie wybitne zasługi Antoniego dla tej polskiej placówki finansowej. Ryszkowski przytacza listy Adama Lwa Sołtana do Józefa Kraszewskiego, z których wynika, że Antoni doprowadził do utraty przez bank 65 tys. marek i w konsekwencji tego upadku. Pewne światło na ten problem rzuca „Mój małańki pamiętniczek” Ireny z Czarlińskich Iwickiej. Jej rodzice za namową stryja Emila i Antoniego kupili majątek Bielawy. Transakcja kupna nie do końca była przejrzysta.

Antoni zamieszkał z żoną Eugenią w Wiedniu i zajął się dziennikarstwem. Redagował kolejowe pismo branżowe, pisywał teksty do „Niwy”, „Tygodnika Ilustrowanego” w Warszawie, „Kraju” w Petersburgu, „Przeglądu Powszechnego” w Krakowie. Ale cały czas planował, że osiadzie w Warszawie. Jesienią 1883 roku korespondował z przyjacielem Mściśławem Godlewskim w sprawie przejścia kierownictwa warszawskiego organu konserwatystów – dziennika „Słowo”. W tym czasie redaktorem był Henryk Sienkiewicz, ale z uwagi na chorobę żony i wyjazdu do uzdrowisk nie mógł poświęcić się całkowicie pełnieniu tej funkcji. Donimirski po rozstaniu się z żoną w 1886 roku osiadł na stałe w Warszawie. Objął kierownictwo konserwatywnego dwutygodnika „Niwa”, by następnie przejąć redagowanie „Słowa”, co potrwa aż do śmierci w 1912 roku.

Interesujący jest szkic dotyczący Teodora Leszetyckiego. Ówczesna żona Donimirskiego podjęła u niego studia, jeszcze zanim trafił

przed oblicze słynnego w Europie i Ameryce pedagoga Ignacy Paderewski. Nawiasem, wrażliwy na kobiece wdzięki Paderewski bardzo złośliwie wypowiadał się o Eugenii, która uchodziła za piękność. Ona też odnosiła się do niego z nietajoną rezerwą. Podczas pierwszego pobytu muzyka w Wiedniu Donimirski gościł go u siebie na obiadach, co było niemałą pomocą. Znalazł mu też niedrogi pokój w budynku, gdzie mieściła się redakcja jego pisma. Podczas kolejnych pobytów w Wiedniu Paderewski był niejednokrotnie gościem matki Eugenii. Jej córka Angela Potocka opisała to w swojej książce o Teodorze Leszetyckim.

Ryszkowski w kolejnym szkicu wprowadza sporo uzupełnień do biografii jedynej córki Antoniego i Eugenii Donimirskich – Marii Taidy Zofii, późniejszej Choińskiej-Dzieduszyckiej. Taida, bo takim imieniem się posługiwała, urodziła się najprawdopodobniej w roku 1884 w Wiedniu, choć historycy podają różne lata, wcześniejsze i późniejsze. Wychowaniem córki zajął się Antoni i jego rodzina. Autor znalazł np. prasową wzmiankę o udziale Taidy w kweście w Warszawie w roku 1897 w czasie wielkiego tygodnia pod opieką profesorowej Teodory Dydyńskiej. Była ona siostrą żony Edwarda Donimirskiego z Łysomic, brata Antoniego. Taidę spotyka się również w Śmiełowie, gdzie mieszkała córka stryja Jana Donimirskiego Maria Chełkowska. Po matce odziedziczyła talent muzyczny i została śpiewaczka operową. Występowała w Warszawie, ale też w Poznaniu i Grodnie. Lato 1914 spędzała u kuzynki Marii Świackiej córki Edwarda Donimirskiego w Bielicy (obwód witebski). Jako poddana państwa niemieckiego po wybuchu wojny musiała wyjechać w głąb Rosji. Latem 1917 roku ponownie zjawia się w Bielicy, gdzie poznała przyszłego męża, Jana Choińskiego Dzieduszyckiego. Dwoje dojrzałych ludzi pobiera się w czerwcu

roku 1920. Ślub odbywa się w parafii Marii Chełkowskiej ze Śmiełowa, która zastępuje obojgu matkę. Taida zamieszkała w posiadłości męża w Jabłonowie, województwo tarnopolskie. Po wybuchu II wojny została deportowana z córką do Kazachstanu, z mężem spotka się dopiero w 1943 w Londynie. Oboje zostaną tam do śmierci.

Ważną rolę w środowisku dziennikarskim Warszawy odgrywała Eugenia Żmijewska, bliska znajoma, a raczej przyjaciółka Antoniego Donimirskiego. Pracowała w „Słowie” jako jedyna kobieta. Prowadziła dział „Rozmaitości”, tłumacząc z różnych gazet wiadomości ze świata. Korespondowała z Elizą Orzeszkową w sprawie wydania swojej powieści „Dola”. W listach pojawiają się informacje dotyczące Antoniego. Donimirski bardzo cenił autorkę „Nad Niemnem”, choć generalnie za powieściami nie przepadał. Za podpisanie memorandum opracowanego przez warszawskie środowiska ugodowe do ministra spraw wewnętrznych Rosji Światopelka Mirskiego został ostro napiętnowany, co mocno odchorował. Orzeszkowa współczuła mu, ale nie poparła jego stanowiska.

W roku 1908 w Grodnie na wieczór literacki Orzeszkowej Eugenia Żmijewska pojechała z Taidą Donimirską. Podczas jubileuszu 25-lecia Eugenii pracy w „Słowie” Antoni wręczył jej zegarek i przypomniał obecnym, że składu dawnej redakcji została tylko ona. W ostatniej powieści Żmijewskiej „Wbrew” można znaleźć wiele podobieństw związanych z życiem osobistym i zawodowym Antoniego.

Gdy w drodze z Paryża do Warszawy umiera w Berlinie Antoni Donimirski, przy trumnie na jednym z wieńców z harfą widniał napis „Ukochanemu Przyjacielowi – Eugenia” należał on do warszawskiej dziennikarki ceniącej sobie znajomość ze zmarłym. O sprowadzenie z Berlina prochów Donimirskiego do Warszawy zabiegał Ignacy Paderewski.

Czytelnikom przybliżał Donimirski problematykę ludności kaszubskiej, skąd wywodził się jego ród. Wyjaśniał etymologię nazwy Kaszub od bagnistego charakteru okolic gdzie mieszkali. Pisał o historii badań nad językiem Kaszubów. Zachęcał do zwiedzania Gdańska, Sopotów, Oliwy i Szwajcarii Kaszubskiej.

Ryszkowski wraca też do sprawy koncertu Paderewskiego w Toruniu. Według tradycji rodzinnej goszczących go Donimirskich miało to być w roku 1880 i w wielu popularnych publikacjach zostało to powielane. Występ ten miał być jego przepustka do dalszego kształcenia i kariery. Tymczasem koncert odbył się w lutym 1890 roku, gdy Paderewski był już dość znanym pianistą, po sukcesach w Paryżu. Kolejne pokolenie Donimirskich z Łysomic w roku 1932 pisząc list do wybitnego pianisty wspominało, że jego muzyka rozbrzmiewała w dworze Łysomic 40 lat temu.

Interesujące są rozważania autora o losach rodziny Donimirskich i Benisławskich czasach powstania styczniowego i przeprowadzanych tam rewizjach. Konserwatysta Antoni Donimirski znalazł wspólny język z byłym socjalistą z PPS Stanisławem Wojciechowskim, późniejszym prezydentem II RP. Bliska im była idea spółdzielczości na ziemiach polskich. Antoni przejął po ojcu Teodorze zainteresowanie tą problematyką, a spółki pożyczkowe rozwijały się z sukcesami na ziemi sztumskiej.

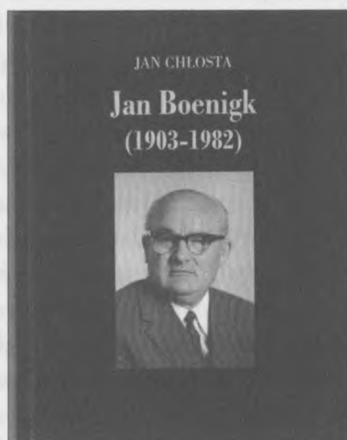
Droga, jaką przeszedł Donimirski z prowincjonalnego Bukowa na warszawskie salony, jego konsekwentnie „zachowawcze” poglądy (co nie znaczy wsteczne), wreszcie bliskie kontakty i współpraca z tak wybitnymi postaciami, jak Jan Paderewski, Henryk Sienkiewicz, czy Stanisław Wojciechowski zasługują na uwagę współczesnego czytelnika. Szkice mają popularny charakter, ale też przynoszą nowe ustalenia dotyczące Antoniego Donimirskiego i jego najbliższego kręgu.

Andrzej Lubiński

BYŁ TEŻ WUJASZKIEM FRANKIEM

Jan Chłosta, Polak z warmińskim rodowodem. Nad biografią Jana Boenigka (1903–1982), Olsztyn 2025.

Jan Chłosta, znany historyk z Olsztyna, zajmujący się dziejami Warmii i Mazur, od kilkunastu lat przybliża nam biografie zasłużonych i często zapomnianych postaci związanych z tym obszarem. Ostatnia praca poświęcona jest Janowi Boenigkowi (1903–1982), nauczycielowi, społecznikowi, działaczowi politycznemu. Współczesnemu czytelnikowi warto przybliżyć ludzi, którym przyszło żyć i pracować w ubiegłym



stuleciu, a urodzili się, gdy nie było jeszcze niepodległej Polski.

Przy pisaniu tej książki Jan Chłosta korzystał z publikacji, jakie wyszły spod pióra innych badaczy. Sporo nowych informacji o genealogii rodziny bohatera autor pozyskał od syna Jana Boenigka – Tadeusza.

Edukację powszechną rozpoczął Jan Boenigk w niemieckiej szkole. Pod wpływem starszego brata Franciszka zaczął się angażować w polskie działania jeszcze przed plebiscytem 1920 roku. Został zgłoszony do trzeciego kursu dla sił pomocniczych nauczycielskich, rozpoczynającego się czerwcem 1920 roku, który wkrótce po przegranej plebiscytem został rozwiązany. W następnym roku dzięki stypendium Boenigk rozpoczyna naukę w Seminarium Nauczycielskim w Lubawie, które ukończy w roku 1927. Podczas letnich wakacji zatrudniał się przy kopaniu torfu, aby zdobyć pieniądze na zakup książek i podreperować finanse pozwalające na ukończenie nauki.

Po roku pracy na wniosek Jana Baczewskiego został skierowany na Powiśle, by działać w Polsko-Katolickim Towarzystwie Szkolnym. Dał się tu poznać jako sprawny organizator różnych przedsięwzięć. Po wyrażeniu zgody przez Niemców na otwarcie polskich szkół na Powiślu, podjął pracę jako trzeci nauczyciel w Trzcianie, a wkrótce zajął się organizacją placówki w Postolinie. Przeniesiony do Olsztyna (1930), zakłada szkołę w Piasutnie na Mazurach. W lipcu 1931 zawiera związek małżeński z poznaną w Dąbrówce Pruskiej Małgorzatą Quellą. Młodzi małżonkowie doczekali się trzech synów, jeden urodził się w Sztumie. W październiku 1932 r, ponownie podjął pracę na Powiślu i nadzorował polskie szkoły. Opinie pozytywne o jego pracy wystawili Józef Mozolewski, inspektor szkół polskich i konsul w Kwidzynie Mieczysław Rogalski.

Od 1935 roku Boenigk zamieszkał w Berlinie i redagował miesięcznik „Mały Polak

w Niemczech” przeznaczony dla najmłodszych dzieci. Pismo cieszyło się dużą popularnością. Dzieci pisały do redakcji listy o tym, co się wydarzyło w ich miejscu zamieszkania. Jako Wujaszek Franek odpowiadał młodym korespondentom na łamach „Małego Polaka...”. Szeroko przeanalizował to Adam Langowski – zob. „Prowincja” nr 4/2019 i nr 2 /2021.

Tuż przed wybuchem II wojny Boenigk przyjechał z Berlina do Olsztyna, aby przekonać się, na czym oparte jest zaproszenie do objęcia kierownictwa IV Dzielnicy Związku Polaków. Zatrzymał się w Domu Polskim. Uniknął aresztowania, gdyż nie figurował na tamtejszej liście działaczy polskich do za trzymania. Pojechał do teściów w Pruskiej Dąbrówce i wtedy dowiedział się, iż jest poszukiwany przez gestapo. Udał się natychmiast do Berlina. Tam został aresztowany. Umieszczono go w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen. Po zwolnieniu jako obywatel niemiecki wcielony został do niemieckiego wojska i pełnił tam funkcje wartownicze.

Po zakończeniu wojny wrócił do Olsztyna. Podjął pracę w Kuratorium Okręgu Szkolnego. Gdy sprowadził rodzinę, zaczął organizować Uniwersytet Ludowy w Jurkowym Młynie, a następnie w Mikołajkach. Oprócz pracy pedagogicznej brał udział w życiu publicznym. Wstąpił do PPS a po zjednoczeniu w 1948 do PZPR i został radnym Powiatowej Rady Narodowej w Morągu, był też członkiem Instytutu Mazurskiego, działał w Olsztyńskim Komitecie Narodowościowym.

Po październiku 1956 został radnym wojewódzkiej Rady Narodowej. Był też aktywnym członkiem Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich. Występował w obronie rodzimych Warmiaków i Mazurów, współpracował z Ośrodkiem Badań Naukowych im. Wojciecha Kętrzyńskiego.

Jan Boenigk pozostawił po sobie dwie książki: „Minęły wieki a myśmy ostali” (dwa wydania z 1957 oraz 1971) i „Wyroki”. Pisywał do

„Polskiego Słownika Biograficznego”, „Komunikatów Mazursko Warmińskich” oraz w wydawnictw OBN. Publikował teksty w „Słowie Powszechnym” (w olsztyńskim dodatku „Słowo na Warmii i Mazurach”), „Głosie Olsztyńskim”/„Gazecie Olsztyńskiej”, miesięczniku „Warmia i Mazury”.

W „Słowie na Warmii i Mazurach” zamieszczał również teksty dotyczące przeszłości Powiśla. Oprócz wymienionych przez Jana Chłostę, dodałbym czteroodcinkową sagę o rodzinie Jeziłowiczów z Miran „Reduta na Powiślu”. Pamiętam, że, gdy byłem małym chłopcem, do Postolina przyjechał

Jan Boenigk na spotkanie autorskie, które odbywało się w bibliotece prowadzonej przez moją mamę. Potem był goszczony na kawie u rodziców. Wcześniej odwiedził znajomych z okresu międzywojennego: siostry Zofię i Agnieszkę Kochańskie, Franciszkę Budnowską i Walerię Wróblewską.

Jan Chłosta dołączył również interesujące wspomnienia osób, które zetknęły się z bohaterem książki. Przynoszą one nieznaną do tej pory fakty z biografii Jana Boenigka. Na szczególne uznanie w tej ciekawej publikacji zasługuje bibliografia prac tego „Polaka z warmińskim rodowodem”.

Arkadiusz Welniak

FALA

Rafał Księżyk, Fala. Rok 1984 i polski postpunk, Wydawnictwo Czarne 2025.

Przyznam się uczciwie, że w ostatnich miesiącach na żadną książkę nie czekałem z taką niecierpliwością jak na publikację Rafała Księżyka. Po pierwsze bardzo cenię warsztat i sposób narracji autora, dziennikarza muzycznego, który ma na swoim koncie kilkanaście książek poświęconych polskiej muzyce, szczególnie w jej niezależnym, podziemnym i kontrkulturowym wydaniu. Koniecznie trzeba tu wspomnieć książki „Wywracanie kultury”, „Dzika rzecz. Polska muzyka i transformacja 1989–1993” czy wywiady-rzeki z Tymonem Tymańskim czy Robertem Brylewskim. Po drugie wydana właśnie najnowsza książka pt. „Fala. Rok 1984 i polski postpunk” dotyczy eksplozji muzycznego gatunku i stylu, który był i pozostaje także dla mnie szczególnie bliski. Tamta rzeczywistość połowy lat osiemdziesiątych, pełna politycznej beznadziei i szaryzny, okazała się dla muzycznego



undergroundu wyjątkowa. Jak pisze wydawca w posłowniu: „gdy za żelazną kurtyną niezmiennie trwa Orwellowski rok 1984, najlepszym sposobem, by wskoczyć w inną rzeczywistość, było założenie zespołu rockowego”. Rafał Księżyk przenosi czytelnika właśnie do 1984 roku, przełomowego dla polskiej muzyki niezależnej, kiedy do głosu doszło pokolenie dorastające w realiach

stanu wojennego. Co przebija się w narracji książki: szczególną aktywnością wykazała się rockowa młodzież z mniejszych miast. Autor doskonale oddaje atmosferę mniejszych ośrodków, jak Piła czy Toruń, i całkiem małych miasteczek, jak Puławy, Ustrzyki, Łańcut, Zduńska Wola czy Głogów. Jak zaznaczył Księżyk, niedawno w jednym z radiowych wywiadów książka „Fala” miała nazywać się pierwotnie właśnie „Muzyka małych miast”. Tam w zakładowych domach kultury, świetlicach, pomieszczeniach warsztatów i w innych dziwnych miejscach swoją przygodę z muzyką zaczynały zespoły hołdujące nowej postpunkowej tudzież nowofalowej stylistyce. Była wśród nich puławska grupa Siekiera, rzeszowski zespół 1984 czy bydgoska grupa Variete – i to wokół działalności i twórczości tych legendarnych w wielu kręgach formacji ogniskuje się główna oś opowieści redaktora Księżyka. Mamy oczywiście cały szereg innych, często zapomnianych dziś grup, które tworząc i aktywizując lokalne środowiska zaangażowanej młodzieży, musiały funkcjonować w drugim obiegu. W książce „Fala”

nachodzi na siebie muzyka niezależna z tą z czołówek radiowych stacji. W opozycji do artystów robiących karierę (i z tego powodu nierzadko pogardzanych przez subkulturowych radykałów), jak np. Republika, Lady Pank czy Perfekt, tamten mały świat jest pełen idei przekazywanych w symbolicznych i bezkompromisowych tekstach. Polityka schyłku PRL i cenzura są nieodłącznym elementem tej muzycznej opowieści. Autor wykonał bardzo solidny research we wszystkich dostępnych źródłach, a za sprawą relacji i wspomnień muzyków wspomnianych nowofalowych formacji książkę czyta się wybornie. Ogromna liczba faktów, ciekawostek i analiz stylistycznych może zrobić wrażenie nawet na kimś, kto z rodzimą muzyką tamtych czasów jest za pan brat. Po lekturze nabrałem chęci powrotu do kolekcji starych winylowych płyt, żeby na nowo usłyszeć głos pokolenia 1984. Bardzo polecam książkę, nawet tym, dla których historia polskiej muzyki jest mało interesująca. Można potraktować „Falę” Rafała Księżyka jak swoisty dokument z serii historia kultury niezależnej u schyłku PRL.

Noty o autorach

Wacław Bielecki – od 1947 roku mieszkaniec Nowego Stawu, a od 1974 roku Sztumu. Absolwent pedagogiki Uniwersytetu Gdańskiego. Pracował jako nauczyciel w Szkole Podstawowej w Nowym Stawie i asystent w Katedrze Pedagogiki UMK w Toruniu. W 1980/81 roku redaktor naczelny tygodnika „Sztumska Solidarność”, a na przełomie lat 1989/90 członek kolegium redakcyjnego tego czasopisma. Odznaczony Krzyżem Wolności i Solidarności. Dyrektor Poradni Wychowawczo-Zawodowej oraz szkół medycznych w Sztumie. Meloman, autor książki *Zapiski melomana z prowincji*.

Krzysztof Czyżewski – eseista i animator działań międzykulturowych; twórca Fundacji „Pogranicze” i Ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” w Sejnach; redaktor naczelny pisma „Krasnogruda” i szef Wydawnictwa Pogranicze, w którym redaguje m.in. serie „Meridian” oraz „Sąsiedzi”. Autor książek *Ścieżka pogranicza* (2001), *Linia powrotu. Zapiski z pogranicza* (2008), *Małe centrum świata* (2017). Wykładowca m.in. Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu Wileńskiego, New School University (Nowy Jork), Transregional Center for Democratic Studies (Kraków), Boston University. Laureat Medalu św. Jerzego, nagród A. Gieysztorą i J. Giedroycia, nagrody Forum Ekonomicznego w Krynicy „Nowa Kultura Nowej Europy”. Laureat nagrody NEPTUNA, przyznawaną przez miasto Gdańsk.

Ewelina Dysko – urodzona w 1974 r. w Sztumie. Od kilku lat mieszka w Ryjewie, gdzie pracuje jako pracownik socjalny w Domu Pomocy Społecznej Słoneczne Wzgórze. Pierwsze kroki w poezji stawiała wiele lat temu, jednak za prawdziwy debiut uznaje publikację kilku wierszy w Prowincji, Kwartalniku Społeczno Kulturalnym Dolnego Powiśla i Żuław nr 4 (30) w 2017 r. Wraz z Robertem Biskupiakiem jest współautorką tomiku *Pół ciebie, pół mnie*, wydanego przez Towarzystwo Miłośników Łobzenicy w styczniu 2025 r. Kolejny, samodzielnie wydany w lutym 2025 r. *W tamtej krainie*, jest zbiorem wierszy o różnej tematyce, które powstały w okresie od 2009 do końca 2024 r.

Karol Dziemiańczyk – ur. 1976 r. Miłośnik przyrody i historii regionalnej. Wędkarz od najmłodszych lat. Łowca wielu rekordowych okazów ryb. Autor i współautor wielu książek o tematyce przyrodniczej i historycznej. Z zawodu policjant. W latach 2023–2025 Komendant Powiatowy Policji w Sztumie. Studia podyplomowe na kierunku ichtiologia i akwakultura ukończył na UWM w Olsztynie.

Arkadiusz Dzikowski – pedagog, rekonstruktor, pasjonat historii. Współzałożyciel stowarzyszenia Bractwo Rycerzy Ziemi Sztumskiej oraz Kapituły Rycerstwa Polskiego. Od 2016 roku pracownik Działu Edukacji Muzeum Zamkowego w Malborku. Autor artykułów i prezentacji popularyzatorskich o tematyce nawiązującej do badań historii Zakonu Niemieckiego.

Andrzej Kasperek – ur. w 1958 roku, absolwent polonistyki na Uniwersytecie Gdańskim (seminarium prof. Marii Janion), pisarz, badacz literatury, działacz opozycji demokratycznej (jeden z założycieli Niezależnego Zrzeszenia Studentów), doktor nauk humanistycznych; od 1985 zajmuje się pracą nauczycielską (Liceum Ogólnokształcące w Nowym Dworze Gdańskim). Nominowany do Finału Nagrody Literackiej Gdynia 2011 za książkę *Back in the DDR i inne opowiadania* (2010). Autor tomu esejów *Galeria Jacka Kaczmarskiego. Skrzydło wschodnie* (2013) oraz tomu opowiadań *Koronczarka* (2013). W 2018 wydał *Mój płaski kraj Żuławy*. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2012). Żuławiak od urodzenia.

Beata Kołodziejczyk (rocznik '83) – pisze, redaguje, korektuje, składa, wydaje, fotografuje. Od 2013 roku pojawia się słowem w takich miejscach jak: Portal Pisarski, Eprawda, Sofa, 6.2 Magazyn, Magazyn Suburbia (dawniej Helikopter [OPT]), Wydawnictwo j, Obszary Przepisane, Babiniec

Literacki, Fabularie, E-ZINE Nigdy Więcej, Stoner Polski, Drobiazi, Sto Stron Samotności, Współczesna Polska Poezja, Wytrych, Post Scriptum, Grupa Literyczna NA KRECHĘ, Fundacja Otwartych Na Twórczość (FONT), Artis, Strona Czynna, Latarnia Morska, Kozirynek, SILNE. Aperiodyk społeczny, Zupełnie Inny Świat, Ypsilon, Nowy BregArt, Strefa Exodus, Peron Literacki, „Po drugiej stronie słów” (blog PBW w Bielsku-Białej), „Nadmorze. Podcast o poezji”, „Ogrodowe czytania czwartkowe” Roberta Tondery, „Literackie tête-à-tête” (bookradio.pl), „Mów do mnie wierszem i prozą” (Radio Gdańsk). Jak dotąd wydała: tomy wierszy „(A)tomik”, „w przepie(p)zeniu”, „uzbrojona po uszy”, „Bez żadnego trybu”; zbiór opowiadań „Cztery smaki”; książkę dla dzieci „Łaty w kratę”; pierwszą część powieści „Uśpieni”. Matkowała ED PROJECT. POKOCHAJ CIAŁO, obecnie prowadzi bloga „Dziewczynka z objawami”.

Sylwia Kubik – autorka poczytnych powieści obyczajowych osadzonych na Powiślu i Żuławach. Debiutowała w sierpniu 2019 roku. Tworzy zarówno powieści współczesne, jak i z tłem historycznym. Opublikowała do tej pory kilkanaście powieści. *Miłość pod naszym niebem* została uznana za Książkę Roku 2020 w kategorii proza polska. Zaś sama autorka za aktywne promowanie regionów otrzymała tytuł Osobowość Roku 2019 i 2020 w kategorii: Kultura, zaś w 2022 tytuł Ambasadorki Kultury Pomorza w kategorii: Kultura. Stypendystka Marszałka województwa warmińsko-mazurskiego w kategorii: Kultura. Mieszka w Dąbrowce Malborskiej, w gminie Stary Targ.

Hugon Lasecki – ur. 1932 r. w Grudziądzu. Malarz, rysownik i poeta. Absolwent Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku (obecnie Akademia Sztuk Pięknych), z którą związał się pracą dydaktyczną. Prowadził m.in. dyplomującą pracownię malarstwa. W 1994 roku otrzymał tytuł profesora zwyczajnego. W marcu 2025 roku w Zbrojowni Sztuki w Gdańsku otwarto wystawę jego prac „Malarstwo-rysunek-objekty”.

Andrzej C. Leszczyński – urodził się w Chodzieży. Eseista, wykładowca akademicki, okazjonalnie nauczyciel licealny. Studiował pedagogikę i filozofię. Autor pięciu książek i ponad 200 rozpraw i szkiców z zakresu filozofii człowieka, etyki, antropologii teatru. Promotor ponad stu prac magisterskich i licencjackich. Prowadził teatralne warsztaty komunikacji i ekspresji w kraju i za granicą.

Dominika Lewicka-Klucznik – ur. 1978 r. Animatorka, filolożka. Jest redaktorką, autorką wstępów, recenzji oraz materiałów promocyjnych. Publikuje w antologiach, pismach literackich i kulturalnych. *Rewir* (wyd. Fundacja Duży Format) jest jej piątą książką poetycką. Tom poetycki *Rewir* został wydany w ramach Stypendium Kulturalnego Prezydenta Miasta Elbląga. Marzy, by mieć czas na prozę (nie tylko życia) i może mały dramat (broń Boże życiowy). Bardzo ceni warsztaty literackie, slamy i turnieje poetyckie, a także różnego rodzaju festiwale. Społecznie związana z PSO-NI koło w Elblągu. Prowadzi blog/stronę autorską: www.lewickaklucznik.pl oraz projekt społeczny Pogotowie W@rsztatowe: <https://www.facebook.com/pogotowiewarsztatowe/>.

Alicja Łukawska – ur. w 1959 roku, absolwentka filologii polskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Bydgoszczy, później pracownik naukowy tejże uczelni, dziennikarka prasy lokalnej i krajowej, autorka książki *Duchy Kresów Wschodnich* wydanej w 2018 roku w wyd. von Borowiecky, współautorka książki *Córka organisty. Wspomnienia mieszkanki Pomorza*.

Piotr Napiwodzki – ur. w 1972 roku w Jeleniej Górze, teolog, filozof, tłumacz, były dominikanin. W 2005 obronił doktorat na Uniwersytecie we Fryburgu Szwajcarskim. W latach 2006–2010 rektor Kolegium Filozoficzno-Teologicznego Dominikanów w Krakowie. Ostatnio w Bibliotece Prowincji wydał *Małe obrazki, proste scenki. Powiślański szlak Wilhelma z Modeny i losy całkiem współczesnych osadników* (2020). Od 2010 mieszka w Koślinie koło Sztumu.

Wiesław Niedziałkowski – rocznik 1971, absolwent Filologii Germańskiej na Uniwersytecie Gdańskim. Dotychczasowa droga życiowa to orbitowanie po „obwarzanku” wokół gwiazdy Powiśla: pochodzi z Kisielic, matura w Iławie, od ok. 30 lat związany z Elblągiem; poprzez ożenek z rodowitą Kwidzynianką nabył częściowo prawa Powiślaka. Zainteresowania: autobiografika, geopoetyka, relacje polsko-niemieckie.

Natalia Piaskowska – stomatolog. Urodzona w Toruniu, mieszka w Gdańsku, pochodzi z Malborka. Zadebiutowała powieścią *Chwytać motyle* w 2023 r. Obecnie wydała drugą część *Narodziny*. Ukończyła Akademię Medyczną w Gdańsku (obecnie Uniwersytet Medyczny) na wydziale Lekarskim, oddziale stomatologicznym.

Michał Piotrowski – poeta, dziennikarz, urzędnik samorządowy. Obecnie jest rzecznikiem prasowym Marszałka Województwa Pomorskiego. Wolny czas spędza odkrywając i dokumentując zapomniane, opuszczone i niedostępne miejsca na Pomorzu: ruiny dworów i pałaców, opuszczone fabryki, kościoły i obiekty wojskowe. Jest pomysłodawcą i współautorem trzech przewodników po takich właśnie miejscach w naszym województwie.

Janusz Ryszkowski – ur. 1955 r. w Opaleniu na Kociewiu. Długoletni dziennikarz prasy Wybrzeża, poeta, regionalista związany z Ziemią Sztumską. W 2024 roku opublikował tomik wierszy *Plagi*, retrospektywny zbiór opowiadań *Głodne kawałki* oraz szkice *W ściślejszym kółku Antoniego Donimirskiego* (XV tom Biblioteki Kwartalnika Prowincja).

Ryszard Rząd – ur. w 1958 roku, historyk, absolwent KUL. Pracownik Muzeum Zamkowego w Malborku. Autor szeregu publikacji poświęconych dziejom odbudowy zamku w Malborku na przełomie XIX i XX wieku.

Leszek Sarnowski – ur. w 1959 roku w Barcinie na Kujawach. Absolwent historii Uniwersytetu Gdańskiego. Współpracował z „Gazetą Wyborczą”, „Dziennikiem Bałtyckim”, „Radiem Gdańsk”, „Radiem Plus”, „TVP Olsztyn”, „TVP Gdańsk”. Redaktor naczelny „Sztumskiej Solidarności” i „Gazety Sztumskiej” w latach 1989–1993. Pomysłodawca, wydawca i redaktor naczelny kwartalnika „Prowincja”. Autor książki *Sztumska droga do wolności* (2017), *Ocalona pamięć. Żydzi na ziemi sztumskiej* (2018) oraz *Franciszek Baumgart. Osaczony bohater* (2024).

Mariusz Stawarski – ur. w 1961 roku. Absolwent Wydziału Architektury Wnętrz Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku. Od 1990 roku pracuje w zamku w Malborku, gdzie zajmuje się wystawiennictwem i grafiką użytkową. Od 1986 roku zajmuje się malarstwem liryczno-groteskowym, wystawianym i nagradzonym w wielu krajach i zagranicznych konkursach. Mieszka w Malborku.

Marek Suchar – z wykształcenia psycholog oraz absolwent studiów z zakresu judaistyki i archeologii biblijnej, nauczyciel akademicki na sopockim Wydziale Uniwersytetu SWPS w Sopocie. Autor czterech książek i licznych artykułów poświęconych historii i teraźniejszości Jerozolimy. Ostatnio ukazała się drukiem jego powieść *Kwadrat jerozolimski*.

Wioletta Toruńczak – kierowniczka biblioteki publicznej OKSIBP Gminy Pruszcz Gdański, bibliotekarka, koordynatorka projektów, animatorka kultury, coach. Ukończyła studia z zakresu zarządzania na Wydziale Nauk Ekonomicznych i Zarządzania Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu oraz podyplomowe studia bibliotekoznawstwa na Uniwersytecie Warszawskim. Z pasją oddaje się pracy w kulturze i dla kultury oraz animowaniu życia społeczno-kulturalnego, w niezachwianym przekonaniu o jej znaczeniu dla skutecznego i trwałego rozwoju społeczeństwa obywatelskiego – zaangażowanego i odpowiedzialnego.

Łukasz Walendziak – ur. w 1983 roku w Gdańsku. Pisze o sobie: „W 2015 roku stałem na skraju przepaści. Limit głupot, błędów i porażek już wyczerpałem. Za mną były spalone mosty a dookoła zgliszcza. W akcie desperacji zdecydowałem się na ucieczkę przed samym sobą. Bilet w jedną stronę do Nepalu. Z perspektywy dnia dzisiejszego, śmiało mogę jednak stwierdzić, że cały ten trud nie poszedł na marne. Były to korepetycje w zakresie odpowiedzialności, samodzielności, radości życia czy poczucia własnej wartości”.

Arkadiusz Welniak – ur. w 1973 roku, historyk archiwista, genealog. W latach 1999–2011 kustosz i kierownik Oddziału w Archiwum Państwowym. Od 2011 roku pracujący w branży usług archiwistycznych, dokumentacyjnych i genealogicznych, w międzynarodowej firmie GEN Gesellschaft w Berlinie. Aktywny członek Towarzystwa Genealogicznego Prus Wschodnich i Zachodnich. Publikował m.in. na łamach „Rocznika Elbląskiego”, „Przeglądu Zachodniego”, „Archeionu”, „Archiwisty Polskiego” oraz periodyków genealogicznych w Niemczech. Autor książki (doktorat) *I wtedy przyszli Polacy... Ludność miasta i powiatu Elbląg 1945–1950* (2025). Miłośnik muzyki, twórczości Günтера Grassa i literatury współczesnej.

Piotr Zawada – pasjonat historii, w szczególności epoki napoleońskiej. Z wykształcenia ekonomista, posiada też licencjat z historii. Od 2002 roku w polskim ruchu rekonstrukcyjnym doby epoki napoleońskiej – dowódca Pułku 12 Piechoty Księstwa Warszawskiego z Gdańska. Autor *Sojusznik czy wróg? Armia rosyjska w kampanii galicyjskiej 1809 roku* (2009) oraz *Victor za Blüchera. O marszałkach epoki napoleońskiej związanych z polskimi ziemiami* (2020).

Biblioteka Kwartalnika Prowincja



Leszek Sarnowski

FRANCISZEK BAUMGART

OSACZONY BOHATER

Publikacje można zamawiać na
prowincja@onet.pl

Można również zamawiać archiwalne numery Prowincji



Kot Żuławski, tempera na płycie, 20 × 20 cm



Rośliny podcieniulbne, tempera na płycie, 40 × 30 cm



Dziennik Żuławski – Cisza, 15 × 20 cm,
tempera na płycie



Dreams of Windmills, 100 × 100 cm, olej na płótnie

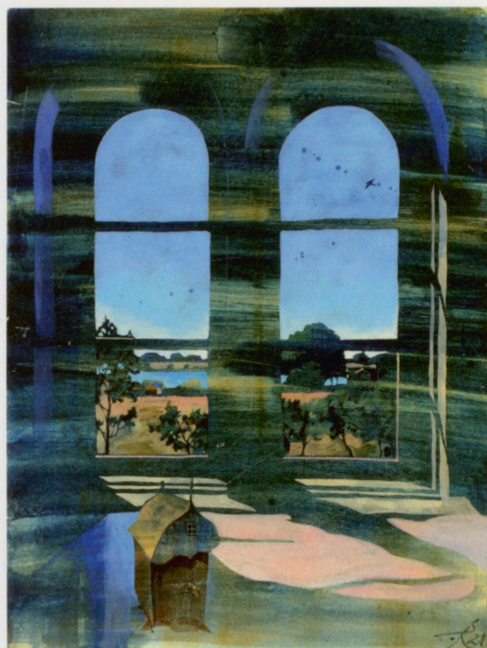


Francuzi z Lubiszewa, akryl na płótnie,
80 × 60 cm



Planeta Żuławy, olej na płycie,
50 × 37,5 cm

**PRACE RITY
STASZULONOK**



Żuławskie światło, tempera na płycie,
30 × 40 cm



Rozeta, tempera na płycie, 80 × 60 cm



S. K.